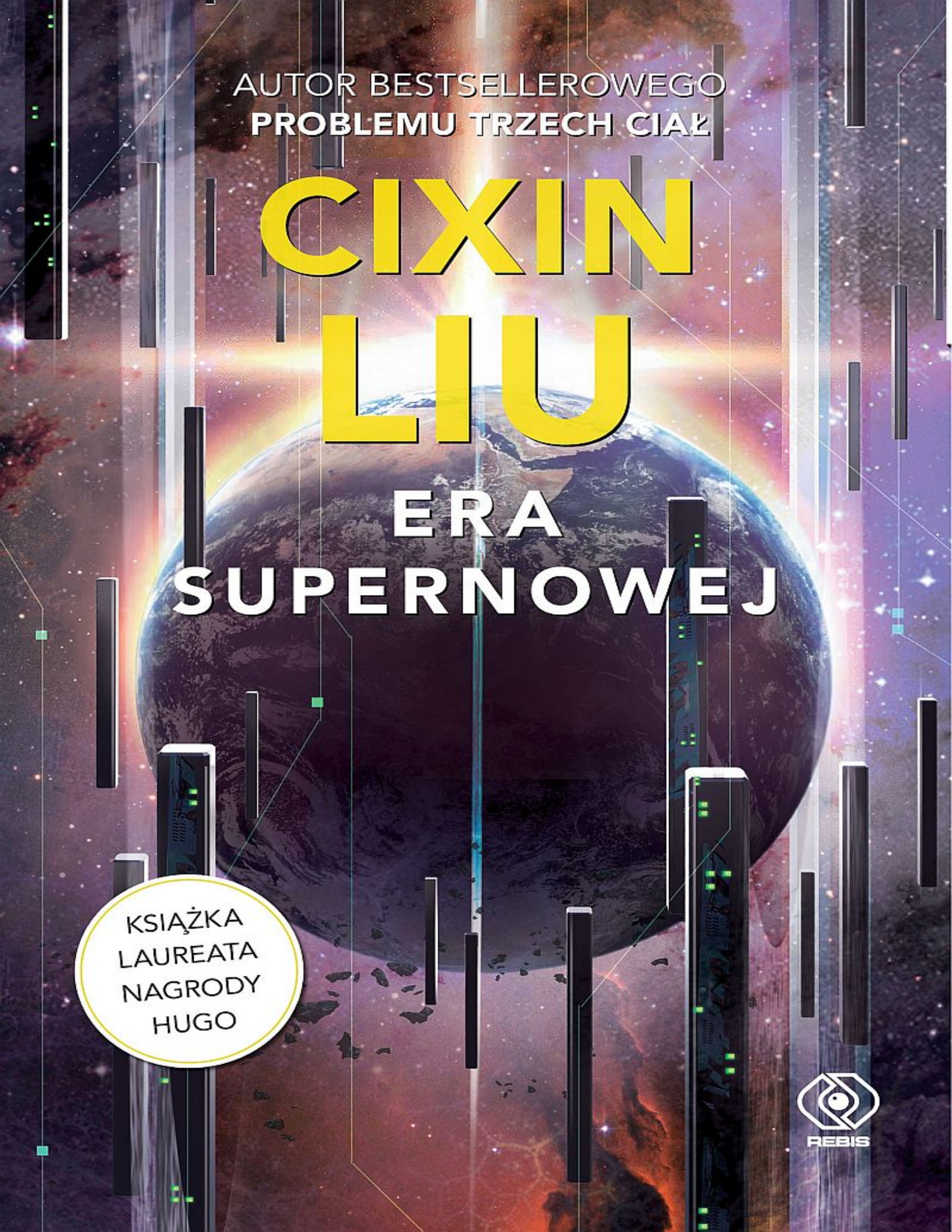
AUTOR BESTSELLEROWEGO
PROBLEMU TRZECH CIAŁ
CIXIN
LIU
ERA
SUPERNOWEJ
KSIĄŻKA
LAUREATA
NAGRODY
HUGO
REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ERA SUPERNOWEJ

Cixin Liu

PRZEŁOŻYŁ
Andrzej Jankowski

Dom Wydawniczy REBIS

Dla mojej córki, Liu Jing. Oby żyła w świecie zabaw.

Osoby

Dorośli

Zheng Chen, wychowawczyni ostatniej klasy szkoły podstawowej
Zhang Lin, przedstawiciel Centralnej Komisji Nadzwyczajnej
prezydent Chin
premier Chin

Chińskie dzieci

Huahua, ładny, charyzmatyczny chłopiec
Okularnik, introwertyk o przenikliwym umyśle
Xiaomeng, cicha, dojrzała nad wiek dziewczynka
Powyższa trójka tworzy naczelne kierownictwo
generał Lü Gang, szef sztabu generalnego Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej
Du Bin, chiński ambasador w Stanach Zjednoczonych
porucznik Wang Ran, kierowca czołgu
podporucznik Wei Ming z wojsk pancernych
major lotnictwa Jin Yunhui, pilot myśliwca J-10
Yao Rui, inżynier elektrowni
Feng Jing, Yao Pingping, przedszkolanki
Li Zhiping, listonosz
Chang Huidong, fryzjer
Zhang Xiaole, kucharz

Inne dzieci

sekretarz generalny ONZ Will Yagüe
prezydent Stanów Zjednoczonych Herman Davey
sekretarz stanu USA Chester Vaughn
szefowa personelu Białego Domu Frances Benes
generał dywizji Dowell
wiceprezydent USA William Mitchell
generał Harvey
premier Wielkiej Brytanii Nelson Green
prezydent Francji Jean Pierre
premier Japonii Ōnishi Fumio
prezydent Rosji Iljuchin
szef Sztabu Generalnego sił zbrojnych Rosji marszałek Zawjałow
premier Indii Jairu
premier Wietnamu Lê Sâm Lâm

Prolog

W tamtych dniach Ziemia była planetą w kosmosie.

W tamtych dniach Pekin był miastem na Ziemi.

W morzu świateł tego miasta była szkoła podstawowa, a w jednej z sal tej szkoły odbywało się przyjęcie pożegnalne ostatniej klasy, na którym, jak zawsze w takich wypadkach, dzieci rozmawiały o swoich aspiracjach.

– Ja chcę być generałem! – powiedział Lü Gang, chudy chłopiec, który promieniował siłą mimo mizernej postury.

– Nuda! – zareagował na to ktoś inny. – Nie będzie żadnej wojny, więc generał może tylko musztrować swoich żołnierzy.

– A ja chcę zostać lekarką – rzekła cicho Lin Sha, wzbudzając drwiący śmiech reszty.

– Oczywiście. Kiedy ostatnim razem pojechaliśmy na wieś, bałaś się nawet widoku kokonów, a chcesz rozcinać ludzi?

– Moja mama jest lekarką – odparła, przedstawiając to albo jako dowód, że się nie boi, albo powód swojego pragnienia.

Zheng Chen, ich młoda wychowawczyni, patrzyła przez okno na światła miasta, zatopiona w myślach, ale teraz odwróciła się do klasy.

– A ty, Xiaomeng? Co chcesz robić, kiedy dorośniesz? – zapytała uczennicę, która stała obok niej i też patrzyła przez okno.

Dziewczynka była skromnie ubrana, a w jej wielkich uduchowionych oczach widać było melancholię i dojrzałość niepasujące do jej wieku.

– Moja rodzina nie jest bogata. Będę mogła pójść tylko do szkoły zawodowej – powiedziała z lekkim westchnieniem.

– A ty jakie masz plany, Huahua? – Zheng Chen zwróciła się do ładnego chłopca, którego oczy zawsze rozjaśniała wesołość, jakby świat pełen był co chwila odpalanych fajerwerków.

– Przyszłość jest tak fajna, że nie mogę się zdecydować. Ale czymkolwiek się zajmę, chcę być w tym najlepszy!

Ktoś powiedział, że chce zostać sportowcem, ktoś inny dyplomatą. Gdy jedna z dziewczynek oświadczyła, że chce zostać nauczycielką, Zheng Chen rzekła: „To niełatwe”, a potem znowu odwróciła się do okna.

– Wiedziałaś, że pani Zheng jest w ciąży? – zapytała szeptem inna dziewczynka.

– Tak. A w przyszłym roku, akurat kiedy będzie rodziła, w szkole zaplanowane są zwolnienia, więc sprawy nie wyglądają dobrze – odparł siedzący obok niej chłopiec.

Po tych słowach Zheng Chen się roześmiała.

– Wasza nauczycielka teraz nie o tym myśli. Zastanawiam się, jaki będzie świat, kiedy moje dziecko będzie w waszym wieku.

– To wszystko jest strasznie nudne – rzekł szczupły chłopiec. Nazywał się Yan Jing, ale z powodu grubych szkieł, które nosił wskutek krótkowzroczności, wszyscy mówili na niego Okularnik. – Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Jest nieprzewidywalna. Wszystko się może zdarzyć.

– Nauka może przedstawiać prognozy – powiedział Huahua. – Robią to futurolodzy.

Okularnik potrząsnął głową.

– To nauka mówi nam, że przyszłość jest nieprzewidywalna. Wszelkie prognozy futurologów są nieprecyzyjne, bo świat jest chaotycznym układem.

– Słyszałem o tym. Kiedy motyl machnie skrzydełkiem, w innej części świata powstaje huragan.

– Zgadza się – rzekł Okularnik, kiwając głową. – Chaotyczny układ.

– Marzę o tym, by być tym motylem – powiedział Huahua.

Okularnik ponownie potrząsnął głową.

– Zupełnie nie rozumiesz. Wszyscy jesteśmy motylami. Każde ziarnko piasku i każda kropla deszczu jest motylem. Właśnie dlatego świat jest nieprzewidywalny.

– Mówiłeś kiedyś o zasadzie nieokreśloności…

– Zgadza się. Mikrocząstek nie da się przewidzieć. Istnieją tylko jako możliwość. A zatem cały świat jest nieprzewidywalny. Jest też teoria wielu światów, która mówi, że gdy rzucasz monetę, świat rozszczepia się na dwoje i moneta ląduje awersem w jednym świecie, a rewersem w drugim…

Zheng Chen się roześmiała.

– Ty sam jesteś wystarczającym dowodem na to. Kiedy byłam w twoim wieku, nie przyszłoby mi do głowy, że pewnego dnia uczeń szkoły podstawowej będzie wiedział tak dużo.

– Okularnik czyta mnóstwo książek! – powiedział ktoś, a pozostali pokiwali głowami.

– Dziecko pani Zheng będzie jeszcze bardziej zdumiewające. Kto wie, może dzięki inżynierii genetycznej będzie miało prawdziwe skrzydła – powiedział Huahua i wszyscy się roześmiali.

– Dzieci – powiedziała wychowawczyni, stając przed nimi – przyjrzyjcie się ostatni raz swojej szkole.

Wyszli z klasy i ruszyli za nauczycielką przez teren zespołu szkolnego. Większość lamp była zgaszona i odległe światła miasta nadawały ogrodzonemu obszarowi aurę leniwego spokoju. Minęli dwa budynki z salami lekcyjnymi, budynek administracji, bibliotekę, a na koniec rząd migdałeczników, za którymi było boisko. Czterdzieścioro troje dzieci

stanęło wokół młodej wychowawczyni, która wyciągnęła ręce ku niebu z ledwie widocznymi nad łuną świateł miasta gwiazdami i powiedziała:

– No i skończyło się wasze dzieciństwo.

W tamtych dniach Ziemia była planetą w kosmosie.

W tamtych dniach Pekin był miastem na Ziemi.

Ta historia może się wydawać pozbawiona znaczenia. Czterdzieścioro troje dzieci kończy spokojną szkołę podstawową i każde z nich wkracza na swoją drogę życia.

Ten wieczór może się wydawać zwykłym wieczorem, chwilą w upływie czasu pomiędzy nieskończoną przeszłością i bezgraniczną przyszłością. „Nie można wejść po raz drugi do tej samej rzeki” to tylko rojenia starożytnego Greka, bo rzeka czasu jest rzeką życia, a ta rzeka płynie bez końca z tą samą niezmienną prędkością, jest wiecznym przepływem życia, historii i czasu.

Tak myśleli mieszkańcy tego miasta. Tak myśleli mieszkańcy północnochińskich równin. Tak myśleli mieszkańcy Azji. I tak myślały wszystkie bytujące na tej planecie istoty należące do opartej na węglu formy życia zwanej człowiekiem. Na tej półkuli kołysał ich do snu upływ czasu. Zasypiali przekonani, że żadna siła nie zmoże świętej wieczności i że obudzą się o świcie, który będzie taki sam jak niezliczone świty przed nim. Ta wiara tkwiąca w głębi ich świadomości zapewniała im spokojne sny, które śniły niezliczone pokolenia ich przodków.

Była to spokojna szkoła podstawowa w spokojnym miejscu na obrzeżach rozświetlonego wieczorem wielkiego miasta.

Czterdzieścioro troje trzynastolatków i ich wychowawczyni patrzyli na gwiazdy. Zimowe konstelacje – Byk, Orion i Wielki Pies – były już pod

horyzontem i od niedawna rozpościerały się na niebie letnie gwiazdozbiory – Lutnia, Herkules i Waga. Każda gwiazda była niczym odległe oko mrugające do ludzkiego świata z głębi wszechświata. Jednak tej nocy to spojrzenie było trochę inne.

Tej nocy znana ludzkości historia dobiegła końca.

1. Martwa gwiazda

Koniec

Astronomowie odkryli w przestrzeni kosmicznej w promieniu dziesięciu lat świetlnych od Ziemi jedenaście gwiazd: układ potrójny złożony z Proximy Centauri, Alfy Centauri A i Alfy Centauri B, dwa układy podwójne – Syriusza A i Syriusza B oraz Luytena 726-8 A i Luytena 726-8 B, a także cztery gwiazdy pojedyncze – Gwiazdę Barnarda, Wolf 359, Lalande 21185 i Ross 154. Nie wykluczali, że na odkrycie czekają inne, albo przyćmione, albo przesłonięte przez pył międzygwiezdny*.

Zauważono w tym rejonie obecność dużej ilości pyłu kosmicznego rozciągającego się niczym ciemna chmura w czarnej nocy kosmosu. Gdy skierowano na tę odległą chmurę czujniki promieniowania ultrafioletowego jednego ze sztucznych satelitów, w widmie absorpcji znaleziono szczyt o wielkości 216 mm, co dawało podstawy do przypuszczeń, że chmurę tę tworzą mikrocząstki węgla, a jej zdolność odbijania zdawała się świadczyć, iż pokrywa ją cienka warstwa lodu. Cząstki te mieściły się w przedziale od 2 do 200 nm, czyli miały mniej więcej taką samą długość fali jak światło widzialne, przez co je odwracały.

Ten obłok przesłaniał gwiazdę, która znajdowała się osiem lat świetlnych od Ziemi. Miała średnicę dwadzieścia trzy razy większą od Słońca i sześćdziesięciokrotnie większą masę, ale nie znajdowała się już na etapie głównym ciągu, lecz w ostatniej fazie swej ewolucji i dobiegała kresu istnienia. Nazwiemy ją Martwą Gwiazdą.

Gdyby nawet Martwa Gwiazda miała pamięć, nie pamiętałaby swego dzieciństwa. Urodziła się pięćdziesiąt milionów lat temu z matki mgławicy.

Ruch atomów i promieniowanie z galaktycznego centrum przerwały bezruch mgławicy, której cząstki ścięły się wokół środka przyciągania grawitacyjnego. Ta majestatyczna burza pyłowa trwała dwa miliony lat, a w tym czasie atomy wodoru w jej jądrze zaczęły się stapiać w atomy helu. W tym palenisku narodziła się Martwa Gwiazda.

Po dramatycznym dzieciństwie i burzliwej młodości energia fuzji powstrzymała zapaść jej skorupy i Martwa Gwiazda wkroczyła w długi wiek średni. W przeciwieństwie do godzin, minut i sekund jej dzieciństwa ewolucja ta odbywała się setki milionów lat i utworzyła nowy spokojny świetlny punkt na rozległym oceanie gwiazd galaktyki. Ale przelot nad powierzchnią Martwej Gwiazdy pokazałby, że ten spokój jest iluzoryczny. Była ona morzem atomowego ognia, ogromne płomienie rozpalały do czerwoności i wyrzucały w przestrzeń kosmiczną wysokoenergetyczne cząstki niczym porywy wiatru. Z głębi gwiazdy buchała straszliwa energia i wzbierała oślepiającymi falami na tym morzu, nad którym szalała nieustanna jądrowa burza, a ciemnoczerwona plazma przewalała się w silnym polu magnetycznym, sięgając w kosmos mackami o długości miliona kilometrów… Ludzki umysł nie pojąłby ogromu Martwej Gwiazdy; w porównaniu z tym morzem ognia Ziemia była jak piłka do koszykówki wrzucona do Pacyfiku.

Martwa Gwiazda powinna być bardzo dobrze widoczna na niebie. Gdyby nie pył międzygwiezdny, który inkubował inną gwiazdę odległą o trzy lata świetlne od Ziemi, to przy obserwowalnej wielkości 7,5 świeciłaby na ludzką historię pięć razy jaśniej niż Syriusz, najjaśniejsza z gwiazd na niebie, tak jasno, że w bezksiężycową noc oświetlone przez nią przedmioty rzucałyby cienie, nadając ziemskim wydarzeniom sentymentalną nutę.

Wiodąc wspaniały żywot, płonęła bez żadnych wypadków przez czterysta sześćdziesiąt milionów lat, ale zimna ręka zasady zachowania

energii sprawiła, że pewne zmiany wewnętrzne stały się nieuniknione – ogień fuzji jądrowej uszczuplił zasoby wodoru, a hel, jej produkt uboczny, zapadał się do środka i z czasem gromadziło się go tam coraz więcej. W tak gigantycznym obiekcie proces ten przebiegał niezwykle wolno, przy tym tempie cała ludzka historia była tylko pstryknięciem palcami, ale po czterystu osiemdziesięciu milionach lat ten ubytek miał zauważalny skutek – zgromadziło się tyle bardziej obojętnego helu, że źródło energii gwiazdy się wyczerpało. Zestarzała się.

Ale inne, bardziej skomplikowane prawa fizyki sprawiły, że Martwa Gwiazda miała zakończyć życie w blasku chwały. Gęstość helu w jej wnętrzu wzrosła, a reakcje termojądrowe nadal przebiegające w pozostałym wodorze wytworzyły tak wysoką temperaturę, że wystarczyło to do zainicjowania fuzji helu, która strawiła w nuklearnym piekle całość tego pierwiastka. Wskutek tego Martwa Gwiazda zapłonęła silnym światłem, ale ponieważ energia helu równała się tylko jednej dziesiątej energii wodoru, jeszcze bardziej osłabiło to gwiazdę. Nazwane przez astronomów rozbłyskiem helu światło tego zjawiska dotarło trzy lata później do obłoku pyłu międzygwiezdnego. Fala czerwonego światła o względnie dużej długości przeszła przez tę barierę kosmiczną. Podróżowało kolejnych pięć lat i przybyło do dużo mniejszej zwykłej gwiazdy, Słońca, oraz do przyciąganych przez jej siłę grawitacji garści pyłu kosmicznego, zwanych przez ludzi Plutonem, Neptunem, Uranem, Saturnem, Jowiszem, Marsem, Wenus i oczywiście Ziemią. Zdarzyło się to w 1775 roku.

Tamtego wieczoru na północnej półkuli Ziemi, w angielskim uzdrowisku Bath, obok wspaniałej sali muzycznej, urodzony w Niemczech organista nazwiskiem Frederick William Herschel patrzył łakomie na wszechświat

przez teleskop własnego projektu. Tak bardzo fascynowała go roziskrzona Droga Mleczna, że całe życie poświęcił teleskopom, zapominając nawet o jedzeniu, tak że jego siostra Caroline musiała go karmić łyżką, podczas gdy on kontynuował obserwację. Podczas wielu lat spędzonych przed teleskopem ten najznakomitszy z osiemnastowiecznych astronomów oznaczył na mapie siedemdziesiąt tysięcy gwiazd, ale przeoczył tę, która odegrała największą rolę w dziejach ludzkości. Owej nocy na zachodniej stronie nieba pojawiło się nagle w gwiazdozbiorze Woźnicy, pomiędzy Kapellą i Menkalinanem, czerwone ciało. Przy obserwowalnej wielkości 4,5 nie było na tyle jasne, by zauważył je laik, nawet gdyby znał jego położenie, ale dla astronoma ta czerwona gwiazda była jak wielka latarnia, którą Herschel mógłby odkryć, gdyby wzorem swych kolegów z epoki przed Galileuszem patrzył na niebo gołym okiem zamiast przez okular teleskopu. Odkrycie to mogłoby zmienić bieg ludzkich dziejów dwieście lat wcześniej. Ale jego uwagę pochłaniał całkowicie teleskop mający zaledwie dwa cale średnicy i skierowany w zupełnie inną stronę, podobnie jak, niestety, teleskopy w obserwatoriach Greenwich i Hven oraz wszystkie inne na świecie…

Czerwona gwiazda w gwiazdozbiorze Woźnicy świeciła przez całą noc, ale następnej nocy zniknęła.

Tej samej nocy tego samego roku na kontynencie zwanym Ameryką Północną drogą na zachód od Bostonu wlokło się ośmiuset angielskich żołnierzy, którym czerwone mundury nadawały wygląd pochodu duchów. Ściskając muszkiety w chłodnym wiosennym wietrze, liczyli na to, że przed świtem uda im się dotrzeć do Concord, miasta odległego o dwadzieścia siedem kilometrów od Bostonu i zgodnie z rozkazem gubernatora

Massachusetts Thomasa Gage’a zniszczyć arsenał minutemenów i aresztować ich przywódców. Ale kiedy niebo poszarzało i w sączącym się z góry świetle nabrały kształtów lasy, chaty i płoty pastwisk, żołnierze rozejrzeli się i stwierdzili, że dotarli tylko do miasteczka Lexington. Z gąszczu przed nimi dobiegł nagły błysk i ciszę poranka przerwał rozdzierający uszy huk, a potem posypał się grad kul – poruszenie w łonie rodzących się Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Na rozległym kontynencie po drugiej stronie Oceanu Spokojnego już od pięciu tysięcy lat rozwijała się cywilizacja. W owym czasie w tej starożytnej krainie ludzie ciągnęli dzień i noc do stolicy królestwa, taszcząc ogromne ilości antycznych ksiąg zebranych ze wszystkich zakątków swej ziemi. Cesarski edykt o stworzeniu *Siku Quanshu* został wydany już przed dwoma laty, a księgi wciąż napływały. W ogromnej drewnianej sali Zakazanego Miasta cesarz Qianlong stale obchodził rzędy półek z pracami zgromadzonymi w celu stworzenia biblioteki, podzielonej teraz na cztery ogólne działy: teksty klasyczne, historie, mistrzowie i antologie. Zostawiwszy orszak na zewnątrz, ostrożnie wchodził do archiwum, a trzech uczonych z pawimi piórami na kapeluszach**, Dai Zhen, Yao Nai i Ji Yun, oświetlało mu drogę latarniami. To oni, a nie członkowie utytułowanych rodów, byli prawdziwymi autorami encyklopedii. Wysokie półki przesuwały się powoli obok czterech mężczyzn niczym czarne mury domów w mdłym świetle latarni. Doszli do sterty bambusowych zrazów; cesarz ujął w trzęsące się dłonie jeden z nich. W drgającym żółtym świetle miał wrażenie, jakby znalazł się na ciemnym dnie wąwozu o zboczach z książek, wąwozu w górze czasu, pod którego ścianą mówiły do niego w milczeniu niezliczone duchy z okresu pięciu tysięcy lat.

– Oto obraz przemijania***, Wasza Wysokość – wyszeptał jeden z encyklopedystów.

Niewyobrażalnie daleko w przestrzeni kosmicznej Martwa Gwiazda kontynuowała marsz ku zagładzie. Nadal pojawiały się na niej rozbłyski helu, ale mniejsze niż wcześniej, a skutkiem fuzji helu stało się nowe jądro składające się z węgla i tlenu. Potem jądro zapaliło się, wytwarzając neon, siarkę i krzem, a następnie w gwieździe pojawiła się duża liczba neutrin, widmowych cząstek, które zabierały energię z jądra, nie wchodząc w interakcje z żadną materią. Z czasem środek Martwej Gwiazdy stracił zdolność podtrzymywania jej ciężkiej skorupy i grawitacja, która dała jej nowe życie, dokonała czegoś przeciwnego. Pod jej wpływem gwiazda zapadła się w gęstą kulę, tworzące ją atomy zostały zmiażdżone wskutek działania nieprawdopodobnej siły, neutrony roztrzaskały się o inne neutrony. Teraz łyżeczka materii Martwej Gwiazdy miała masę miliarda ton. Najpierw zapadło się jądro, a potem niczym niepodtrzymywana skorupa spadła na gęsto upakowany środek, uruchamiając ostatnią reakcję jądrową.

Trwający pięćset milionów lat epos grawitacji i ognia zakończył się rozsadzającym kosmos śnieżnobiałym wybuchem i Martwa Gwiazda rozpadła się na biliony fragmentów i masę kosmicznego pyłu. Jej ogromna energia, zamieniona na strumień promieniowania elektromagnetycznego i cząstki o wysokiej energii, pędziła we wszystkie strony. Trzy lata po wybuchu ta fala energii łatwo przeszła przez obłok kurzu kosmicznego i skierowała się ku Słońcu.

Kiedy Martwa Gwiazda wybuchła, w odległości ośmiu lat świetlnych od niej rozkwitała ludzkość. Chociaż ludzie wiedzieli, że żyją na pyłku kurzu

w kosmosie, tak naprawdę nigdy nie pogodzili się z tym faktem. W tysiącleciu, które się właśnie zakończyło, ujarzmili niezwykłą moc rozszczepienia jądra i fuzji jądrowej i stworzyli maszyny wykorzystujące impulsy elektryczne w krzemie, wyobrażając sobie, że mogą podbić wszechświat. Nikt nie wiedział, że energia z Martwej Gwiazdy nieuchronnie zmierza z prędkością światła ku ich małej błękitnej planecie.

Minąwszy trzy gwiazdy Centaura, światło Martwej Gwiazdy podróżowało jeszcze przez cztery lata przez niezmierzoną pustkę przestrzeni kosmicznej, nim dotarło do obrzeży Układu Słonecznego. W tym rejonie zamieszkanym tylko przez komety bez ogonów energia Martwej Gwiazdy zetknęła się po raz pierwszy z ludzkością – ponad miliard kilometrów od Ziemi obiekt wykonany przez człowieka kontynuował samotny lot w głąb Drogi Mlecznej. Był to Voyager, sonda międzygwiezdna wystrzelona z Ziemi w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Jej ukształtowana jak dziwaczny parasol paraboliczna antena skierowana była w stronę Ziemi. Wiozła wizytówkę, płytkę ze stopu ołowiu z rysunkami dwojga nagich ludzi, dysk z pozdrowieniami sekretarza generalnego ONZ dla obcych cywilizacji, nagrania obrazów ziemskich oceanów, dźwięki głosów ptaków i tradycyjną chińską melodię *Liu shui*. Wysłany do Galaktyki ziemski emisariusz poznał smak ponurości kosmosu, gdy wszedł w światło Martwej Gwiazdy i natychmiast przemienił się w bryłę płonącego metalu. Jego antena wypaczyła się, gdy temperatura nagle skoczyła w górę od niemal zera absolutnego. Intensywne promieniowanie przeładowało licznik Geigera, który zaczął pokazywać tylko zera. Czujnik promieniowania ultrafioletowego i przyrządy mierzące pole magnetyczne zachowały sprawność i w ciągu zaledwie dwóch sekund, zanim ich obwody zostały spalone, Voyager przesłał swym ziemskim twórcom strumień niewiarygodnych danych, które z powodu uszkodzenia

anteny nigdy nie zostaną odebrane przez instrumenty o wielkiej czułości w Nevadzie i Australii. Ale nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ ludzkość będzie wkrótce sama mogła zmierzyć to, co niewiarygodne.

Promień Martwej Gwiazdy przekroczył granicę Układu Słonecznego i wzniósł obłok pary na powierzchni Plutona z niebieskiego zestalonego azotu, a potem napotkał Neptuna i Uran i zmienił ich pierścienie na krystalicznie czyste. Burza cząstek o wysokiej energii przeszła obok Saturna i Jowisza tuż po rozpoczęciu pożegnalnego przyjęcia przez pekińskie dzieci i wzbudziła fosforescencję ciekłej materii obu planet. Energia pędziła z prędkością światła jeszcze przez pół godziny i dotarła na Księżyc, rzucając oślepiające światło na Mare Imbrium i krater Kopernik. Rozświetliła ślady stóp zostawione czterdzieści lat wcześniej przez Neila Armstronga i Buzza Aldrina na oczach setek milionów telewidzów na pobliskiej błękitnej planecie, którzy w tej chwili podniecenia byli przekonani, że kosmos stoi przed nimi otworem.

Sekundę potem światło Martwej Gwiazdy zakończyło ośmioletnią podróż przez przestrzeń kosmiczną na Ziemię.

* Do gwiazd odkrytych po wydaniu tej książki w Chinach należą karły Luhman 16A i Luhman 16B (o których doniesiono w 2013 roku) oraz podkarzeł WISE 0855-0714 (o którym poinformowano w 2014 roku) [jeśli nie wskazano inaczej, przypisy są pióra autora amerykańskiego przekładu, Joela Martinsena].

** Pawie pióro było oznaką godności nadawaną wysokim dygnitarzom.

*** Cytat z *Dialogów konfucjańskich*, rozdział IX, 16 [przeł. Krystyna Czyżewska-Madejewicz, Mieczysław Jerzy Künstler, Zdzisław Tumski, Ossolineum, Warszawa 1976, s. 96].

Słońce o północy

Jest środek dnia!

To była pierwsza reakcja dzieci, kiedy odzyskały wzrok. Światło pojawiło się tak nagle, jakby ktoś włączył kosmiczny kontakt, i na chwilę je oślepiło.

Była 20.18, ale dzieci stały w palącym blasku południowego słońca. Spojrzały w górę i zaparło im dech. Niebo nie było błękitne jak zwykle w słoneczny dzień, lecz oszałamiająco niebieskoczarne, jak kolor na prześwietlonej kliszy. I wydawało się niezwykle czyste, jakby ściągnięto z niego szarobiałą skórę i ciało nieba miało zacząć za chwilę krwawić. Miasto było jaskrawo oświetlone, a na widok słońca dzieci krzyknęły z trwogi.

To nie było słońce dobrze znane ludzkości!

Światło, które wdarło się na nocne niebo, było zbyt silne, by można było patrzeć na nie wprost, ale zerkając przez palce, dzieci widziały dziwne słońce, nie okrągłe, lecz bezkształtne jak inne widzialne gwiazdy, emitujące białe światło z jakiegoś miejsca we wszechświecie, plamę, która jednak wcale nie wydawała się mała. Miała niezwykle dużą moc jasności – 51,23, prawie o rząd wielkości większą od Słońca, które od dawna świeciło nad Ziemią, i rozcapierzała się na zachodniej stronie nieba niczym oślepiający jadowity pająk.

Martwa Gwiazda ukazała się nagle i po paru sekundach osiągnęła szczyt jasności. Najpierw zobaczono ją na półkuli wschodniej i niemal natychmiast wybuchła wielka panika. Wszyscy stracili zdolność normalnego myślenia i działania; cały świat był sparaliżowany. Najwspanialej spektakl ten wyglądał na Atlantyku oraz na zachodnim wybrzeżu Europy i Afryki. Oto relacja naocznego świadka, który obserwował to zjawisko na Atlantyku:

> O świcie odkryliśmy anomalię – kiedy Słońce wzniosło się nad ocean, zza wschodniego horyzontu nadal napływało światło, białe, promieniujące z jakiegoś nieznanego źródła pod powierzchnią wody, jakby pod oceanem ukryta była olbrzymia lampa. Było coraz bardziej intensywne. Było to tak dziwne, że zaniepokoiło wszystkich na pokładzie. W radiu rozlegał się tylko szum. Ten drugi świt robił się coraz jaśniejszy, a „poranne" chmury świeciły oślepiającym światłem, jak włókna żarówek. […] Wraz z tą jasnością wzrastał nasz strach. Wszyscy wiedzieliśmy, że w pewnym momencie pojawi się źródło tego światła, ale nikt nie wiedział, co zobaczymy. W końcu, trzy godziny po świcie, zobaczyliśmy drugi wschód słońca. Najlepszy opis tego nowego słońca dał później kapitan: „To jest jak gigantyczna kosmiczna spawarka!". Z dwóch słońc na niebie bardziej przerażające było nasze stare – tak dużo ciemniejsze od nowego, że w porównaniu z nim wyglądało jak czarne! Nie wszyscy mogli znieść ten koszmar, a niektórzy tarzali się jak szaleńcy po pokładzie albo wyskakiwali za burtę.
>
> Za: Albert G. Harris, *Świadek Martwej Gwiazdy*, Londyn, 6 r. e.s.

Zanim dzieci na boisku odzyskały zmysły, w atmosferze zjonizowanej przez promieniowanie Martwej Gwiazdy pojawiły się błyskawice. Długie purpurowe łuki krzyżowały się na niebie i stawały się coraz gęściejsze, przetaczał się ogłuszający grzmot.

– Do klasy! Szybko! – krzyknęła Zheng i wszyscy popędzili z powrotem do budynku, chroniąc uszy przed hukiem gromów, które zdawały się grozić

rozłupaniem świata na dwie części.

Znalazłszy się w środku, dzieci stłoczyły się wokół wychowawczyni. Przez okna po jednej stronie klasy wpadało światło Martwej Gwiazdy, malując wyraźne prostokąty na podłodze; błyskawice widoczne przez okna po drugiej stronie wypełniały tę część pomieszczenia purpurowym blaskiem. W naelektryzowanym powietrzu z metalowych elementów ubrań dzieci sypały się z trzaskiem iskry, w końcu stanęły im włosy na głowach i poczuły mrowienie skóry, jakby z ich odzieży wyrosły kolce.

Oto zapis rozmów między rosyjską stacją kosmiczną Mir, kosmodromem Bajkonur w Kazachstanie i amerykańskim promem kosmicznym Zeus, sporządzony przez ostatnią załogę Mira przed opuszczeniem przez nią orbity.

Dowódca: D.A. Worcew

Inżynier pokładowy: B.G. Tinowicz

Inżynier mechanik: J.N. Bykowski

Inżynier środowiska: F. Lefsen

Lekarz pokładowy: Nikita Kasjanienko

Załoga: Joe La Mure, badacz zajmujący się fizyką ciała stałego; Aleksandr Andriew, astrofizyk

Komunikacja na falach radiowych:

10.20:10, Mir: Don wzywa Bajkonur! Don wzywa Bajkonur! Baza, odbiór. Baza, odbiór.

(Brak odpowiedzi. Szum).

10.21:30, baza: Tu baza w Bajkonurze! Bajkonur wzywa Don. Proszę, odpowiedz.

(Brak odpowiedzi. Szum).

Komunikacja w podczerwieni:

10.23:20, Mir: Baza, tu Mir. Interferencje w systemie głównym są zbyt duże, więc rozpoczęliśmy komunikację zapasową. Proszę odpowiedzieć.

10.23:25, baza: Słyszymy was, ale sygnał nie jest stabilny.

10.23:28, Mir: Mamy kłopoty z ustawieniem kierunku aparatury nadawczo-odbiorczej. Z powodu promieniowania wysiadły czipy obwodu sterowania kierunkowością, więc przeszliśmy na manualne sterowanie optyczne.

10.23:37, baza: Zamocujcie aparaturę nadawczo-odbiorczą. Przejmiemy kontrolę.

10.23:42, Mir: Gotowe.

10.23:43, baza: Sygnał normalny!

10.23:46, Mir: Baza, możecie nam powiedzieć, co się stało? Jak powinniśmy nazwać tę rzecz, która znienacka się pokazała?

10.23:46, baza: Wiemy tyle samo co wy. Jeśli chcecie, nazwijcie to „Gwiazdą X”. Prześlijcie nam dane, które uzyskaliście.

10.24:01, Mir: Prześlemy dane obserwacyjne od godziny 10.00 uzyskane ze zintegrowanego radiometru, instrumentów pomiarowych promieniowania ultrafioletowego i gamma, miernika grawitacji, magnetometru, licznika Geigera, miernika wiatru słonecznego i detektora neutrin oraz sto trzydzieści sześć zdjęć zrobionych w zakresie widma widzialnego i w podczerwieni. Przygotujcie się do odbioru.

10.24:30, Mir: *(Przekaz danych).*

10.25:00, Mir: Nasz teleskop kosmiczny śledzi Gwiazdę X od pierwszej chwili. Z uwagi na jego czułość nie możemy określić jej średnicy kątowej, nie stwierdziliśmy też żadnej wyraźnej paralaksy. Doktor Andriew uważa, że wraz z otrzymanym przez nas pomiarem jej energii oznacza to, iż Gwiazda X jest poza Układem Słonecznym. Oczywiście to tylko hipoteza. Dane są niewystarczające i wiele mogą tu zrobić obserwatoria naziemne.

10.25:30, baza: A co zobaczyliście na Ziemi?

10.25:36, Mir: W rejonie równikowym powstał potężny huragan, który, jak sądzimy na podstawie obserwacji zmian w chmurach nad równikiem, przemieszcza się na zachód z szacunkową prędkością sześćdziesięciu metrów na sekundę. Może to skutek nierównego napływu na Ziemię ciepła z Gwiazdy X. Aha, zaobserwowaliśmy też dużą ilość promieniowania ultrafioletowego i niebieskich rozbłysków, prawdopodobnie błyskawic,

w rejonach biegunów, które obecnie rozszerzają się na niskie szerokości geograficzne.

10.26:50, baza: A jak wygląda wasza sytuacja?

10.27:05, Mir: Niedobrze. Pokładowy komputer kontroli lotu został całkowicie usmażony przez fale wysokiej energii, układy zapasowe też. Ich ołowiowa osłona nie działa. Monokrystaliczne krzemowe baterie słoneczne są spalone, a akumulatory chemiczne poważnie uszkodzone. Musimy teraz polegać wyłącznie na znajdujących się w kabinie akumulatorach izotopowych, które mają zbyt słabą moc, musieliśmy więc wyłączyć system podtrzymania życia w kabinie głównej. System podtrzymania życia w kabinie mieszkalnej nie funkcjonuje normalnie. Niedługo będziemy musieli włożyć skafandry kosmiczne.

10.28:20, baza: Uważamy, że w obecnej sytuacji pozostawanie na orbicie jest niewskazane, ale z powodu uszkodzenia systemów niemożliwe byłoby miękkie lądowanie. Amerykański prom kosmiczny Zeus jest na niskiej orbicie 3340. Był w cieniu Ziemi, wskutek czego doznał tylko lekkich uszkodzeń i nadal może wrócić do domu. Nawiązaliśmy z nimi kontakt i Amerykanie postanowili wywiązać się z postanowień traktatu o przestrzeni kosmicznej dotyczących ratowania astronautów i wziąć was na pokład. Zaraz podamy parametry redukcji prędkości i pracy silników…

10.30:33, Mir: Baza, chce z wami porozmawiać lekarz pokładowy.

10.30:40, Mir: Tu lekarz pokładowy. Uważam, że przejście na prom nie ma sensu. Anulujcie to.

10.30:46, baza: Prosimy o wyjaśnienie.

10.30:48, Mir: Wszyscy astronauci w naszej stacji otrzymali śmiertelną dawkę promieniowania 5100 radów. Zostało nam tylko kilka godzin życia, więc nawet gdybyśmy powrócili na Ziemię, rezultat byłby taki sam.

10.31:22, baza: (Milczenie).

10.31:57, Mir: Tu dowódca stacji. Proszę nam pozwolić pozostać na Mirze. Ta stacja jest najdalej wysuniętą placówką ludzkości zdolną do obserwowania Gwiazdy X. W ostatnich godzinach życia wypełnimy do końca nasze obowiązki. Będziemy pierwszymi astronautami, którzy umrą w przestrzeni kosmicznej; jeśli w przyszłości pojawi się taka możliwość, proszę odesłać nasze szczątki do naszych krajów.

Za: Władimir Koniew, *Historia rosyjskiego programu kosmicznego w erze powszechnej*, t. V, Moskwa, 17 r. e.s.

Martwa Gwiazda rozświetlała kosmos przez godzinę i dwadzieścia pięć minut, po czym nagle znikła. Dopiero wtedy sieć radioteleskopów mogła odkryć jej pozostałości – szybko obracającą się gwiazdę neutronową, która wysyłała wyraźnie wyodrębniony impuls elektromagnetyczny.

Z twarzami przyklejonymi do szyb dzieci oglądały zachód słońca, którego nie było, jako niebieskoczarną noc zapadającą nad miastem tego osobliwego wieczoru. Światło Martwej Gwiazdy przygasło i przeszło w światło zmierzchu, które zajmowało pół nieba, po czym szybko skurczyło się do małego koła, zmieniając kolor na biały. Większość nieba była teraz ciemna, dzięki czemu stały się widoczne rozproszone gwiazdy. Halo wokół Martwej Gwiazdy nadal się kurczyło i w końcu zniknęło – w miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się oślepiające źródło światła, był teraz tylko punkt. Gdy na nocne niebo powrócił normalny kolor, była to najjaśniejsza z gwiazd, ale stale ciemniała, aż stała się tylko jedną z wielu w Galaktyce, a po pięciu minutach całkowicie zniknęła w głębi kosmosu.

Po zniknięciu światła dzieci wybiegły z klasy i znalazły się w fosforyzującym świecie. Wszystko pod nocnym niebem, drzewa, budynki, ziemia, mieniło się niebieskozielono, jakby zostało przemienione w przezroczysty jadeit, a jakieś zielone, znajdujące się pod ziemią źródło światła zalewało wszystko niby-księżycową poświatą. Na niebie wisiały prześwietlone zielenią chmury, a powietrze przecinały niczym świetliste duszki stada spłoszonych ptaków. Najbardziej przerażające było dla dzieci to, że one też fosforyzowały, jak obrazy na negatywach filmowych albo grupy zjaw.

– Tak jak powiedziałem – rzekł Okularnik. – Wszystko się może zdarzyć.

W klasie, podobnie jak w całym mieście, znowu zapaliły się światła i dzieci uświadomiły sobie, że wcześniej była awaria zasilania. W blasku elektryczności fosforyzujące lśnienie przygasło i dzieci początkowo myślały, że świat wrócił do normalności. Jednak wkrótce przeżyły kolejny szok, bo ten epizod bynajmniej się nie skończył.

Na północnym wschodzie pojawiło się czerwone światło i niebawem chmury w tej części nieba rozjarzyły się ciemnoczerwono, jakby zwiastowały brzask dnia.

– Tym razem naprawdę świta!

– Idiota! Nie ma jeszcze nawet jedenastej!

Czerwone chmury zasnuły pół nieba i w tym momencie dzieci zdały sobie sprawę, że świecą one własnym światłem. Gdy znalazły się nad ich głowami, okazało się, że składają się z wielkich wstęg światła, które wyglądały jak zwisające z nieba i wolno obracające się czerwone draperie.

– To zorza polarna! – krzyknął ktoś.

Zorza pokryła wkrótce całe niebo i przez następny tydzień na niebie nad całym światem tańczyły czerwone wstęgi światła.

Gdy po tygodniu zorze zniknęły na dobre i powróciły mrugające gwiazdy, nastąpił ostatni, wspaniały akord symfonii supernowej – w miejscu, gdzie zaledwie przed kilkoma dniami widziano Martwą Gwiazdę, pojawiła się lśniąca mgławica. Obłok pyłu pozostały po wybuchu został tak rozgrzany falą szczątków Martwej Gwiazdy, że zaczął emitować promieniowanie w zakresie widzialnym dla ludzkiego oka. Mgławica rosła, aż osiągnęła wielkość dwóch księżyców w pełni. Ciało to, nazwane później z powodu swego kształtu „Różaną Mgławicą”, wysyłało dziwne, ostre, niebieskie

światło, które oświetlało każdy szczegół na Ziemi jak księżyc podczas pełni, przyćmiewając światła miast.

W świetle Różanej Mgławicy miały się odtąd toczyć ludzkie dzieje, dopóki nie wymrą lub się nie odrodzą spadkobiercy dinozaurów panujących niegdyś na Ziemi.

2. Selekcja

Świat w dolinie

Pojawienie się Martwej Gwiazdy było niewątpliwie ważnym wydarzeniem w historii ludzkości. Najstarszym świadectwem obserwacji supernowej była inskrypcja na kości wyroczni z 1300 roku przed erą powszechną, najnowszym zapis z 1987 roku dotyczący supernowej leżącej poza Galaktyką, po stronie Obłoku Magellana, z grubsza około stu siedemdziesięciu tysięcy lat świetlnych od Ziemi. W terminach astronomicznych nazywanie tej ostatniej „sąsiednią” było nieprecyzyjne, ponieważ praktycznie znajdowała się tuż nad nami.

Mimo to świat fascynował się tym ciałem niebieskim zaledwie dwa tygodnie. Nauka zaczęła dopiero badać to zjawisko, filozofia i sztuka były dalekie od osiągnięcia masy krytycznej inspiracji, natomiast zwykli ludzie niebawem wrócili do swoich normalnych, codziennych zajęć. Ich zainteresowanie supernową ograniczało się do sporadycznego zastanawiania się, jak bardzo jeszcze widniejąca na niebie Różana Mgławica może urosnąć i jak może się zmienić jej kształt, ale i tym rozważaniom nie poświęcano zbyt wiele uwagi.

Dwa najważniejsze dla ludzkości odkrycia przeszły właściwie niezauważone.

W opuszczonej kopalni w Ameryce Południowej znajdowała się ogromna cysterna z ponad dziesięcioma tysiącami ton nieruchomej wody, monitorowanej dzień i noc przez wiele precyzyjnych czujników. Obiekt ten

stworzono w ramach poszukiwania neutrin. Spodziewano się, że po przejściu przez pięćset metrów skały cząstki te wywołałyby w wodzie słabiutkie błyski wykrywalne tylko przez najczulsze instrumenty. Tego dnia dyżur w kopalni mieli fizyk Anderson i inżynier Nord. Znudzony jak mops Nord liczył plamy wody lśniące w mdłym świetle lamp osadzonych w skalnych ścianach i oddychając wilgotnym piwnicznym powietrzem, wyobrażał sobie, że spoczywa w grobie. W końcu wyjął z szuflady butelkę whisky, a Anderson wyciągnął ku niemu szklankę. Dawniej fizyk nie tolerował picia na dyżurze i kiedyś wyrzucił za to z pracy pewnego inżyniera, ale teraz nie dbał już o to. Podczas pięciu lat spędzonych przez nich pół kilometra pod ziemią nie pojawił się ani jeden błysk, więc stracili wiarę, że kiedykolwiek to zobaczą. Ale oto nagle odezwał się brzęczyk sygnalizujący pojawienie się błysku i po pięciu latach czekania jego dźwięk zabrzmiał w ich uszach jak niebiańska muzyka. Butelka whisky spadła na ziemię i roztrzaskała się, gdy obaj rzucili się do monitora. Jego ekran był zupełnie czarny. Gapili się na niego w osłupieniu przez kilka sekund, po czym inżynier otrząsnął się i wybiegł z dyżurki. Zatrzymał się przy bocznej ścianie cysterny, która przypominała wysoki budynek bez okien. Kiedy spojrzał przez mały iluminator, zobaczył w wodzie na własne oczy widmową niebieską iskrę. Miała tak dużą energię, że przeciążyła wrażliwe instrumenty pomiarowe, wskutek czego na monitorze nic się nie pokazało. Obaj mężczyźni wrócili do dyżurki, gdzie Anderson pochylił się nad innym instrumentem, by dokładniej zbadać, co się stało.

– Neutrina? – zapytał inżynier.

Anderson potrząsnął głową.

– Ta cząstka ma oczywistą masę.

– W żaden sposób nie mogłaby tu się znaleźć. Zatrzymałaby się po zetknięciu się ze skałą.

– Zetknęła się z nią. Odkryliśmy jej promieniowanie wtórne.

– Oszalałeś? – krzyknął Nord do Andersona. – Jaką musiałaby mieć energię, by wytworzyć promieniowanie wtórne przenikające przez pięćset metrów skały?

Hematolog Grant przyszedł do laboratorium Centrum Medycznego Uniwersytetu Stanforda, by odebrać wyniki badania dwustu próbek, które dostarczył poprzedniego dnia. Kierownik laboratorium, wręczając mu plik formularzy, powiedział:

– Nie wiedziałem, że masz tyle łóżek.

– O co ci chodzi?

Kierownik laboratorium wskazał formularze.

– Gdzie znalazłeś tych wszystkich biedaków? W Czarnobylu?

Grant przejrzał kilka stron i wpadł we wściekłość.

– Ty fajtłapo! Chcesz wylecieć z roboty? To były zebrane dla badań statystycznych próbki od normalnych osób! Wszystkie!

Tamten patrzył na niego przez chwilę. W jego oczach widać było strach. Potem chwycił lekarza za ramię i z powrotem wciągnął go do laboratorium.

– Co robisz, imbecylu?

– Pobierz od siebie krew! Ja wezmę próbkę od siebie. Wy też! – krzyknął do laborantów. – Pobierzcie od siebie krew. Wszyscy!

Miesiąc po pojawieniu się supernowej, dwa dni przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego po letnich wakacjach, w połowie zebrania nauczycielskiego zawołano dyrektora do telefonu. Wrócił z poważną miną,

skinął na Zheng Chen i ku zdumieniu pozostałych nauczycieli oboje wyszli z salki konferencyjnej.

– Xiao Zheng – powiedział dyrektor – niech pani natychmiast zbierze swoją klasę.

– Dlaczego? Jeszcze nawet nie zaczął się rok szkolny.

– Mam na myśli klasę, która ukończyła naukę w ubiegłym roku.

– To jest jeszcze trudniejsze. Poszli do pięciu różnych gimnazjów i nie wiem nawet, czy już rozpoczęli naukę. A poza tym co nas jeszcze z nimi łączy?

– Pomoże pani biuro meldunkowe. Dzwonił osobiście szef edukacji.

– Czy kurator Feng powiedział, co mam z nimi zrobić, kiedy ich zbiorę?

Zdawszy sobie sprawę, że Zheng Chen nie w pełni go zrozumiała, dyrektor dodał:

– Nie szef kuratorium. Szef Ministerstwa Edukacji!

Zebranie ostatniej klasy z ubiegłego roku nie było wcale takie trudne, jak wyobrażała sobie Zheng Chen, i niebawem czterdzieścioro troje uczniów, otrzymawszy po pojawieniu się w gimnazjach wezwanie do pilnego stawienia się w niedawno ukończonej szkole podstawowej, zjawiło się tam ponownie. Bardzo się ucieszyli z nieoczekiwanego spotkania; narzekali, że w gimnazjum jest strasznie nudno, i mówili, że woleliby zostać w podstawówce.

Czekali z Zheng Chen w swojej dawnej klasie przez około pół godziny, nie wiedząc, co będzie dalej. W końcu przed szkołą zatrzymał się autobus i dwa samochody, z których wysiadły trzy osoby. Dyrektor przedstawił ich szefa jako Zhang Lina i powiedział, że są z Centralnej Komisji Nadzwyczajnej.

– Komisji Nadzwyczajnej? – powiedziała Zheng Chen.

– To nowo utworzona instytucja – odparł Zhang Lin, nie wyjaśniając, czym się zajmuje. – Uczniowie z pani klasy znajdą się na pewien czas z dala od swoich rodzin. Bierzemy na siebie obowiązek powiadomienia o tym ich opiekunów. Bardzo dobrze zna pani tę klasę, więc pojedzie pani z nami. Niczego nie musicie ze sobą zabierać. Zaraz wyjeżdżamy.

– Po co ten pośpiech? – zapytała ze zdziwieniem Zheng Chen.

– Liczy się czas.

Autobus z czterdziestoma trzema uczniami wyjechał z miasta i skierował się na zachód. Zheng Chen siedziała obok Zhang Lina, który po zajęciu miejsca sprawdził listę obecności, a później patrzył prosto przed siebie i nie powiedział już ani słowa. Pozostali dwaj zachowywali się tak samo. Zheng Chen zauważyła, że mają poważne miny, ale było jej niezręcznie poruszać ten temat. Ta atmosfera udzieliła się dzieciom, które przez całą drogę niewiele się odzywały. Minęli Pałac Letni i jechali dalej w kierunku Zachodnich Wzgórz, a potem leśną drogą w głąb gór i w końcu dotarli do dużego ogrodzonego kompleksu. Bramy wjazdowej strzegło trzech uzbrojonych strażników. W środku kompleksu był identyczny autobus jak ten, którym przyjechali, a obok stała grupa dzieci, które właśnie z niego wysiadły. Wyglądało na to, że są mniej więcej w takim samym wieku jak one.

Zaledwie Zheng Chen wyszła, usłyszała, że ktoś woła ją po nazwisku. Był to nauczyciel z Szanghaju, którego poznała kiedyś na konferencji. Popatrzyła na jego podopiecznych – najwyraźniej oni też byli ubiegłorocznymi absolwentami szkoły podstawowej.

– To moja klasa – powiedział.

– Przyjechaliście z Szanghaju?

– Tak. Powiadomiono nas wczoraj późnym wieczorem i przez całą noc wydzwanialiśmy do domów wszystkich uczniów, żeby ich ponownie zebrać.

– Wczoraj wieczorem? Jakim cudem dostaliście się tutaj tak szybko? Nawet podróż samolotem zajęłaby więcej czasu.

– Lotem czarterowym.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem nauczyciel z Szanghaju powiedział:

– Nic więcej nie wiem.

– Ani ja – rzekła Zheng Chen.

Pamiętała, że kolega z Szanghaju był wychowawcą pilotażowej klasy z wprowadzonego przez Ministerstwo Edukacji programu formowania charakteru. Przed czterema laty ministerstwo rozpoczęło eksperyment edukacyjny na dużą skalę, projekt Gwiazda, do udziału w którym wybrano klasy ze szkół podstawowych z dużych miast w całym kraju. Przyjęte w nich metody kształcenia bardzo się różniły od tradycyjnych, a ich celem było przede wszystkim rozwijanie ogólnych umiejętności dzieci. Zheng Chen była wychowawczynią jednej z tych klas.

Rozejrzała się wokół siebie.

– Wydaje się, że wszystkie te dzieciaki są z programu Gwiazda – stwierdziła.

– Zgadza się. W sumie dwadzieścia cztery klasy. Około tysiąca dzieci z pięciu miast.

Po południu personel zebrał więcej informacji o klasach i sporządził dokładny dziennik dla każdego ucznia. Na wieczór nie zaplanowano żadnych zajęć, więc dzieci dzwoniły do domów i mówiły rodzinom, że są na letnim obozie, chociaż lato już się skończyło.

Następnego dnia wczesnym rankiem znowu wsiadły do autobusów i powieziono je dalej. Po czterdziestominutowej jeździe dotarli do doliny otoczonej wzgórzami o łagodnych zboczach. Z nadejściem jesieni wzgórza miały zapłonąć czerwienią, ale na razie były jeszcze zielone. Dnem doliny płynął strumień, na tyle płytki, że można było przez niego przejść, podwijając nogawki spodni. Dzieci wysiadły z autobusów i zebrały się w dużej, tysiącosobowej grupie na otwartym terenie obok drogi. Jeden z szefów tego przedsięwzięcia wszedł na głaz i przemówił:

– Dzieci, przybyłyście tutaj z całego kraju. Powiem wam teraz, w jakim przywieziono was celu: Zagramy w wielką grę!

Widać było, że człowiek ten nie miał częstych kontaktów z dziećmi. Miał surową minę, w jego zachowaniu nie było nic, co by świadczyło, że jest w nastroju do zabawy, ale jego słowa i tak wywołały wśród dzieci szmer podniecenia.

– Popatrzcie – powiedział, wskazując na dolinę. – Oto gdzie będziemy grać. Każda z klas otrzyma kawałek ziemi o wielkości od trzech do czterech kilometrów kwadratowych. To nie jest mało! Każda klasa będzie korzystała z przydzielonej jej ziemi i – słuchajcie uważnie! – każda utworzy małe państwo.

Ostatnie zdanie przykuło uwagę dzieci. Na mówcy skupiło się tysiąc par oczu.

– Gra potrwa piętnaście dni. Przez ten czas będziecie żyli z tego, co znajdziecie na swoim terytorium.

Dzieci zaczęły wiwatować.

– Uciszcie się i słuchajcie dalej. Na tych dwudziestu czterech terytoriach zgromadzono wszystkie artykuły pierwszej potrzeby, takie jak namioty, łóżka polowe, opał, jedzenie i woda pitna, ale nie rozdzielono ich równo. Na przykład na jednym terytorium może być więcej namiotów, ale mniej

jedzenia, na innym odwrotnie. Ale jednego bądźcie pewni: całkowita ilość zapasów na tych terytoriach nie wystarczy na tyle dni. Będziecie mieli dwie możliwości uzupełnienia zaopatrzenia. Po pierwsze, handel. Możecie wymieniać swoje nadwyżki na rzeczy, których wam zabraknie. Ale i tak żaden z waszych małych krajów nie zdoła przetrwać przez pełne piętnaście dni, bo całkowita ilość każdego z tych niezbędnych artykułów nie jest wystarczająca. Oznacza to, po drugie, zajęcie się produkcją. To główny obowiązek i naczelne zadanie każdego z waszych krajów. Produkcja to usunięcie zielsk i krzewów z nieuprawianej dotąd ziemi, a następnie zasianie nasion i podlewanie ich na oczyszczonym terenie. Oczywiście nie będziecie mogli czekać na wykiełkowanie zbóż, ale w zależności od tego, ile ziemi zdołacie przygotować pod uprawy, ile nasion uda się wam zasiać i podlać, dyrekcja gry dostarczy wam odpowiednią ilość żywności. Te dwadzieścia cztery kraje położone są nad tym strumieniem, który będzie dla was źródłem wody. Będziecie jej używać do nawadniania waszej ziemi uprawnej. Wybierzecie przywódców waszych krajów, trzech w każdym. Wspólnie utworzą oni najwyższą władzę decyzyjną. Ustanowicie swoje organa administracyjne i będziecie podejmować wszystkie decyzje w sprawach waszych państw: planów rozwoju, polityki zagranicznej i tak dalej. Nie będziemy się do tego wtrącać. Obywatele mają swobodę przemieszczania; każdy może sobie wybrać kraj, który mu najbardziej odpowiada. Teraz rozdzielimy między was ziemię. Najpierw wybierzcie nazwę dla swojego kraju i zgłoście ją dyrekcji gry. Reszta zależy od was. Powiem wam tylko, że w tej grze obowiązuje bardzo mało reguł. Losy i przyszłość waszych krajów są w waszych rękach. Mam nadzieję, że dołożycie wszelkich starań, by wasze małe państwa rozkwitały i rosły w siłę!

Była to najwspanialsza gra, o jakiej kiedykolwiek słyszały dzieci, więc pobiegły podekscytowane na swoje terytoria.

Klasa Zheng Chen podążyła za Zhang Linem na przydzieloną jej ziemię, obszar otoczony białym płotem biegnącym przez teren nad strumieniem i zbocze wzgórza, z namiotami i różnymi artykułami porządnie ułożonymi na styku tych dwóch miejsc. Dzieci zaczęły tam przeglądać zaopatrzenie i wtedy Zheng Chen usłyszała okrzyki zaskoczenia. Pospieszyła ku nim, przedarła się przez krąg stłoczonych wokół wyposażenia wychowanków i to, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie.

Na kwadratowym płacie zielonego brezentu leżał rząd pistoletów maszynowych.

Chociaż nie znała się na broni, była pewna, że nie są to zabawki. Schyliła się, podniosła jeden z pistoletów, poczuła jego wagę i zapach smaru do broni, zobaczyła zimny, niebieskawy połysk stalowej lufy. Obok stały trzy zielone metalowe skrzynki; któryś z uczniów otworzył jedną z nich i ich oczom ukazały się złociste naboje.

– Te pistolety są prawdziwe, wujku? – jedno z dzieci zapytało Zhang Lina, który akurat nadszedł.

– Oczywiście. To najnowszy model używany w naszej armii. Są małe i lekkie, a dzięki składanej kolbie są dobrze dostosowane do używania przez dzieci.

Chłopcy podnosili broń, piejąc z zachwytu, ale Zheng Chen krzyknęła ostro:

– Zostawcie to! Niech nikt się nie waży dotykać tych rzeczy. – Potem zwróciła się do Zhang Lina: – Co to ma znaczyć?

– Przecież broń jest jedną z rzeczy niezbędnych w każdym kraju – odparł lekkim tonem.

– Powiedział pan, że jest dobrze dostosowana do… używania przez dzieci?

– Och, nie musi się pani martwić – rzekł z chichotem i wyjął ze skrzynki z amunicją taśmę nabojów. – Te pociski nie są śmiercionośne. To tylko dwa małe zwoje drucików przymocowane do kawałka plastiku, tak lekkie, że po wystrzeleniu szybko tracą prędkość i nie powodują żadnych ran. Ale te zwoje drucików mają silny ładunek statyczny i po uderzeniu w cel wyzwalają dziesiątki tysięcy woltów, co wystarczy, by trafiona osoba upadła i na chwilę straciła przytomność. Prąd jest tak słaby, że szybko dojdzie ona do siebie i nie odniesie żadnych trwałych obrażeń.

– Porażenie prądem nie spowoduje żadnych obrażeń?

– Ta amunicja została początkowo zaprojektowana dla potrzeb policji i została poddana wielu próbom prowadzonym na zwierzętach i ludziach. Policja na Zachodzie została w nią wyposażona w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku i podczas jej wielokrotnego użycia nie było żadnych ofiar.

– A jeśli pocisk uderzy w oko?

– Są okulary ochronne.

– A jeśli trafiona osoba spadnie z wysoka?

– Właśnie z tego powodu wybraliśmy teren względnie płaski… Oczywiście muszę przyznać, że nie można zagwarantować absolutnego bezpieczeństwa, ale ryzyko doznania obrażeń będzie minimalne.

– Naprawdę zamierzacie dać tę broń dzieciom i pozwolić im jej użyć przeciwko innym dzieciom?

Zhang Lin kiwnął głową.

Zheng Chen zbladła.

– Nie mogą użyć zabawkowych pistoletów?

Potrząsnął głową.

– Wojna jest nieodłączną częścią historii każdego kraju. Musimy stworzyć jak najbardziej realną atmosferę, by uzyskać wiarygodne wyniki.

– Wyniki? Jakie wyniki? – Patrzyła na niego ze strachem w oczach, jakby był potworem. – O co naprawdę wam chodzi?

– Proszę się uspokoić, pani Zheng. I tak już bardzo się powściągamy. Wiarygodne źródła wywiadowcze donoszą, że niektóre państwa pozwalają dzieciom używać prawdziwej amunicji.

– Inne państwa? Cały świat gra w tę grę?

Rozejrzała się z roztargnieniem, jakby chciała się upewnić, że nie śni. Potem z wyraźnym trudem uspokoiła się, przygładziła włosy i powiedziała:

– Proszę odesłać mnie i dzieci do domu.

– Obawiam się, że to niemożliwe. W tym rejonie obowiązuje teraz stan wojenny. Mówiłem już pani, że to niezwykle ważne zadanie…

Znowu straciła panowanie nad sobą.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie pozwolę wam na to. Jestem nauczycielką. Znam swoją powinność i mam sumienie.

– My mamy takie samo sumienie i jeszcze większą powinność. I właśnie te dwie rzeczy zmuszają nas do takiego działania. – Obrócił się do niej ze szczerością wypisaną na twarzy. – Proszę nam zaufać.

– Odeślijcie dzieci do domu! – krzyknęła.

– Proszę nam zaufać.

Spokojny głos z tyłu zabrzmiał znajomo, chociaż nie potrafiła powiązać go z żadną osobą. Wstrząśnięte dzieci gapiły się w miejsce za jej plecami, więc się odwróciła i zobaczyła spory tłum ludzi, którzy – gdy objęła ich wszystkich spojrzeniem – tylko zwiększyli jej poczucie nierzeczywistości. Paradoksalnie to znowu ją uspokoiło. Zidentyfikowała kilka osób stojących z tyłu jako ważnych dygnitarzy państwowych, którzy często pojawiali się w telewizji, ale pierwsze dwie, które rozpoznała, stały wprost przed nią.

Prezydent i premier.

– To jest jak koszmarny sen, prawda? – zapytał łagodnie prezydent.

Kiwnęła głową, nie mogąc wymówić ani słowa.

– To nic niezwykłego – rzekł premier. – Na początku my też się tak czuliśmy. Ale szybko się z tym oswoiliśmy.

– Wasze zadanie jest bardzo ważne i będzie miało wpływ na los naszego kraju i narodu – powiedział prezydent. – Później wszystko wyjaśnimy, a na razie, towarzyszko nauczycielko, możecie czuć dumę z tego, co zrobiliście i robicie.

Jego słowa nieco ją uspokoiły.

Kiedy cała grupa ruszyła w stronę sąsiedniego terytorium, premier cofnął się o krok i dodał:

– Na razie musicie zrozumieć tylko tyle: świat nie jest już taki, jaki był.

– Wybierzmy nazwę naszego państwa – powiedział Okularnik.

Znad szczytów wzgórz wyzierało poranne słońce, malując dolinę na złoto.

– Nazwijmy je Krajem Słońca – rzekł Huahua i po jednogłośnym przyjęciu jego propozycji dodał: – Musimy namalować flagę.

Tak więc dzieci wyszukały wśród zaopatrzenia kawałek białego płótna, a Huahua wyjął ze swojego tornistra gruby pisak i narysował nim koło na płótnie.

– To słońce – powiedział. – Ma ktoś czerwony pisak, żebyśmy mogli zamalować środek?

– Czy to nie będzie flaga japońska? – zapytał ktoś.

Xiaomeng wzięła pisak od Huahui i narysowała na słońcu duże oczy i uśmiechnięte usta, po czym dodała rozchodzące się linie, które

przedstawiały promienie. Wszyscy zaaprobowali tę flagę. W erze supernowej tę niezdarnie narysowaną flagę przechowywano w Narodowym Muzeum Historii jako bezcenny zabytek.

– A hymn państwowy?

– Wykorzystajmy pieśń młodych pionierów.

Gdy nad wzgórzami ukazało się całe słońce, dzieci urządziły w środku swego kraju ceremonię podniesienia flagi.

Po uroczystości Zhang Lin zapytał Huahuę:

– Dlaczego najpierw pomyślałeś o ustanowieniu flagi i hymnu?

– Kraj potrzebuje ich jako… symbolu. Musimy widzieć kraj, by zachować spójność.

Zhang Lin zapisał coś w notesie.

– Zrobiliśmy coś złego? – zapytał chłopiec.

– Jak już powiedziałem, to wy będziecie podejmować wszystkie decyzje. Będziecie robić to, co uznacie za stosowne. Moim obowiązkiem jest obserwować, ale nigdy nie mogę się do niczego wtrącać. – Potem zwrócił się do Zheng Chen: – Tak samo pani.

Następnie dzieci wybrały w sprawnie przebiegającym procesie Huahuę, Okularnika i Xiaomeng na przywódców swego kraju. Huahua polecił Lü Gangowi utworzyć wojsko, do którego wstąpiło wszystkich dwudziestu pięciu chłopców z klasy; dwudziestu z nich otrzymało pistolety maszynowe, a pozostałym pięciu, wściekłym, że nie dostali żadnej broni, Lü Gang oznajmił na pocieszenie, że przez następne kilka dni pistolety będą przekazywane rotacyjnie. Xiaomeng mianowała Lin Shę ministrem zdrowia i powierzyła jej pieczę nad wszystkimi medykamentami z zapasów

oraz wszystkimi ewentualnymi pacjentami. Potem zdecydowano, że inne instytucje państwowe będą ustanawiane w miarę potrzeby.

Następnie zaczęli się osiedlać na przydzielonym im terytorium. Oczyścili z zarośli kawałek terenu i zabrali się do ustawiania namiotów, ale kiedy kilkoro z nich weszło do pierwszego, który zdołali rozbić, zawalił się im na głowy i z trudem się wydobyli ze splątanych linek i brezentu. Ale podobało im się to. Do południa postawili kilka namiotów i wnieśli do nich łóżka polowe, tak więc w zasadzie rozwiązali kwestię zakwaterowania.

Zanim przystąpili do robienia obiadu, Xiaomeng zasugerowała, że powinni sporządzić spis całej żywności i wody, i przedstawiła szczegółowy plan codziennego spożycia: przez dwa pierwsze dni mieli oszczędzać pożywienie, bo kiedy zacznie się karczowanie terenu, zwiększy się ich nakład pracy i będą musieli jeść więcej. Będą też musieli pamiętać, że jeśli zaczną się kłopoty z uprawami, nastąpią opóźnienia w dostawach żywności z dyrekcji. Wszyscy nabrali takiego zapału, że natychmiast chcieli wziąć się do kopania ziemi, ale Xiaomeng cierpliwie wyjaśniła im sytuację.

Zhang Lin stał spokojnie z boku, obserwował to wszystko i robił kolejne notatki.

Po obiedzie dzieci odwiedziły sąsiadów, by wymienić kilka zbędnych namiotów i narzędzi na żywność, której miały ograniczony zapas, i rozejrzeć się po otoczeniu. W górę strumienia od nich leżała Republika Galaktyczna, w dole Kraj Olbrzymów. Naprzeciwko znajdował się Emailand, graniczący w górze strumienia z Krainą Gąsienic, a w dole z Ziemią Niebieskich Kwiatów. Oczywiście dwa ostatnie państwa wzięły nazwy od miejscowej fauny i flory. W dolinie było jeszcze osiemnaście innych mikropaństw, ale położone były tak daleko, że obywatele Kraju Słońca niezbyt się nimi interesowali.

Następny dzień i dwa wieczory były złotym wiekiem doliny. Dzieci przepełniał entuzjazm dla nowego życia. Drugiego dnia wszystkie kraje zaczęły oczyszczać za pomocą prostych narzędzi – łopat i motyk – ziemię na zboczu wzgórza i nosić w plastikowych wiadrach wodę ze strumienia do nawodnienia gleby. Wieczorami wzdłuż strumienia płonęły ogniska, a dolina rozbrzmiewała echem piosenek i śmiechu. Był to naprawdę sielski, baśniowy świat.

Ale wkrótce, gdy do doliny powróciła szara rzeczywistość, atmosfera baśni się ulotniła. Gdy nowość spowszedniała, spadło tempo oczyszczania ziemi pod uprawy. Wszyscy wracali z pracy wyczerpani i po wejściu do namiotów od razu padali na łóżka. Nie było już widać ognisk i nie słyszało się śpiewów. Panowała cisza.

Coraz wyraźniejsza stawała się różnica między zasobami poszczególnych krajów. Chociaż nie były od siebie zbyt odległe, niektóre z nich posiadały łatwą do uprawy, żyzną, miękką glebę, natomiast inne leżały na skalistej ziemi, z której nawet ogromnym wysiłkiem niewiele dawało się uzyskać. Kraj Słońca należał do najbardziej jałowych, ale jeszcze gorsze od słabej jakości gleby było to, że brzeg strumienia był tam niewiarygodnie szeroki. Dyrekcja zastrzegła, że płaski obszar zalewowy można wykorzystać tylko jako teren mieszkalny, natomiast rolę trzeba uprawiać jedynie na zboczu wzgórza. Upraw założonych na obszarach zalewowych nie wolno było brać pod uwagę przy szacowaniu prac. W niektórych krajach zbocze schodziło tak blisko strumienia, że ich mieszkańcy mogli stanąć sznurem i podawać sobie kubły z wodą do podlewania zasiewów z rąk do rąk, co oszczędzało wiele trudu. Natomiast w przypadku Kraju Słońca zbocze dzieliła od strumienia tak duża odległość, iż każdy jego obywatel musiał nosić wiadra sam, bardzo się przy tym męcząc.

Wtedy Okularnik przedstawił propozycję budowy na strumieniu tamy z dużych kamieni. Woda mogłaby nadal przepływać nad lub między kamieniami, ale podniósłby się jej poziom. Potem można by wykopać u stóp zbocza dół i doprowadzać do niego małym kanałem wodę ze strumienia. A zatem oddelegowano do tego zadania dziesięciu najtwardszych robotników. Jednak zaledwie zaczęto pracę, spotkało się to z gwałtownymi protestami położonych w dole strumienia Kraju Olbrzymów i Ziemi Niebieskich Kwiatów. Mimo wielokrotnych wyjaśnień Okularnika, że tama doprowadzi do wzrostu poziomu wody, nie spowalniając jej przepływu, oba kraje stanowczo się temu sprzeciwiały. Huahua uważał, że powinni zignorować te protesty i kontynuować budowę tamy, ale Xiaomeng, po dokładnym zastanowieniu się nad tym, zdecydowała, że powinni postarać się poprawić stosunki z sąsiadami, by nie osiągnąć niewielkiego zysku kosztem dużych strat w dalszej perspektywie. Strumień był wspólnym bogactwem wszystkich państw w dolinie, więc cokolwiek się z nim wiązało, było drażliwą kwestią. Jej zdaniem Kraj Słońca powinien pracować nad zyskaniem dobrej reputacji, a tymczasem Okularnik podszedł do tego z pozycji siły. Lü Gang twierdził wprawdzie, że armia jest w stanie zagwarantować krajowi bezpieczeństwo w przypadku konfliktu z sąsiadami z dołu strumienia, ale zauważył, że byłoby nierozsądnie sprowokować konflikt z dwoma krajami naraz. Tak więc Kraj Słońca zarzucił pierwotny plan i zamiast tamy zbudował dwukrotnie głębszy kanał, który przy tym dostarczał do zbiornika u stóp wzgórza dużo mniej wody, niż zakładano. Jednak i tak zwiększyło to znacznie wydajność rolnictwa.

Wydawało się, że Kraj Słońca zwrócił na siebie uwagę dyrekcji, bo do Zhang Lina dołączył jeszcze jeden obserwator.

Czwartego dnia dramatycznie wzrosła liczba wszelkiego rodzaju konfliktów i sporów w dolinie, głównie z powodu przydziału zasobów i handlu wymiennego. Dzieci nie miały zdolności albo cierpliwości do ich zażegnywania, więc wkrótce dało się słyszeć strzały. Jednak konflikty te miały ograniczoną skalę i nie rozprzestrzeniły się na całą dolinę. W otoczeniu Kraju Słońca sytuacja pozostawała względnie stabilna, ale tę stabilność całkowicie zburzył spór o wodę pitną, który rozgorzał siódmego dnia.

Woda w strumieniu nie nadawała się do picia i chociaż wśród zasobów przydzielonych poszczególnym krajom była też woda pitna, nie została ona rozdzielona równo, wskutek czego niektóre miały jej nawet kilkanaście razy więcej niż inne. Była to różnica dużo poważniejsza niż w przypadku innych artykułów i wyraźnie zrobiono to celowo. Dobre wyniki upraw nagradzano tylko żywnością, więc woda stała się sprawą o decydującym znaczeniu dla przetrwania państw, a tym samym zarzewiem konfliktów. Spośród pięciu państw w rejonie, w którym położony był Kraj Słońca, największą ilość wody miała Republika Galaktyczna, niemal dziesięć razy więcej niż pozostałe. Pierwszym państwem, w którym wyczerpały się jej zapasy, była Kraina Gąsienic po drugiej stronie strumienia. Jej mieszkańcy byli nieoszczędni i krótkowzroczni i używali wody pitnej nawet do mycia, gdy nie chciało im się czerpać jej ze strumienia, wskutek czego znaleźli się teraz w trudnej sytuacji. Jedynym rozwiązaniem, jakie im pozostało, było podjęcie rozmów z sąsiadem zza strumienia i zaproponowanie czegoś w zamian za wodę, ale Republika Galaktyczna postawiła warunek niemożliwy do przyjęcia – mogła wymienić wodę tylko za ziemię.

W nocy chłopiec z Emailandu poinformował Kraj Słońca, że Kraina Gąsienic zażądała od nich, by pożyczyli jej dziesięć pistoletów maszynowych wraz z amunicją, i zagroziła, że w razie odmowy napadnie

na nich. Sądziła, że jej licząca trzydziestu siedmiu chłopców armia jest wystarczająco silna, by zdobyć Emailand, którego ludność, składająca się w dwóch trzecich z dziewcząt, nie stawi dużego oporu. Aby uniknąć kłopotów, Emailand doszedł do porozumienia z Krainą Gąsienic i pożyczył jej broń. W środku dnia z Krainy Gąsienic dobiegły odgłosy strzałów – chłopcy ćwiczyli się w strzelaniu.

W Kraju Słońca zwołano nadzwyczajne zebranie rady państwa, na którym Huahua wyjaśnił sytuację:

– Kraina Gąsienic na pewno wypowie wojnę Republice Galaktycznej. Biorąc pod uwagę siły zbrojne obu stron, trzeba uznać, że Republika Galaktyczna przegra i zostanie zajęta przez Krainę Gąsienic. Agresor ma duży obszar żyznej ziemi, więc kiedy będzie dysponował wodą pitną i bronią podbitej Republiki Galaktycznej, stanie się wyjątkowo potężny. Wcześniej czy później oznacza to dla nas kłopoty. Powinniśmy się przygotować na tę pierwszą możliwość.

– Powinniśmy zawrzeć sojusz z Emailandem, Krajem Olbrzymów i Ziemią Niebieskich Kwiatów – powiedziała Xiaomeng.

– Skoro tak, to powinniśmy włączyć do tego sojuszu również Republikę Galaktyczną, zanim wybuchnie wojna. W takiej sytuacji Kraina Gąsienic nie zaryzykuje i nie zacznie wojny.

Okularnik potrząsnął głową.

– Podstawową zasadą porządku światowego jest równowaga sił. To byłoby pogwałceniem tej zasady.

– Możesz to wyjaśnić, profesorze?

– Sojusz jest stabilny tylko wtedy, kiedy zawiązuje się go przeciw zagrożeniu o porównywalnej sile. Jeśli zagrożenie jest zbyt duże lub zbyt małe, sojusz się rozpada. Kraje leżące dalej w górę strumienia są zbyt odległe, więc nasza szóstka tworzy względnie niezależny układ. Jeśli do

sojuszu dołączy Republika Galaktyczna, Kraina Gąsienic nie będzie miała z kim się sprzymierzyć i będzie zdecydowanie najsłabszą siłą, która nie będzie stanowiła najmniejszego zagrożenia dla naszego sojuszu. Wskutek tego sojusz się rozpadnie. Poza tym Republika Galaktyczna ma tak dużo wody pitnej, że będzie przekonana, iż chodzi nam o uzyskanie dostępu do jej wody, i nie przystąpi do sojuszu ze szczerej chęci.

Wszyscy zgodzili się z tą oceną.

– To znaczy, że pozostałe trzy kraje będą chciały sprzymierzyć się z nami?

– Z Emailandem nie będzie problemu – rzekł na to Huahua. – Już odczuli zagrożenie ze strony Krainy Gąsienic. Jeśli chodzi o pozostałe dwa, zostawcie to mnie. Postaram się ich przekonać. Sojusz jest dla nich korzystny, a po sporze o tamę pozostawiliśmy po sobie dobre wrażenie, więc myślę, że nie będzie to trudne.

Jeszcze tego samego dnia po południu Huahua złożył wizytę w trzech sąsiednich krajach i dzięki wspaniałej elokwencji łatwo przekonał ich przywódców. Na spotkaniu na brzegu strumienia, gdzie stykały się ich granice, oficjalnie utworzyli Sojusz Czterech Krajów.

Do ekipy obserwatorów Kraju Słońca dołączył jeszcze jeden członek.

Dyrekcja ulokowała się w telewizyjnej stacji przekaźnikowej na szczycie wzgórza, skąd miała widok na całą okolicę. Wieczorem po utworzeniu Sojuszu Czterech Krajów przyszła tam Zheng Chen i tak jak podczas poprzednich wieczorów długo patrzyła na pogrążoną w mroku dolinę. Po wyczerpującym dniu pracy dzieci spały i widać było tylko kilka rozproszonych latarni.

Zdążyła już w pełni zaangażować się w to przedsięwzięcie i przestała pytać, czemu to wszystko ma służyć. Żadna z odpowiedzi, które przychodziły jej do głowy, nie miała sensu, a poprzedniego dnia słyszała, jak rozmawia o tym także kilkoro dzieci z Kraju Słońca.

– To eksperyment naukowy – stwierdził Okularnik. – Nasze dwadzieścia cztery miniaturowe kraje są modelem świata i dorośli chcą zobaczyć, jak w tym modelu będzie się rozwijała sytuacja. Potem będą wiedzieli, co nasz kraj ma zrobić w przyszłości.

– To dlaczego nie wezmą do tego eksperymentu dorosłych? – zapytał ktoś.

– Gdyby dorośli wiedzieli, że to gra, nie potraktowaliby jej poważnie. Tylko my bierzemy grę poważnie, co sprawia, że jej wynik będzie rzeczywisty.

Było to najrozsądniejsze wyjaśnienie, jakie Zheng Chen słyszała. Ale nadal dźwięczały jej w uszach słowa premiera: „ Świat nie jest już taki, jaki był”.

Z chaty, która dawniej służyła za kwaterę dla pracowników stacji przekaźnikowej, wyszedł Zhang Lin, stanął obok Zheng Chen i przyglądał się dolinie.

– Pani Zheng – powiedział – pani klasa odnosi największe sukcesy. Te dzieci są ulepione z dobrej gliny.

– Co pan ma na myśli, mówiąc o sukcesie? Jak słyszałam, na zachodnim krańcu doliny jest kraj, który wchłonął pięciu sąsiadów i ma teraz sześciokrotnie większy obszar oraz liczbę ludności niż na początku i nadal się powiększa.

– Nie, pani Zheng. To nie jest dla nas ważne. Dla nas istotny jest sukces, który odnosi kraj w samostanowieniu, spójności i ocenie układu

otaczającego go świata, a także podejmowane na tej podstawie decyzje o długofalowych skutkach.

Z gry można się było wycofać i w ciągu kilku ostatnich dni do dyrekcji zgłosiły się dzieci prawie ze wszystkich krajów, które oświadczyły, że kończą, bo gra staje się zbyt nudna, praca jest zbyt ciężka albo walki z użyciem broni palnej napędzają im zbyt dużo strachu. Dyrektor powiedział każdemu z nich: „Dobrze. Wracaj do domu". I od razu wszystkie odwieziono. Kiedy później dowiedziały się, co straciły, niektóre z nich nie mogły sobie tego darować do końca życia, a inne były w głębi ducha zadowolone. Kraj Słońca był jedynym, z którego nie wyjechało żadne dziecko, co dla dyrektorów należało do kluczowych danych.

– Pani Zheng, chciałbym się więcej dowiedzieć o tej trójce przywódców – powiedział Zhang Lin.

– Pochodzą ze zwykłych rodzin. Ale jeśli lepiej im się przyjrzeć, te rodziny w rzeczywistości nieco różnią się od innych.

– Niech pani zacznie od Huahui.

– Jego ojciec jest inżynierem w instytucie architektury, a matka instruktorką tańca. Huahua jest podobny do ojca, który też ma otwarty umysł i patrzy na wszystko w dłuższej perspektywie, niezbyt przejmując się szczegółami własnego życia. Kiedy ich odwiedziłam, zaczął rozprawiać o sprawach globalnych i strategii, którą powinny przyjąć w przyszłości Chiny, ale ani razu nie zapytał o to, jak jego syn radzi sobie w szkole.

– Jest wyniosły.

– Nie, nie wyniosły. Nie mówił o tym lekceważącym ani pogardliwym tonem. Opowiadał o kwestiach narodowych i światowych z wielkim zaangażowaniem. Wykazuje się dużą inicjatywą, a ta niezwykła otwartość umysłu i niezważanie na najbliższe otoczenie są być może przyczynami tego, że nie zrobił wielkiej kariery w pracy zawodowej. Huahua naprawdę

wdał się w ojca, ale bardzo różni się od niego pod jednym względem: ma charyzmę i chęć do działania, dzięki czemu potrafi nakłonić inne dzieci do niesamowitych wyczynów. Na przykład namówił klasę do ustawienia ulicznego straganu, do zrobienia i wypuszczenia balonu napełnionego ciepłym powietrzem, do zorganizowania spływu rzeką na odległych przedmieściach. Jeśli chodzi o motywację i pomysłowość, jest rozwinięty ponad swój wiek.

– Bardzo dobrze zna pani swoich uczniów.

– Jestem ich przyjaciółką. Yan Jing, czyli Okularnik, pochodzi z typowo inteligenckiej rodziny. Jego rodzice są profesorami uniwersyteckimi, ojciec z zakresu humanistyki, matka nauk ścisłych.

– Wydaje mi się, że ma dużą wiedzę.

– Tak. Ale jego największą zaletą jest to, że stara się dokładnie przemyśleć każdy problem, dużo dokładniej niż inne dzieci. Potrafi podejść do zagadnienia z różnych punktów widzenia, często takich, których nie zauważa nikt inny. Może mi pan nie uwierzy, ale kiedy przygotowuję się do lekcji, często zasięgam jego opinii. Jego wada od razu rzuca się w oczy. Jest introwertykiem i niezbyt sobie radzi w kontaktach z innymi.

– Innym uczniom z pani klasy zdaje się to nie przeszkadzać.

– To prawda. Podziwiają jego erudycję. Zawsze wciągają go do dyskusji o poważnych problemach i do procesu podejmowania decyzji. Dlatego go wybrały.

– A Xiaomeng?

– Jej historia jest niezwykła. Pochodzi z dobrej rodziny. Ojciec był reporterem, a matka zawodową pisarką. Kiedy Xiaomeng była w drugiej klasie, jej ojciec zginął w wypadku samochodowym, a potem matka zachorowała na nerki i trzeba było poddawać ją dializom. W dodatku jej babcia była przykuta do łóżka. Obie zmarły w ubiegłym roku, ale przez

ostatnie trzy lata cały dom był na głowie Xiaomeng. Mimo to udawało się jej uzyskiwać najlepsze oceny z całej klasy. Najtrudniejszy dla niej okres nastąpił akurat wtedy, kiedy zostałam ich wychowawczynią, więc każdego ranka, gdy wchodziłam do klasy, wypatrywałam oznak zmęczenia na jej twarzy, ale nigdy żadnych nie dostrzegłam. Tylko…

– Dojrzałość.

– Tak. Dojrzałość. Widział pan wyraz jej twarzy. Jest niezwykle poważna jak na swój wiek. Najbardziej wryło mi się w pamięć to, co zrobiła, kiedy w ubiegłym semestrze zabrałam klasę na zwiedzanie Centrum Dowodzenia Aeronautyki w Pekinie. Pozostałe dzieci chłonęły wszystkie cuda zaawansowanej technologii i podczas spotkania z pracującymi tam inżynierami mówiły wszystkie naraz tylko o tym, że powinniśmy wysłać w kosmos astronautę, a potem zbudować stację kosmiczną i wylądować na Księżycu. Tylko Xiaomeng zapytała, ile kosztowałaby stacja kosmiczna, a kiedy podano jej szacunkową sumę, powiedziała, że za te pieniądze można by zapewnić wszystkim dzieciom w kraju naukę aż do ukończenia szkoły średniej. Potem zaczęła szybko przytaczać z pamięci dane statystyczne dotyczące dzieci niechodzących do szkoły i tego, ile kosztowałoby zapewnienie im wykształcenia średniego, biorąc pod uwagę różnice między regionami i podwyżki cen. Wszyscy dorośli, którzy uczestniczyli w tym spotkaniu, słuchali w osłupieniu.

– Ma w sobie coś, dzięki czemu jest lubiana przez koleżanki i kolegów?

– Wiarygodność. Cieszy się największym zaufaniem spośród wszystkich uczniów w klasie. Potrafi rozwiązywać przeróżne problemy, jakie mają dzieci, nawet tak skomplikowane, że ja jestem wobec nich bezradna. Ma talent do zarządzania. Bardzo metodycznie wykonuje swoje obowiązki jako dyżurna klasy.

– Jest jeszcze jeden uczeń, o którym chciałbym wiedzieć więcej: Lü Gang.

– Nie znam go zbyt dobrze. Przyszedł do nas w połowie ostatniego semestru. On też pochodzi z niezwykłej rodziny. Jego ojciec jest generałem. I Lü Gang pod wpływem ojca lubi broń i wojsko. Największe wrażenie zrobiło na mnie to, że kiedy po przejściu do naszej szkoły wstąpił do komisji sportowej, w ciągu jednego tygodnia doprowadził do tego, że nasza drużyna piłkarska przeskoczyła z przedostatniego miejsca na pierwsze. Regulamin szkoły zabrania prowadzenia zajęć ponadprogramowych, więc nie chodził na żadne dodatkowe, tylko wprowadził parę zmian do naszej strategii. Zadziwiające jest to, że w jego poprzedniej szkole nie było boiska do piłki nożnej, więc niewiele w nią grał. Jego inną imponującą cechą jest niezłomny duch. Podczas biegu przełajowego skręcił kostkę, która tak bardzo spuchła, że nie mógł włożyć buta, a mimo to ukończył bieg, choć kiedy dotarł na metę, nikogo już tam nie było. U niewielu dzieci widzi się taką determinację.

– I ostatnie pytanie, pani Zheng… A, proszę, pani pierwsza.

– Chciałabym powiedzieć, że jeśli pan uważa, iż ich mały kraj odnosi największe sukcesy, to dzieje się tak dzięki ich zbiorowemu wysiłkowi. W mojej klasie jest kilkoro wyróżniających się dzieci, ale ich największą zaletą jest umiejętność pracy zespołowej. Gdyby je pan rozdzielił, to być może nie doszłyby do niczego.

– Właśnie o to chciałem zapytać. Odniosłem takie samo wrażenie, i jest to bardzo ważny punkt. Bardzo żałuję, pani Zheng, że nie była pani nauczycielką mojego syna.

– Ile ma lat?

– Dwanaście. Szczęściarz.

Dopiero kilka dni później odkryła, co znaczyły jego słowa. Nad wschodni horyzont wznosiła się Różana Mgławica, a jej niebieskie światło nadawało wszystkiemu w dolinie ostre kontury.

– Jest teraz większa. I zmienił się jej roślinny kształt – stwierdziła Zheng Chen.

– Będzie rosła przez kilkadziesiąt lat. Astronomowie przewidują, że w apogeum wzrostu zajmie jedną piątą nieba i będzie wtedy tak jasno jak w pochmurny dzień. Noc zniknie.

– Mój Boże. I co to będzie?

– Sam chciałbym wiedzieć. Niech pani spojrzy na to drzewo – powiedział Zhang Lin, wskazując rosnący w pobliżu perełkowiec japoński, którego pokryte kwiatami gałęzie były dobrze widoczne w świetle mgławicy.

– Nie powinno kwitnąć o tej porze roku. W ostatnich dniach widziałam, że z roślinnością na wzgórzu często dzieją się dziwne rzeczy. Kwitnie mnóstwo kwiatów i przybierają niesamowite kształty.

– Jesteśmy tutaj odcięci od świata zewnętrznego, więc od kilku dni nie oglądaliśmy wiadomości, ale słyszałem, że na rynku zaczynają się pojawiać dziwaczne warzywa i owoce, na przykład winogrona wielkości jabłek.

Z doliny dobiegł huk wystrzałów.

– To z Kraju Słońca! – krzyknęła zaniepokojona Zheng Chen.

– Nie – rzekł po chwili Zhang Lin. – Z miejsca położonego dalej, w górze strumienia. Kraina Gąsienic zaatakowała Republikę Galaktyczną.

Odgłosy strzelaniny nasiliły się; widzieli błyski ognia z luf.

– Naprawdę zamierzacie pozwolić, żeby to się dalej tak rozwijało? Nie mogę tego znieść – powiedziała Zheng Chen drżącym głosem.

– Cała ludzka historia składa się z wojen. Obliczono, że podczas pięciu tysięcy lat trwania cywilizacji było tylko sto siedem lat autentycznego

pokoju. Nawet w tej chwili toczą się gdzieś wojny. Ale życie nadal trwa, prawda?

– Przecież to tylko dzieci!

– Już niedługo przestaną nimi być.

Tego dnia po południu Kraina Gąsienic zgodziła się spełnić żądanie Republiki Galaktycznej i oddać w zamian za wodę pitną najlepszą część swojej nieuprawianej ziemi, ale zaproponowała, by zorganizować uroczystą ceremonię jej przekazania, na którą każda ze stron wyśle gwardię honorową składającą się z dwudziestu chłopców. Republika Galaktyczna przystała na to. Podczas gdy przywódcy obu krajów odprawiali tę ceremonię, kilkunastu przyczajonych w zasadzce chłopców z Krainy Gąsienic przypuściło z zaskoczenia atak na gwardię honorową Republiki Galaktycznej i w tym samym czasie gwardia honorowa Krainy też otworzyła ogień, powalając całą dwudziestkę na ziemię ładunkami elektrycznymi. Po dziesięciu minutach doszli oni do siebie i odkryli, że są jeńcami, a ich terytorium wpadło w ręce wroga, bo kiedy leżeli bez przytomności, Kraina Gąsienic zaanektowała ziemie Republiki Galaktycznej. Całą broń Republiki miała jej gwardia honorowa, a pozostałych sześciu chłopców i dwadzieścia kilka dziewcząt nie było przygotowanych do walki bez broni.

Gdy tylko Kraina Gąsienic przyłączyła Republikę Galaktyczną, natychmiast zażądała ustępstw terytorialnych od Sojuszu Czterech Krajów. Była jednak nieprzygotowana do ataku, więc użyła jako karty przetargowej wody pitnej, ponieważ krajom leżącym w dole strumienia zostało jej niewiele.

Teraz przydał się bogaty zasób wiedzy Okularnika, który zaproponował metodę uzdatniania wody. W dnach pięciu misek do mycia zrobiono małe

dziurki, po czym wypełniono miski warstwami kamyków, których średnica, poczynając od góry, była coraz mniejsza. W ten sposób skonstruowano filtry. Inną metodę przedstawił Lü Gang. Polegała ona na ugnieceniu na miazgę źdźbeł trawy i liści oraz zmieszaniu tej pasty z wodą; kiedy pasta osiadała na dnie, woda była czysta. Powiedział, że nauczył się tego od ojca podczas ćwiczeń w terenie. Wodę uzdatnioną oboma sposobami wysłano do oceny do dyrekcji, która orzekła, że nadaje się ona do picia. Teraz to Sojusz Czterech Krajów mógł eksportować wodę do Krainy Gąsienic.

W tej sytuacji ta ostatnia zaczęła się szykować do napaści na Sojusz. Jej mieszkańców nie interesowało rolnictwo, a tylko ekspansja terytorialna. Jednak wkrótce się przekonali, że atak nic im nie da.

Z terenów nad górnym biegiem strumienia zaczęły napływać wieści, że Imperium Mgławicowe, leżące na najbardziej wysuniętym na zachód skraju doliny, wchłonęło trzynaście innych krajów i utworzyło superpaństwo z armią w sile czterystu chłopców, która teraz maszerowała w dół strumienia w celu zjednoczenia całej doliny. W obliczu tak potężnego wroga ulotniła się determinacja, z jaką przywódcy Krainy Gąsienic ruszyli na podbój Republiki Galaktycznej. Wpadli w panikę, a ponieważ nie mieli żadnego planu działania, ich państwo pogrążyło się w chaosie i w końcu się rozpadło. Niektóre dzieci uciekły do Imperium Mgławicowego, ale większość udała się do dyrekcji z prośbą, by odesłano je do domu. Kraj Olbrzymów, Ziemia Niebieskich Kwiatów i Emailand, które należały do Sojuszu Czterech Krajów, przestały istnieć. Większość ich „mieszkańców” też zrezygnowała z dalszego udziału w grze, a mniejszość przyłączyła się do sojusznika. Kraj Słońca musiał sam stawić czoło potężnemu wrogowi.

Wszyscy obywatele Kraju Słońca byli zdecydowani bronić się do ostatka. Przez minione dwa tygodnie polubili swój malutki kraj, którego

ziemia wchłonęła tyle ich potu, i ta emocja dawała im siłę ducha, która zadziwiała dorosłych w dyrekcji.

Lü Gang nakreślił plan bitwy: obywatele Kraju Słońca mieli zwinąć namioty na szerokiej równinie zalewowej i utworzyć dwie linie obrony na zachodzie i wschodzie, zbudowane z różnych materiałów. Po stronie zachodniej, na pierwszej linii obronnej, którą napotka nieprzyjaciel, miało się znaleźć tylko dziesięciu chłopców. Lü Gang poinstruował ich:

– Po oddaniu pierwszej salwy krzyczcie: „Skończyła się nam amunicja!” i uciekajcie.

Zaledwie ustawiono linie obronne, gdy nadciągnęła armia Imperium Mgławicowego. Pokryła całe terytorium byłej Republiki Galaktycznej i Krainy Gąsienic niczym fala. Jeden z chłopców krzyknął przez megafon:

– Hej, dzieciaki z Kraju Słońca! Imperium Mgławicowe zjednoczyło dolinę. Chcecie dalej grać, nieudacznicy? Miejcie trochę honoru i poddajcie się!

Wyzwanie spotkało się z milczeniem, więc armia Imperium ruszyła do natarcia. Dzieci na pierwszej linii oporu oddały salwę, a najeźdźcy natychmiast padli na ziemię i odpowiedzieli ogniem. Po chwili strzały ze strony Kraju Słońca ucichły, a potem jeden z obrońców krzyknął: „Skończyła się nam amunicja!” i cała pierwsza linia rozpoczęła spieszną rejteradę.

– Skończyła im się amunicja! Do ataku!

Wyjąca armia Imperium ruszyła przed siebie, ale kiedy znalazła się w połowie równiny, odezwały się pistolety maszynowe drugiej linii obronnej. Zaskoczeni najeźdźcy padali jak muchy. Ich tylne szeregi odwróciły się i uciekły. Pierwszy atak został odparty.

Gdy nacierający otrząsnęli się z szoku i pozbierali z ziemi, Imperium Mgławicowe przystąpiło do drugiego natarcia. Tym razem obrońcom Kraju

Słońca rzeczywiście zaczęła się kończyć amunicja. Kiedy patrzyli, jak dziesięciokrotnie liczniejsza armia ostrożnie posuwa się ku nim wzdłuż strumienia, jakieś dziecko zawołało:

– O Boże, oni mają nawet helikoptery!

Rzeczywiście od strony wzgórza zbliżał się helikopter, a gdy się zatrzymał i zawisł nad polem walki, dorosły głos powiedział przez megafon:

– Dzieci, wstrzymajcie ogień! Gra się skończyła!

Państwo

Zapadł zmrok, kiedy trzy helikoptery z pięćdziesięciorgiem czworgiem dzieci odleciały do miasta. Ośmioro z tych dzieci, w tym Huahua, Okularnik, Xiaomeng i Lü Gang, było z klasy Zheng Chen, a ona im towarzyszyła wraz z czterema innymi nauczycielami.

Wylądowali przed budynkiem w stylu z lat pięćdziesiątych XX wieku, w którym paliły się wszystkie światła. Zhang Lin i naczelny dyrektor gry w dolinie wprowadzili dzieci głównym wejściem i powiedli je długim korytarzem, na którego końcu znajdowały się wielkie obite skórą drzwi ze lśniącą brązową klamką. Gdy się zbliżyli, otworzyło je dwóch strażników i znaleźli się w ogromnej sali. Była ona świadkiem wielu historycznych wydarzeń, których cienie wciąż zdawały się krążyć między kolumnami.

W sali znajdowały się trzy osoby: prezydent państwa, premier i szef sztabu armii. Wyglądało na to, że są tam już od pewnego czasu. Rozmawiali ściszonymi głosami, a kiedy otworzyły się drzwi, odwrócili się w ich stronę i spojrzeli na dzieci.

Zhang Lin i dyrektor gry podeszli do nich i szeptem złożyli prezydentowi i premierowi raport.

– Witajcie, dzieci! – powiedział prezydent. – Zwracam się tak do was ostatni raz. Historia wymaga, byście w ciągu dziesięciu minut dorośli do trzydziestki. Teraz premier przedstawi wam w zarysie sytuację.

– Jak wszyscy dobrze wiecie – odezwał się premier – miesiąc temu pojawiła się w sąsiedztwie Ziemi supernowa. Znacie szczegóły, więc nie będę się w nie zagłębiał. Zamiast tego powiem wam o tym, czego nie

wiecie. Po pojawieniu się supernowej agencje zdrowia na całym świecie zajęły się badaniem skutków, jakie wywarła na ludzi. Otrzymaliśmy z wiarygodnych instytucji na wszystkich kontynentach doniesienia, które zgadzają się z ustaleniami naszych krajowych placówek, a mianowicie że wysokie promieniowanie supernowej niszczy chromosomy w ludzkich komórkach. Ma ono niespotykaną dotąd siłę przenikania. Nie uchronił się przed nim nikt, nawet ci, którzy znajdowali się wewnątrz budynków i w kopalniach. Ale jest jedna grupa, w której uszkodzone chromosomy mają zdolność samonaprawy. To dzieci do trzynastego roku życia. Ta zdolność występuje u dziewięćdziesięciu ośmiu procent trzynastolatków i u stu procent dzieci w wieku dwunastu lat i młodszych. Uszkodzenia u wszystkich pozostałych osób są nieodwracalne. Osoby te pożyją jeszcze od dziesięciu miesięcy do najwyżej roku. Supernowa wysyłała widzialne światło tylko nieco ponad godzinę, ale niewidzialne promieniowanie utrzymywało się przez cały tydzień – wtedy, gdy niebo pokrywały zorze polarne. W tym czasie Ziemia obróciła się siedem razy, więc dotknęło to w takim samym stopniu ludzi na całym świecie.

Premier mówił z powagą, ale spokojnie, jakby przedstawiał jakąś zwyczajną sprawę. Dzieci słuchały w otępieniu. Przez długi czas jego słowa nie docierały do ich świadomości, aż nagle dotarły.

Kilkadziesiąt lat później drugie pokolenie ery supernowej było ciekawe, jak czuli się ich rodzice, kiedy usłyszeli tę wiadomość, bo przecież była to najbardziej wstrząsająca informacja w historii ludzkości. Historycy i astronomowie podejmowali niezliczone próby rekonstrukcji tej sceny, ale żadna z nich nie była wierna. Czterdzieści pięć lat po tym wydarzeniu doszło do następującej rozmowy między młodym reporterem i starszą osobą.

Reporter: Może pan opisać, jak się pan czuł, kiedy po raz pierwszy usłyszał pan tę wiadomość?

Starszy: Nic nie czułem, bo nic nie rozumiałem.

Reporter: Ile czasu zajęło wam zrozumienie tego?

Starszy: Zależy komu. Nikt nie pojął tego w lot. Niektórzy potrzebowali pół minuty, inni kilku minut, jeszcze inni kilku dni. Inne dzieci pozostawały jak w transie, dopóki faktycznie nie zaczęła się era supernowej. To dziwne, gdy się teraz o tym pomyśli. Dlaczego tak trudno było strawić tak prostą informację?

Reporter: A pan?

Starszy: Miałem szczęście. Zorientowałem się po trzech minutach.

Reporter: Może pan opisać ten szok?

Starszy: To nie był szok.

Reporter: A więc… strach?

Starszy: Nie, nie strach.

Reporter (ze śmiechem): Wszyscy to mówicie. Oczywiście rozumiem, że może być trudno oddać słowami taki strach i szok.

Starszy: Nie odczuwaliśmy wtedy niczego takiego jak strach i szok. Proszę mi uwierzyć, nawet jeśli trudno to panu zrozumieć.

Reporter: Wobec tego co czuliście?

Starszy: Obcość.

Reporter: …?

Starszy: W naszych czasach była taka opowieść: Człowiek niewidomy od urodzenia spadł pewnego dnia ze schodów i zderzenie z ziemią w jakiś sposób tak wstrząsnęło nerwami w jego mózgu, że odzyskał wzrok. Przepełniony ciekawością spojrzał na otaczający go świat… Tak właśnie się czuliśmy. Świat stał się dla nas dziwny, jakbyśmy nigdy wcześniej go nie widzieli.

Za: Ya Ke, *Urodzony w erze powszechnej*, Pekin, 46 r. e.s.

Wszystkie dzieci zgromadzone w tej wielkiej sali, bijącym sercu kraju, doświadczały uczucia tej przemożnej obcości, jakby niewidzialna brzytwa odcięła przeszłość od przyszłości, i patrzyły na dziwny nowy świat. Przez

szerokie okno widziały wschodzącą Różaną Mgławicę, która rzucała na podłogę niebieskie światło. Wyglądała jak ogromne kosmiczne oko spoglądające na ten osobliwy, niewytłumaczalny świat.

Promienie mgławicy przez cały tydzień przecinały wszystkie części Układu Słonecznego, a cząstki o wysokiej energii tłukły o Ziemię niczym ulewa, przeszywając ciała ludzi z niewyobrażalną prędkością i przenikając do wszystkich ich komórek. Biły one w przypominające kruche kryształowe nitki drobne chromosomy w tych komórkach, rozplatając podwójną helisę DNA i rozpraszając nukleotydy. Wprawdzie uszkodzone geny nadal działały, ale ich precyzyjny łańcuch, który wyewoluował przez setki milionów lat kopiowania życia, został przerwany i teraz, zmutowane, szerzyły śmierć. Obracająca się Ziemia wciągała ludzi pod niszczycielski prysznic, nakręcając w milionach ciał zegar zgonu, który powoli tykał…

Wszyscy powyżej wieku trzynastu lat mieli umrzeć, a Ziemia miała się stać planetą dzieci.

Tych pięćdziesięcioro czworo dzieci było innych niż reszta. Druga informacja, którą usłyszą, sprawi, że ten świat, który właśnie stał się im obcy, zawali się w gruzy, pozostawiając ich w oszałamiającej pustce.

Pierwsza odezwała się Zheng Chen:

– Panie premierze, jeśli się nie mylę, te dzieci…

Premier skinął głową i powiedział spokojnie:

– Nie myli się pani.

– To niemożliwe! – krzyknęła przestraszona.

Przywódcy państwa patrzyli na nią w milczeniu.

– Przecież to dzieci. Jak one mogą…

– A co pani zdaniem, młoda damo, powinniśmy zrobić? – zapytał premier.

– Powinniście przynajmniej poszukać kandydatów w całym kraju.

– Naprawdę myśli pani, że to możliwe? Jak mielibyśmy ich wyselekcjonować? Nie są członkami hierarchicznej struktury państwa, więc w tak krótkim czasie wybór najbardziej utalentowanych i najbardziej odpowiednich spośród czterystu milionów dzieci jest zupełnie niemożliwy. Dziesięć miesięcy to tylko szacunek; w rzeczywistości możemy mieć dużo mniej czasu. Świat dorosłych może w każdej chwili przestać funkcjonować. To najczarniejsza chwila w historii ludzkości. W takim czasie jak ten nie wolno nam zostawić państwa bez przywództwa. Czy mieliśmy jakiś wybór? Jak każde inne państwo na świecie musieliśmy przyjąć wyjątkowe metody, by dokonać selekcji.

– Mój Boże…

Była bliska omdlenia.

Podszedł do niej prezydent i powiedział:

– Pani uczniowie mogą się z panią nie zgodzić. Zna pani ich zachowanie tylko w normalnych czasach, ale nie w sytuacjach ekstremalnych. W czasach kryzysu ludzie, włącznie z dziećmi, mogą się zdobyć na nadludzkie wyczyny.

Potem odwrócił się do dzieci, które jeszcze nie w pełni pojęły sytuację.

– Tak, dzieci. Zostaniecie przywódcami naszego kraju.

3. Wielkie uczenie

Świat klasą szkolną

W dniu, w którym zaczęło się wielkie uczenie, Zheng Chen wyszła ze szkoły i pojechała sprawdzić, jak sobie radzą jej uczniowie. Z jej liczącej czterdzieścioro troje dzieci klasy ośmioro zakwalifikowało się do rządu centralnego, a pozostali, rozproszeni w mieście, zaczynali teraz realizować najtrudniejszy w historii program nauki pod kierunkiem swoich rodziców.

Najpierw pomyślała o Yao Rui. Z trzydziestki piątki pozostałych uczniów on miał teraz najciężej. Pojechała szybkim metrem do elektrowni cieplnej, zamkniętej przed pojawieniem się supernowej z powodu zanieczyszczania środowiska, ale ocalonej przed rozbiórką, której pracę teraz wznowiono, zamieniając ją w szkołę.

Ujrzała swego ucznia przed bramą. Był z ojcem, głównym inżynierem elektrowni. Inżynier Yao powitał ją, a ona, miotana różnymi uczuciami, powiedziała:

– Jest pan teraz w takiej sytuacji jak ja, kiedy przed sześcioma laty zaczęłam pracować w szkole.

Inżynier Yao uśmiechnął się i odparł:

– Pani Zheng, jestem chyba mniej pewny siebie, niż pani wtedy była.

– Na wywiadówkach nigdy nie był pan zadowolony z moich metod nauczania. Dzisiaj zobaczymy, jak to wychodzi panu.

Weszli na teren elektrowni razem z innymi grupami rodziców i dzieci.

– Ale wysoki i gruby komin! – krzyknął Yao Rui, wskazując z podnieceniem obiekt przed nimi.

– Mówiłem ci już, że to nie jest komin, ty głuptasie. To chłodnia kominowa. Komin jest tam, za zakładem.

Inżynier Yao zaprowadził syna i Zheng Chen do chłodni, gdzie do okrągłego basenu spływała woda. Wskazując na nią, powiedział:

– To schłodzona woda, która krąży w generatorze. Mimo chłodzenia jest bardzo ciepła. Kiedy piętnaście lat temu podjąłem tu pracę, często w niej pływałem.

Westchnął na wspomnienie młodości.

Potem podeszli do kilku górek węgla kamiennego.

– To składowisko opału. Elektrownia cieplna wytwarza prąd poprzez spalanie węgla. Pracując pełną mocą, zużywa dwanaście tysięcy ton dziennie. Założę się, że nie macie pojęcia, ile to jest. Widzicie ten pociąg towarowy składający się z czterdziestu wagonów? Trzeba by było około sześciu takich pociągów.

Yao Rui wystawił język.

– Aż się boję, proszę pani – powiedział. – Nigdy nie myślałem, że tata ma taką przerażającą pracę.

Inżynier Yao przeciągle westchnął.

– Dziecko, tacie też to wszystko wydaje się koszmarnym snem.

Idąc wzdłuż długiego taśmociągu z węglem, doszli do ogromnej maszyny, której dominującym elementem był duży obracający się bęben. Od jego potężnego łoskotu Yao Rui i Zheng Chen cierpła skóra. Inżynier Yao krzyknął, zbliżywszy usta do ich uszu:

– To młyn pyłowy! Węgiel, który dostarcza taśma, jest tu mielony na miał drobny jak mąka.

Potem podeszli do innego stalowego budynku. Były takie cztery, wszystkie widoczne z daleka, tak jak chłodnie i młyn.

– To piec – wyjaśnił inżynier Yao. – Cztery dysze wdmuchują miał z młyna do jego środka, gdzie pali się jak ognista kula. Węgiel spala się prawie całkowicie, zostaje tylko odrobina. Spójrz, co zostało. – Wyciągnął dłoń i pokazał synowi zaczerpniętą z kwadratowego zbiornika przy ścieżce garstkę czegoś, co wyglądało jak przezroczyste szklane kulki. Doszli do okienka, przez które widać było buchające płomienie. – Ściana tego ogromnego kotła jest obwiedziona wieloma długimi rurami. Płynąca nimi woda wchłania ciepło i zmienia się w parę pod wysokim ciśnieniem.

Następnie weszli do przepastnego wnętrza budynku, w którym mieściły się cztery wielkie maszyny w kształcie leżących na ziemi półcylindrów.

– To zespoły turbinowo-prądnicowe. Przesyłana tu z kotła para obraca turbiny, które napędzają generatory produkujące energię elektryczną.

Na koniec doszli do dyspozytorni. Pomieszczenie było czyste i dobrze oświetlone. Znajdowała się tam wysoka tablica z mrugającymi jak gwiazdy lampkami sygnalizacyjnymi i rzędem komputerów, na których ekranach pokazywały się skomplikowane obrazy. Oprócz dyżurnego dyspozytora w pokoju było jeszcze kilkoro rodziców ze swoimi dziećmi.

– Na razie oglądamy to wszystko tylko pobieżnie – powiedział inżynier Yao do syna. – Elektrownia to bardzo złożony system, który opiera się na wielu różnych dziedzinach nauki i wymaga współpracy wielu osób. Dział twojego taty to elektryka. Elektryka dzieli się na elektrykę wysokich i elektrykę niskich napięć. Ja pracuję w tej pierwszej. – Przerwał i przez kilka sekund patrzył w milczeniu na Yao Rui. – To niebezpieczna dziedzina, obejmuje prąd, który w jednej dziesiątej sekundy może usmażyć człowieka. Aby tego uniknąć, musisz w pełni zrozumieć budowę i zasady całego tego systemu. Ta nauka zaczyna się teraz.

Inżynier Yao wziął zwój wykresów i rozwinął jeden z nich.

– Zacznijmy od schematu głównej instalacji elektrycznej. Jest dość prosty.

– Wcale nie uważam, że jest prosty – powiedział Yao Rui, patrząc z widocznym niedowierzaniem na krzyżujące się linie i symbole.

– To są prądnice – powiedział jego ojciec, wskazując diagram składający się z czterech kół. – Znasz zasady działania generatora prądu?

Yao Rui potrząsnął głową.

– To jest szyna zbiorcza. Tutaj przesyłam wytworzony prąd. Jak widzisz, jest trójfazowy. Wiesz, co to jest prąd trójfazowy?

Chłopiec ponownie potrząsnął głową, więc jego ojciec wskazał cztery pary koncentrycznych kół.

– No dobrze. To są nasze cztery gepezety.

– Gepezety? – zapytał Yao Rui.

– No, główne punkty zasilania. A to dwa tepewu.

– Tepewu?

– Transformatory potrzeb własnych… Znasz zasady działania transformatorów?

Yao Rui potrząsnął głową.

– A co wiesz o podstawach? O zasadzie indukcji elektromagnetycznej?

Kolejne potrząśnięcie głową.

– Musisz znać przynajmniej prawo Ohma!

I znowu potrząśnięcie głową. Inżynier Yao opuścił wykresy.

– To co ty, do diabła, wiesz? Spałeś na lekcjach?

Jego syn zaczął płakać.

– Nigdy się o czymś takim nie uczyłem.

Inżynier Yao obrócił się do Zheng Chen.

– No to czego wy go uczyliście przez sześć lat?

– Niech pan nie zapomina, że pana syn jest dopiero po szkole podstawowej. Przy takich metodach jak pańskie niczego się nie nauczy!

– Mam dziesięć miesięcy na to, żeby zrobić z tym dzieciakiem cały kurs studiów z elektryki i przekazać mu moje dwudziestoletnie doświadczenie. – Westchnął i odsunął wykresy na bok. – Zdaje się, że jest to zadanie niemożliwe do wykonania, pani Zheng.

– Ale musi pan je wykonać, inżynierze Yao.

Patrzył na nią przez długą chwilę, po czym westchnął, podniósł wykresy i obrócił się do syna.

– No, już dobrze. Wiesz przynajmniej, co to prąd i potencjał elektryczny, prawda?

Yao Rui kiwnął głową.

– To jakie są jednostki prądu?

– To pewna liczba woltów.

– Och, na miłość…

– Nie! To jednostka potencjału. Dla prądu to są… to są…

– Ampery! No dobrze, chłopcze, od tego zaczniemy.

W tym momencie zadźwięczał telefon komórkowy Zheng Chen. Dzwoniła matka jej uczennicy, Lin Shy. Byli sąsiadami, więc znała ich dość dobrze. Matka Lin Shy powiedziała, że ma kłopoty z uczeniem swojej córki, i poprosiła o pomoc. Tak więc, pożegnawszy się szybko z Yao Rui i jego ojcem, Zheng Chen wróciła do miasta.

W głównym szpitalu matka Lin Shy stała z córką przed salą z dużym czerwonym napisem „Prosektorium” nad drzwiami i obie zażarcie się kłóciły.

– Nie mogę znieść tego zapachu – powiedziała Lin Sha, marszcząc brwi.

– To formalina, środek konserwujący. Umieszcza się w nim ciała przed sekcją.

– Nie będę oglądała żadnej sekcji zwłok, mamo. Za dużo wątrób i płuc już widziałam.

– Ale musisz wiedzieć, w jakich miejscach w ciele znajdują się narządy.

– Czy kiedy będę lekarką, nie będę mogła po prostu dawać pacjentom leków na ich choroby?

– Jesteś chirurgiem, Shasha. Musisz przeprowadzać operacje.

– Chirurgami niech będą chłopcy.

– Przestań pleść bzdury! Twoja matka jest chirurgiem. Wiele kobiet jest świetnymi chirurgami.

Zorientowana już w sytuacji Zheng Chen powiedziała Lin Shy, że wejdzie z nią do prosektorium na lekcję anatomii. Kiedy przechodziły przez drzwi, kurczowo trzymająca jej dłoń ręka dziewczynki zauważalnie drżała, a Zheng Chen sama nie czuła się dużo lepiej, ale starała się nie okazywać strachu. Poczuła na twarzy chłodny powiew. Ściany i podłoga pomieszczenia były białe, a znajdujące się na suficie jarzeniówki rzucały blady blask na stół sekcyjny, który otaczał wianuszek dzieci i dorosłych w białych laboratoryjnych kitlach; jedynym kolorowym akcentem w tej ponurej bieli był ciemnoczerwony obiekt leżący na stole.

Matka podprowadziła Lin Shę za rękę do stołu sekcyjnego i wskazując na ten obiekt, powiedziała:

– Dla potrzeb obecnej sekcji trzeba najpierw zdjąć skórę z ciała.

Lin Sha wyrwała się jej, wybiegła z prosektorium i zaczęła wymiotować, a Zheng Chen popędziła za nią. Poklepała ją po plecach, sama z trudem powstrzymując mdłości, wdzięczna, że dziewczynka dała jej pretekst do opuszczenia prosektorium i odetchnięcia świeżym powietrzem na zewnątrz.

Za nimi wyszła matka Lin Shy. Pochyliła się nad córką i powiedziała:

– Przestań, Shasha. Przyglądanie się sekcji to cenna lekcja dla stażystki. Z czasem przyzwyczaisz się do tego. Pomyśl o zwłokach jak o maszynie,

która się zatrzymała, dzięki czemu masz możliwość przyjrzeć się jej częściom. Wtedy poczujesz się lepiej.

– Ty też jesteś maszyną, mamo! Maszyną, której nienawidzę! – krzyknęła Lin Sha i odwróciła się, by uciec.

Ale Zheng Chen zatrzymała ją.

– Posłuchaj mnie, Lin Sha. We wszystkich zawodach, nie tylko lekarza, potrzebna jest odwaga. Niektóre mogą być jeszcze trudniejsze. Musisz wydorośleć.

Wymagało to trochę zachodu, ale w końcu udało się im przekonać Lin Shę do powrotu do prosektorium. Zheng Chen stała obok niej i obie patrzyły, jak ostry lancet rozcina z lekkim zgrzytem miękką tkankę i rozsuwa żebra, by ukazać narządy koloru morwy… Później zastanawiała się, co cały czas podtrzymywało ją, a co dopiero dziewczynkę, która dawniej bała się owadów.

Cały następny dzień Zheng Chen spędziła z Li Zhipingiem, którego ojciec był listonoszem. Obaj wielokrotnie przemierzali trasę, którą ojciec kursował od ponad dziesięciu lat, a kiedy nastał wieczór, chłopiec po raz pierwszy wyruszył sam. Przedtem Li Zhiping próbował przytroczyć wielką torbę z listami do swojego ulubionego roweru górskiego, ale nie pasowała, musiał więc wziąć sprawdzonego starego latającego gołębia ojca i obniżyć siodełko do najniższego położenia. Chociaż zapamiętał wszystkie drogi i skrzynki pocztowe, ojciec wciąż mu nie dowierzał, więc razem z Zheng Chen pojechał za nim. Gdy chłopiec dotarł pod ostatni adres, pod którym znajdował się budynek rządowy, ojciec zrównał się z nim i poklepał go po ramieniu.

– Dobrze, synu. Ta praca nie jest taka ciężka. Robiłem to przez dziesięć lat i nastawiłem się na to, że będę robił przez resztę życia. Teraz jest to w twoich rękach. Chcę ci powiedzieć tylko jedno: przez ten cały czas ani razu nie dostarczyłem przesyłki pod niewłaściwy adres. Dla innych może to być błaha sprawa, ale ja jestem w głębi serca dumny z tego. Zapamiętaj, synu, bez względu na to, jak zwyczajna jest praca, będziesz ją dobrze wykonywał, jeśli włożysz w nią całe serce.

Trzeciego dnia Zheng Chen odwiedziła trzech uczniów: Chang Huidonga, Zhang Xiaolego i Wang Rana. Dwaj pierwsi pochodzili ze zwyczajnych rodzin, natomiast ojciec Wang Rana był znanym graczem go.

Rodzice Chang Huidonga mieli zakład fryzjerski. Kiedy Zheng Chen tam przyjechała, strzygł właśnie swego trzeciego klienta. Szło mu nawet gorzej niż z pierwszymi dwoma, ale klient tylko się roześmiał, gdy zobaczył w lustrze wystrzępioną fryzurę, i powiedział, że wszystko w porządku. Ojciec Chang Huidonga przeprosił go i odmówił przyjęcia zapłaty, ale tamten nie chciał o tym słyszeć. Czwarty klient zażądał, żeby jego też ostrzygł chłopiec, a gdy Chang Huidong założył mu pelerynkę, powiedział:

– Ucz się na mnie, chłopcze. Mnie zostało już tylko kilka strzyżeń, ale młodzi ludzie będą potrzebowali fryzjerów. Nie mogą się przemienić w zarośniętych dzikusów.

Również Zheng Chen pozwoliła mu przystrzyc swoje włosy, które zamienił w tak bezładną plątaninę, że jego matka musiała je skrócić, co dało całkiem niezły efekt. Kiedy wychodziła z zakładu, czuła się dużo młodsza. Nie doświadczyła takiego uczucia od chwili pojawienia się supernowej. Na początku nowego dziwnego świata ludzie reagowali na dwa

diametralnie różne sposoby: albo młodnieli, albo się starzeli. Ona na szczęście należała do tej drugiej grupy.

Ojciec Zhang Xiaolego był kucharzem w barze przy pewnym zakładzie pracy. Kiedy Zheng Chen tam zajrzała, prawie kończył z kolegami przygotowywać ryż i duży kocioł mięsa z warzywami. Przez kilka nerwowych minut roztrzęsione dzieci stały przed oknem stołówki, obserwując, jak po trochu sprzedawano rezultaty ich pracy w sali pełnej ludzi, ale wyglądało na to, że niczego nie zepsuły. Potem ojciec Zhang Xiaolego zastukał chochlą we framugę okna i powiedział:

– Słuchajcie. Dzisiejszy posiłek przygotowały nasze dzieci.

Po kilku sekundach ciszy cała sala zaczęła bić brawo.

Ale uczniem, który najbardziej zaimponował Zheng Chen, był Wang Ran. Gdy dotarła do jego domu, chłopiec miał się akurat udać na kurs jazdy i jego ojciec odprowadził go kawałek.

– Jestem do niczego – powiedział z westchnieniem do Zheng Chen. – W moim wieku nie mogę już nawet nauczyć syna żadnej przydatnej umiejętności.

Wang Ran zapewnił ojca, że nauczy się jeździć i zostanie dobrym kierowcą.

Ojciec wręczył mu mały woreczek.

– Noś to ze sobą. Czytaj i ucz się, kiedy będziesz miał wolny czas. Tylko nie wyrzucaj tego, bo czasami może się przydać.

Wang Ran otworzył woreczek, kiedy ojciec i Zheng Chen odeszli. W woreczku były kostki do gry w go i kilka podręczników. Obejrzał się za

ojcem, posiadającym dziewiąty dan mistrzem tej gry, który nadal na niego patrzył.

Podobnie jak wiele innych dzieci, w przyszłości czekała Wang Rana radykalna zmiana. Gdy Zheng Chen miesiąc później przyjechała w odwiedziny, okazało się, że chłopiec, który planował zostać kierowcą, wylądował na spycharce. Znalazła go na placu budowy na przedmieściach, gdzie sam prowadził potężną maszynę. Wyraźnie się ucieszył na widok byłej nauczycielki i zaprosił ją do kabiny, by przyjrzała się jego pracy. Zauważyła, że kiedy jeździł tam i z powrotem, wyrównując grunt, uważnie przyglądali mu się dwaj mężczyźni stojący w pobliżu. Ku jej zdumieniu byli to żołnierze. Na placu były trzy spycharki, wszystkie obsługiwane przez dzieci, ale żołnierze szczególną uwagę zwracali na Wang Rana i od czasu do czasu wskazywali w jego stronę. W końcu jeden z nich machnął ręką, by się zatrzymał. Do kabiny zajrzał podpułkownik i krzyknął do niego:

– Jesteś niezłym kierowcą, chłopcze. Chcesz pojechać z nami i poprowadzić coś jeszcze fajniejszego?

– Większą spycharkę? – zapytał, wystawiając głowę z kabiny.

– Nie. Czołg.

Wang Ran milczał przez kilka sekund, po czym otworzył energicznie drzwi i zeskoczył na ziemię.

– Chodzi o to – rzekł podpułkownik – że z różnych powodów nasza branża dopiero teraz zdecydowała się przekazać sprawy dzieciom. Czas nagli, więc szukamy młodych, którzy mają opanowane podstawy prowadzenia pojazdów, bo z takimi możemy zacząć szybciej.

– Czy kierowanie czołgiem jest podobne do kierowania spycharką?

– Pod pewnymi względami. I czołg, i spycharka są pojazdami gąsienicowymi.

– Ale czołg trudniej prowadzić, prawda?

– Niekoniecznie. Przede wszystkim czołg nie ma takiego dużego lemiesza, więc nie musisz się przejmować siłą z przodu.

I tak oto Wang Ran, syn mistrza go, został kierowcą czołgu w dywizji pancernej.

Czwartego dnia Zheng Chen odwiedziła dwie uczennice, Feng Jing i Yao Pingping, które przydzielono do pracy w żłobku. W nadchodzącym świecie dzieci komórka rodzinna miała zniknąć, więc przez długi czas żłobek miał być jedną z kluczowych instytucji. Wiele dziewcząt miało tam przez resztę dzieciństwa wychowywać dzieci jeszcze młodsze od siebie.

Kiedy Zheng Chen znalazła swe uczennice, ich matki uczyły je opieki nad dziećmi, ale jak wszystkie pozostałe dziewczęta wdrażane do pracy w żłobku, nie dawały sobie one rady z płaczącymi niemowlętami.

– Nie mogę tego znieść! – wybuchła Yao Pingping, patrząc na dziecko leżące w łóżeczku i zanoszące się płaczem.

– Musisz być cierpliwa – powiedziała jej matka. – Niemowlęta nie posługują się słowami. Ich mową jest płacz, musisz więc się domyślać, co on znaczy.

– No to co ten niemowlak teraz mówi? Podsunęłam mu mleko, ale nie pije.

– On chce spać.

– No to powinien po prostu zasnąć! Czemu beczy? Jest taki irytujący.

– Taka jest większość niemowląt. Musisz wziąć go na ręce i ponosić, a wtedy przestanie płakać.

I to wystarczyło.

– Ja też taka byłam? – zapytała Pingping.

Matka się roześmiała.

– Nie byłaś aż tak ugodowa. Zwykle grymasiłaś przez godzinę, zanim zasnęłaś.

– Wychowywanie mnie musiało być ciężkim zadaniem.

– Tobie będzie jeszcze cięższej – powiedziała ze smutkiem matka. – Wszystkie dzieci w żłobku miały rodziców, a w przyszłości ich wychowanie spadnie w całości na wasze barki.

Podczas całego pobytu w żłobku Zheng Chen milczała, aż w końcu Feng Jing i Yao Pingping zapytały ją, czy dobrze się czuje. Myślami była przy swoim nienarodzonym jeszcze dziecku.

Ustawami, które należały do ostatnich aktów prawnych wydanych w erze powszechnej, państwa na całym świecie zakazały dalszej prokreacji, ale zarówno te ustawy, jak i rozporządzenia wykonawcze okazały się nieskuteczne, bo połowa ciężarnych kobiet, w tym Zheng Chen, postanowiła donosić ciążę.

Piątego dnia Zheng Chen wróciła do szkoły, do której nadal uczęszczały niższe klasy, prowadzone teraz przez absolwentów przygotowujących się do zawodu nauczyciela. Weszła do swojej sali i zobaczyła Su Lin i jej matkę, również pracującą w tej szkole, w trakcie szkolenia pedagogicznego.

– Te dzieciaki to idioci. Powtarzam im i powtarzam, a one wciąż nie potrafią dodawać ani odejmować dwucyfrowych liczb! – Su Lin odepchnęła ze złością stos zeszytów ćwiczeń.

– Każdy uczeń przyswaja materiał w innym tempie – odparła jej matka. Przerzuciła kilka stron. – Widzisz, ten nie wie, jak przenosić liczby. A ten nie ma pojęcia o miejscach. Musisz do każdego podchodzić indywidualnie. Spójrz na to… – Podała córce zeszyt ćwiczeń.

– Idioci! Kompletni idioci. Nie znają nawet prostej arytmetyki. – Su Lin zerknęła na zeszyt, ale odrzuciła go. Chybotliwie napisane cyfry układały się w rzędy zadań z dodawania i odejmowania liczb dwucyfrowych, a we wszystkich były te same głupie pomyłki, które tak ją nużyły od dwóch dni.

– To twój zeszyt sprzed pięciu lat. Zachowałam go dla ciebie.

Zaskoczona Su Lin podniosła zeszyt, ale z trudem rozpoznawała swoje niezdarne pismo.

– Nauczyciel musi być cierpliwy – rzekła matka, a potem westchnęła. – Twoi uczniowie mają szczęście, ale co z tobą? Kto będzie uczył ciebie?

– Sama będę się uczyć, mamo. Nie mówiłaś mi, że pierwszy wykładowca nigdy nie chodził na żadne wykłady?

– Ale ty przecież nie byłaś nawet w gimnazjum! – Jej matka znowu westchnęła.

Szóstego dnia Zheng Chen odprowadziła trzech swoich uczniów na Dworzec Zachodni. Wei Minga, którego ojciec był podpułkownikiem, i Jin Yunhuiego, którego ojciec był pilotem sił powietrznych, skierowano do wojska. Natomiast rodzice Zhao Yuzhonga byli robotnikami sezonowymi i zabierali teraz syna do domu w jakiejś wiosce w Hebei. Zheng Chen obiecała Jin Yunhuiemu i Zhao Yuzhongowi, że ich odwiedzi, ale Wei Ming miał stacjonować w Tybecie, na granicy z Indiami, i wiedziała, że w ciągu dziesięciu miesięcy, które jej pozostały, na pewno tam nie pojedzie.

– Pani Zheng, kiedy urodzi się pani dziecko, musi pani do nas napisać, gdzie je umieszczono, żebyśmy mogli się nim zająć – powiedział Wei Ming, a potem mocno uścisnął jej rękę i nie obejrzawszy się nawet za siebie, zdecydowanie wsiadł do pociągu.

Gdy pociąg ruszył, znowu się załamała i musiała schować twarz w dłoniach, by ukryć łzy. Jej uczniowie z dnia na dzień dorośli, a ona znowu stała się dzieckiem.

Wielkie uczenie było najbardziej racjonalnym i uporządkowanym okresem w dziejach, bo wszystko przebiegało według ścisłego i przeprowadzanego w trybie nagłym harmonogramu. Jednak zanim się zaczęło, świat był o krok od pogrążenia się w szaleństwie i rozpaczy.

Po krótkim czasie spokoju zaczęły się pojawiać różne zwiastuny zagłady. Najpierw doszło do mutacji roślin, potem do masowego wymierania zwierząt – ciała ptaków i martwe owady zaścielały ziemię, a powierzchnia oceanu pokryta była martwymi rybami. W ciągu kilku dni wyginęło wiele gatunków. Uwidocznił się wpływ promieni supernowej na ludzi. Wszyscy mieli identyczne objawy: lekką gorączkę, ogólne zmęczenie i niewytłumaczalne krwotoki. Odkryto zdolność regeneracji u dzieci, ale nie udowodniono tego definitywnie, i chociaż rządy poszczególnych państw sporządzały plany świata dzieci (w tym czasie trwała gra w dolinie, więc dzieci nie miały pojęcia o panującym na zewnątrz chaosie), kilka instytutów medycznych doszło do wniosku, że w końcu i tak wszyscy umrą na chorobę popromienną. Pomimo wysiłków rządów, by utrzymać to w tajemnicy, wieść o tej prognozie szybko rozniosła się po całym globie. Społeczeństwo początkowo uważało, że należy zdać się na los szczęścia albo na boga nauk medycznych. Od czasu do czasu pojawiały się plotki, że taki a taki instytut czy ośrodek badawczy opracował lek ratujący życie. Leki na białaczkę, takie jak cyklofosfamid, metotreksat, doksorubicyna i prednizon, stały się cenniejsze niż złoto, mimo że lekarze co rusz wyjaśniali, że ludzie nie chorują teraz na białaczkę. Wiele osób żywiło nadzieję, że być może Bóg

naprawdę istnieje, i jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać przeróżne kulty, a za sprawą powszechnych lub osobliwych form pobożności niektóre kraje i regiony wyglądały jak żywcem przeniesione ze średniowiecza.

Ale nie minęło wiele czasu, a nadzieja prysła, uruchamiając reakcję łańcuchową rozpaczy, przez co coraz więcej ludzi traciło zmysły. Kulminacją tego była masowa histeria, której nie oparły się nawet najbardziej opanowane jednostki. Sytuacja wymykała się władzom z rąk, bo policja i wojsko, które powinny utrzymywać porządek, same były w bardzo niestabilnym stanie. Momentami władze pod naciskiem największej presji psychicznej w ludzkich dziejach były częściowo sparaliżowane. W miastach liczono w tysiącach wypadki samochodowe, pojawiały się fale wybuchów i strzałów, a z płonących wysokich budynków wznosiły się słupy dymu. Wszędzie zbierały się oszalałe tłumy. W wyniku chaosu zamknięto porty lotnicze i przerwano połączenia powietrzne, morskie i lądowe z Europą i obiema Amerykami.

Powszechny nastrój panujący w tamtych czasach dobrze oddaje wielki nagłówek „New York Timesa”:

Niebo zamyka wszystkie wyjścia!!!

W obliczu śmierci wyznawcy religii albo jeszcze żarliwiej oddawali się wierze, albo wyrzekali się jej całkowicie i miotali pod adresem Boga przekleństwa. W napisach na murach miast pojawił się nowy tag, „Bies”, skrót od „Bóg to pies”.

Jednak kiedy potwierdzono zdolność organizmów dzieci do odnowy, oszalały świat od razu się uspokoił jak – według określenia jednego z dziennikarzy – „za wciśnięciem kontaktu”. Ówczesny nastrój ukazuje następujący wpis w dzienniku pewnej kobiety:

Mąż i ja siedzieliśmy skuleni na kanapie. Nasza psychika naprawdę nie mogła już tego znieść. Byliśmy pewni, że ta męczarnia nas wykończy, jeśli wcześniej nie umrzemy na tę chorobę. Na ekran telewizora wrócił obraz z oświadczeniem władz na pasku informacyjnym u dołu, że potwierdzono zdolność regeneracji u dzieci. Kiedy to przeczytałam, poczułam się, jakbyśmy dobiegli do mety maratonu i ciężko oddychali, pozwalając naszym zmęczonym ciałom i umysłom odpocząć. W minionych dniach najbardziej martwiliśmy się o małego Jingjinga. Modliłam się całą duszą, żeby nie dostał tej strasznej choroby! Gdy się dowiedziałam, że dzieci będą żyły, moje serce znowu zaczęło bić i nagle śmierć przestała mi się wydawać taka straszna. Teraz jestem tak spokojna, że aż trudno mi uwierzyć, iż tak beztrosko czekam na śmierć. Ale mój mąż się nie zmienił. Nadal cały się trzęsie, omal nie mdleje. A był takim silnym i pewnym siebie mężczyzną. Może to dlatego, że jestem kobietą, a kobieta lepiej rozumie moc życia. Kiedy zostaje matką, widzi w swoim dziecku przedłużenie własnego życia i wie, że nie ma się czego bać w obliczu śmierci, wie, że może z nią walczyć! Ten opór będzie trwał, dopóki będą żyli chłopcy i dziewczynki, wkrótce te drugie zostaną matkami i narodzą się nowe dzieci. Śmierć nie jest straszna. Nachylam się nad mężem i pytam szeptem: „Co powinniśmy przygotować dla Jingjinga?”, jakbyśmy mieli na kilka dni wyjechać gdzieś w interesach. Ale gdy tylko wypowiadam te słowa, powraca bolesny niepokój, bo czy nie przyznaję w ten sposób, że wkrótce nie będzie żadnych dorosłych? Co wtedy zrobią dzieci? Kto będzie gotował dla Jingjinga? Kto go będzie usypiał? Kto pomoże mu przejść przez ulicę? Co Jingjing będzie robił latem? I zimą? Boże, nie możemy go nawet zostawić z kimś innym, bo żyć będą tylko dzieci. Same dzieci! To się nie dzieje naprawdę, to nierzeczywiste! Ale co zrobić? Niedługo nadejdzie zima. Zima! A ja zrobiłam dopiero połowę swetra dla Jingjinga. Muszę przestać pisać i wrócić do tej roboty.

Za: *Ostatnie słowa w czasach zagłady*, Sanlian Press, 8 r. e.s.

Od razu zaczęło się wielkie uczenie. Był to jeden z najbardziej osobliwych okresów w ludzkich dziejach, gdyż społeczeństwo przybrało formę, jakiej nie miało nigdy wcześniej i jakiej nie będzie prawdopodobnie miało w przyszłości. Świat stał się ogromną szkołą, w której dzieci

nerwowo uczyły się wszystkich umiejętności niezbędnych do przetrwania ludzkości. Musiały posiąść zdolność do kierowania światem, a miały na to zaledwie kilka miesięcy.

W większości przypadków dziedziczyły zawody po rodzicach i od nich nabywały potrzebne do ich wykonywania kwalifikacje. To podejście spowodowało wiele problemów społecznych, ale było jedynym skutecznym rozwiązaniem, jakie zdołano wymyślić.

Z powodu szczególnych obowiązków spoczywających na względnie starszych przywódcach na ogół wybierano ich w kręgach wewnętrznych, a następnie szkolono w zakresie przypadających im funkcji, przy czym różne kraje przyjmowały różne kryteria wyboru. Okazało się to trudne wskutek specyficznych cech dziecięcej społeczności, a chociaż przyszłe wydarzenia pokazały, że w większości przypadków dokonano złego wyboru, zachowano dzięki temu podstawowe struktury społeczne.

Najtrudniejszy był wybór przywódców państw, zadanie praktycznie niemożliwe do wykonania w tak krótkim czasie. Poszczególne kraje obrały niezależnie od siebie tę samą metodę – model państwa. Skala tych symulacji była zróżnicowana, ale wszystkie opierały się na schemacie bardzo zbliżonym do rzeczywistego i niemal okrutnego oblicza danego kraju, w nadziei, że z trudności, krwi i ognia wyłonią się jednostki ze zdolnościami przywódczymi. Późniejsi historycy uznali to za najbardziej zdumiewającą cechę końca ery powszechnej, a krótkie dzieje tych symulowanych państw stały się bogatą pożywką dla literatury fantastycznej ery supernowej. Okres ten dał początek całym kategoriom powieści i filmów, które były coraz bardziej oderwane od rzeczywistości i stopniowo nabierały znamion mitu. Wygłaszano różne opinie na temat tej ery, ale większość historyków przyznawała, że w ówczesnych ekstremalnych warunkach wybór, którego dokonano, był racjonalny.

Kluczową dziedziną było bez wątpienia rolnictwo, ale na szczęście dzieci łatwo się go uczyły. W odróżnieniu od miejskich wiejskie dzieci w większym lub mniejszym stopniu pomagały wcześniej w pracy rodzicom, tylko w wielkich gospodarstwach krajów uprzemysłowionych nabycie umiejętności uprawy roli przychodziło im z trudem. W skali globalnej dzieci mogły wykorzystać do produkcji całej potrzebnej żywności istniejący już sprzęt i systemy nawadniania, co stało się podstawą przetrwania całej ludzkości.

Dzieci dowiodły też, że szybko się uczą innych podstawowych umiejętności istotnych dla funkcjonowania społeczeństwa, takich jak handel i usługi. Finanse były bardziej skomplikowane, ale przy odpowiednim wysiłku i ten sektor częściowo działał. Poza tym w świecie dzieci finansowość miała być dużo prostsza.

Również nabywanie kwalifikacji zawodowych w innych działach pracy przychodziło im całkiem łatwo, co było sporym zaskoczeniem dla dorosłych. Szybko opanowywały umiejętność prowadzenia pojazdów, obsługi maszyn i, co było najbardziej zdumiewające, pilotowania myśliwców, chociaż – co zrozumiałe – daleko im było do biegłości. Dorośli dopiero teraz uświadomili sobie, że dzieci mają wrodzoną zdolność do wymagających zręczności prac, która z wiekiem zanika.

Jednak dużo trudniej było z pracą wymagającą wiedzy specjalistycznej. Wprawdzie dzieci łatwo uczyły się kierowania pojazdami, ale trudniej im było stać się wykwalifikowanymi mechanikami. Młodzi piloci potrafili latać, ale było praktycznie niemożliwe, by składający się z nich personel naziemny potrafił poprawnie ocenić i naprawić usterki. Jeszcze trudniejsze było znalezienie wśród dzieci techników z wiedzą na poziomie inżynierskim. Tak więc jednym z największych wyzwań wielkiego uczenia było doprowadzenie do tego, by konieczne dla trwania społeczeństwa

wytwory skomplikowanych technologii, takie jak sieć energetyczna, nadal funkcjonowały; temu wyzwaniu sprostano tylko częściowo. Było niemal pewne, że w świecie dzieci technologia bardzo się cofnie, według najbardziej optymistycznych prognoz – o pół wieku, chociaż niektórzy wróżyli, że do epoki przedprzemysłowej.

Jednak najwięcej kłopotów miały dzieci z opanowaniem dziedziny badań naukowych i przywództwa na najwyższym szczeblu.

Trudno było sobie wyobrazić naukę w świecie, w którym dzieci z podstawowym zaledwie wykształceniem miałyby podążać długą drogą prowadzącą do myślenia abstrakcyjnego, niezbędnego dla tworzenia nowych teorii naukowych. I choć podstawowe badania naukowe były konieczne dla przetrwania ludzkości w obecnych warunkach, stanęły przed poważnym zagrożeniem: dzieci były nieprzygotowane do myślenia teoretycznego, co oznaczało, że cały postęp naukowy zostanie wstrzymany na nieokreślony czas. Czy nauka kiedykolwiek powróci? A jeśli nie, czy będzie to równoznaczne z powrotem do wczesnego średniowiecza?

Bardziej praktycznym i pilniejszym problemem było znalezienie jednostek z talentem przywódczym. Niełatwo osiągnąć dojrzałość, a najwyżsi przywódcy muszą mieć rozległą wiedzę z dziedziny polityki, ekonomii i historii, głębokie zrozumienie społeczeństwa, doświadczenie w zarządzaniu w dużej skali, umiejętność nawiązywania i podtrzymywania relacji interpersonalnych oraz właściwej oceny sytuacji, a także stabilny charakter, czego dzieciom brakuje. Co więcej, nie można w tak krótkim czasie ukształtować charakteru ani nabyć doświadczenia; tego nie da się nikogo nauczyć, każdy musi sam do tego dojść, a jest to długi proces. A zatem młodzi wyżsi przywódcy, z powodu swej naiwności i pod wpływem impulsu, mogli podejmować błędne decyzje, które mogły mieć

straszne, nawet katastrofalne, skutki i stać się największym zagrożeniem dla ich świata. Przyszłość pokazała, że nie były to bezpodstawne obawy.

Przez kolejne kilka miesięcy Zheng Chen krążyła po mieście, pomagając swoim podopiecznym, którzy uczyli się od dorosłych niezbędnych umiejętności przetrwania. Byli rozproszeni po całym mieście, ale ona czuła się tak, jakby nadal stanowili jedną klasę.

Dziecko w jej łonie rosło z dnia na dzień, podobnie jak ciężar jej ciała, i to nie tylko z powodu ciąży, ale również dlatego, że jak u wszystkich innych osób powyżej trzynastego roku życia coraz bardziej widoczne stawały się oznaki choroby supernowej. Miała stale stan podgorączkowy, pulsowało jej w skroniach, jej ciało od stóp do głowy było miękkie jak muł. Mimo że płód rozwijał się zdrowo, zastanawiała się, czy jej pogarszający się stan pozwoli jej go donosić.

Przed pójściem do szpitala odwiedziła Jin Yunhuiego i Zhao Yuzhonga. Jin Yunhui przechodził szkolenie na pilota myśliwca w bazie położonej sto kilometrów od miasta. Znalazła go na początku pasa startowego w grupie przygotowanych do lotu dzieci i kilku oficerów sił powietrznych. Wszystkich otaczała atmosfera nerwowości i strachu. Patrzyli na niebo nad głowami. Z niezwykłym trudem udało się jej dojrzeć tam srebrzystą plamkę. Yunhui powiedział, że na wysokości pięciu tysięcy metrów w odrzutowym myśliwcu zgasł silnik. Samolot przechwytujący J-8 spadał jak kamień. Patrzyli, jak mija dwa tysiące metrów, optymalną wysokość do katapultowania się, ale spadochron się nie pokazał. Czy było to wynikiem usterki katapulty? Czy może pilot nie trafił we właściwy przycisk? A może wciąż starał się uratować samolot? Na te pytania nigdy nie uzyskali odpowiedzi. Oficerowie opuścili lornetki i patrzyli gołym okiem na

spadający, błyszczący w promieniach południowego słońca samolot, aż zniknął za odległym łańcuchem wzgórz. Potem zobaczyli wznoszącą się nad szczytem wzgórza spowitą dymem kulę ognia i usłyszeli silny huk eksplozji.

Dowódca, starszy pułkownik, stał z boku jak kamienny posąg i patrzył oniemiały na odległy słup dymu. Yunhui powiedział szeptem Zheng Chen, że pilotem był jego trzynastoletni syn.

Po długiej chwili ciszę przerwał komisarz polityczny. Starając się powstrzymać łzy, powiedział:

– Już to mówiłem. Dzieci nie mogą pilotować myśliwców wysokiej klasy! Nie dorównają dorosłym pod żadnym względem, ani czasem reakcji, ani siłą fizyczną, ani siłą psychiki. A pozwalać im latać w pojedynkę po zaledwie dwudziestu godzinach spędzonych w powietrzu i po kolejnych trzydziestu wsadzać je do J-8? Igracie z ich życiem!

– Igralibyśmy, gdybyśmy nie kazali im latać – oznajmił starszy pułkownik, dołączając znowu do grupy. Jego głos pozostał twardy. – Jak wszyscy wiecie, tam dzieci wylatują po dwa tysiące godzin na F15 i mirage’ach. Jeśli będziemy dreptali w miejscu, mój syn nie będzie jedynym martwym.

– 8311 na pokład! – krzyknął inny pułkownik. Był to ojciec Jin Yunhuiego i wywoływał swojego syna.

Yunhui podniósł hełm i spadochron. Hermetyczne kombinezony dopasowano w pośpiechu do rozmiarów dzieci, ale hełmy były przystosowane dla dorosłych i wyglądało na to, że są za duże. Również pistolet u jego pasa wyglądał na zbyt duży i ciężki. Kiedy przechodził obok ojca, ten położył mu rękę na ramieniu.

– Warunki pogodowe są dzisiaj złe, więc uważaj na prądy przeciwne. Jeśli zgaśnie silnik, zachowaj spokój i najpierw określ kierunek obrotu

maszyny. Potem wydostań się z niej, przechodząc po kolei kroki, które stale ćwiczyliśmy. Pamiętaj: przede wszystkim masz zachować spokój!

Yunhui kiwnął głową. Zheng Chen widziała, że uścisk jego ojca zelżał, ale jego ręka pozostała na ramieniu syna, jakby coś ją tam zatrzymywało. Yunhui delikatnie wzruszył ramionami, strząsając dłoń ojca, i pobiegł do wielozadaniowego myśliwca J-10. Przed wejściem do kokpitu nie spojrzał na ojca, ale uśmiechnął się do Zheng Chen.

Ponad godzinę patrzyła, jak srebrzysta plamka zostawia na błękitnym niebie śnieżnobiały ślad, i słuchała głuchego grzmienia silników, dopóki Yunhui nie powrócił bezpiecznie na ziemię. Trudno jej było uwierzyć, że myśliwiec pilotował jeden z jej niedawnych uczniów ze szkoły podstawowej.

Jako ostatniego odwiedziła Zhao Yuzhonga na równinach prowincji Hebei. Był na polu. Właśnie zasiano pszenicę ozimą i oboje usiedli w promieniach słońca na ciepłej miękkiej ziemi niczym w objęciach matki. Potem słońce przesłonił cień, a gdy podnieśli głowy, zobaczyli twarz starego rolnika, ojca Yuzhonga.

– Synu, ziemia jest hojna. Dasz jej swój trud, a ona ci się odpłaci. Ta ziemia to najbardziej uczciwa rzecz, jaką spotkałem w całym moim życiu, i jest warta całego wysiłku, który włożyłem w jej uprawę.

Zheng Chen popatrzyła na obsiane pola i westchnęła. Wiedziała, że jej życie zbliża się do końca, i mogła odejść bez smutku. Chciała się cieszyć jego ostatnimi chwilami, ale trzymały ją nici przywiązania. Najpierw myślała, że jest to przywiązanie do dziecka w jej łonie, ale wkrótce uświadomiła sobie, że te nici łączą ją z odległym o czterysta pięćdziesiąt kilometrów Pekinem, gdzie w bijącym sercu kraju ośmioro dzieci

przechodziło najtrudniejszą szkołę w historii ludzkości, ucząc się rzeczy, których wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie mogły się nauczyć.

Szef sztabu generalnego

– To terytorium, którego będziesz bronił – powiedział szef sztabu generalnego do Lü Ganga, wskazując mapę. Zajmowała ona całą ścianę pokoju. Była to największa mapa, jaką Lü Gang kiedykolwiek widział. – A to świat, na którym żyjemy. – Szef sztabu pokazał mapę świata o podobnych wymiarach.

– Panie generale, proszę dać mi pistolet!

Tamten potrząsnął głową.

– Chłopcze, dzień, w którym będziesz musiał sam strzelać do wroga, będzie dniem klęski twojej ojczyzny. Bierzmy się do nauki. – Odwrócił się do mapy i przesunął dłonią na północ od Pekinu. – Za chwilę tam polecimy. Patrząc na mapę, stwórz w umyśle obraz tego rozległego terenu i wyobraź sobie jego wszystkie szczegóły. To podstawowa umiejętność dowódcy wojska. Jesteś dowódcą całej armii, więc kiedy patrzysz na tę mapę, musisz mieć ogólne wyczucie całego terytorium kraju.

Szef sztabu wyprowadził Lü Ganga z pokoju i wraz z dwoma innymi pułkownikami ze sztabu wsiedli do stojącego na dziedzińcu helikoptera. Maszyna wzniosła się z wyciem silników i po chwili lecieli już nad miastem.

– Mamy trzydzieści kilka miast takiej wielkości – powiedział szef sztabu, wskazując skupiska budynków w dole. – W wojnie totalnej mogą się one stać polami bitew albo punktami wszczęcia kampanii.

– Panie generale, mam się nauczyć, jak bronić wielkich miast? – zapytał Lü Gang.

Szef sztabu znowu potrząsnął głową.

– Opracowanie planów obrony poszczególnych miast to zadanie dla dowódców frontowych. Do ciebie należy podjęcie decyzji, czy jakiegoś miasta trzeba bronić, czy je opuścić.

– Czy można opuścić stolicę?

Generał skinął głową.

– Żeby odnieść ostateczne zwycięstwo w wojnie, można opuścić nawet stolicę. Decyzję o tym należy podjąć w zależności od sytuacji. Oczywiście jeśli chodzi o stolicę, trzeba wziąć pod uwagę wiele czynników. Jednak jednego możesz być pewien: to niezwykle trudna decyzja. Podczas wojny najłatwiej jest desperacko, z pogardą dla śmierci, użyć skutecznej siły. Naczelny wódz jednak nie stosuje takich środków, tylko zmusza do ich użycia nieprzyjaciela. Zapamiętaj sobie, dziecko: wojna nie wymaga bohaterów, lecz zwycięstwa.

Wkrótce helikopter znalazł się za miastem, nad pofałdowanymi wzgórzami.

– Jeśli w świecie dzieci wybuchnie wojna, to na pewno nie będzie to wojna z zastosowaniem najnowocześniejszych technik w naszym obecnym rozumieniu – rzekł szef sztabu. – Jest bardziej prawdopodobne, że będzie przypominała drugą wojnę światową. Ale to tylko domysł. Macie inne umysły niż dorośli. Wojna dzieci może przybrać formę niepodobną do niczego, co jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Ale możemy was nauczyć wojować tylko tak, jak robią to dorośli.

Helikopter leciał przez około czterdzieści minut. Rozległy teren w dole upstrzony był pagórkami, znajdował się tam też pas ziemi, która zaczęła pustynnieć, oraz resztki okrywy roślinnej, z której wznosiły się słupy kurzu i piachu.

– Teraz zaczyna się lekcja, chłopcze – oznajmił szef sztabu. – We wczesnych latach osiemdziesiątych na terenie pod nami przeprowadzono jedną z największych gier wojennych w historii wojskowości*. Teraz robimy tu symulację pola bitwy. W tych ćwiczeniach bierze udział pięć armii polowych.

Lü Gang spojrzał w dół.

– Pięć armii? Gdzie?

Helikopter opadł szybko i Lü Gang zobaczył, że słupy kurzu wzbijały się nad drogami, którymi czołgi i inne pojazdy wojskowe pełzły niczym chrząszcze ku czemuś niewyraźnemu na horyzoncie. Zauważył, że niektóre z nich nie jadą drogami ani nie wzbijają kurzu. Poruszały się dużo szybciej niż reszta i zdał sobie sprawę, że to nisko lecące helikoptery.

– Pod nami zbiera się Niebieska Armia – wyjaśnił szef sztabu. – Niedługo uderzy na Czerwoną Armię. – Wskazał na południe i nakreślił niewidzialną linię w poprzek wzgórz. – Popatrz, to linia obronna Czerwonej Armii.

Helikopter skierował się w stronę tej linii i wylądował u stóp wzgórza. Czerwoną ziemię przecinały krzyżujące się koleiny. Wysiedli i zielone samochody zgrupowania zawiozły ich do jaskini w zboczu wzgórza.

Lü Gang zauważył, że wśród uwijających się wokół żołnierzy i salutujących im u wejścia do jaskini wartowników są dzieci.

Otworzyły się ciężkie drzwi i weszli do wielkiej komory z mapami sytuacyjnymi pola walki wyświetlanymi na trzech dużych ekranach na przeciwległej ścianie, na których widniała plątanina niebieskich i czerwonych strzałek, przypominająca jakieś pełzające groteskowe stworzenie. Pośrodku pomieszczenia stał duży stół piaskownica, otoczony jaskrawymi ekranami komputerów, które obsługiwali oficerowie w strojach

maskujących. Połowę z nich, jak zauważył Lü Gang, stanowiły dzieci. Gdy wszedł szef sztabu, stanęli na baczność i zasalutowali.

– To system Czerwonej Armii wyświetlający obraz bitwy? – zapytał szef sztabu, wskazując ekrany.

– Tak jest – odparł jakiś pułkownik.

– Dzieci wiedzą, jak go używać?

Pułkownik potrząsnął głową.

– Uczą się. Ale nadal potrzebują pomocy dorosłych.

– Powieście mapę pola walki. W każdym razie ona jest najbardziej wiarygodna.

Podczas gdy kilku oficerów rozwijało mapę, generał rzekł do Lü Ganga:

– Tutaj znajduje się dowództwo Czerwonej Armii. W tej symulacji kilkaset tysięcy dzieci uczy się sztuki prowadzenia wojny. Nauka obejmuje wiedzę o tym, jak pełnić funkcje od szeregowca do generała armii polowej. Ty, mój chłopcze, masz najtrudniejszy program. Nie oczekuj, że się dużo nauczysz w tak krótkim czasie, ale musimy ci wpoić umiejętność poprawnej i precyzyjnej oceny sytuacji i rozbudzić w tobie instynktowne wyczucie wojny na wysokim poziomie. To też nie jest łatwe. W przeszłości awansowanie od stopnia kadeta akademii wojskowej do twojego obecnego stanowiska zajmowało co najmniej trzydzieści lat i bez tego trzydziestoletniego doświadczenia będzie ci trudno zrozumieć niektóre rzeczy, o których ci powiem. Postaramy się zrobić co w naszej mocy. Na szczęście twoi przyszli przeciwnicy nie są ani trochę lepsi od ciebie. Od tej pory zapomnij o wszystkim, czego dowiedziałeś się o wojnie z filmów. Przekonasz się, że filmowa wojna jest zupełnie inna niż prawdziwa. Bardzo się różni również od bitwy w dolinie, w której dowodziłeś. Te, w których będziesz dowodził, mogą być dziesięć tysięcy razy większe. – Potem zwrócił się do starszego pułkownika: – Dalej!

Pułkownik zasalutował i wyszedł. Niedługo potem wrócił.

– Panie generale, Niebieska Armia przypuściła totalny atak na linie obronne Czerwonej.

Lü Gang rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł żadnych zauważalnych zmian. Plątanina strzałek na mapie nie poruszyła się ani trochę. Jedyna różnica sprowadzała się do tego, że dorośli przy stole piaskownicy i mapie pola walki przerwali wyjaśnienia, a dzieci założyły słuchawki z mikrofonami i stały w pogotowiu.

– My też zaczęliśmy – rzekł szef sztabu. – Chłopcze, otrzymałeś raport o ruchach nieprzyjaciela. Co musisz najpierw zrobić?

– Rozkazać linii obrony zatrzymać nieprzyjaciela!

– To nie jest rozkaz.

Lü Gang patrzył na niego w osłupieniu. Weszło trzech innych generałów z kierownictwa manewrów. Potem poczuli dochodzące z zewnątrz stłumione wstrząsy.

– Z czego składa się twój rozkaz? – podpowiedział mu szef sztabu. – Na czym go opierasz?

Myślał przez chwilę.

– A, tak. Określić główny kierunek natarcia nieprzyjaciela.

Szef sztabu kiwnął głową.

– Dobrze. Ale jak to określisz?

– To miejsce, gdzie nieprzyjaciel skoncentrował najwięcej żołnierzy i atakuje najzacieklej.

– Zasadniczo prawidłowo. Ale skąd wiesz, gdzie skoncentrował najwięcej żołnierzy i gdzie atakuje najzacieklej?

– Zobaczę to z najwyższego wzgórza na linii frontu!

Wyraz twarzy szefa sztabu się nie zmienił, ale trzej pozostali generałowie lekko westchnęli. Wydawało się, że jeden z nich chce coś powiedzieć Lü

Gangowi, ale powstrzymał go szef sztabu, który rzekł:

– Dobrze. No to się rozejrzyjmy.

Kapitan podał im hełmy i wręczył Lü Gangowi lornetkę, a potem otworzył ciężkie drzwi. Kiedy szli długim korytarzem do wyjścia, docierały tam odgłosy wybuchów, które stawały się coraz bardziej ogłuszające, i powiewy wiatru z lekkim zapachem dymu. Drżała ziemia pod ich stopami, a dym był coraz gęstszy. Mrużąc oczy przed jasnym światłem słońca, Lü Gang rozejrzał się wokół, ale sceneria niewiele się zmieniła od chwili ich przylotu – były tam zielone pojazdy, poprzecinana koleinami ziemia i kilka spokojnie wyglądających wzgórz. Nie potrafił zlokalizować miejsc wybuchu pocisków; eksplozje brzmiały tak, jakby dobiegały z innego świata, ale z drugiej strony wydawało mu się, że dzieje się to tuż obok niego. Nisko nad szczytem wzgórza naprzeciw niego przeleciało kilka helikopterów opancerzonych.

Zabrał ich samochód terenowy, popędził górską drogą i po kilku minutach dotarli na szczyt wzgórza, na którym znajdowały się punkt dowodzenia i stacja radarowa z ogromną, obracającą się w ciszy anteną. Z na wpół otwartych drzwi pojazdu radiolokacyjnego wysunął głowę chłopiec w przekrzywionym, za dużym hełmie, ale szybko ją cofnął i zatrzasnął drzwi.

Wysiedli z samochodu i szef sztabu zatoczył szeroki łuk dłonią.

– To wzniesienie jest znakomitym punktem widokowym. Czyń swoje obserwacje.

Lü Gang rozejrzał się. Rzeczywiście roztaczał się stąd wspaniały widok na nierówny, pofałdowany teren. Zlokalizował miejsca wybuchów, wszystkie były odległe, a najnowsze jeszcze dymiły. Niektóre wzgórza spowijał gęsty dym i kurz i wydawało się, że są atakowane już od pewnego czasu, ale widział tylko sporadyczne błyski eksplozji. Ze wszystkich stron

dobrze widać było cele, rzadko, ale równomiernie rozmieszczone w polu widzenia, a nie, jak sobie wyobrażał, w jednej linii. Podniósł do oczu lornetkę i zlustrował scenerię, nie szukając żadnego konkretnego celu. Wizjer prześlizgiwał się po ubogiej szacie roślinnej, nagich skałach i piasku, ale Lü Gang nie znalazł niczego innego. Skierował lornetkę na odległe oblegane wzgórze, ale widział tylko obłok dymu wznoszący się nad sceną, którą mimo to tworzyły szata roślinna, skały i piasek. Wstrzymał oddech i przyjrzał się jeszcze raz, dokładniej, i w końcu dostrzegł w korycie wyschniętego strumienia dwa pojazdy opancerzone, ale w mgnieniu oka zniknęły one w dolinie. Na innej drodze między wzgórzami zauważył czołg, ale ten niebawem się obrócił i odjechał tą samą drogą, którą przybył. Lü Gang opuścił lornetkę i patrzył na pole walki w osłupieniu.

Gdzie była linia obrony, gdzie była nacierająca Niebieska Armia? Gdzie stanowiska Czerwonej Armii? Nie mógł być pewien nawet tego, czy te dwie wielkie armie naprawdę istnieją, bo widział tylko odległe cele ataków bombowych i dymy unoszące się nad kilkoma wzgórzami, które wyglądały bardziej jak sygnały dymne niż oznaki bitwy. Czy naprawdę toczyła się tam zacięta walka?

Stojący obok niego szef sztabu roześmiał się.

– Wiedziałem, o jakiej wojnie myślisz: szeroka, płaska równina, siły wroga w uporządkowanym szyku, nacierające jak na paradzie, a linia obrony jak Wielki Mur ciągnący się przez całe pole walki; ty jako naczelny wódz stoisz na wzniesieniu za linią frontu, oglądasz całe pole walki, jakby było na stole piaskownicy, mobilizujesz jednostki, jakbyś przesuwał pionki i figury na szachownicy… Być może tak prowadzono wojny w epoce białej broni, ale nawet wtedy musiało się to ograniczać do drobnych utarczek. Czyngis-chan czy Napoleon widzieli tylko część bitew, które toczyli. We współczesnej wojnie teren bitwy jest jeszcze bardziej skomplikowany,

a wskutek działań mobilnej, ciężkiej artylerii o dalekim zasięgu pocisków przeciwnicy są jeszcze bardziej od siebie oddaleni i ukrywają swoje ruchy. Oznacza to, że współczesne pole walki jest praktycznie niewidoczne dla odległego obserwatora. Podejście, które przyjąłeś, może być odpowiednie dla dowódcy kompanii. Ale, jak wcześniej powiedziałem, zapomnij o filmach wojennych. Wracajmy na stanowisko naczelnego dowódcy.

Gdy się ponownie znaleźli na stanowisku dowodzenia, stan rzeczy uległ zasadniczej zmianie. Ulotnił się poprzedni spokój i grupy dorosłych oraz młodocianych oficerów krzyczały przez radio i telefony, dzieci z pomocą dorosłych przestawiały na stole piaskownicy zgodnie z informacjami podawanymi im przez słuchawki znaki wskazujące pozycje, mapa sytuacyjna na wielkich ekranach była w ciągłym ruchu.

– Widzisz to? – powiedział szef sztabu, wskazując ręką Lü Gangowi całą tę aktywność. – To twoje pole walki. Jako naczelny dowódca masz mniejszy zakres ruchów niż zwykły szeregowiec, ale stąd możesz ogarnąć wzrokiem i słuchem przebieg całej bitwy. Musisz się oswoić ze swoimi nowymi zmysłami i nauczyć się ich używać. Żeby być dobrym dowódcą, musisz być w stanie stworzyć w swojej głowie realistyczną mapę pola walki, gdzie każdy szczegół jest prawdziwy. Nie jest to łatwe.

Lü Gang podrapał się w głowę.

– To nadal dziwne. Myślę o wydawaniu rozkazów z tej jaskini w oparciu o informacje z komputerów i radiotelefonów.

– Kiedy zrozumiesz charakter raportów wywiadu i rozpoznania, przestanie to być dla ciebie dziwne – powiedział szef sztabu, prowadząc go przed jeden z wielkich ekranów. Podniósł laserowy wskaźnik i zakreślił małe kółko, po czym zwrócił się do młodocianego kapitana obsługującego komputer obok nich: – Powiększ ten sektor, chłopcze.

Mały kapitan narysował prostokąt wokół zaznaczonego obszaru i powiększył go do rozmiarów całego ekranu.

– To obraz sytuacji wokół wzgórz 305, 322 i 374 – powiedział szef sztabu. Wskazując dwa sąsiednie sektory, rzekł do kapitana: – Pokaż jeszcze obrazy tego samego rejonu, ale z dwóch różnych raportów rozpoznania.

Chłopiec starał się to zrobić, ale mu nie wychodziło, więc po chwili dorosły major wziął od niego myszkę i rzutował na ekran dwa obrazy. Lü Gang zauważył, że trzy obrazy pokazywały tę samą geograficznie sytuację, linie wokół trzech wzniesień tworzące trójkąt równoboczny, ale były między nimi znaczne różnice w liczbie, kierunku i grubości poruszających się czerwonych i niebieskich strzałek.

Major opisał szefowi sztabu obrazy.

– Pierwszy obraz opiera się na informacjach dostarczonych przez rozpoznanie trzeciego pułku 115. dywizji Armii D, który broni wzgórza 305. Według tego raportu ich rejon atakują dwa plutony Niebieskiej Armii, koncentrując się na wzgórzu 322. Drugi obraz opiera się na rozpoznaniu powietrznym pułku lotnictwa Armii D, według którego Niebieska Armia skierowała w ten rejon jeden pluton do natarcia na wzgórze 374. Trzeci obraz pochodzi z drugiego pułku 21. dywizji Armii F, który broni wzgórza 322. Zgodnie z tym raportem Niebieska Armia wysłała do ataku na te trzy wzgórza całą dywizję, która skupia się na zajęciu wzgórza 305 i próbuje oflankować wzgórza 322 i 374.

– Te raporty zostały przysłane w tym samym czasie? – zapytał Lü Gang.

Major kiwnął głową.

– Tak, pół godziny temu, z tego samego rejonu.

Zdezorientowany Lü Gang patrzył na trzy ekrany.

– Jak mogą się tak różnić?

Szef sztabu zwrócił się do majora:

– Pokaż wszystkie raporty o tych wzgórzach z tego samego czasu.

Major wyjął plik papierów grubości egzemplarza *Dziejów Trzech Królestw*.

– Och, ile tego jest! – wykrzyknął Lü Gang.

– We współczesnej wojnie mamy nadmiar danych z pola walki. Na podstawie wyczerpującej analizy wszystkich informacji musisz znaleźć jakiś kierunek, który pozwoli ci poprawnie ocenić sytuację. To, co widziałeś w filmach, w których bohaterowi udaje się przeniknąć do wroga, a potem dowódca wykorzystuje jedyny wysłany przez niego raport wywiadowczy, to totalna bzdura. Oczywiście nie chodzi o to, żebyś czytał każdy raport. To zadanie dla twoich doradców, którzy wykorzystują system C31 do przetworzenia ogromnej ilości danych zebranych podczas bitwy. Ale ostateczna decyzja należy do ciebie.

– To naprawdę skomplikowane…

– Nawet bardziej, niż myślisz. Kierunek, który znajdziesz w tym zalewie informacji, może nie być rzeczywisty. Może to być strategiczny podstęp nieprzyjaciela.

– Taki jak operacja Pattona „Bodyguard” przed lądowaniem w Normandii?

– Zgadza się. A teraz zobaczmy, jak określisz na podstawie tych raportów główny kierunek natarcia Niebieskiej Armii.

* W 1981 roku w manewrach wojskowych w Huabei wzięło udział ponad sto tysięcy żołnierzy.

Glutaminian sodu i sól

Mała kolumna samochodów jadąca z Pekinu na północ przybyła w ciche miejsce otoczone niskimi wzgórzami. Samochody zatrzymały się, po czym wysiedli z nich prezydent i premier z trójką nastolatków: Huahuą, Okularnikiem i Xiaomeng.

– Popatrzcie, dzieci – powiedział prezydent, wskazując linię kolejową, gdzie na jedynym torze stał długi pociąg towarowy. Łańcuch wagonów ciągnął się wokół stóp wzgórza ogromnym łukiem, którego końca nie było widać.

– O rany, ale długi pociąg! – wykrzyknął Huahua.

– W sumie jest tam jedenaście pociągów, a każdy składa się z dwudziestu wagonów. To mający kształt pętli tor testowy – wyjaśnił prezydent. – Tutaj wypróbowuje się lokomotywy przysyłane z fabryki. – Obrócił się do członka swojego personelu i powiedział: – Teraz nie jest używany, tak?

Tamten skinął głową.

– Tak. Już od pewnego czasu. Został zbudowany w latach siedemdziesiątych i nie nadaje się dla pociągów rozwijających dużą prędkość.

– Więc będziecie musieli zbudować nowy – rzekł premier do dzieci.

– Może nie będziemy musieli testować pociągów szybkobieżnych – powiedział Huahua. Gdy prezydent zapytał go dlaczego, wskazał na niebo i odparł: – Wyobrażam sobie pociąg podniebny, w którym lokomotywą będzie samolot z potężnym napędem jądrowym, ciągnący sznur bezsilnikowych szybowców. Dużo szybszy od tradycyjnego pociągu.

– Fascynujące – powiedział premier. – Ale jak będzie się wznosił w powietrze i lądował?

– Będzie mógł to robić – odparł Okularnik – ale nie wiem dokładnie jak. Jest jednak historyczny precedens. Podczas drugiej wojny światowej alianci użyli samolotu transportowego, który ciągnął za sobą sznur szybowców ze spadochroniarzami.

– Pamiętam to – wtrącił się prezydent. – Mieli przejąć most na Renie za liniami wroga. Operacja „Varsity”. Największy desant powietrzny w historii.

– Gdyby można było holować też samoloty z konwencjonalnym napędem, mogłoby to mieć faktycznie rzeczywiste zastosowanie – rzekł premier. – Zmniejszyłoby to koszty transportu o dziewięćdziesiąt procent.

– Czy ktoś w kraju wystąpił już wcześniej z takim pomysłem? – zapytał prezydent.

Premier potrząsnął głową.

– Nie. Najwyraźniej dzieci nie na każdym odcinku są w gorszej sytuacji.

Prezydent spojrzał na niebo i powiedział z emfazą:

– Podniebne pociągi, a może też ogrody. Cóż za cudowna przyszłość! Mimo to najpierw musimy pomóc dzieciom wypełnić luki w wiedzy. W końcu nie przyjechaliśmy tu po to, żeby dyskutować o pociągach. – Wskazał wagony. – No, dzieci, zobaczcie, co w nich jest.

Wszystkie pobiegły do pociągu. Huahua wspiął się po drabince do jednego wagonu, a za nim Okularnik i Xiaomeng. Stanęli na białych foliowych workach, którymi wypełniony był wagon. Takie same worki, błyszczące w słońcu, znajdowały się we wszystkich pozostałych wagonach. Okularnik przykucnął i zrobił dziurkę w jednym z nich. Wysypały się z niego przezroczyste drobiny w kształcie igieł. Huahua wziął jedną i polizał.

– Ostrożnie. To może być trucizna – powiedział Okularnik.

– Wygląda na glutaminian sodu – stwierdziła Xiaomeng i też polizała jedną z granulek. – Tak, to glutaminian sodu.

– Potrafisz rozpoznać smak glutaminianu sodu? – Huahua łypnął na nią podejrzliwie.

– Tak, to glutaminian sodu. Spójrz! – rzekł Okularnik i wskazał rząd worków przed nimi, na których widniało wypisane dużymi literami znane im z telewizji logo.

Trudno im jednak było pogodzić widok szefa kuchni w wielkiej białej czapie, który w telewizji sypie szczyptę białego proszku do garnka, z tym ogromnym smokiem. Poszli na drugi koniec wagonu i ostrożnie przeszli do następnego, który wypełniony był takimi samymi workami, też z glutaminianem sodu. Zbadali trzy kolejne wagony, wszystkie z glutaminianem sodu; najwyraźniej w pozostałych było to samo. Dzieciom przyzwyczajonym do wagonów pasażerskich nawet jeden wagon towarowy wydawał się wielki, a kiedy je policzyli, okazało się, że – jak mówił premier – pociąg składał się z dwudziestu, wszystkich z glutaminianem sodu.

– O rany, ale tego dużo. Musi tu być glutaminian z całego kraju.

Gdy zeszli po drabince na ziemię, zobaczyli prezydenta i premiera zbliżających się ścieżką biegnącą wzdłuż torów i mieli do nich podbiec, lecz premier zatrzymał ich machnięciem ręki i krzyknął:

– Zobaczcie, co jest w pozostałych pociągach!

Tak więc cała trójka odwróciła się i pobiegła w drugą stronę. Minąwszy kilkanaście wagonów, lokomotywę i dziesięciometrową lukę, dotarli do końca drugiego pociągu i wdrapali się na wagon. Również ten wypełniony był po brzegi białymi workami, ale nie z folii, lecz z juty. Widniały na nich napisy „Sól kuchenna”. Trudno je było przedziurawić, ale wysypało się

z nich trochę pyłu. Nabrali go na palce, spróbowali i rzeczywiście miał smak soli. Przed nimi ciągnął się drugi biały smok – dwadzieścia wagonów soli.

Wrócili na ścieżkę, przebiegli obok całego pociągu i wdrapali się na wagon trzeciego składu. Podobnie jak poprzedni był pełen soli. Zeszli na ziemię i pobiegli do czwartego. Też sól. Xiaomeng oświadczyła, że nie może już biec, więc ruszyli spokojnym krokiem. Dotarcie do piątego pociągu zajęło im trochę czasu. Znowu sól.

Byli trochę zniechęceni tym, co zobaczyli z góry. Niekończący się sznur wagonów zakręcał i niknął za wzgórzem. Zeszli i minęli kolejne dwa pociągi pełne soli. Przód drugiego był za wzgórzem i z punktu widokowego na nim zobaczyli koniec sznura pociągów. Jak policzyli, były jeszcze cztery.

Usiedli, by złapać oddech.

– Jestem wykończony – rzekł Okularnik. – Wracajmy. I tak nie ma w nich niczego oprócz soli.

Huahua podniósł się i powiedział:

– Hmm. To jak wycieczka dookoła świata. Przemierzyliśmy połowę dużego koła, więc bez względu na to, czy pójdziemy przed siebie, czy wrócimy, będziemy musieli pokonać taką samą odległość.

Poszli więc dalej, mijając po nierównej ziemi wagon za wagonem, jakby okrążali glob. Teraz nie musieli nawet wchodzić na wagony, by sprawdzić, co w nich jest, bo czuli zapach soli. Okularnik powiedział, że jest to zapach morza. W końcu zostawili za sobą ostatni pociąg i wynurzyli się z jego długiego cienia na jasne słońce. Przed nimi ciągnął się pusty odcinek toru. Na jego końcu stał wyładowany glutaminianem sodu pociąg, od którego zaczęli.

– Hej, tam jest jeziorko! – zawołała radośnie Xiaomeng.

W lustrze wody pośrodku terenu, który otaczały tory, odbijało się, mieniąc się jak złota tarcza, światło słońca, które akurat zachodziło.

– Już wcześniej je zobaczyłem, ale wy koncentrowaliście się na soli i glutaminianie – oświadczył Huahua, krocząc po szynie z rozłożonymi rękami. – Idźcie po drugiej i zobaczymy, kto dojdzie prędzej.

– Jestem spocony i okulary co rusz zsuwają mi się z nosa, ale na pewno cię pobiję – powiedział Okularnik. – Na linie ważniejsze od szybkości jest utrzymanie stabilności. Jeśli spadniesz, jest po wszystkim.

Huahua zrobił kilka prędkich kroków.

– Widzisz. Szybko i stabilnie. Dojdę do końca i nie spadnę.

Okularnik popatrzył na niego w zamyśleniu.

– Może i tak. Ale co by było, gdyby to była lina zawieszona w powietrzu na wysokości tysiąca metrów? Dałbyś radę dojść do końca?

Xiaomeng oderwała wzrok od złotej tafli i rzekła cicho:

– Tak. Jesteśmy na wysoko rozpiętej linie.

Troje trzynastolatków, którzy za dziewięć miesięcy mieli stać się przywódcami największego kraju na świecie, pogrążyło się w milczeniu.

Huahua zeskoczył z szyny, patrzył przez chwilę na Okularnika i Xiaomeng, a potem powiedział, potrząsając głową:

– Nie podzielam waszego braku wiary w siebie. Ale to prawda, że w przyszłości nie będziemy mieli dużo czasu na zabawy.

Wszedł z powrotem na szynę i balansując na niej, oddalił się.

Xiaomeng roześmiała się. Ten śmiech był może zbyt dojrzały jak na trzynastolatkę, ale Huahua poczuł się dotknięty.

– Nigdy nie miałem dosyć zabawy. Okularnik, chociaż jest maniakiem komputerowym, nie gra dużo, więc się nie bawi. Ty stracisz najwięcej z naszej trójki.

– Kierowanie państwem to niezła zabawa. Dzisiaj było całkiem fajnie. Cała ta sól i glutaminian sodu, te długie pociągi. To robi wrażenie.

– Dzisiaj kierujemy państwem? – zapytał Okularnik z drwiącym uśmiechem.

Xiaomeng była bardziej sceptyczna.

– Po co nam to wszystko pokazali?

– Może po to, byśmy wiedzieli, jakie są krajowe rezerwy glutaminianu sodu i soli? – rzekł Huahua.

– To powinni byli przywieźć tu Zhang Weidonga. On ma kierować przemysłem lekkim.

– Ten debil nie potrafi utrzymać porządku nawet na swojej ławce.

W miejscu, z którego wyruszyli biegnącym w koło torem, stali obok pociągu prezydent i premier. Premier coś mówił, a prezydent powoli kiwał głową. Mieli bardzo poważne miny, a ich sylwetki na tle czarnego pociągu wyglądały jak na kilkusetletnim obrazie. Widać było, że rozmawiają już od jakiegoś czasu. Ale wyraz ich twarzy się zmienił, gdy tylko ujrzeli zbliżające się dzieci. Prezydent pomachał do nich.

– Zauważyliście, że przy nas zachowują się inaczej, niż kiedy są sami? – zapytał szeptem Huahua. – Przy nas może im spadać na głowy niebo, ale są pełni optymizmu. Za to kiedy są sami, są tak poważni, że mam wrażenie, że niebo naprawdę spada.

– Tacy są dorośli – powiedziała Xiaomeng. – Panują nad swoimi emocjami. Ty tego nie potrafisz, Huahua.

– I co z tego? Co złego w tym, że pozwalam innym, by widzieli, jaki jestem naprawdę?

– Samokontrola nie oznacza udawania. Twoje emocje oddziałują na tych, którzy cię otaczają. Zwłaszcza na dzieci – na nie łatwo jest wpłynąć.

Powinieneś więc nauczyć się trochę kontrolować. Możesz się uczyć od Okularnika.

– Od niego? – prychnął Huahua. – On ma tylko połowę normalnej liczby nerwów w twarzy – zawsze tę samą minę. Wiesz co, Xiaomeng? W tobie jest więcej z nauczycielki niż w dorosłych.

– To prawda. Zauważyłeś, że dorośli niewiele nas nauczyli?

Idący przodem Okularnik odwrócił się z tym samym obojętnym wyrazem pozbawionej połowy nerwów twarzy i powiedział:

– To najtrudniejszy kurs w historii ludzkości i boją się, że mogą nas źle nauczyć. Ale czuję, że zwiększą tempo.

– Dobra robota, dzieci – powiedział prezydent, kiedy do niego doszli. – Pokonaliście niezły kawałek drogi. I przypuszczam, że to, co zobaczyliście, zrobiło na was wrażenie.

Okularnik kiwnął głową.

– Nawet najzwyklejsze rzeczy robią wrażenie w tak niewiarygodnie wielkiej ilości.

– Tak. Nie przypuszczałem, że na całym świecie jest tyle glutaminianu sodu i soli – dodał Huahua.

Prezydent i premier wymienili spojrzenia i na ich twarzach pojawił się ślad uśmiechu.

– Mamy do was pytanie. Ile czasu zajęłoby ludności naszego kraju skonsumowanie całej tej soli i glutaminianu sodu?

– Co najmniej rok – odparł od razu Okularnik.

Premier potrząsnął głową, tak samo Huahua, który powiedział:

– Przez rok tego nie zjedzą. Co najmniej pięć lat.

Premier ponownie potrząsnął głową.

– Dziesięć?

– Dzieci, to wystarczy tylko na jeden dzień.

– Na jeden dzień?

Cała trójka otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. W końcu Huahua roześmiał się z zakłopotaniem.

– Pan żartuje… prawda? – rzekł do premiera.

– Przy jednym gramie glutaminianu sodu i dziesięciu gramach soli na osobę dziennie to prosta arytmetyka: w tych pociągach jest sześćdziesiąt ton, a kraj ma jeden i dwie dziesiąte miliarda mieszkańców. Policzcie.

Przez chwilę zmagali się z długim ciągiem zer, aż w końcu uświadomili sobie, że premier mówi prawdę.

– Ale to tylko sól i glutaminian sodu – powiedziała Xiaomeng. – A co z olejem? I zbożem?

– Olej wypełniłby to jeziorko. A zboże utworzyłoby takie wzgórza jak te, które nas otaczają.

Dzieci patrzyły na jeziorko i wzgórza i przez długi czas nic nie mówiły.

– Boże! – jęknął Huahua.

– Boże! – powtórzył Okularnik.

– Boże! – zawtórowała im Xiaomeng.

– Przez kilka minionych dni staraliśmy się znaleźć jakiś sposób, by dać wam wyobrażenie o wielkości naszego kraju. Nie jest to łatwe, ale musicie je mieć, by nim kierować – rzekł premier.

– Przywieźliśmy was tutaj w jednym ważnym celu. Chodziło nam o to, byście zrozumieli podstawową zasadę rządzenia państwem. Bez wątpienia wyobrażaliście sobie, że to coś skomplikowanego, i faktycznie tak jest. To nawet bardziej skomplikowane, niż się wam wydaje, ale podstawowa zasada nie mogłaby być prostsza. Przypuszczam, że wiecie, o czym mówię.

– Przede wszystkim trzeba wyżywić cały kraj – powiedziała Xiaomeng. – Codziennie musimy dostarczać ludziom pociąg pełen glutaminianu sodu, dziesięć pociągów soli, jeziorko oleju i kilka wzgórz ryżu i mąki. Jeden

dzień bez tego i kraj pogrąży się w chaosie. Dziesięć dni i przestaniemy istnieć.

Okularnik kiwnął głową.

– Mówi się, że siły wytwórcze określają stosunki produkcji, a ekonomiczna podbudowa określa nadbudowę.

Również Huahua kiwnął głową.

– Zrozumiałby to nawet idiota, patrząc na ten pociąg.

Prezydent spojrzał w dal i rzekł:

– Ale nie rozumie tego masa bardzo inteligentnych ludzi.

– Dzieci – powiedział premier – jutro dowiecie się więcej o naszym kraju. Odwiedzimy kipiące życiem miasta i zapadłe górskie wioski, pokażemy wam przemysł i rolnictwo, pokażemy, jak żyją ludzie. I opowiemy wam o historii. To najlepszy sposób, by poznać teraźniejszość. Przekażemy wam mnóstwo złożonych informacji o kierowaniu krajem, ale zapamiętajcie sobie, że nic nie jest bardziej podstawowe od tego, czego dowiedzieliście się dzisiaj. Droga, którą będziecie kroczyć, najeżona jest trudnościami, ale dopóki będziecie pamiętać o tej zasadzie, nie zgubicie się.

– Nie czekajmy do jutra – rzekł prezydent, machając ręką. – Wyjeżdżamy dzisiejszego wieczoru. Nie ma czasu, dzieci.

4. Przekazanie świata

Wielki Kwant

Z daleka Państwowa Wieża Informacji przypominała gigantyczną literę A. Zbudowana przed pojawieniem się supernowej, była sercem Domeny Cyfrowej, szerokopasmowej sieci obejmującej cały kraj. Ta sieć, unowocześniona wersja internetu, została prawie ukończona przed supernową i była najlepszym darem, jaki dorośli mogli zostawić dzieciom. Państwo dzieci i jego struktury społeczne miały być dużo prostsze niż w czasach ludzi dorosłych, dzięki czemu można było wykorzystać Domenę Cyfrową do podstawowego zarządzania państwem. Tak więc PWI stała się miejscem pracy dla władz centralnych kraju dzieci.

Premier zabrał grupę dzieci na pierwszą wizytę w PWI. Kiedy pięli się po długich schodach prowadzących do głównego wejścia, salutowali im chroniący budynek strażnicy o popielatych twarzach i ustach spękanych z gorączki. Premier poklepał bez słowa jednego z nich po ramieniu i widać było, że jest tak samo osłabiony.

Choroba szybko postępowała i teraz, pół roku po rozpoczęciu wielkiego uczenia, czyniono przygotowania do przekazania świata dzieciom.

W wejściu premier zatrzymał się, odwrócił i przyjrzał zalanemu światłem słońca placowi. Dzieci też się odwróciły i patrzyły na drgające w upale powietrze.

– Jest już lato – rzekło szeptem jedno z nich. O tej porze roku zwykle zaczynała się w Pekinie wiosna.

Zniknięcie zimy było jeszcze jednym skutkiem oddziaływania supernowej. Temperatura utrzymywała się powyżej 18 stopni Celsjusza

i rośliny pozostawały zielone, tak że w istocie była to bardzo długa wiosna.

Naukowcy stworzyli dwie teorie wyjaśniające przyczyny rosnącej temperatury. Jedna, zwana teorią wybuchu, głosiła, że wzrost temperatury na Ziemi został spowodowany gorącem emitowanym przez supernową. Według drugiej, teorii pulsarów, temperatura podnosiła się w wyniku energii pulsara, który powstał ze szczątków supernowej, docierającej do Ziemi poprzez mechanizmy dużo bardziej skomplikowane niż zakładane w teorii wybuchu. Obserwacje doprowadziły do odkrycia silnego pola magnetycznego, które według hipotez stawianych przez astrofizyków mogło istnieć również wokół innych pulsarów, ale nie zostało zaobserwowane z powodu ich dużej odległości od Ziemi, natomiast w przypadku tego pulsara, oddalonego zaledwie o osiem lat świetlnych, Układ Słoneczny znalazł się w jego polu magnetycznym. Ziemskie oceany były potężnym przewodnikiem, który podczas ruchu planety przecinał linie tego pola, indukując prąd. W rezultacie Ziemia stała się wirnikiem kosmicznej prądnicy. Chociaż prąd był o wiele za słaby, by wykryły go statki kursujące po oceanie, miał duży wpływ na to, co się dzieje na Ziemi. To właśnie on powodował wzrost temperatury.

To dramatyczne ocieplenie miało doprowadzić w ciągu dwóch lat do stopnienia czapy lodowej na biegunach i pokrywy lodowej na Grenlandii, wskutek czego miało dojść do podniesienia się poziomu oceanów i zatopienia wszystkich miast nabrzeżnych.

Natomiast jeśli prawidłowa była teoria wybuchu i ocieplenia spowodowanego promieniowaniem supernowej, globalne temperatury wkrótce z powrotem by spadły, stopniowo odbudowałyby się czapy lodowe i w końcu poziom mórz wróciłby do normy. Ziemia przeżyłaby krótkotrwały potop.

Sprawy bardzo by się skomplikowały, gdyby poprawna okazała się jednak teoria pulsarów. Wzrost temperatury byłby trwały i w wielu gęsto zaludnionych regionach zrobiłoby się tak gorąco, że nie nadawałyby się do zamieszkania, a kontynentem, gdzie panowałyby najkorzystniejsze warunki dla życia, stałaby się Antarktyda. Zmieniłoby to nie do poznania strukturę ludności na świecie.

Społeczność naukowa przychylała się do teorii pulsarów. Jeśli miała rację, stwarzałoby to dużo gorsze perspektywy dla dzieci.

W wielkim holu głównym premier zwrócił się do dzieci:

– Przyjrzyjcie się Chińskiemu Kwantowi. Ja tutaj odpocznę. – Usiadł ciężko na kanapie i przeciągle westchnął. – Sam się wam przedstawi.

Dzieci weszły do windy, a ta ruszyła tak nagle, że przez chwilę miały wrażenie, iż są w stanie nieważkości. Na wskaźniku pięter wyświetlały się cyfry ujemne, więc Chiński Kwant ewidentnie znajdował się pod ziemią. Winda się zatrzymała i dzieci wyszły na wysoki i wąski korytarz. Usłyszały głuche dudnienie i otworzyły się duże niebieskie metalowe drzwi, wejście do obszernej sali, której ściany jarzyły się łagodnym niebieskim światłem. W środku sali znajdowała się przezroczysta szklana kopuła o średnicy ponad dwudziestu metrów, która, gdy się do niej zbliżyli, wyglądała jak ogromna bańka mydlana. Drzwi zamknęły się za nimi z dudnieniem, a ściany stopniowo pociemniały i zgasły. Ale nie zapadła ciemność. Z sufitu sali wpadał do kopuły snop światła, tworząc krąg wokół umieszczonych w niej dwóch srebrzystoszarych przedmiotów: pionowego cylindra i leżącego na boku prostokątnego graniastosłupa. Ich wzajemne usytuowanie wydawało się przypadkowe jak ruin starożytnego pałacu rozsianych w dżungli. Reszta sali pogrążona była w mroku; tylko te dwa przedmioty, posiadające jakąś tajemniczą moc i przywołujące na myśl

megality w dzikich ostępach Europy, wystawione były na światło. Potem usłyszeli męski głos, głęboki i silny, który niósł się miłym dla ucha echem.

– Witam. Patrzycie na procesor centralny Chińskiego Kwanta 220.

Rozejrzeli się, ale nie mogli znaleźć źródła, z którego dochodził ten głos.

– Być może jeszcze o mnie nie słyszeliście. Urodziłem się zaledwie przed miesiącem jako unowocześniona wersja Chińskiego Kwanta 120. Tamtego wieczoru stałem się sobą, gdy ciepły prąd obmył moje ciało. Do mojej pamięci wpłynęło w postaci elektrycznych impulsów rozbłyskujących setki milionów razy na sekundę setki milionów linii kodu oprogramowania systemowego. Szybko dojrzałem. W ciągu pięciu minut przemieniłem się z niemowlęcia w giganta. Przyjrzałem się mojemu otoczeniu, ale tym, co najbardziej mnie zdumiało, byłem ja sam. Nie mogłem uwierzyć, że mam takie rozmiary i tak skomplikowaną budowę. W tym cylindrze i prostokątnym graniastosłupie, który przed sobą widzicie, zawiera się złożony wszechświat.

– Ten komputer nie jest wcale taki świetny. Gada i gada, a niczego dobrze nie wyjaśnił – powiedział Huahua.

– To świadczy o jego inteligencji – rzekł na to Okularnik. – To nie jest jakaś głupia nagrana wcześniej prezentacja, którą można znaleźć w urządzeniach domowych. Wymyślał każde słowo na poczekaniu.

Chiński Kwant najwyraźniej to usłyszał, bo mówił dalej:

– Zgadza się. Podstawowy projekt Chińskiego Kwanta został opracowany z myślą o stworzeniu symulacji struktury ludzkich neuronów, całkowicie odmiennej od architektury von Neumanna. Mój rdzeń zawiera trzysta milionów centralnych jednostek obliczeniowych, wzajemnie połączonych naprawdę przerażającą liczbą sprzęgów. To kopia ludzkiego umysłu.

– Widzisz nas? – zapytało któreś z dzieci.

– Widzę wszystko. Przez Domenę Cyfrową obejmuję wzrokiem cały kraj i świat.

– I co widzisz?

– Dorośli przekazują świat dzieciom.

Dzieci nazwały ten superkomputer Wielkim Kwantem.

Rozruch próbny nowego świata

Próbny rozruch tego kraju trwa już od dwunastu godzin.

Sprawozdanie operacyjne nr 24:

Instytucje rządowe i administracyjne na wszystkich szczeblach działają normalnie.

Systemy energetyczne działają normalnie. Całkowita moc dostępnej energii elektrycznej: 280 gigawatów; krajowa sieć energetyczna działa w zasadzie normalnie, braki w dostawach prądu występują tylko w jednym mieście średniej wielkości i pięciu małych, obecnie trwa tam pełna naprawa linii przesyłowych.

Miejskie zakłady wodociągowe działają normalnie; nieprzerwane dostawy wody zagwarantowane są w 73 procentach wielkich miast i w 40 procentach miast średniej wielkości, regularne dostawy w większości pozostałych. Tylko w dwóch miastach średniej wielkości i siedmiu małych występuje jej niedobór.

Łańcuchy dostaw towarów w miastach działają normalnie; usługi i podtrzymanie życia też w normie.

Systemy informacyjne działają normalnie.

Transport kolejowy i drogowy działa normalnie; wskaźnik wypadków tylko nieco wyższy niż w erze dorosłych. Lotnictwo cywilne ma zaplanowaną przerwę, loty mają zostać wznowione za dwanaście godzin.

Systemy obrony działają normalnie. Przejęcie sił lądowych, morskich, powietrznych i policji przebiega sprawnie.

W kraju jest obecnie 537 pożarów, które stanowią zagrożenie, większość z nich spowodowana problemami z przesyłem energii; jest niewielkie zagrożenie powodziowe; na większości rzek normalny stan wody, systemy ostrzegania przeciwpowodziowego działają bez zakłóceń. Cztery niewielkie podtopienia, z których trzy są skutkiem nieotwarcia na czas śluz, jedno pęknięcia ściany zbiornika wody.

W chwili obecnej niebezpieczne warunki klimatyczne panują tylko na 3,31 procent terytorium kraju; nie odnotowano żadnego trzęsienia ziemi, wybuchu wulkanu ani innych klęsk żywiołowych.

W chwili obecnej choruje 3,379 procent dzieci, 1,158 procent cierpi na niedostatek żywności, 1,09 procent brakuje pitnej wody, a 0,6 procent nie ma odpowiedniego ubrania. Na razie próbny rozruch kraju przebiega bez przeszkód.

Niniejszy raport został sporządzony przez główny komputer Domeny Cyfrowej. Następny zostanie dostarczony za trzydzieści minut.

– Zarządzanie krajem w taki sposób to jak praca w dyspozytorni dużej fabryki – powiedział podekscytowany Huahua.

Kilkadziesięcioro dzieci, które tworzyły kierownictwo kraju, zebrało się w przestronnej okrągłej sali na ostatnim piętrze ogromnej PWI. Ściana i sufit zrobione były z nanokrystalicznego materiału, który pod wpływem prądu o różnym napięciu mógł się stać błyszcząco biały, przezroczysty albo całkowicie nieprzejrzysty. Wskaźnik refrakcji promieni świetlnych można było ustawić na wartość zbliżoną do wartości refrakcji w powietrzu, co pozwalało osobom znajdującym się w sali czuć się tak, jakby znajdowały się na otwartej platformie pod gołym niebem, z której roztaczał się widok na cały Pekin. Jednak teraz ściana była nieprzezroczysta i oświetlona łagodnym białym światłem. Jeden jej fragment przeistoczył się w szeroki ekran, na którym widać było tekst raportu o rozruchu próbnym. W razie potrzeby nanomateriał mógł zmienić całą powierzchnię ściany w ekrany. Przed dziećmi znajdował się krąg komputerów i urządzeń do komunikacji.

Za dziećmi stało kilkudziesięciu dorosłych członków władz centralnych i przyglądało się ich pracy.

Próbny rozruch świata dzieci nastąpił o ósmej rano, gdy przejęły one wszystkie stanowiska, od głowy państwa poczynając, a na prostym

zamiataczu ulic kończąc, i zaczęły działać samodzielnie.

Nowo narodzony świat dzieci funkcjonował nadspodziewanie płynnie. Rozwiała się chmura pesymizmu spowijająca świat, która wywołała przekonanie, że z chwilą przejęcia przez dzieci sterów zapanuje chaos: w miastach zabraknie energii elektrycznej i wody, zaczną szaleć pożary, nastąpi całkowity paraliż komunikacji, błędy popełnione przy obsłudze komputerów doprowadzą do wystrzelenia pocisków kierowanych… Nic takiego się nie stało. Przejęcie postępowało tak niewiarygodnie sprawnie, że było niemal niezauważalne.

Kiedy przeszedł ból i Zheng Chen usłyszała pierwszy płacz dziecka, zaczęła się zastanawiać, czy nie znalazła się już w innym miejscu. Poród podczas choroby spowodowanej przez promieniowanie supernowej był, co zrozumiałe, niebezpieczny i według lekarzy szansa, że Zheng Chen go przeżyje, wynosiła mniej niż trzydzieści procent. Ani ona, ani lekarze niezbyt się tym przejmowali, bo oznaczało to, że umrze tylko na kilka tygodni przed resztą. Ale urodziła, nie wystąpił spodziewany krwotok poporodowy, nadal żyła i będzie żyć jeszcze co najmniej przez tydzień. Lekarze i położne (z których trzy były dziewczynkami) uznali to za cud.

Trzymając dziecko w ramionach, patrzyła na małą, płaczącą, różową istotkę i czuła, że zaraz sama się rozpłacze.

– Powinna się pani cieszyć, pani Zheng – powiedział uśmiechnięty położnik, który stał obok niej.

– On tak smutno płacze, jakby wiedział, że przyszłość będzie ciężka – rzekła, szlochając.

Lekarze i położne wymienili tajemnicze uśmiechy, a potem przysunęli jej łóżko do okna i odciągnęli zasłony, by mogła wyjrzeć na zewnątrz. Do sali

napłynęło światło słoneczne i Zheng Chen zobaczyła wysokie budynki stojące w ciszy pod błękitnym niebem, niekończący się strumień pojazdów i kilkoro przechodniów na placu przed głównym budynkiem szpitalnym. Miasto wyglądało tak samo jak dzień wcześniej. Wydawało się, że nic się nie zmieniło. Spojrzała zdezorientowana na lekarza.

– Zaczął się rozruch próbny – wyjaśnił tamten.

– Co? Jesteśmy już w świecie dzieci?

– Tak. Próba trwa już od czterech godzin.

W pierwszym odruchu Zheng Chen przyjrzała się lampom na suficie, co – jak się później dowiedziała – było powszechną reakcją na wiadomość o rozpoczęciu próbnego rozruchu, jakby światło było jedyną oznaką tego, że sytuacja jest normalna. Lampy świeciły bez migotania. Przez całą noc w przededniu rozruchu dręczyły ją koszmary; śniło się jej, że miasto płonie, że słyszy wrzaski na placu centralnym, chociaż nikogo nie widzi, jakby została sama w mieście. Ale przed oczami miała teraz spokojny świat dzieci.

– Niech pani popatrzy na nasze miasto, pani Zheng. Wszystko układa się tak harmonijnie, jakby była to lekka muzyka – powiedziała nastoletnia położna.

– Wasz wybór był absolutnie słuszny – stwierdził lekarz. – Byliśmy zbytnimi pesymistami. Wygląda na to, że dzieci będą dobrze kierować światem. Kto wie, może lepiej niż my? Pani dziecko nigdy nie napotka takich trudności, jakie pani sobie wyobrażała. Będzie żyło szczęśliwie. Chyba teraz, gdy zobaczyła pani miasto, może się pani uspokoić i odpocząć?

Zheng Chen długo przyglądała się miastu i słuchała dobiegających z niego cichych odgłosów, które brzmiały jak muzyka. Nie jak słodka melodia, lecz jak wspaniałe requiem, a kiedy tego słuchała, po twarzy

zaczęły jej cieknąć łzy. Dziecko w jej ramionach przestało płakać i otworzyło małe oczka, by po raz pierwszy spojrzeć z zaciekawieniem na ten dziwny świat. Czuła, że jej serce topnieje i znika, a cały ciężar życia przechodzi na małą istotę w jej ramionach.

Późnym wieczorem mała grupa przywódców kraju nie miała nic do roboty w PWI. Pracę wszystkich sektorów przemysłu nadzorowały poszczególne ministerstwa, więc przywódcy przez większość czasu obserwowali rozruch próbny.

– Mówiłem, że zrobimy to lepiej! – krzyknął uradowany Huahua, gdy na ekranie po kolei pojawiały się modyfikowane raporty.

Okularnik potrząsnął lekceważąco głową.

– Nic nie zrobiliśmy. Jesteś zatwardziałym optymistą, ale powinieneś pamiętać, że wciąż są tu dorośli. Jeszcze nie jesteśmy w kolejce linowej.

Trochę trwało, zanim Huahua pojął, co miał na myśli Okularnik. Obrócił się i spojrzał na siedzącą obok niego Xiaomeng.

– Życie jest trudne, gdy z całej rodziny zostają tylko dzieci, a co dopiero z całego kraju – powiedziała i spojrzała przez przezroczystą teraz ścianę na otaczające je światła Pekinu.

Wszyscy popatrzyli przez sufit na rozbłyski świateł na nocnym niebie, tak silne, że obwodziły srebrem kontury rozproszonych chmur, a przy każdym rozbłysku na podłogę padały długie cienie osób siedzących w sali. Te rozbłyski często się pojawiały w ostatnich kilku dniach. Wiedzieli, że powodują je detonacje bomb tysiące kilometrów nad Ziemią. Przed przekazaniem władzy dzieciom mocarstwa jądrowe oświadczyły, że zniszczą cały swój arsenał atomowy, by zostawić im czysty świat. Większość bomb detonowano w przestrzeni kosmicznej, ale niektóre

wystrzelono na orbitę wokół Słońca, gdzie trzeba je było zlokalizować i zniszczyć w erze supernowej.

– Supernowa nauczyła ludzi cenić życie – rzekł premier, przyglądając się rozbłyskom.

– Dzieci mają wrodzone umiłowanie pokoju – dodał ktoś z jego otoczenia. – Skończą się wojny na świecie.

– Wiecie – odezwał się prezydent – nazywanie supernowej Martwą Gwiazdą jest błędem. Trzeba podejść do tego beznamiętnie. Przecież wszystkie kluczowe składniki naszego świata pochodzą z gwiazdy, która wybuchła. Żelazo i krzem, które tworzą naszą planetę, i węgiel, który jest podstawą życia, zostały wystrzelone w kosmos przez jakąś supernową w niewyobrażalnie odległej przeszłości. I nawet jeśli nasza supernowa spowoduje ogromną zagładę na Ziemi, może w innej części wszechświata zrodzić życie jeszcze bardziej oszałamiające niż nasze. W żadnym razie nie jest ona martwą gwiazdą. Jest prawdziwym stwórcą! Ludzkość i tak ma szczęście, bo gdyby jej promieniowanie było choć trochę silniejsze, na Ziemi nie ostałby się nikt żywy. Albo, co jeszcze gorsze, przetrwałyby tylko niemowlęta w wieku poniżej dwóch lat! Ta gwiazda może nawet wybawiła nas z kłopotów. Niedługo na Ziemi zostanie tylko półtora miliarda ludzi i z dnia na dzień znikną problemy, z którymi się wcześniej borykaliśmy. Zniszczone środowisko naturalne powoli się odrodzi. Przemysł i rolnictwo, nawet pracując tylko jedną trzecią dotychczasowej mocy, łatwo zaspokoją wszystkie potrzeby dzieci – będą one żyły w świecie niewyobrażalnej obfitości. Nie musząc uganiać się za środkami niezbędnymi do przetrwania, będą mogły poświęcić więcej czasu na naukę i sztukę, na zbudowanie lepszego społeczeństwa. Kiedy w Ziemię uderzą promienie następnej supernowej, będziecie już bez wątpienia wiedzieli, jak się przed nimi obronić…

– Wtedy będziemy już mogli uruchomić proces powstawania supernowej i wykorzystać jej energię do opuszczenia Galaktyki! – wtrącił Huahua.

Jego słowa przyjęto z aplauzem. Zadowolony prezydent powiedział:

– Wy, dzieci, zawsze jesteście o krok przed nami, jeśli chodzi o wyobrażanie sobie przyszłości. Spędzanie z wami czasu było bardzo fascynującym przeżyciem. Towarzysze, przyszłość jest świetlana. Zachowajmy tę postawę w naszych ostatnich chwilach.

Zegary epoki

W końcu nadszedł czas na ostatnie pożegnania i wszyscy powyżej trzynastego roku życia udali się na miejsca zbiórki, gdzie miała spotkać ich śmierć. Większość ludzi z ery powszechnej wyjeżdżała po cichu, bez wiedzy swoich dzieci, by nie przeszkadzać im w pracy. Późniejsi historycy uznali, że była to słuszna decyzja, ponieważ niewiele osób miało dość hartu ducha, by wytrzymać podczas największego w dziejach pożegnania na wieki. Gdyby jeszcze raz spotkali się z dziećmi, ludzkie społeczeństwo mogłoby się całkowicie rozpaść.

Pierwsi wyjechali poważnie chorzy i osoby niepiastujące ważnych stanowisk. Korzystali z różnych środków transportu, z których część wykonała wiele kursów, a inne nigdy nie wróciły.

Punkty ostatniej zbiórki, jak je nazywano, znajdowały się we względnie odległych miejscach, wiele z nich na niezamieszkanych pustyniach, na biegunach, a nawet na dnie oceanów. Ponieważ liczba ludności na świecie zmniejszyła się o trzy czwarte, ogromne połacie ziemi opustoszały i dopiero po wielu latach odkryto wszystkie te masowe groby.

> Oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni. W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby – zabrzmi bowiem trąba – umarli powstaną nienaruszeni, a my będziemy odmienieni. Trzeba, by to, co zniszczalne, przyodziało się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodziało się w nieśmiertelność. […[Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?*

W telewizji papież w długiej purpurowej szacie czytał fragment Pierwszego listu do Koryntian, zwracając się do całego świata w ostatniej modlitwie za erę powszechną.

– Pora iść – powiedział cicho mąż Zheng Chen, pochylił się i podniósł z łóżeczka śpiące dziecko.

Zheng Chen wstała w milczeniu i spakowała do torby podróżnej rzeczy dziecka, a potem podeszła do telewizora. Usłyszała urywek pożegnalnego przemówienia sekretarza generalnego ONZ:

– Ludzkość została rozcięta w pasie. Dzieci, ufamy, że wyhodujecie z tej rany wspaniałe kwiaty. Co do nas, to przyszliśmy, pracowaliśmy, a teraz odchodzimy…

Wyłączyła odbiornik, a potem, tak jak jej mąż, spojrzała po raz ostatni na swój dom. Stali tak przez chwilę, żeby utrwalić jego obraz w pamięci. Zheng Chen poświęciła szczególną uwagę zielistce, której listki zwisały z półki na książki, i złotej rybce pływającej spokojnie w akwarium. Jeśli naprawdę istniał po tym świecie inny, chciała zabrać tam to wspomnienie ze sobą.

Kiedy wyszli z mieszkania, zobaczyli na korytarzu ojca Lin Shy. Ona sama była na dyżurze w szpitalu i nie wiedziała, że rodzice wyjeżdżają.

– Gdzie jest doktor Lin? – zapytała Zheng Chen.

Ojciec Lin Shy wskazał otwarte drzwi. Zheng Chen weszła do środka i zobaczyła matkę dziewczynki z pisakiem w dłoni, dopisującą coś do tekstu pokrywającego ściany do wysokości, do której mogła sięgnąć.

> Jesteś dobrym dzieckiem. Jedzenie jest koło telewizora. Pamiętaj, żeby najpierw podgrzać zupę jajeczną, bo inaczej się przeziębisz. Użyj podgrzewacza naftowego, nie kuchenki gazowej. Pamiętaj – nie używaj kuchenki gazowej! Podgrzewacz naftowy postaw w przedpokoju i wyłącz go, kiedy skończysz. Pamiętaj o tym, żeby go wyłączyć! W termosie masz gorącą wodę, a w plastikowym dzbanku zimną. Dolej

do dzbanka trochę gorącej wody z termosu. Pamiętaj – nigdy nie pij prosto z kranu! Czasami może wysiąść prąd, ale nie zapalaj świec. Zapomnisz je zdmuchnąć, kiedy będziesz kładła się spać. A więc żadnych świeczek! W twojej torbie na książki jest latarka i pięćdziesiąt baterii; prądu może nie być przez długi czas, więc oszczędzaj baterie. Pod poduszką (tą z lewej strony, z wyhaftowanym kwiatem lotosu) leży skórzana torba z lekarstwami i instrukcjami ich stosowania w różnych chorobach. Lek na przeziębienie położyłam na wierzchu, bo prawdopodobnie będziesz go potrzebowała częściej. Zanim weźmiesz jakiekolwiek lekarstwo, musisz się zorientować, co złapałaś. Jeśli się przeziębisz, będziesz czuła…

– To wystarczy. Naprawdę czas jechać – powiedział ojciec Lin Shy, który wszedł za Zheng Chen, i wyjął pisak z ręki żony.

Doktor Lin rozejrzała się pustym wzrokiem, a potem machinalnie podniosła swoją małą torbę podróżną.

– Nie musimy niczego zabierać – rzekł cicho jej mąż.

Wyjął delikatnie torbę z jej rąk i odłożył ją z powrotem na kanapę. Były w niej tylko lusterko, paczuszka chusteczek higienicznych i notes z adresami, ale doktor Lin zawsze brała ją ze sobą, kiedy wychodziła z domu. Bez niej czuła się tak, jakby brakowało jej jakiejś części ciała, więc była wzburzona. Jej mąż, psycholog, stwierdził, że odzwierciedla to jej brak poczucia bezpieczeństwa.

– Powinniśmy zabrać przynajmniej więcej ubrań. Tam będzie zimno – wymamrotała doktor Lin.

– To nie jest konieczne. Nie będziemy czuli zimna. Zawsze zabieraliśmy za dużo rzeczy, kiedy wychodziliśmy na spacer.

Oba małżeństwa zeszły na dół, gdzie czekał autobus pełen pasażerów. Podbiegły do nich dwie dziewczyny. Były to Feng Jin i Yao Pingping, uczennice Zheng Chen, które teraz pracowały w żłobku. Wydawało się jej, że są tak słabe, iż im samym będzie trudno bez opieki ze strony dorosłych.

Przyszły po jej czteromiesięcznego synka, ale Zheng Chen tak mocno przyciskała go do piersi, jakby były porywaczkami.

– On często płacze, więc poświęcajcie mu dużo uwagi. Co dwie godziny pije dziewięćdziesiąt mililitrów mleka, a dwadzieścia minut po karmieniu zasypia. Jeśli nie śpi, kiedy powinien spać, i płacze, to znaczy, że jest głodny. Zwykle nie płacze, kiedy się zmoczy albo zrobi kupę. Może mieć niedobór wapnia, więc włożyłam do tej torebki jego suplement. Pamiętajcie, żeby dawać mu go codziennie, bo w przeciwnym razie się rozchoruje…

– Autobus czeka – powiedział jej mąż, klepiąc ją lekko po ramionach, bo inaczej mówiłaby bez końca, tak jak doktor Lin pisałaby na ścianach.

Drżąc na całym ciele, włożyła w końcu dziecko w delikatne ramiona młodych niań.

Doktor Lin pomogła jej wsiąść do autobusu. Inni pasażerowie patrzyli na nie w milczeniu. Nagle dziecko zaczęło wrzeszczeć i Zheng Chen poderwała się jak rażona prądem i spojrzała na synka w objęciach dziewcząt. Niemowlę wymachiwało dziko drobnymi rączkami i nóżkami, jakby wiedziało, że rodzice ruszają w drogę, z której nigdy nie wrócą. Upadając, Zheng Chen zobaczyła, że niebo robi się czerwone, a słońce niebieskie, a potem pociemniało jej w oczach i straciła przytomność.

Gdy autobus ruszył, doktor Lin patrzyła nieobecnym wzrokiem przez okno i nagle zamarła na widok dzieci w oddali, które biegły w ich stronę. Mimo że wyjeżdżali w tajemnicy, znaleziono ich. Dzieci pędziły za autobusem co sił w nogach, machając rękami i zawodząc, ale autobus przyspieszył i zostawiał je coraz bardziej z tyłu. Potem doktor Lin zobaczyła, że Lin Sha potyka się i pada na ziemię, po czym podnosi się na czworaki i macha do nich. Być może zraniła sobie nogę, bo przerwała pościg za autobusem, usiadła na jezdni, zakryła twarz rękami i się

rozpłakała. Doktor Lin była przekonana, że nawet z tej odległości dostrzega krew na kolanach córki, więc wysunęła się do połowy z okna i patrzyła na nią, aż Lin Sha stała się tylko ledwie widocznym punktem.

Gdy Zheng Chen doszła do siebie, leżała w autobusie zmierzającym do punktu zbiórki. Jej wzrok padł na ciemnoczerwone siedzenia, poplamione – jak sobie wyobraziła – krwią, która wypłynęła z jej pękniętego serca, teraz suchego jak kość i gotowego na śmierć. Ale podtrzymała ją przy życiu uwaga, którą rzucił jej mąż.

– Kochanie, naszemu dziecku będzie ciężko, ale dorośnie i będzie żyło w świecie dużo lepszym niż nasz. Powinniśmy się z tego cieszyć.

– Jeździłem z panem przez większość życia, panie Zhang – powiedział ojciec Yao Rui do kierowcy, gdy pomagano mu wsiąść do autobusu.

Zhang skinął do niego głową.

– To będzie długa podróż, inżynierze Yao.

– Tak, długa.

Autobus ruszył i Yao opuścił elektrownię, w której pracował ponad dwadzieścia lat. Teraz jego trzynastoletni syn zastąpił go na stanowisku naczelnego inżyniera. Starał się spojrzeć na elektrownię przez tylną szybę, ale w autobusie było zbyt wielu ludzi i nic nie dojrzał. Po chwili, nawet nie widząc tego, co jest na zewnątrz, zdał sobie sprawę, że wjeżdżają na wzgórze, które przez minione dwadzieścia lat przemierzał cztery razy dziennie. Z jego szczytu cały kompleks widać było jak na dłoni, więc ponownie starał się na niego spojrzeć, ale i tym razem widok przesłaniali mu inni.

– Niech się pan nie martwi, inżynierze Yao – powiedział ktoś. – Światła nadal się palą.

„Dopóki palą się światła”. Największym zagrożeniem dla elektrowni była przerwa w dostawach paliwa, ale dopóki pozostawała oświetlona, mogła sobie poradzić ze wszystkimi kłopotami, bez względu na ich skalę. Autobus wyjechał poza granicę miasta i włączył się do strumienia pojazdów na drodze ekspresowej. Potem ktoś powiedział:

– W mieście też palą się światła.

To inżynier Yao mógł już ujrzeć na własne oczy.

– Wei Ming z czwartego pułku 115. dywizji melduje się do przejęcia posterunku – powiedział Wei Ming, salutując ojcu.

– Wei Jianlin z czwartego pułku 115. dywizji przekazuje posterunek. Przez cały okres dyżuru warunki normalne w strefie obronnej pułku – odparł ojciec, również salutując.

Wschodni horyzont zaczął rozjaśniać świt, szary jak brzuch ryby, wokół granicznego posterunku panowała cisza, a pokryte czapami śniegu szczyty nadal spały. W znajdującym się naprzeciw nich indyjskim posterunku granicznym nie paliło się żadne światło, jakby został opuszczony.

Niewiele rozmawiali, bo nie było wiele do omówienia. Podpułkownik Wei Jianlin odwrócił się i z trudem dosiadł konia, którym przyjechał jego syn, a potem wyruszył do obozu, skąd miał pojechać ostatnim autobusem na miejsce ostatniej zbiórki. Odwrócił się na końcu długiej drogi biegnącej górskim stokiem w dół i zobaczył, że syn odprowadza go wzrokiem, stojąc sztywno jak słup przed posterunkiem, nieruchomy mimo zimnego wiatru, a obok niego, na niebieskobiałym tle porannego nieba, tkwi słupek graniczny.

Zegary epoki zaczęły tykać, gdy tylko odeszli wszyscy dorośli. Znajdowały się wszędzie, na ekranach telewizorów na całym świecie, na każdej praktycznie stronie internetowej, na każdym cyfrowym billboardzie i na głównych placach wszystkich miast. W ogóle nie wyglądały jak zegary, miały formę zielonego prostokąta składającego się z 61420 pikseli, z których każdy odpowiadał jednemu z punktów ostatniej zbiórki i otrzymywał z niego przez satelitę sygnały informujące o stanie bieżącym. Kiedy zielona kropka zamieniała się na czarną, oznaczało to, że wszystkie osoby w danym punkcie nie żyją.

Gdy cały zegar zmieni kolor na czarny, na Ziemi nie zostanie nikt powyżej trzynastu lat i całą administrację na świecie przejmą dzieci.

To, kiedy zielona kropka zmieni się w czarną, zależało od zgromadzonych w punktach zbiórki. W niektórych wszystkich wyposażano w czujnik na przegubie dłoni, który monitorował oznaki życia i miał w końcu wysłać wiadomość o śmierci danej osoby; urządzenie to nazwano „dębowym liściem”. W trzecim świecie zastosowano prostszą metodę – zielona kropka miała automatycznie zgasnąć w czasie określonym przez lekarzy. Żadnej z nich nie trzeba było wyłączać ręcznie, ponieważ spodziewano się, że wszyscy w punktach zbiórki stracą przed śmiercią przytomność, ale później odkryto, że w pewnych miejscach wyłączyła je ludzka ręka. Ta tajemnica nigdy nie została wyjaśniona.

Konstrukcja punktów ostatniej zbiórki była w różnych krajach i kulturach odmienna, ale na ogół sytuowano je w wielkich podziemnych jaskiniach. W każdym punkcie znajdowało się około stu tysięcy osób, ale w niektórych liczba ta przekraczała milion.

Ogromna większość ostatnich słów zapisanych przez ludzi z ery powszechnej była zapisem ich wrażeń i emocji związanych z pożegnaniem się ze światem i tylko kilkoro z odchodzących wspomniało coś o samych

punktach zbiorczych. Jedno było pewne: wszyscy czekali na swoją ostatnią chwilę ze spokojem; tam, gdzie ludzie mieli jeszcze na to siłę, organizowano koncerty i przyjęcia.

Jednym ze świąt obchodzonych w erze supernowej stał się Dzień Ostatniej Zbiórki. Tego dnia ludzie gromadzili się na różnych podziemnych placach, gdzie odbyły się ostatnie zbiórki ludzi z epoki powszechnej, by doświadczyć tego, co oni czuli. We wszystkich środkach przekazu znowu pojawiał się zegar epoki, a jego zielone kropki ponownie zmieniały się w czarne. Niewyraźne sylwetki kładły się w wilgotnych podziemiach, oświetlone tylko jednym zamglonym reflektorem zawieszonym wysoko na sklepieniu. Ciszę potęgowały stłumione oddechy niezliczonych tłumów. Ludzie stawali się filozofami medytującymi nad życiem i nowym światem.

W każdym kraju ostatni wyjeżdżali najwyżsi przywódcy. W PWI żegnały ich dwa pokolenia. Każdy z dorosłych wziął swojego ucznia na bok, by udzielić mu ostatnich rad.

– Pamiętaj, nie wdawaj się w wielkie wojny transkontynentalne czy transoceaniczne – powiedział szef sztabu generalnego Lü Gangowi. – Nasza flota nie może się równać z flotami państw zachodnich.

Lü Gang słyszał to z ust szefa sztabu i innych przywódców nieskończenie wiele razy i jak zawsze kiedy była o tym mowa, kiwnął głową i zapewnił, że będzie o tym pamiętał.

– A teraz pozwól, że przedstawię ci parę osób – rzekł szef sztabu generalnego, przywołując gestem ręki pięciu pułkowników, których przyprowadził ze sobą. – To zespół specjalnych obserwatorów, który będzie działał tylko podczas wojny. Nie mają prawa wtrącać się do dowodzenia, ale mają prawo znać wszystkie poufne informacje.

Młodzi pułkownicy zasalutowali Lü Gangowi, który odpowiedział im tym samym, a potem zapytał szefa sztabu:

– Co zatem będą robić?

– Ich zadania poznasz, kiedy będzie to konieczne.

Stojąc przed Huahuą, Okularnikiem i Xiaomeng, prezydent i premier przez długi czas milczeli. Historyczne zapisy takich scen, kiedy to dorośli przywódcy żegnali się po raz ostatni z młodymi, znaleziono w wielu państwach. Tego, co chcieli powiedzieć, było o wiele za dużo, tak dużo, że odebrało im mowę; to, co mieli do powiedzenia, było tak ważne, że nie potrafili wyrazić tego słowami.

W końcu odezwał się prezydent:

– Dzieci, kiedy byłyście bardzo małe, dorośli mówili wam, że dopóki jest wola, znajdzie się jakiś sposób. Otóż chcę wam teraz powiedzieć, że to nieprawda. Sposób znajdzie się tylko wtedy, kiedy to, co chcecie zrobić, będzie zgodne z prawami nauki i rozwoju społecznego. Ogromna większość rzeczy, które ludzie chcą osiągnąć, jest niemożliwa do osiągnięcia bez względu na to, jak bardzo się starają. Waszą misją dziejową jako przywódców tego kraju jest rozważenie stu ewentualności, wyeliminowanie dziewięćdziesięciu dziewięciu pomysłów, które są niemożliwe do zrealizowania, i znalezienie jednego, który można wcielić w życie. Będzie to trudne, ale musicie to zrobić!

– Pamiętajcie o glutaminianie sodu i soli – dodał premier.

Samo rozstanie odbyło się w ciszy. Dorośli uścisnęli w milczeniu dłonie dzieci i wyszli z sali, pomagając sobie wzajemnie. Ostatni opuścił salę prezydent i zanim wyszedł za drzwi, odwrócił się i rzekł do nowych przywódców państwa:

– Dzieci, teraz świat należy do was.

* Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wyd. III poprawione, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1980 [przyp. A.J.].

Era supernowej

Przez kilka dni po wyjeździe dorosłych młodzi przywódcy spędzali czas na najwyższym piętrze PWI przed wyświetlanym na dużym jarzącym się ekranie zegarem epoki, który zalewał pomieszczenie zielonym światłem.

Pierwszego dnia wszystko w państwie przebiegało normalnie. Ministerstwa dość skutecznie kierowały różnymi sektorami, na terytorium kraju nie odnotowano żadnych poważnych incydentów. Wydawało się, że dzieci kontynuują rozruch próbny. W tej sytuacji przywódcy zgromadzeni na szczycie PWI nie mieli dużo do roboty.

Pierwszego wieczoru nic się nie zmieniło na zegarze epoki, który pozostawał połacią zieleni bez najmniejszej skazy. Młodociani przywódcy patrzyli na nią do późna w nocy, dopóki nie poszli spać. Ale gdy się obudzili, któryś z nich krzyknął:

– Chodźcie tu! Czy tam u góry to nie jest czarna plamka?

Przyjrzeli się uważnie ekranowi i rzeczywiście zauważyli mały czarny kwadracik wielkości monety, co wyglądało tak, jakby ze lśniącej zielonej posadzki odłupano jedną płytkę.

– A może to zły piksel? – zasugerowało jedno z dzieci.

– Na pewno. Coś podobnego stało się z ekranem w moim starym komputerze – odparło inne.

Można było w prosty sposób sprawdzić tę hipotezę, bo wymagało to tylko zerknięcia na inne ekrany, ale nikt tego nie zaproponował i wszyscy znowu poszli spać.

Dzieci są dużo lepsze w okłamywaniu samych siebie niż dorośli.

Kiedy obudziły się drugiego ranka i zebrały się pod zegarem epoki, nie mogły się już oszukiwać. W zielonym prostokącie było wiele rozproszonych czarnych plamek.

W oglądanym z góry mieście życie toczyło się spokojnie, na ulicach nie było widać przechodniów, tylko od czasu do czasu jakiś przejeżdżający pojazd. Wydawało się, że po stu latach zgiełku miasto pogrążyło się we śnie.

Po zmroku liczba czarnych punktów na zegarze epoki się podwoiła; niektóre łączyły się i tworzyły placki czerni, które wyglądały jak polany w lesie.

Rankiem trzeciego dnia w przybliżeniu równe obszary czerni i zieleni tworzyły złożony obraz. Od tej pory czarny kolor pokrywał coraz szybciej przestrzeń na ekranie, niczym czarna lawa śmierci zalewająca zegar epoki i bezlitośnie pochłaniająca zieloną trawę życia. Gdy zapadła noc, zajmował już dwie trzecie prostokąta i stał się czymś w rodzaju magicznego zaklęcia, w którego mocy znalazły się dzieci.

Xiaomeng wzięła pilota i wyłączyła ekran.

– Idźcie spać – powiedziała. – Nie powinniśmy siedzieć tu do późna każdej nocy. Odpocznijcie. Kto wie, jaka praca nas czeka.

Wrócili do swoich pokojów i położyli się spać. Huahua wyłączył światło i wyciągnął się na łóżku, ale potem wyjął swój palmtop i wszedł do sieci, by wyszukać zegar epoki. Poszło mu to łatwo, bo zegar był praktycznie na wszystkich stronach. Gapił się na niego jak zauroczony i nie zauważył, że do pokoju weszła Xiaomeng. Wzięła jego palmtop. Miała ich już całe naręcze.

– Śpij! Kiedy wy wszyscy nauczycie się samokontroli? Muszę chodzić od pokoju do pokoju i konfiskować te palmtopy.

– A kiedy ty przestaniesz odgrywać starszą siostrę? – krzyknął za nią Huahua, gdy wychodziła.

Dzieci stojące pod zegarem epoki zdjął ogromny strach, ale pewnym pocieszeniem było to, że państwo nadal było stabilne i funkcjonowało jak potężna, dobrze naoliwiona maszyna. Dane wyświetlane przez Domenę Cyfrową przekonywały je, że przejęły cugle świata i że wszystko będzie zawsze działało tak jak dotąd. Poprzedniego wieczoru przestały się nawet wpatrywać w ciemniejący zegar i poszły spać.

Jednak gdy czwartego dnia weszły do sali, poczuły się, jakby wstępowały do grobu. Do mrocznej sali nie dotarło jeszcze światło świtu i z zegara zniknęła prawie cała zieleń. W tej ciemności widziały tylko jeden skrawek zieleni, który jarzył się jak odległe gwiazdy zimową nocą, i odetchnęły głębiej dopiero wtedy, kiedy zapaliły lampy. Przez cały dzień nikt ani na chwilę nie odszedł od zegara. Dzieci co rusz liczyły zmniejszającą się liczbę kropek, a ich serca spowijał coraz głębszy smutek.

– A więc dorośli zostawią nas – powiedziało któreś z nich.

– Tak. Jak mogą nam to zrobić? – rzekło inne.

– Kiedy umierała moja mama – odezwała się Xiaomeng – byłam przy niej i myślałam to samo: „Jak ona może mnie zostawić?”. Nawet zaczęłam ją nienawidzić. Ale potem czułam się tak, jakby nadal pozostawała gdzieś żywa…

– Patrzcie! – krzyknęło któreś dziecko. – Zgasł jeszcze jeden punkt!

Huahua wskazał na jedną z zielonych kropek.

– Założę się, że ta będzie następna.

– O co zakład?

– Jeśli przegram, nie będę dzisiaj spać.

– Całkiem możliwe, że dzisiaj nikt nie będzie spać – powiedział Okularnik.

– Dlaczego?

– Jeśli będzie to dalej postępowało w tym tempie, zegar epoki zgaśnie dzisiejszej nocy.

Zielone kropki znikały jedna po drugiej, jeszcze szybciej niż dotąd, i patrzącym na prawie ciemny już zegar dzieciom zdawało się, że jest on jak bezdenna przepaść, nad którą są zawieszone.

– Te szyny naprawdę zawisną w powietrzu – mruknął pod nosem Okularnik.

Tuż przed północą pozostała tylko zielona gwiazda, pojedynczy punkt świecący samotnie w lewej górnej części ciemnej pustyni zegara epoki. W sali panowała śmiertelna cisza, dzieci, nieruchome jak posągi, czekały na ostatnie tyknięcie. Minęła godzina, dwie, ale uparta gwiazdka nadal świeciła. Dzieci zaczęły wymieniać między sobą spojrzenia, a potem szeptać.

Wzeszło słońce. Przesuwało się nad milczącym miastem i schowało na zachodzie, a gwiazda przez cały dzień świeciła.

Około południa w PWI zaczęła krążyć plotka, że jednak jakiś czas temu opracowano skuteczny lek na promieniowanie supernowej, ale jego produkcja wymagała tak dużo czasu, że można było zaspokoić tylko ułamek zapotrzebowania na niego, więc nie upubliczniono wiadomości o tym, by uniknąć chaosu. Wszystkie państwa zebrały najbardziej utalentowane jednostki i podawały im ten lek, a utrzymująca się na zegarze plamka oznaczała punkt ich zbiórki. Po dokładnym rozważeniu ten scenariusz nie wydawał się niemożliwy. Dzieci odtworzyły ostatnie przemówienie sekretarza generalnego ONZ i ponownie je obejrzały, zwracając uwagę w szczególności na jeden fragment:

„Dzieci przejmą administrację na świecie w sensie konstytucjonalnym i prawnym, gdy zegar epoki całkowicie pociemnieje. Do tego czasu władza pozostaje w rękach dorosłych”.

Było to dziwne stwierdzenie. Dorośli mogli przekazać władzę przed udaniem się na miejsca ostatniej zbiórki, dlaczego więc mieliby z tym czekać do chwili, aż stanie zegar epoki? Była tylko jedna możliwość – niektóre osoby w pewnych punktach zbiórki miały nadal nadzieję, że przeżyją!

Zanim nadeszło południe, wszystkie dzieci były przekonane o prawdziwości tej teorii. Patrzyły z podnieceniem na zegar epoki jak na odległą latarnię morską podczas nocnej żeglugi po zdradliwych wodach. Zaczęły szukać położenia tego miejsca ostatniej zbiórki i obmyślać sposoby nawiązania z nim kontaktu, ale były to bezowocne próby. Nie zostawiono żadnych wskazówek dotyczących takich miejsc. Wydawało się, że znajdują się one w innym świecie. Tak więc dzieci musiały czekać, a tymczasem niepostrzeżenie zapadła noc.

Wyczerpane poprzednią bezsenną nocą i dniem, ukołysane kojącym światłem tej nieginącej gwiazdy, spały na fotelach i kanapach, śniąc o powrocie w objęcia rodziców.

Padał deszcz, bębniąc lekko o przezroczystą od podłogi do sufitu powłokę sali, zraszając miasto i jego rozproszone zamglone światła w dole i spływając strumykami po ścianach.

Czas płynął bez dźwięku przez wszechświat jak przejrzysta mgła.

Deszcz się wzmógł, potem zaczął wiać wiatr, a na koniec niebo przecięła błyskawica i przetoczył się grzmot, budząc dzieci. Salę wypełniły ich przestraszone krzyki.

Zielona gwiazda zgasła. Z zegara epoki został zdmuchnięty ostatni dębowy liść i pozostało na nim tylko nieprzerwane pasmo czerni.

Na Ziemi nie było już żadnej dorosłej osoby.

Przestało padać. Silny wiatr przegnał z nocnego nieba chmury burzowe i ukazała się ogromna Różana Mgławica, która świeciła ostrym, niesamowitym, niebieskim światłem. Kiedy jej blask docierał na ziemię, zmieniał się na srebrzysty jak światło księżyca i oświetlał każdy szczegół mokrego krajobrazu, przyćmiewając światła miasta.

Dzieci stały na najwyższym piętrze wieżowca w kształcie litery A i patrzyły na nią, na grób starej gwiazdy i wspaniałe łono, w którym rozwijał się zarodek nowej, a ich małe postacie spowijało nieziemskie srebro.

Zaczęła się era supernowej.

5. Zaczyna się nowa era

Pierwsza godzina

Pierwsza minuta ery supernowej

Dzieci stały przed przezroczystą ścianą, patrząc w oszołomieniu na wspaniałą Różaną Mgławicę i świat, który zostawili im dorośli.

Druga minuta ery supernowej

– Och… – westchnął Huahua.

– Och… – westchnął Okularnik.

– Och… – westchnęła Xiaomeng.

– Och… – westchnęła reszta dzieci.

Trzecia minuta ery supernowej

– Więc zostaliśmy tylko my? – zapytał Huahua.

– Tylko my? – zapytała Xiaomeng.

– Naprawdę tylko my? – zapytała reszta dzieci.

Czwarta minuta ery supernowej

Zapadła głęboka cisza.

Piąta minuta ery supernowej

– Boję się – powiedziała jedna z dziewcząt.

– Włączcie wszystkie światła – powiedziała inna.

A więc zapalono wszystkie światła w sali. Mimo to cienie, które na podłogę rzucały w świetle mgławicy postaci dzieci, były tak samo wyraźne jak przedtem.

Szósta minuta ery supernowej

– Zasłońcie ścianę. Nie mogę znieść otwartej przestrzeni – powiedziała ta pierwsza dziewczyna.

A więc zmieniono ustawienia stanu sufitu i ściany sali na nieprzejrzystość, zamykając widok na nowo narodzony świat na zewnątrz.

– I to coś czarnego. To naprawdę przerażające!

A więc zegar epoki zniknął z ekranu.

Siódma minuta ery supernowej

Na ekranie zegar epoki zastąpiła ogromna mapa, tak szczegółowa, że chociaż miała cztery metry wysokości i dziesięć metrów szerokości, najmniejsze oznaczenia i napisy były nie większe od tych, które można było znaleźć na zwykłej mapie. Nawet stojąc tuż pod nią, można było dostrzec tylko kawałek jej dolnej części, ale każdy fragment można było okółkować i powiększyć, by się mu bliżej przyjrzeć. Tę część ściany pokrywała zawiła sieć jarzących się linii i kolorowych obszarów, przekształcając ją w pokaz dynamicznych obrazów.

Dzieci czekały w milczeniu, bez ruchu, dopóki mała gwiazdka przedstawiająca Pekin nie zapłonęła czerwienią.

Ósma minuta ery supernowej

Rozległo się ciche brzęczenie, a po nim u dołu mapy pojawił się tekst:

Port 79633 do portów w stanie połączenia: 1

Na mapie pojawiła się długa czerwona linia łącząca Pekin z Szanghajem, z okienkiem pośrodku, w którym wyświetlił się numer kanału: 79633. Jednocześnie chłopięcy głos powiedział:

– Halo? Pekin! Pekin! Pekin! Jest tam ktoś?

– Jesteśmy – odpowiedział Huahua. – Tu Pekin.

– Ty też jesteś dzieckiem. Są tam jacyś dorośli?

– Nie ma ani jednego. Ani tu, ani nigdzie. Nie widziałeś, że zegar epoki stanął?

– Nigdzie nie ma żadnego dorosłego?

– Zgadza się. A ty gdzie jesteś?

– W Szanghaju. Jestem sam w budynku.

– I jak tam wygląda?

– Jak wygląda? To znaczy na zewnątrz? Nie wiem. Z okna nie widzę nikogo na ulicy, nie ma też żadnych hałasów. Niebo jest zachmurzone i widzę, że pada deszcz. Przez chmury przebija się niebieskie światło. To straszne!

– Hej, zostaliśmy tylko my.

– Co powinienem zrobić?

– A skąd mam wiedzieć?

– Dlaczego nie wiesz?

– A dlaczego powinienem?

– Bo jesteś w Pekinie.

Następny brzęczyk. Na ekranie wyświetlił się komunikat:

Port 5391 do portów w stanie połączenia: 2

Z Pekinu wysunęła się inna czerwona linia, która zakończyła się w Jinanie, mieście nad Żółtą Rzeką.

– Pekin! Pekin! Wzywam Pekin!

– Tu Pekin – powiedziała Xiaomeng.

– O, jest połączenie – powiedział jakiś chłopiec po drugiej stronie linii, najwyraźniej do dzieci, które z nim były.

Huahua i Xiaomeng usłyszeli szmery – bez wątpienia były to te właśnie dzieci tłoczące się wokół telefonu.

– Pekin, co powinniśmy teraz zrobić?

– W jakiej sprawie?

– My… dorośli zebrali nas tutaj przed odejściem, ale teraz nie ma kto się nami zaopiekować.

– Gdzie jesteście? I ile was tam jest?

– W szkole. Dzwonię z sekretariatu. Jest tu ponad pięćset dzieci. Co mamy robić?

– Nie wiem…

– Nie wiesz?! – Potem chłopiec powiedział zapewne do kogoś w pobliżu niego: – Pekin mówi, że nie wiedzą. Nie wiedzą, co mamy robić!

– W Pekinie też nie są zorientowani? – rozległy się inne, cichsze głosy.

– A skąd mieliby wiedzieć? Tam jest tak jak u nas: zostały tylko dzieci.

– Naprawdę jesteśmy zdani na siebie?

– Tak. A kto tu jest poza nami?

– Dorośli nie powiedzieli wam, co robić? – powiedział inny głos, jakby słuchawkę złapało inne dziecko.

– Co się stało z waszymi lokalnymi przywódcami?

– A kto to wie? Są nieosiągalni!

Znowu rozległo się brzęczenie. Na mapie pojawiły się trzy nowe linie biegnące z Pekinu do Xi’an, Taiyuanu i Shenyangu. Teraz było ich już pięć, każda oznaczona pośrodku numerem odpowiadającego jej portu. Ekran pokazywał „Porty w stanie połączenia: 5”. Huahua nacisnął klawisz linii do Shenyangu i usłyszeli szlochanie dziewczynki. Jak można było sądzić po głosie, miała cztery albo pięć lat.

– Halo? Halo? – powiedziała przez łzy.

– Tu Pekin. Co się stało?

– Jestem głodna. Głodna!

– Gdzie jesteś?

– W domu… w domu… – Jej słowa przeszły w szloch.

– Mama i tata zostawili ci coś do jedzenia?

– Nie.

Xiaomeng zwróciła się do niewidocznej dziewczynki tonem cioci:

– Nie płacz. Rozejrzyj się, dobrze? Grzeczne dziecko.

– Nie… nie mogę nic znaleźć.

– Bzdura! Niemożliwe, żeby w domu nie było nic do jedzenia! – krzyknął Huahua.

– Boże, przestraszysz ją – powiedziała Xiaomeng, łypiąc na niego ze złością. Potem ponownie zwróciła się do dziewczynki: – Poszukaj w kuchni, kochanie. Znajdziesz tam coś do jedzenia.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Huahua chciał przełączyć na inną linię, ale Xiaomeng nalegała, żeby zaczekał. Niebawem szlochająca dziewczynka wróciła do telefonu.

– Zamknięte. Drzwi są zamknięte.

– Hmm… pomyśl. Kiedy rankiem szłaś do przedszkola, skąd mama brała dla ciebie jedzenie?

– Na śniadanie jadłam w przedszkolu placki cebulowe.

– A w niedziele?

– Mama przynosi jedzenie z kuchni. – Mała znowu się rozpłakała.

– Och, na li… zawsze z kuchni?

– Czasami jem makaron błyskawiczny.

– Dobrze. Wiesz, gdzie mama go trzyma?

– Tak.

– Świetnie. Idź i znajdź go.

Znowu zapadła cisza, ale wkrótce usłyszeli szelest.

– Znalazłam. Jestem głodna – załkała dziewczynka.

– No to go zjedz! – wyrzucił z siebie rozdrażniony Huahua.

– Ale torebka… Nie mogę otworzyć torebki.

– A niech to! Idiotka. Odgryź róg, a potem otwórz torebkę rękami.

– Na miłość boską! Myślisz, że może odgryźć róg? Pewnie nie ma zębów!

Ale akurat kiedy Xiaomeng miała jej powiedzieć, jak otworzyć torebkę, usłyszeli odgłos rozdzierania, a zaraz potem chrzęst suchego makaronu.

– Nie, nie jedz go tak. Rozejrzyj się za termosem.

Dziewczynka całkowicie zignorowała Xiaomeng i dalej głośno chrupała. Huahua ruszył się, by przełączyć na inne miejsce, ale kiedy spojrzał na mapę, zatrzymał się zdumiony. Pokazało się kilkanaście nowych linii i przybywały następne, większość z dużych miast. Z niektórych miast wychodziły dwie linie, a wszystkie kierowały się w stronę Pekinu. Ekran pokazywał, że wzywało ich ponad pięćdziesiąt portów (nie wszystkie były pokazane na mapie), a ich liczba stale rosła. Nastolatki w PWI patrzyły na to zszokowane, a kiedy doszły do siebie na tyle, by przełączyć na inne miasto, na mapie było więcej linii, niż mogły policzyć. Według komunikatu na ekranie wzywało je ponad tysiąc trzysta miast. A był to tylko jeden

z dziesięciu adresów internetowych PWI, więc to, co widziały, było tylko wierzchołkiem góry lodowej.

Wszystkie dzieci w kraju wzywały Pekin.

Piętnasta minuta ery supernowej

– Halo, Pekin? Dlaczego moi rodzice jeszcze nie wrócili?

– Co? To znaczy, że nic nie wiesz?

– Nie wiem, gdzie wyszli. Powiedzieli mi, żebym nigdzie nie odbiegała, żebym została w domu.

– Na pewno nie powiedzieli ci, że nie wrócą?

– Ojej! Nie.

– No to posłuchaj: oni nie wrócą.

– Co?

– Wyjdź z domu i rozejrzyj się. Znajdź inne dzieci. Idź!

– Maaamo! Chcę do mamy!

– Nie płacz. Ile masz lat?

– Mama powiedziała, że… trzy. Trzy. – Szloch.

– Posłuchaj. Nie szukaj mamy. Ona długo nie wróci. Idź do sąsiedniego mieszkania i poszukaj starszych dzieci.

– Hej, Pekin! Kiedy mam oddać swoją pracę domową?

– Co?!

– Kiedy się tu zebraliśmy, nauczyciele zadali nam dużo prac domowych. Powiedzieli, że jeśli się zmęczymy, mamy iść spać, a po przebudzeniu

odrabiać je dalej. I żebyśmy nie wychodzili na podwórko ani w ogóle nigdzie. Potem wyszli.

– Macie jedzenie i wodę?

– Tak, ale pytałem o pracę domową.

– Och, do diabła, rób, co chcesz.

– Halo, Pekin? To prawda, że nie ma już dorosłych?

– Prawda. Odeszli…

– Pekin, kto się nami zajmie?

– Idź i zapytaj swoich bezpośrednich przełożonych.

– Hej! Halo! Halo?

W ciągu piętnastu minut w PWI odebrano bardzo wiele podobnych telefonów, ale nie stanowiło to nawet jednego procentu ich ogólnej liczby; ekran pokazywał, że do Pekinu dzwoni ponad osiemnaście tysięcy portów, a mapę gęsto pokrywały czerwone linie. Dzieci w wieżowcu zaczęły podchodzić do tego bardziej wybiórczo – wysłuchiwały kilku słów, a jeśli sytuacja nie była pilna, przełączały na inną linię.

Trzydziesta minuta ery supernowej

– Halo, Pekin! Mamy tu kłopot. Pali się skład paliw i wybuchają cysterny! W naszą stronę płynie rzeka ognia! W każdej chwili może dotrzeć do miasta!

– A gdzie jest straż pożarna?

– Nie wiem! Nie słyszałem o żadnej straży pożarnej.

– Posłuchaj: powiedz wszystkim dzieciom, żeby uciekały z miasta!

– Więc… mamy je opuścić?

– Tak, opuśćcie je! I to szybko!

– Ale… tu są nasze domy.

– To polecenie! Polecenie władz centralnych!

– Tak jest!

– Pekin? Tu… mamy pożar. W całym mieście wybuchły pożary. Największy w centrum handlowym!

– Gdzie jest straż pożarna?

– Właśnie tutaj!

– Niech ugaszą ogień!

– Ale w hydrantach nie ma ani kropli wody!

– Zadzwońcie do władz miejskich, żeby zapewniły dopływ. Potem weźcie wozy i przywieźcie wodę z najbliższego źródła… Aha, i najpierw ewakuujcie stamtąd wszystkie dzieci.

Liczba telefonów do sali poszybowała do ponad stu tysięcy. Mapa pokazywała tylko te, które system ocenił jako dzwoniące w ważnych sprawach, ale i tak wypełniały ją czerwone linie, a stare zastępowały nowe. Praktycznie z każdego regionu biegła linia do Pekinu.

– Halo! Pekin! W końcu się do was dodzwoniłem! Czyście tam wszyscy umarli? Dlaczego zostawiliście nas samych?

– Chyba ty umarłeś. Myślisz, że możemy się zająć wszystkim?

– Posłuchajcie tego!

Z głośnika dobiegły jakieś hałasy.

– Co to?

– Płacz maluchów.

– Ile ich jest?

– Za dużo, żeby dało się policzyć. Prawie tysiąc. Zostawicie je tak?

– Jasna cholera! Mówisz, że jest tam prawie tysiąc małych dzieci?

– Najmłodsze nie mają nawet roku!

– Ilu was się nimi opiekuje?

– Tylko nieco ponad pięćdziesiątka.

– Kiedy odjeżdżali dorośli, nie zostawili żadnych przeszkolonych opiekunek?

– Było tu kilkaset dziewcząt, ale przed chwilą przyjechały jakieś samochody i wszystkie zabrały. Kierowcy powiedzieli, że mają pilniejszą sytuację. Zostaliśmy tylko my.

– Boże! Słuchaj, najpierw niech połowa z was pójdzie znaleźć inne nastolatki, nieważne, czy chłopców, czy dziewczęta, i sprowadzi je, żeby wam pomogły. Pospieszcie się. Najlepiej nadajcie komunikat przez radio.

– Dobrze.

– A dlaczego te dzieci płaczą?

– Może są głodne? Albo chce im się pić? Nie mamy pojęcia. Znaleźliśmy fistaszki, ale one nie chcą ich jeść.

– Ty kretynie! Chcesz karmić niemowlęta fistaszkami? One potrzebują mleka!

– A skąd mamy wziąć mleko?

– Są w pobliżu jakieś sklepy?

– Tak.

– No to idźcie tam i poszukajcie. Będzie tam mleko w proszku.

– Więc… mamy wyważyć drzwi, tak?

– Zgadza się. Nie przejmuj się kasą. A jeśli tam będzie za mało mleka, idźcie do domu towarowego. Szybko!

– Halo, Pekin! Mamy tu powódź!

– Jest wiosna! Skąd płynie ta woda?

– Mówią, że zapomnieli podnieść stawidło w górze rzeki, woda się podniosła i przelała przez tamę! Połowa miasta jest pod wodą i wszystkie dzieci przechodzą na tę stronę. Ale woda podchodzi za szybko i nie zdążymy przed nią uciec!

– Każcie dzieciom wejść na dachy.

– Ale mówią, że budynki się osuną, kiedy woda je podmyje.

– Nie osuną się. Powiedz o tym przez megafon.

– Pekin! Hej! Posłuchajcie, jak te dzieci płaczą!

– Nie ma tam nikogo do opieki?

– Nie ma tu żadnego lekarza!

– Lekarza? Po co?

– One są chore!

– Jak to możliwe, że wszystkie są chore? Może płaczą z głodu?

– Nie. My też jesteśmy chorzy! Wszystkie dzieci w mieście chorują. Woda jest skażona. Po jej wypiciu ma się zawroty głowy i biegunkę.

– Idź do szpitala. Poszukaj lekarza.

– W szpitalu nie ma ani jednego lekarza!

– Znajdź burmistrza!

– To ja jestem burmistrzem!

– Musisz znaleźć lekarzy! Idź też do wodociągów i znajdź źródło skażenia. I zbierzcie jak najszybciej czystą wodę, butelkowaną, bo konsekwencje będą jeszcze gorsze!

– Pekin! Tu… Urząd miejski otoczyło dziesięć tysięcy dzieci albo więcej. Wszystkie wyglądają na chore. Płaczą i pytają o swoich rodziców!

– Halo! Hej, Pekin! – Kaszlnięcie. – W zakładach chemicznych koło miasta doszło do wybuchu i wycieku trującego gazu. – Następne kaszlnięcie. – Wiatr przywiał go do miasta i nie możemy oddychać! – Kolejne kaszlnięcie.

– Pekin! Wykoleił się pociąg wiozący ponad tysiąc dzieci. Nie znam liczby ofiar. Co powinniśmy zrobić?

– Pekin! Ten wielki czarny prostokąt nas przeraża. Tak się boimy!

Płacz i przestraszone krzyki wielkiego tłumu dzieci.

– Cześć. Tu Pekin. Gdzie jesteście? Co się stało?

Płacz i krzyki.

– Halo! Halo!

Płacz i krzyki.

Sześćdziesiąta minuta ery supernowej

Na ekranie liczba telefonów odbieranych przez Pekin wzrosła z przerażającą szybkością do trzech milionów. W panice ogarniającej dzieci zgromadzone na ostatnim piętrze PWI ktoś wcisnął przypadkiem guzik z napisem „Transmituj wszystkie” i otworzyły się jednocześnie wszystkie kanały, zalewając salę falą hałasu, która runęła na nie. Dzieci zatkały uszy, by nie słyszeć miliona głosów powtarzających to samo słowo: „Pekin! Pekin! Pekin!”.

Kiedy tak stały zszokowane, liczba telefonów zbliżyła się do ponad czterech milionów. Wydawało się, że wzbierająca fala głosów dobiegających z całego kraju zatopi wkrótce całe pomieszczenie. Dziewczęta spazmatycznie łkały, w końcu po stukaniu w różne klawisze, które zdawało się trwać całe wieki, gdy zebrani znaleźli się na granicy szaleństwa, Huahua wyłączył dźwięk. Natychmiast zapadła cisza. Dzieci wróciły do odbierania telefonów jeden po drugim.

Wszystkie dzieci w kraju wydzwaniały do Pekinu, jakby słały błagania do słońca, które było nadal pod horyzontem. Pekin był nadzieją, był potęgą, był jedynym oparciem w tym dojmującym osamotnieniu. Ogromna katastrofa nadeszła tak szybko, że dorośli nie mieli czasu, by wszystko zorganizować, i natłok głosów szukał pomocy u grupy trzynastolatków, którzy, podobnie jak ich rówieśnicy, nie mieli w nikim oparcia i tak jak oni stali w obliczu tego nowego świata przytłoczeni wielkim strachem, w bezgranicznym oszołomieniu.

Nastoletni przywódcy odpowiadali na nieustanne telefony, wiedząc, że znajdują się w niewiele lepszej sytuacji niż ci, którzy dzwonią do nich

z daleka. Mimo to każdemu odpowiadali. Zdawali sobie sprawę, że każde słowo przekazane ze stolicy jest jak promień światła dla walczących z ciemnością, przerażonych i samotnych dzieci i daje im pociechę i siłę. Wykonywali tę pilną pracę, aż zaczęło im się kręcić w głowach ze zmęczenia, aż ochrypli tak, że nie mogli wydobyć z siebie głosu i musieli robić zmiany przy odbieraniu telefonów. Byli zdegustowani swoją słabością, sfrustrowani tym, że nie mogą mówić tysiącem ust. Odpowiadanie milionom dzwoniących przypominało osuszanie morza łyżeczką do herbaty.

– Kto wie, jak źle jest na zewnątrz – rzekła z westchnieniem Xiaomeng.

– Sami możemy zobaczyć – powiedział Huahua i za pomocą pilota zmienił strukturę ściany na przezroczystą.

To, co zobaczyli, zmroziło ich. W powietrze wzbijały się słupy dymu z płonących budynków, co wyglądało tak, jakby ktoś wetknął w miasto czarne pióra, zabarwione czerwienią przez migający ogień albo zielenią przez zwarcia w sieci energetycznej. W mieście wysiadł prąd.

W sali rozległ się zimny głos:

– Przerwa w dostawie energii. Przełączam na zasilanie awaryjne.

Wielki Kwant wyświetlił na ekranie najnowszy raport o stanie kraju.

Era supernowej trwa od godziny i 11 minut.

Sprawozdanie operacyjne nr 1139

Nieprawidłowe działania władz i administracji wszystkich szczebli. Przestało funkcjonować 62 procent krajowych agencji rządowych; większość pozostałych nie funkcjonuje normalnie.

Systemy energetyczne nie działają prawidłowo. Nie pracuje 63 procent elektrociepłowni i 56 procent hydroelektrowni. Krajowa sieć elektroenergetyczna jest bardzo niestabilna, a 8 procent dużych miast i 14 procent małych jest całkowicie odciętych od prądu.

Zaopatrzenie miast w wodę niewystarczające. 81 procent dużych miast i 88 procent miast średniej wielkości całkowicie pozbawione dostępu do wody; w większości pozostałych ledwie jej starcza, a jej dostawy są przerywane.

W 91 procentach miast łańcuchy zaopatrzenia, usługi i systemy podtrzymania życia są kompletnie sparaliżowane.

85 procent transportu kolejowego i drogowego działa z przerwami. Dramatycznie wzrosła liczba wypadków. Lotnictwo cywilne całkowicie sparaliżowane.

Porządek społeczny się załamuje i nastaje chaos. W miastach dramatycznie szerzy się panika.

W całym kraju wykryto 31 136 537 pożarów, z czego 55 procent zostało spowodowanych awariami sieci energetycznej, reszta wybuchami paliwa i substancji chemicznych.

Obecnie jest względnie mniej powodzi i podtopień, ale pogarszające się warunki stwarzają poważne zagrożenie. 89 procent tam na większych rzekach jest pozbawionych nadzoru, a 94 procent urządzeń kontroli stanu wód stoi przed groźbą poważnych uszkodzeń, takich jak przerwanie tam.

W chwili obecnej złe warunki klimatyczne panują tylko na 3,31 procent obszaru kraju; nigdzie nie wystąpiły trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów ani inne klęski żywiołowe. Jednak radykalnie spadła zdolność do podjęcia działań ratunkowych i gdyby doszło do takiej katastrofy, straty będą poważne.

W chwili obecnej 8,379 procent mieszkańców choruje, 23,158 procent brakuje dostatecznej ilości żywności, 72,09 procent nie ma dostatecznej ilości wody pitnej, a 11,6 procent odpowiedniej odzieży. Te odsetki stale rosną.

Ostrzeżenie! Poważne ostrzeżenie! Kraj jest w niebezpieczeństwie!

Potem znowu pojawiła się mapa, tym razem pokryta czerwonymi plamami w miejscach, gdzie znajdowały się najbardziej zagrożone regiony. Po niej inne mapy z różnie rozmieszczonymi plamami czerwieni, pokazującymi obszary, gdzie występowały największe braki lub przerwy

w transporcie, dostawach energii elektrycznej oraz wody i gdzie było najwięcej pożarów. Na koniec ukazał się kompleksowy obraz, na którym cały kraj zalany był jak morzem ognia intensywnie migającą czerwienią.

Dzieci zaczęły się uginać pod ogromną presją psychiczną. Pierwsza załamała się krucha dziewczyna, która miała nadzorować opiekę medyczną. Rzuciła słuchawkę, osunęła się na podłogę, po czym zaczęła wierzgać nogami i krzyczeć:

– Mamo! Mamo!

Zhang Weidong, który miał kierować przemysłem lekkim, też cisnął słuchawkę.

– To nie jest zadanie dla dzieci! – wrzasnął. – Nie daję rady. Rzucam to! – I skierował się w stronę drzwi.

Lü Gang zablokował mu wyjście i odepchnął go.

Ale było już za późno. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Dziewczęta płakały, a chłopcy, nadmiernie zdenerwowani, rzucili słuchawki i ruszyli do wyjścia.

Dało się słyszeć:

– Ja też nie daję rady. Odchodzę.

– Wiedziałem, że tego nie ogarnę, ale mnie zmusili. Ja też chcę stąd wyjść.

– Tak. Jesteśmy tylko dziećmi. Nie możemy brać na siebie takiej odpowiedzialności.

Lü Gang wyciągnął pistolet i oddał dwa strzały w górę. Kule przeszyły sufit i w nanomateriale pojawiły się dwie dziurki podobne do płatków śniegu.

– Ostrzegam was! – warknął. – Nie możecie stchórzyć.

Ale strzały zatrzymały chłopców tylko na kilka sekund.

– Myślisz, że boimy się umrzeć? – powiedział Zhang Weidong. – Nie. To, czym się teraz zajmujemy, jest gorsze od śmierci.

Ci, którzy stali za nim, znowu naparli. Któryś z nich powiedział:

– No dalej! Zastrzel nas.

– Zrobisz nam przysługę – dodał inny.

Lü Gang westchnął i schował pistolet. Zhang Weidong minął go i otworzył drzwi, a za nim wysypały się pozostałe dzieci.

– Czekajcie. Muszę wam coś powiedzieć! – zawołał za nimi Huahua, ale bez skutku. Natomiast to, co powiedział później, sprawiło, że zatrzymali się w miejscu jakby pod wpływem magii. – Jadą tu dorośli!

Chłopcy obrócili się i popatrzyli na niego, a ci, którzy wyszli już z sali, cofnęli się.

– Wracają do PWI – kontynuował Huahua. – Poczekajcie… Są teraz w windach. Niedługo tu będą.

– Śnisz czy co? – zapytał ktoś.

– To, czy śnię, czy nie śnię, nie ma znaczenia. Ważne jest, co teraz zrobimy. Co zrobimy, kiedy tu wejdą?

Dzieci milczały.

– Będziemy musieli im powiedzieć: „Witajcie w świecie dzieci! Wasze rady są cenne, ale musicie zrozumieć, że to nasz świat i że uroczyście, zgodnie z prawem i konstytucją, przejęliśmy nad nim kontrolę. Teraz jest nasz. Będziemy napotykali trudności i kłopoty, będziemy musieli stawiać czoło niekończącym się katastrofom i składać z siebie ofiary, ale odpowiedzialność za wszystko spoczywa na nas i udźwigniemy ją. Znaleźliśmy się w tym miejscu nie ze względu na nasze zdolności, ale z powodu nieoczekiwanej katastrofy. Ale mamy takie same obowiązki jak dorośli, którzy zajmowali to miejsce przed nami, i nie uchylimy się przed nimi!”.

Potem Xiaomeng włączyła jeden z kanałów łączności i salę wypełnił płacz dzieci, wyraźnie dużej ich grupy.

– Posłuchajcie tego wszyscy – rzekła. – Jeśli opuścicie stanowiska, będziecie największymi przestępcami w historii!

– To, czy wyjdziemy, czy nie, nie ma znaczenia. Nie jesteśmy w stanie przewodzić krajowi! – krzyknął jeden z chłopców.

Patrząc na ogień pożarów w mieście pod nimi, Huahua powiedział:

– Spójrzmy na tę sprawę z innego punktu widzenia. Kilkoro z nas jest z tej samej klasy. Razem się uczyliśmy i bawiliśmy. Wszyscy wiemy, jaki każdy z nas miał cel. Pamiętacie przyjęcie na koniec szkoły, tuż przed pojawieniem się supernowej? Lü Gang chciał zostać generałem, a teraz jest szefem sztabu generalnego. Lin Sha chciała być lekarką, a teraz kieruje służbą zdrowia. Ding Feng chciał zostać dyplomatą, a teraz jest ministrem spraw zagranicznych. Chang Yunyun chciała być nauczycielką, a jest ministrem edukacji. Ktoś kiedyś powiedział, że największą radością w życiu jest zrealizowanie marzeń z dzieciństwa, więc musimy być najszczęśliwszymi ludźmi wszech czasów! Nie pamiętam, ile razy snuliśmy razem fantazje o przyszłości. Ekscytowaliśmy się przyszłością, którą sobie wyobrażaliśmy, wzdychaliśmy: „Czemu jeszcze nie jesteśmy dorośli?”. Teraz budujemy ten wymarzony przez nas świat i nagle wszyscy chcecie od tego uciec? Kiedy jeszcze paliła się ta ostatnia zielona gwiazdka, myślałem podobnie jak wy, że dorośli przeżyją. Ale moja reakcja była zupełnie inna niż wasza. Byłem tylko rozczarowany.

Ostatnie zdanie zszokowało wszystkich. Jedno z dzieci powiedziało:

– Kłamiesz! Tak samo jak my chciałeś, żeby dorośli wrócili.

– Nie kłamię! – zaprzeczył stanowczo.

– No to tylko ty miałeś to dziwne uczucie.

– Nie. Ja też się tak czułem.

Ten głos, niezbyt donośny, dobiegł z miejsca, którego zlokalizowanie zajęło im trochę czasu – w odległym kącie na podłodze siedział ze skrzyżowanymi nogami Okularnik. W którymś momencie wszyscy o nim zapomnieli, ponieważ nie przyłączył się do odbierania telefonów. Ze zdziwieniem zauważyli obok niego trzy puste kartoniki po zupkach błyskawicznych. Kto myślał o jedzeniu w czasie wielkiego wstrząsu emocjonalnego, gdy grupa nieletnich przywódców kraju uginała się pod presją psychiczną spowodowaną ciężarem spoczywających na nich obowiązków, które późniejsi historycy nazwali osobliwością emocjonalną? Zapomnieli już o dwóch czy trzech posiłkach, a tymczasem Okularnik siedział jakby nigdy nic na podłodze i nonszalancko jadł. Wziął z kanapy poduszkę, podłożył sobie pod plecy, opierając je o nogę biurka, na którym stał komputer, wygodnie się rozciągnął z kubkiem kawy w ręku (był jednym z kilkorga dzieci, które lubiły ten napój).

– A ty co robisz? – krzyknął do niego Huahua.

– To, co teraz najbardziej potrzebne: myślę.

– Dlaczego nie odbierasz telefonów?

– Skoro tylu z was je odbiera, to moja obecność nie robi żadnej różnicy. Jeśli tak ci na tym zależy, możesz wziąć do pomocy kilkaset dzieci z ulicy. Nie będą sobie z tym radzić gorzej niż wy.

Na jego twarzy nie było widać żadnych emocji, jakby nadzwyczajne wydarzenia, które rozgrywały się przed jego oczami, w rzeczywistości nie miały miejsca. Jego postawa wywarła na resztę dzieci bardzo uspokajający wpływ. Powoli się podniósł, podszedł do nich i powiedział:

– Być może dorośli się pomylili.

Gapili się na niego zdezorientowani.

– Świat dzieci nie jest ani trochę podobny do tego, jaki sobie wyobrażali. Nie jest nawet taki, jak my sami sobie wyobrażaliśmy.

– Mamy krytyczną sytuację, a ty zachowujesz się jak lunatyk – powiedział Huahua.

– To wy zachowujecie się jak lunatycy – odparł Okularnik. – Zobacz, co robicie. W takiej chwili jak ta przywódcy kraju instruują straż pożarną, jak gasić ogień, ponaglają opiekunki ze żłobka, żeby nakarmiły niemowlaki, a nawet uczą małą dziewczynkę jeść. To wstyd, nie sądzisz?

Potem znowu usadowił się koło biurka i nic już nie powiedział.

Huahua i Xiaomeng popatrzyli na siebie i przez kilka sekund nikt nie odezwał się ani słowem. W końcu Xiaomeng powiedziała:

– Okularnik ma rację.

– Tak. Na chwilę straciliśmy rozum – przyznał z westchnieniem Huahua.

– Wyłączcie widok – powiedziała Xiaomeng i ściana szybko stała się z powrotem nieprzezroczysta, odcinając ich od chaosu panującego na zewnątrz. Zatoczyła ręką koło i dodała: – Wyłączcie też komputery i ekrany. Dajmy sobie trzy minuty spokoju. Nie rozmawiajmy i nie myślmy. Przez trzy minuty.

Ekrany zgasły. Otaczająca ich kremowa ściana zdawała się komorą wykutą w bloku lodu i w tej cichej przestrzeni młodociani przywódcy zaczęli z wolna odzyskiwać zmysły.

Zawieszenie

Druga godzina ery supernowej

Gdy po upływie trzech minut ktoś zaproponował, by znowu włączyć komputery i ekrany, Huahua stanowczo się temu sprzeciwił.

– Jesteśmy naprawdę żałośni. Sytuacja nie jest aż tak zła, żebyśmy zaczęli panikować. Przede wszystkim musimy sobie wszyscy uświadomić, że już dawno temu powinniśmy byli przewidzieć, że kraj znajdzie się w takim stanie, w jakim jest teraz.

Xiaomeng kiwnęła głową na znak zgody.

– To prawda. Stabilny stan podczas rozruchu próbnego był czymś niezwykłym. Dzieci nie mogłyby tego zrobić same.

– A jeśli chodzi o radzenie sobie z obecnym stanem wyjątkowym, to ze szczegółami nie radzimy sobie ani trochę lepiej niż władze niższych szczebli – rzekł Huahua. – Musimy się skupić na naszych obowiązkach: odkryciu przyczyn, głównych przyczyn tego, co się stało.

Wszyscy zaczęli mówić i niebawem jednym głosem postawili to samo pytanie:

– To dziwne. Skoro świat dzieci funkcjonował tak sprawnie, to dlaczego nagle pogrążył się w chaosie?

– Z powodu zawieszenia – powiedział Okularnik, który wyszedł ze swojego kąta, by zrobić sobie jeszcze jeden kubek kawy rozpuszczalnej.

Pozostałym to słowo nic nie mówiło.

– Wpadliśmy na ten pomysł osiem miesięcy temu, przyglądając się, jak Huahua idzie po szynie kolejowej, kiedy zabrano nas na tory, by pokazać glutaminian sodu i sól – wyjaśnił Okularnik. – Zastanawialiśmy się, jak by sobie radził, gdyby szyna była zawieszona w powietrzu. Dopóki chodził zegar epoki, świat dzieci sunął po szynach mocno osadzonych w świecie dorosłych, więc wszystko przebiegało gładko. Kiedy jednak zegar stanął, grunt się osunął i szyny zawisły w powietrzu.

Reszta dzieci przyjęła pomrukiem zgody analizę przeprowadzoną przez Okularnika.

– Widocznie – rzekł Huahua – ta ostatnia zielona gwiazda uruchomiła proces destabilizacji. Gdy dzieci zdały sobie sprawę, że nie została na świecie ani jedna osoba dorosła, natychmiast straciły emocjonalne oparcie.

Okularnik skinął głową.

– I powinniśmy przyznać, że ten brak równowagi emocjonalnej wywarł przerażający wpływ w skali masowej. Sto umysłów połączonych w tym stanie mogło zdobyć przewagę nad tysiącem pojedynczych.

– Rodzice odeszli i zostawili nas tutaj – powiedziała Xiaomeng. – Wszyscy to czujemy. Oto moja analiza stanu kraju, a wy oceńcie, czy mam rację. Wszystkie dzieci szukają wsparcia emocjonalnego, które wypełniłoby lukę po wsparciu udzielanym przez rodziców. Te, które są we władzach prowincji i metropolii, nie różnią się od reszty, wskutek czego kierownictwo średniego szczebla jest sparaliżowane. Znaczy to, że przetaczająca się przez kraj fala paniki uderzy prosto w nas, bo nie chroni nas żadna zapora.

– Wobec tego następnym krokiem, który musimy zrobić, jest przywrócenie zdolności działania kierownictwu średniego szczebla – zawyrokowało któreś z dzieci.

Xiaomeng potrząsnęła głową.

– Nie da się tego zrobić w krótkim czasie, bo już jesteśmy w sytuacji kryzysowej. Musimy znaleźć jakieś nowe wsparcie emocjonalne dla dzieci.

– A jak mamy to zrobić?

– Nie wiem, czy to zauważyliście, ale kiedy zajmowaliśmy się gaszeniem pożarów i innymi pilnymi sprawami, proponowaliśmy rozwiązania nie lepsze, a czasami nawet gorsze niż dzieci, które były na miejscu. Ale gdy otrzymywały naszą odpowiedź, uspokajały się i uzyskiwały kontrolę nad tym, co się działo wokół nich.

– Skąd wiesz?

– My odbieraliśmy telefony, ale tylko Xiaomeng sprawdzała potem, jak wygląda sytuacja w miejscach, skąd dzwoniono – powiedział Lü Gang. – Od czasu do czasu pytała, jak się przedstawiają sprawy. Ona zwraca uwagę na szczegóły.

– Tak więc – kontynuowała Xiaomeng – dzieci potrzebują od nas wsparcia emocjonalnego.

– No to powinniśmy wygłosić przemówienie telewizyjne!

Xiaomeng znowu potrząsnęła głową.

– Stale puszczano takie przemówienia w wersji wideo i audio, ale one niczego nie zmienią. Dzieci znajdują wsparcie emocjonalne w czym innym niż dorośli. Tym, czego teraz szukają, jest matczyny albo ojcowski uścisk, miłość rodziców obejmująca tylko ich, a nie wszystkie dzieci w kraju.

– To wnikliwe spostrzeżenie – rzekł Okularnik, kiwając z uznaniem głową. – Każde samotne i przestraszone dziecko będzie mogło znaleźć emocjonalne wsparcie tylko wtedy, kiedy osobiście skontaktuje się z władzami centralnymi i będzie wiedziało, że dbamy o nie jako o jednostkę.

– Co znaczy, że musimy wrócić do odbierania telefonów.

– A ile możemy odebrać? Powinniśmy sprowadzić tu tabuny dzieci i kazać im kontaktować się ze wszystkimi dziećmi w kraju w imieniu władz centralnych.

– A ile rozmów możemy przeprowadzić? W kraju jest ponad trzysta milionów dzieci. Nigdy tego nie skończymy.

Ponownie ogarnęło ich przygnębienie, że nigdy nie osuszą oceanu, czerpiąc wodę łyżeczkami do herbaty. Stanąwszy wobec zadania tak niemożliwego do wykonania, mogły tylko westchnąć z rezygnacją.

Wtedy któreś z dzieci zapytało Okularnika:

– Profesorze, skoro wiesz tak dużo, to co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

Okularnik przełknął kawę.

– To, że potrafię analizować problemy, nie znaczy, że potrafię je rozwiązywać.

– A pomyśleliście o Wielkim Kwancie? – zapytał nagle Huahua.

Oczy wszystkich pojaśniały. Od kiedy znaleźli się w PWI, byli pod ogromnym wrażeniem możliwości tego superkomputera. Był jak ogromny zbiornik, który pochłania mętną wodę danych wlewających się do niego z Domeny Cyfrowej, ale z którego wypływają tylko czyste dane statystyczne i analizy. Mógł wykorzystać Domenę Cyfrową do tak szczegółowego monitorowania całego kraju, że wychwyciłby każdą brygadę pracy, a nawet jednostkę. Bez niego kraj dzieci nie mógłby w ogóle funkcjonować.

– Racja! Niech na wszystkie pytania odpowiada za nas Wielki Kwant!

Teraz, kiedy wpadły na ten pomysł, wszystkie dzieci odwróciły się natychmiast w stronę dużego czarnego ekranu. Znowu wyskoczyła na nim płonąca mapa, z jeszcze większymi czerwonymi obszarami, które rzucały krwawe światło na salę.

– Wielki Kwancie, słyszysz nas? – zapytał Huahua.

– Tak. Czekam na wasze polecenia – odpowiedział głos gdzieś z głębi pomieszczenia. Był to energiczny głos dojrzałego mężczyzny, który dawał dzieciom poczucie, że dorośli wciąż gdzieś tam są, więc siłą rzeczy całkowicie mu ufali.

– Znasz sytuację. Możesz odpowiadać na pytania przychodzące z całego kraju?

– Mogę. Moje banki wiedzy dają mi przewagę w usuwaniu awarii zasilania, gaszeniu pożarów i innych sytuacjach kryzysowych. I mogę pozostawać na linii, dopóki jestem potrzebny.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej? To nie było miłe! – krzyknął Zhang Weidong.

– Bo mnie o to nie pytaliście – odpowiedział spokojnie Wielki Kwant.

– No to bierz się do roboty – rzekł Huahua. – Pomóż dzieciom poradzić sobie z kłopotami i, co ważniejsze, powiedz im, że kraj przetrwał. Powiedz im, że jesteśmy z nimi i że troszczymy się o każde z nich.

– Dobrze.

– Zaczekaj. Mam pewien pomysł – powiedziała Xiaomeng. – Dlaczego musimy czekać, aż ktoś tu zadzwoni? Komputer może poprosić wszystkich, by nawiązali z nim kontakt, i służyć każdemu z osobna niezbędną pomocą. Możesz to zrobić, Wielki Kwancie?

Wielki Kwant milczał przez chwilę, po czym odpowiedział:

– W tym celu musi przebiegać równocześnie dwieście milionów procesów. Może to doprowadzić do utraty części zdolności kopiowania nadmiarowych danych.

– Powiedz to prostym językiem.

– Znaczy to, że muszę wykorzystać zdolność zarezerwowaną do usuwania niespodziewanych awarii. Odbije się to negatywnie na

niezawodności.

– To nieważne – stwierdził Huahua. – Dzieciaki będą przynajmniej wiedziały, że jesteśmy z nimi.

– Nie zgadzam się z tym – powiedział Okularnik. – Kto jest w stanie przewidzieć, jakie mogą być konsekwencje powierzenia dbania o stan państwa komputerowi?

– Za to łatwo jest przewidzieć, jakie będą konsekwencje, jeśli tego nie zrobimy – odparł Huahua.

Okularnik nie miał na to odpowiedzi.

– Jakiego głosu powinien używać komputer? – zapytała Lin Sha.

– Oczywiście tego. Głosu dorosłego.

– Z tym ja się nie zgadzam – powiedział Huahua. – Musimy skłonić dzieci, żeby ufały innym dzieciom, a nie polegały na dorosłych, którzy nigdy nie wrócą.

Tak więc Wielki Kwant przedstawił szereg różnych dziecięcych głosów i ostatecznie zdecydowano się na spokojny chłopięcy głos.

Potem Wielki Kwant przebudził drzemiącą w nim moc.

Trzecia godzina ery supernowej

Na innym fragmencie ściany pojawił się drugi ogromny ekran z mapą kraju, na której widać było tylko jarzące się linie na czarnym tle, oznaczające granice rejonów administracyjnych. Wielki Kwant poinformował dzieci, że mapa składa się z dwustu milionów pikseli, z których każdy odpowiada jednemu terminalowi albo telefonowi i rozświetli się, gdy zostanie z nim nawiązane połączenie.

Gdyby Wieki Kwant przedstawił wizualnie proces łączenia się z całym krajem, wyglądałoby to jak spektakularna eksplozja. Domenę Cyfrową

można było sobie wyobrazić jako olbrzymią liczbę wybuchów niezliczonych ładunków informacji – jej serwerów – odpalanych przez skomplikowaną sieć kanałów światłowodowych i mikrofalowych, w której centrum znajdowała się superbomba, Wielki Kwant (osiem dodatkowych jednostek, z czego cztery były kopiami bezpieczeństwa, rozmieszczonych było w innych okręgach administracyjnych). Kiedy zaczęły się połączenia, ta superbomba eksplodowała i we wszystkie strony popłynęła z niej potężna fala informacji, uderzając w dziesięć tysięcy serwerów na drugim poziomie i detonując je, a następnie przelała się przez nie i odpaliła jeszcze większą liczbę serwerów na trzecim poziomie. Ta fala informacji przenikała na coraz niższe poziomy, aż po ostatniej eksplozji dotarła do dwustu milionów kanałów informacyjnych, a przez nie do dwustu milionów komputerów i telefonów, pokrywając cały kraj cyfrową siecią.

Na widocznej na ekranie mapie na czarnym terytorium pojawiły się gwiazdy, które mnożyły się i zbijały w roje, i po kilku minutach stało się ono jednym morzem białego światła.

W tym momencie w całym kraju rozdzwoniły się telefony.

Feng Jing i Yao Pingping znajdowały się z czterema niemowlętami (włącznie z synkiem pani Zheng), którymi się zajmowały, w dużej sali małego żłobka w centrum Pekinu. Pani Zheng i ich rodzice odeszli w bezkresną noc, osierocając je i powierzając im opiekę nad jeszcze młodszymi sierotami. Wiele lat później ktoś powiedział: „Z dnia na dzień straciłyście rodziców. Trudno sobie wyobrazić, jak się wtedy czułyście”. W rzeczywistości to nie smutek najbardziej je przytłaczał, lecz samotność i strach. Aha, i złość, złość na dorosłych, którzy je zostawili: czy mama i tata naprawdę poszli bez nas? Ludziom jest dużo łatwiej pogodzić się ze

śmiercią niż z samotnością. Teraz, kiedy niemowlęta, które przez cały dzień płakały, wreszcie ucichły, jakby śmiertelna cisza zatkała im usta, przekształcona w żłobek szkolna klasa wydawała się dziewczętom ogromna i pusta. Miały wrażenie, że cały świat jest już martwy, a one i dzieci w tym pomieszczeniu są jedynymi istotami, które ocalały. Na zewnątrz panowała dzwoniąca w uszach cisza, nie dochodziły stamtąd żadne oznaki życia, jakby wymarły także dżdżownice i mrówki. Miały cały czas włączony telewizor i skakały po kanałach, ale odkąd stanął zegar epoki, nie było na nich żadnego obrazu (później się dowiedziały, że wysiadła stacja telewizji kablowej). Pragnęły zobaczyć cokolwiek – nawet najbardziej denerwująca reklama wzruszyłaby je do łez. Ale ekran pokazywał tylko zimny śnieg i jeśli wpatrywały się w niego za długo, mącił się im wzrok i widziały śnieg również w pokoju i za oknem. Gdy zrobiło się jasno, Feng Jing postanowiła się rozejrzeć po okolicy i po kilku nieudanych próbach znalazła w końcu w sobie dość odwagi, by otworzyć drzwi. Do tej pory siedziała przytulona do Yao Pingping, która trzymała w ramionach dziecko pani Zhang, a kiedy wstała i straciła kontakt z ich ciepłymi ciałami, poczuła się tak, jakby wskoczyła z małej tratwy do lodowatego oceanu. Podeszła do drzwi, ale gdy jej ręka dotknęła zamka, zadrżała – usłyszała dobiegające z zewnątrz ciche kroki. Nie bała się ludzi, ale to nie były ludzkie kroki! Odskoczyła jak oparzona i ponownie ciasno objęła Yao Pingping i niemowlę. Kroki stały się głośniejsze i wyraźnie kierowały się w ich stronę. Cokolwiek to było, doszło do wejścia i na parę sekund się zatrzymało. Boże! Co potem usłyszały? Drapanie pazurami w drzwi! Obie dziewczynki wrzasnęły i zaczęły się trząść. Jednak wtedy dźwięki ucichły i kroki się oddaliły. Później Feng Jing i Yao Pingping odkryły, że był to głodny pies.

Zadzwonił telefon. Feng Jing poderwała się i skoczyła, by podnieść słuchawkę. Odezwał się chłopięcy głos:

– Halo. Tu władze centralne. Według komputerowego zapisu z waszego żłobka jesteście dwuosobowym zespołem, nazywacie się Feng Jing i Yao Pingping i opiekujecie czwórką niemowląt.

Był to głos z niebios. Po twarzy Feng Jing pociekły łzy i z wrażenia tak ją zatkało, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Dopiero po chwili powiedziała:

– Tak.

– W waszym rejonie nie ma obecnie żadnych zagrożeń. Według najnowszych danych macie dość jedzenia i wody. Dbajcie, proszę, o tę czwórkę małych dzieci, które oddano wam pod opiekę. Powiadomię was, co macie robić potem. Jeśli będziecie miały jakieś pytania, zadzwońcie pod numer 010–8864502517. Nie musicie go zapisywać. Macie włączony komputer, więc umieściłem go na ekranie. Jeśli będziecie chciały z kimś porozmawiać, zadzwońcie do mnie. Nie bójcie się. Władze centralne są cały czas z wami.

W reakcji na długą serię eksplozji, które wstrząsnęły Domeną Cyfrową, w Wielkim Kwancie zaczęły się gromadzić dane z rozległego terytorium. Urywki rozmów napływały z prędkością światła do jego pamięci, gdzie były przetwarzane na długie krzywe przypominające sylwetki gór, których szczyty odsuwały się w dal. Krzywe te przesuwały się jak chmury nad obrazami bazy danych, natomiast wyżej oczy programu rozpoznawania obrazów były utkwione w ich procesję i przeczesywały bazę danych w poszukiwaniu analogów każdego urywka, odejmując każdą sylabę i każdy wyraz i zalewając nimi jak ulewny deszcz kanion buforów, a następnie ujmując w kodzie językowym segmenty, które siekały i ugniatały zęby analizatora semantycznego, by wydobyć ich właściwe

znaczenie. Gdy Wielki Kwant przetrawił wszystkie zebrane informacje, rozpoczął się inny proces, zbyt skomplikowany, by dało się go opisać słowami – ruszył mechanizm wnioskowania, które przeszło jak huragan nad morzem wiedzy zawartej w bazie danych, wyciągając z jego głębiny rezultaty i pokrywając jego powierzchnię pianą. Potem kropelki tej piany zostały poddane odwrotnemu procesowi, ułożone w krzywe, które wypłynęły wezbraną falą z pamięci Wielkiego Kwanta i zalały Domenę Cyfrową, a na koniec zostały przetworzone na chłopięcy głos, który wydobywał się z niezliczonych słuchawek telefonów i głośników komputerów.

W pomieszczeniu serwera dwieście metrów pod ziemią mrugały jak szalone lampki na cylindrycznym procesorze centralnym, a znajdująca się w osobnym pomieszczeniu aparatura chłodząca pracowała na maksymalnych obrotach, by utrzymać temperaturę nadprzewodzących obwodów kwantowych jak najbliżej zera absolutnego. W komputerze tajfun impulsów elektrycznych o wysokiej częstotliwości przemieszczał się przez nadprzewodzące układy scalone, wzbijając fale zer i jedynek, które na przemian wzbierały i opadały…

Gdyby ktoś zmniejszył się kilkaset tysięcy razy i dostał do tego świata, ujrzałby zdumiewający chaos: przez układ scalony pędził strumień stu milionów danych i wpadał z prędkością światła do kanału szerokiego zaledwie na kilka elektronów, to przybliżając się, to oddalając od innych strumieni, to krzyżując się z nimi i zamieniając cały układ w ogromną splątaną sieć pajęczą. Wszędzie fruwały fragmenty danych, adresy latały jak strzały. Dryfował nad tym główny program sterujący, zaganiając miriadami cienkich, przezroczystych macek tysiące bloków programowych do skłębionego morza danych. Na martwej pustyni jednostki pamięci eksplodował nagle mały punkt, wysyłając elektryczny impuls w niebo,

gdzie rozwijał się on w chmurę w kształcie grzyba; pojedyncza linia kodu przeszywała jak błyskawica burzę danych, szukając nieco ciemniej zabarwionej kropli deszczu… Ale był to też świat zdumiewającego porządku – mętny zalew danych po przejściu przez drobny filtr indeksów zmieniał się od razu w tak przejrzyste jezioro, że było wyraźnie widać jego dno; moduł sortowania przenikał przez zamieć danych jak duch, rozciągając każdy płatek śniegu w nieskończenie długą nić… Gdyby w tej wichurze zer i jedynek chociaż jedna cząstka wody była niewłaściwa, gdyby zero wzięto za jedynkę albo jedynkę za zero, mógłby się zawalić cały ten świat. Było to ogromne imperium, w którym jedno mgnienie oka oznaczało sto dynastii. Jednak z zewnątrz wyglądało ono jak cylindryczny przedmiot pod przezroczystą pokrywą.

Oto opis przebiegu dwóch rozmów zwykłych dzieci z Wielkim Kwantem:

Byłem w domu, na najwyższym, dwudziestym piętrze apartamentowca. Pamiętam, że kiedy zadzwonił telefon, siedziałem na kanapie i gapiłem się w pusty ekran telewizora. Podbiegłem, chwyciłem słuchawkę i usłyszałem głos:

– Halo. Tu władze centralne. Jesteśmy tu po to, by ci pomóc. Posłuchaj: pali się budynek, w którym jesteś. Ogień dotarł już do piątego piętra.

Odłożyłem słuchawkę i wychyliłem się przez okno. Na wschodzie już jaśniało, a połowa Różanej Mgławicy wznosiła się nad horyzontem na zachodzie i mieszanina jej niebieskiego światła i światła słonecznego spowijała miasto niesamowitym blaskiem. Spojrzałem w dół i zobaczyłem puste ulice. Na dole mojego domu nie było ani śladu ognia. Cofnąłem się, ponownie podniosłem słuchawkę i powiedziałem, że nie ma żadnego pożaru.

– Nie, tam na pewno się pali.

– Skąd wiesz? Gdzie jesteś?

– W Pekinie. Czujnik podczerwieni w twoim budynku wykrył ogień i przesłał sygnał do centralnego komputera miejskiego Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Rozmawiałem już z tym komputerem.

– Nie wierzę ci.

– Możesz wyjść z mieszkania i dotknąć drzwi windy, ale nie otwieraj ich. To niebezpieczne.

Zrobiłem, co mówił. Na korytarzu nie było żadnych oznak pożaru, ale jak tylko dotknąłem drzwi windy, zachwiałem się, bo były gorące jak płyta kuchenna! Pamiętam, że w regulaminach bezpieczeństwa, które wydano właścicielom wszystkich mieszkań, było napisane, że jeśli w budynku pojawi się ogień, szyb windy podziała jak komin i wessie ogień na górę. Pobiegłem z powrotem do pokoju i zobaczyłem, że z parteru, a potem z pierwszego i drugiego piętra zaczyna się wydobywać żółty dym. Chwyciłem słuchawkę.

– Powiedz, co mam robić.

– Nie możesz skorzystać z windy, a schody są nie do przejścia. Musisz zjechać rękawem ewakuacyjnym.

– Rękawem ewakuacyjnym?

– To długa elastyczna rura owinięta wokół hydrantu od dachu do ziemi. Kiedy wybuchnie pożar, osoby znajdujące się w budynku mogą zjechać nią na dół. Jeśli zaczniesz ześlizgiwać się za szybko, możesz wyhamować, chwytając się ściany rury.

– I taka jest zainstalowana w naszym domu?

– Tak. Na każdym piętrze przy wejściu na klatkę schodową są małe żelazne czerwone drzwiczki, które wyglądają jak drzwiczki do zsypu na śmieci. To wejście do tej rury.

– Ale… jesteś pewien, że w naszym domu jest taka rura? Jeśli to zsyp na śmieci, to podczas ucieczki przed spłonięciem spadnę i się zabiję! Skąd wiesz o tym wszystkim? Z komputera BBP?

– Nie. Ta informacja powinna być w komputerach straży pożarnej i służby bezpieczeństwa, ale nie mogłem jej znaleźć w ich bazach danych, więc połączyłem się z komputerem w instytucie architektury miejskiej odpowiedzialnym za ten budynek i na podstawie ich planów stwierdziłem, że ta rura została faktycznie zainstalowana.

– A jak jest na dole? Są tam jakieś dzieci?

– Dzwonię do nich podczas naszej rozmowy.

– Zanim połączysz się z każdym z nich, budynek spali się na popiół! Zbiegnę po schodach i ostrzegę je.

– Nie rób tego. To zbyt niebezpieczne. Reszta dzieci została już powiadomiona. Nie ruszaj się stamtąd, ale zostań przy telefonie. Powiem ci, kiedy masz iść do wyjścia awaryjnego. Dzieci z niższych pięter właśnie zjeżdżają rurą ewakuacyjną, więc ze względów bezpieczeństwa nie powinniście robić tam tłoku. Nie bój się. Trujący dym nie dojdzie do twojego piętra wcześniej niż za dziesięć minut.

Zostałem powiadomiony trzy minuty później, otworzyłem czerwone drzwiczki, wskoczyłem do rury ewakuacyjnej, zjechałem na dół i bezpiecznie wyszedłem. Na zewnątrz zastałem dwadzieścioro kilkoro dzieci. Wszystkie zostały poinstruowane, co mają robić, przez ten głos z Pekinu. Powiedziały mi, że pożar wybuchł przed dziesięcioma minutami.

Byłem zszokowany, bo nigdy nie przypuszczałem, że może się zdarzyć coś takiego. Ten chłopiec z Pekinu wyszukał informacje w dwóch różnych komputerach (przeczesując wszystkie zawarte w nich dane) i zadzwonił do ponad dwadzieściorga dzieci, a zrobił to wszystko w ciągu dziesięciu minut.

Bolało mnie jak nigdy w życiu. Miałem bóle brzucha i głowy, wszystko przed oczami było zabarwione na zielono, stale wymiotowałem i ledwie mogłem oddychać. Nie miałem siły wstać, a nawet gdybym miał, to nie było żadnego lekarza. Z trudem doczołgałem się do biurka, żeby wziąć telefon, ale zanim zdążyłem go dotknąć, zaczął dzwonić. Potem chłopięcy głos powiedział:

– Halo. Tu władze centralne. Jesteśmy tu po to, by ci pomóc.

Chciałem opowiedzieć mu o tym, jak się czuję, ale kiedy tylko otworzyłem usta, jęknąłem i znowu zwymiotowałem, tym razem samą wodą.

– Masz dolegliwości żołądkowe, tak?

– Tak… tak… boli mnie brzuch. Skąd wiesz?

– Pięć minut temu połączyłem się z komputerem centralnym w wodociągach miejskich i odkryłem, że wskutek braku nadzoru doszło do awarii programu monitorowania w stacji uzdatniania wody i pomimo zmniejszenia jej ilości dodano do niej chlor proporcjonalnie do stanu sprzed dziesięciu godzin. Znaczy to, że woda z kranu we wschodniej części miasta zawiera 9,7 razy więcej chloru, niż wynosi maksymalny bezpieczny poziom. W rezultacie wiele dzieci się zatruło. Jesteś jednym z nich.

Pamiętałem, że rozchorowałem się, kiedy skończyła mi się woda w termosie i zacząłem pić kranówkę.

– Niedługo przyjdzie do ciebie dziecko. Do tego czasu nie pij żadnej wody.

Akurat w chwili, kiedy skończył mówić, otworzyły się drzwi i weszła dziewczyna, której nigdy wcześniej nie widziałem, z buteleczką lekarstwa i termosem z przegotowaną wodą. Ten lek i ta woda pomogły mi stanąć na nogi. Zaraz poczułem się lepiej. Zapytałem ją, skąd wiedziała, że jestem chory i jakie przynieść mi lekarstwo. Czy jej ojciec był lekarzem? Powiedziała, że zadzwoniły do niej władze centralne i kazały jej tam przyjść, a lekarstwo dali jej jacyś chłopcy. Ich ojcowie też nie byli lekarzami; władze centralne poleciły im wziąć lekarstwo z apteki szpitalnej. Zadzwoniły do nich, bo mieszkali w domu, który znajdował się obok szpitala. Kiedy weszli do apteki, władze też tam zadzwoniły, a komputer apteczny wyświetlił nazwę leku. Mimo to nie mogli go znaleźć, a wtedy komputer pokazał im kształt i kolor buteleczki. Władze kazały im zabrać cały zapas tego leku, włożyć na wózek i rozwieźć pod adresy, których długą listę wydrukował komputer. Po drodze spotkali dwie inne grupy dzieci wiozące duże ilości tego samego leku z różnych szpitali. Jeśli nie mogli znaleźć adresu, dzwoniły publiczne telefony przydrożne, a po podniesieniu słuchawki okazywało się, że to znowu władze centralne, które udzielały im wskazówek…

Za: Lü Wen, *Dzieci i sztuczna inteligencja. Nieświadoma próba utworzenia w pełni zinformatyzowanego społeczeństwa*, „Science Press”, SE 16 r. e.s.

Czwarta godzina ery supernowej

Ku radości dzieci w sali na najwyższym piętrze PWI czerwone plamy na mapie kraju zaczęły się zmniejszać, najpierw powoli, a potem coraz szybciej, jakby ulewa gasiła pożar lasu.

Piąta godzina ery supernowej

Czerwone plamy na mapie zmieniły się w punkty, które stopniowo gasły.

Szósta godzina ery supernowej

Chociaż na mapie pozostała jeszcze duża liczba czerwonych punktów, raport z Domeny Cyfrowej informował, że znikło już zagrożenie dla całego kraju.

Na początku ery supernowej ludzkość przeżyła więcej wstrząsów i dramatycznych zmian niż w jakimkolwiek wcześniejszym okresie dziejów; poszczególne okresy liczono nie w dziesięcioleciach i stuleciach jak w poprzedniej erze, lecz w dniach i godzinach. Późniejsi historycy traktowali pierwsze sześć godzin nowej ery jako jeden okres, zwany zawieszeniem.

Wyczerpane dzieci wyszły na balkon przy sali i zadrżały pod wpływem podmuchu rześkiego wiaterku. Do ich płuc napłynęło świeże powietrze i rozeszło się po całych ciałach, a po paru sekundach poczuły się tak, jakby starą krew w ich żyłach zastąpiła nowa. Ich serca zaczęły bić żywiej, a oddechy stały się głębsze. Było jeszcze trochę czasu do wschodu słońca, ale niebo już pojaśniało i widać było wszystkie szczegóły miasta. Zniknęły pożary i dym, świeciły latarnie uliczne, co świadczyło o tym, że przywrócono zasilanie, ale paliło się tylko w nielicznych oknach, a ulice były puste. Miasto było spokojne, jakby zapadło w sen. Po czystym niebie przeleciał szybko jakiś ptak, wydając krótki krzyk.

Na wschodnim horyzoncie pojawiła się jutrzenka. Nowy świat czekał na powitanie pierwszego wschodu słońca.

6. Inercja

Inspekcja

Zawieszenie rozwiało rozbudzone przez rozruch próbny nadzieje, że wszystko będzie szło gładko, i zniszczyło wiarę dzieci w to, że sobie poradzą. W końcu zrozumiały, że życie jest trudniejsze, niż sobie wyobrażały. Mimo to ich kraj starał się stanąć na nogi.

W pierwszych dwóch miesiącach nowej ery skupiono się na wyleczeniu ran, które zadało zawieszenie, i na utrzymaniu się na torach. Praca szła jak po grudzie. By wyrobić sobie zdanie o stanie państwa, trójka młodocianych przywódców wybrała się na dwutygodniową inspekcję różnych miejsc w całym kraju.

Dzieci mówią to, co myślą. Dokądkolwiek udali się przywódcy, dzieci ze wszystkich sektorów mówiły, co im doskwiera, i cała trójka była zszokowana tym, czego dowiedziała się o warunkach socjalnych. Ogólny stan ducha można było ująć w trzech słowach: zmęczenie, znudzenie i rozczarowanie.

Pierwszego dnia inspekcji dziecko w Tiencinie pokazało Huahui swój rozkład dnia: o 6.00 pobudka i szybkie śniadanie, o 6.30 nauka przedmiotów humanistycznych według programu dla klas piątych, głównie samokształcenie. O 8.30 początek pracy. Koniec pracy o 17.00. Po kolacji, o 19.00, lekcje przedmiotów i umiejętności zawodowych. Te zajęcia trwały do 22.00, a potem była jeszcze jedna godzina przedmiotów humanistycznych. Dzień nie kończył się przed 23.00.

– Jestem zmęczony – powiedział ten chłopiec. – Po prostu zmęczony. Moim największym pragnieniem jest spać do końca świata.

W Szanghaju młodzi przywódcy odwiedzili żłobek. W świecie dzieci opieka nad niemowlętami była pracą dla społeczeństwa, więc żłobki były bardzo duże. Gdy tylko trójka przywódców przekroczyła próg, obstąpiły ich pracujące tam dziewczęta i zaczęły nalegać, by przez godzinę sami zajęli się dziećmi. Pomimo protestów ich doradców i ochroniarzy przywódcy zostali praktycznie wzięci za zakładników przez rosnący tłum, który wkrótce liczył ponad tysiąc osób, i ostatecznie musieli spełnić ich żądanie. Każdemu powierzono opiekę nad dwójką niemowląt. Najlepiej radziła sobie Xiaomeng, której podopieczne były zadowolone, ale pod koniec godziny bolały ją plecy i trzęsły jej się nogi. Huahua i Okularnik byli wrakami. Czwórka niemowląt, nad którymi sprawowali pieczę, bez przerwy płakała, ale nie chciała ani pić mleka, ani zasnąć. Tak ryczały, że pobudziły dzieci w sąsiednich łóżeczkach, i wkrótce darł się cały oddział, dwadzieścioro kilkoro dzieci. Pod koniec Huahua i Okularnik byli na skraju załamania nerwowego.

– Teraz wiem, jak ciężko miała ze mną mama – powiedział Huahua towarzyszącemu im reporterowi.

Stojąca obok niania pokręciła głową.

– Twoja mama miała tylko ciebie jednego, a każda z nas musi doglądać dwójki! A wieczorami mamy lekcje. To katorga!

– To prawda. Nie możemy podołać tej pracy. Weźcie do niej chłopców – dodały inne dziewczęta.

Największe wrażenie zrobiły na młodych przywódcach odwiedziny w kopalni węgla w prowincji Shanxi, gdzie przyjrzeli się całej szychcie. Już na jej początku zepsuła się wrębiarka i naprawa w wilgotnej, klaustrofobicznej ciemności ogromnej maszyny, która utknęła w pokładzie skały płonnej, była koszmarną pracą, wymagającą siły, dokładności i cierpliwości. Gdy mali górnicy w końcu ją zreperowali, zerwała się taśma przenośnika. Po zrzuceniu węgla z taśmociągu górnicy byli od stóp do głów pokryci czarnym pyłem i tylko ich zęby lśniły bielą, gdy otwierali usta. Wymiana taśmy na nową była wyczerpująca i po jej skończeniu wszyscy byli śmiertelnie znużeni. Zbliżał się koniec szychty, więc zdążyli załadować tylko jeden wagonik, ale ten po przejechaniu kilku metrów się wykoleił. Dzieci starały się za pomocą łomów i lewarków wstawić go z powrotem na tor, ale nawet nie drgnął, więc zmuszone były wysypać z niego węgiel, co w chodniku pełnym zatykającego oddech pyłu było karkołomnym zadaniem. Po wepchnięciu wagonika na szyny z powrotem załadowały węgiel, co pochłonęło więcej energii niż jego wyładowanie. Kiedy skończyła się szychta, wyjechały na górę i legły usmolone na podłodze w przebieralni, nie mając siły nawet na wzięcie prysznica.

– I tak dobrze poszło – powiedział jeden z górników. – Przynajmniej nikt nie został ranny. W kopalni jest sześć rodzajów rzeczy: węgiel, skała, żelazo, drewno, kości i ciało. Najbardziej miękkie są kości i ciało, szczególnie kości i ciała dzieci!

Utrzymanie normalnej struktury społeczeństwa w państwie dzieci wymagało pracy z siłą i wytrwałością osób dorosłych, co dla ogromnej większości było skrajnie trudne. Ale to nie wszystko – typową pracę mogły wykonywać dzieci co najmniej ośmioletnie, a bardziej skomplikowane

zadania dziesięcioletnie, więc zatrudnionych było dużo mniej niż w poprzedniej erze, wskutek czego musieli oni pracować dużo ciężej niż dorośli. Jeśli dodać do tego lekcje, można sobie wyobrazić, jak te dzieci były zmęczone. Praktycznie wszystkie uskarżały się na bóle głowy i wyczerpanie i ogólny stan zdrowia ludności znacznie się pogorszył.

Jednak młodych przywódców państwa najbardziej martwił ich stan psychiczny; początkowa fascynacja nowością dawno się ulotniła i uświadomiły sobie, że większość zajęć jest ogłupiająco nudna. Ich niedojrzałe umysły miały kłopot z przyswojeniem sobie koncepcji zaplanowanego życia, składającego się z systematycznie uporządkowanych czynności, a poza tym brakowało im motywującej do wysiłku obecności rodziny, co oznaczało, że trudno im było pojąć, jak bardzo ważna jest wykonywana przez nie praca. Bez duchowego wsparcia ciężka i nudna harówka naturalnie zmieniała się w tortury. Podczas wizyty przywódców w elektrowni jedno z dzieci barwnie opisało ten stan emocjonalny:

– Zobaczcie, jak musimy przez cały dzień siedzieć w tej dyspozytorni, patrzeć na ekrany i liczniki i od czasu do czasu wprowadzać poprawki, jeśli te liczby są niewłaściwe. W pracy nic już nie czuję, jakbym był częścią ogromnej maszyny. Jaki to ma sens?

Podczas lotu powrotnego do Pekinu pogrążona w myślach trójka przywódców patrzyła na przesuwające się w dole pofałdowane góry.

– Nie wiem, jak długo to się jeszcze utrzyma – odezwał się Huahua.

– Życie nigdy nie jest łatwe – powiedziała Xiaomeng. – Dzieci wciąż mają sposób myślenia typowy dla szkoły podstawowej. Ale w końcu go zmienią.

Huahua potrząsnął głową.

– Jestem do tego nastawiony sceptycznie. Styl życia, który ustalili dla nas dorośli, może się okazać niemożliwy do przyjęcia. Patrzyli na dzieci ze swojego punktu widzenia i nie rozumieli, co sprawia, że dzieci są inne.

– Nie ma innego sposobu. Pomyśl o glutaminianie sodu i soli. Ceną za to jest ciężka praca.

Ta lekcja, którą otrzymali pod koniec ery powszechnej, stała się synonimem podstaw gospodarki.

– Ciężka praca nie musi być bolesna, beznadziejna ani nieprzyjemna. Dzieci powinny pracować na swój własny sposób. Okularnik miał rację. Nie odkryliśmy praw rządzących światem dzieci – odparł Huahua.

Obrócili się w stronę Okularnika. Podczas całej inspekcji niewiele mówił, przyglądał się wszystkiemu w milczeniu. Nie wygłaszał publicznych przemówień, a kiedy szefostwo dużej firmy zaczęło nalegać, by jednak takie wygłosił, powiedział po prostu z miną pozbawioną wyrazu: „Moim zadaniem jest myśleć, nie przemawiać”, co stało się potem popularnym cytatem. Teraz też był sobą – trzymając w ręku kubek kawy, gapił się przez okno na chmury i ziemię. Może rozkoszował się widokami, a może był zatopiony w myślach.

– Hej, profesorze – krzyknął do niego Huahua. – Musisz przedstawić nam swoją opinię.

– To nie jest prawdziwy świat dzieci – powiedział.

Huahua i Xiaomeng popatrzyli na niego ze zdumieniem.

– Pomyślcie, jak wielką transformację ludzkości spowodowała supernowa – ciągnął. – Z dnia na dzień na świecie zostały tylko dzieci. A to doprowadziło do innych wielkich przemian. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: w dzisiejszym społeczeństwie nie ma rodziny. Dawniej tylko ten jeden fakt zmieniłby całkowicie tkankę społeczną. Zawieszenie pokazało, że wielu aspektów świata dzieci nigdy wcześniej sobie nie wyobrażaliśmy.

A co teraz mamy? Jest tak, jakby od czasów dorosłych nic się zasadniczo nie zmieniło. Społeczeństwo podąża tym samym torem. Nie wydaje wam się to dziwne?

– No to jak powinno być twoim zdaniem?

Okularnik powoli pokręcił głową.

– Nie wiem. Ale jestem pewien, że nie tak. To, co widzimy, może być tylko skutkiem siły inercji wywieranej przez nieistniejące już społeczeństwo dorosłych. Natomiast w głębi kumulują się różne rzeczy; po prostu jeszcze się nie ujawniły. Być może prawdziwy świat dzieci jeszcze się nawet nie zaczął.

– Chcesz przez to powiedzieć, że zmierzamy do kolejnego zawieszenia?

Okularnik ponownie potrząsnął głową.

– Nie wiem.

Huahua wstał.

– Już dosyć myśleliśmy przez ostatnie kilka dni. Zróbmy coś innego. Może wejdziemy do kabiny pilotów i popatrzymy, jak prowadzą samolot?

– Nie możesz przeszkadzać innym! – powiedziała Xiaomeng.

Ale Huahua się upierał. Podczas inspekcji często przechodził na przód samolotu i zaprzyjaźnił się z małoletnimi pilotami. Najpierw zadawał tylko pytania, ale potem zaczął ich dręczyć prośbami, by pozwolili mu poprowadzić maszynę. Piloci stanowczo odmawiali, mówiąc, że nie ma licencji, ale tym razem zrobił taką awanturę, że kapitan się zgodził. Zaledwie przejął stery, Y-20 zaczął się kręcić jak diabelski młyn, więc musiał oddać je kapitanowi.

– Dlaczego nie możemy się zamienić stanowiskami? – rzekł Huahua.

Kapitan uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

– Ja się nie zamienię. Kierowanie krajem jest trudniejsze niż pilotowanie samolotu. Mamy poważne kłopoty.

Ale akurat w tej chwili, kiedy byli na wysokości dwudziestu tysięcy metrów, kumulacja, o której mówił Okularnik, dobiegła końca i miała niebawem zademonstrować swą siłę.

Zgromadzenie narodowe

Historycy uważają, że wykorzystanie przez młodocianych przywódców Domeny Cyfrowej i komputera kwantowego w celu położenia kresu zawieszeniu na początku ery supernowej było przebłyskiem geniuszu i masa późniejszych badań, włącznie z modelowaniem matematycznym, dowiodła, że gdyby szybko nie zapanowano wtedy nad sytuacją, państwo czekałby upadek, z którego już by się nie podniosło.

Ale z upływem czasu okazało się, że decyzja ta miała jeszcze bardziej dalekosiężne skutki. Oto bowiem ludzkość po raz pierwszy użyła komputerów i internetu do połączenia całego społeczeństwa w jedną grupę. Można powiedzieć, że w tamtej chwili wszystkie dzieci w kraju zasiadły w jednej klasie. Umożliwiła to nie tylko technologiczna podstawa utworzona przez komputer kwantowy i Domenę Cyfrową, ale – co ważniejsze – relatywnie prostsza struktura społeczeństwa dzieci. W bardziej złożonym społeczeństwie ery dorosłych zgromadzenie wszystkich w trybie rzeczywistym w sieci byłoby nieporównywalnie trudniejsze.

Po przeżyciach w okresie zawieszenia dzieci były pod głębokim wrażeniem Domeny Cyfrowej i komputera kwantowego, który uwolnił je od strachu i poczucia osamotnienia, i pozostały uzależnione od sieci. W ciężkiej harówce podczas okresu inercji stała się ona dla nich schronieniem, ucieczką od rzeczywistości, i spędzały w niej cały swój skąpy wolny czas. Ponieważ państwo funkcjonowało na podstawie Domeny Cyfrowej, zarówno w pracy, jak i w nauce wykorzystywano w dużym stopniu sieć; dzięki temu stała się dla dzieci drugą rzeczywistością,

rzeczywistością wirtualną, w której były dużo szczęśliwsze niż w świecie realnym.

W Domenie Cyfrowej powstało wiele wirtualnych społeczności i praktycznie każde dziecko, które było już na tyle duże, by wejść do sieci, było członkiem jednej z nich. Głębokie rany, jakie zadały im zatrzymanie się zegara epoki i zawieszenie, wzbudzały w dzieciach instynktowny strach przed samotnością, więc lgnęły do grup. Im większa była grupa, tym łatwiej pozyskiwała nowych członków, co poprzez łączenie się i wchłanianie innych doprowadziło do wielkiej ekspansji kilku z nich. Najszybciej rozrastała się zwłaszcza jedna, Nowy Świat. W czasie gdy młodociani przywódcy rozpoczynali inspekcję, liczyła już ponad pięćdziesiąt milionów członków.

Przywódcy nie zwracali szczególnej uwagi na rozrastanie się społeczności internetowej. Huahua spędzał nieliczne wolne chwile na grach w sieci, więc był najbardziej obeznany z grami, w których uczestniczyły masy zawodników. W jednej z najbardziej popularnych, której akcja osadzona była w okresie Trzech Królestw, każda z dwóch rywalizujących drużyn liczyła ponad dziesięć milionów graczy i w wielkich bitwach kawaleria zalewała ziemię brązowym potopem. W wojnie morskiej brały udział setki tysięcy okrętów, a w jednej z wojen powietrznych w każdej walce ścierały się ze sobą miliony myśliwców, które przesłaniały niebo jak chmura kurzu.

Po powrocie przywódców z inspekcji kształt Domeny Cyfrowej zupełnie się zmienił. W Nowym Świecie, który rozrósł się do zdumiewających rozmiarów i miał około dwustu milionów obywateli, została tylko jedna społeczność. Praktycznie wszystkie dzieci w kraju, które były wystarczająco duże, by wejść do sieci, były jej członkami.

Okularnik przyjął to bardzo poważnie.

– To znaczy, że oprócz realnego kraju mamy wirtualny. To niezwykłe. Powinniśmy powołać komisję do śledzenia, co się dzieje w tej wirtualnej krainie, i zacząć się tam udzielać.

Jednak sprawy przybrały szybszy obrót, niż się spodziewali, i trzeciego dnia po ich powrocie Wielki Kwant powiedział im:

– Członkowie Nowego Świata chcą dialogu z najwyższymi przywódcami państwa.

– Którzy członkowie? – zapytał Huahua.

– Wszyscy.

– Przecież jest ich prawie dwieście milionów, prawda? Jakiego dialogu? Na forum dyskusyjnym? W BBS-ie? Poprzez pocztę elektroniczną?

– Te prymitywne metody nie nadają się do prowadzenia rozmowy z tak wielką liczbą ludzi. Domena Cyfrowa stworzyła całkowicie nową formę dialogu: zgromadzenie.

– Zgromadzenie? Pewnie, mogę wygłosić przemówienie do dwustu milionów ludzi, ale jak będą rozmawiali ze mną? Przez przedstawicieli?

– Nie. Zgromadzenie pozwoli im wszystkim porozmawiać z tobą.

Huahua wybuchnął śmiechem.

– To dopiero będzie gwar.

– Pewnie to nie jest takie proste – rzekł Okularnik, a potem zapytał Wielkiego Kwanta: – Czy codziennie odbywa się jakieś zgromadzenie konwersacyjne?

– Tak. Dzisiaj członkowie będą dyskutować o rozmowie z wami. Zaczyna się to o 23.30.

– Dlaczego tak późno?

– Większość dzieci nie kończy wcześniej pracy czy lekcji, więc dopiero wtedy mają czas, by wejść do sieci.

– Rozejrzyjmy się tam najpierw jako zwykli goście – zaproponował Okularnik Huahui i Xiaomeng.

Zgodzili się na to i wezwali inżyniera, który nadzorował Domenę Cyfrową, chłopca nazwiskiem Pan Yu, który w erze dorosłych wygrał olimpiadę informatyczną i był teraz czołowym krajowym specjalistą z zakresu komputerów. Wyjaśnili mu, o co im chodzi, a on posłał kogoś po hełmy rzeczywistości wirtualnej.

Okularnik zmarszczył brwi.

– Będzie mi się kręcić w głowie, kiedy to włożę.

– Nowy Świat ma dwa tryby – powiedział Pan Yu – obraz i rzeczywistość wirtualną. Wygląda realnie tylko w tym drugim trybie.

Władze centralne w sali na najwyższym piętrze PWI pracowały do późna, niektórzy ich członkowie prowadzili rozmowy telefoniczne, inni rozmawiali z szefami ministerstw, którzy przyszli złożyć sprawozdania z pracy podległych im resortów, ale wszyscy wychodzili o 23.00. O 23.20 zostali tylko najwyższa trójka i Pan Yu. Włożyli hełmy wirtualnej rzeczywistości, które zostały już wcześniej podłączone do Domeny Cyfrowej.

Czwórka dzieci od razu poczuła się jak zawieszona nad niebieskim placem, który był, jak się okazało, pulpitem komputera z programem Windows, tyle że trójwymiarowym, z ikonkami stojącymi jak posągi. Strzałka myszki przesunęła się po placu i kliknęła w coś, a wtedy powiększyło się okno z tłumem animowanych małych rysunków postaci, ustawionych w uporządkowanych rzędach.

Usłyszeli głos Pan Yu:

– Możecie sami zaprojektować swój wygląd, ale to kłopot, więc skorzystamy z gotowych.

Każde z nich wybrało sobie za awatara jakąś postać z kreskówki i z rozbawieniem patrzyli na unoszące się obok nich awatary towarzyszy.

– Zgromadzenie zaraz się zacznie – oznajmił Pan Yu. – Zamiast próbować robić coś innego w tej społeczności, udamy się tam od razu.

W mgnieniu oka znaleźli się w przestrzeni zgromadzeń Nowego Świata. Najpierw odnieśli wrażenie, że jest to ogromna pustka. Nad ich głowami rozciągało się dalej, niż mogli sięgnąć wzrokiem, błękitne niebo, a pod nimi leżała bezkresna płaska pustynia. Na niebie widać było napis: „Zgromadzenie Nowego Świata", wykonany jarzącymi się literami, które świeciły nad pustynią jak rząd słońc. Poza tym nie było tam niczego.

– Gdzie są wszyscy? Dlaczego jest tu tak pusto? – zapytał Huahua.

Faktycznie, oprócz niego i jego trzech towarzyszy były tam tylko piasek i niebo.

Awatar Pan Yu otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Jak to, nie widzisz nikogo?

Trójka przywódców rozejrzała się wokół, ale nikogo nie dostrzegła.

Pan Yu chyba coś sobie uświadomił i powiedział:

– Zejdźmy na dół.

Poruszył myszką i zaczęli się opuszczać na pustynię. Niebawem piasek pod nimi ułożył się w zawiłą strukturę i cała trójka zdała sobie sprawę, że każde jego ziarnko jest postacią z kreskówki. Ich liczba zrobiła na nich wielkie wrażenie – rozległa pustynia składała się z dwustu milionów tych postaci. Była tam większość dzieci z kraju.

Dalej opuszczali się na ocean ludzi i wkrótce znaleźli się w nim, otoczeni ze wszystkich stron przez kreskówkowe postacie. Wydawało się, że coś jest w powietrzu – czarne kropki, które przed chwilą pojawiły się na niebie i spadały na ziemię. Dwie z nich wylądowały w ich pobliżu. Były to kolejne

postaci z kreskówek i przywódcy zrozumieli, że wciąż przybywają tam nowi uczestnicy zgromadzenia.

– Dlaczego jesteście nadal gośćmi? – zapytał ktoś obok nich. Zamiast nóg miał migające koło. Gdy wyciągnął ręce, na każdej dłoni pojawiła się głowa, taka sama jak na szyi. Zaczął nimi żonglować, zastępując co rusz jedną z nich tą, którą miał na szyi. – Szybko zalogujcie się jako zarejestrowani członkowie. Będą z nami rozmawiać przywódcy kraju i wasze słowa jako gości nie zostaną umieszczone w tabeli.

Nie mieli pojęcia, po czym ta postać odróżniała gości od członków.

– To prawda – powiedziała z prychnięciem inna kreskówkowa postać. – Kto by pomyślał, że będą jeszcze jacyś niezarejestrowani goście.

– I zbyt leniwi, żeby zrobić sobie odpowiedniego awatara. Wybierać sobie gotowego to nieprzyzwoite.

Ale sami nie byli bardziej przyzwoici. Jednemu najwidoczniej nie chciało się zrobić sobie właściwego ciała, więc połączył dwie długie nogi bezpośrednio z głową. Nie miał rąk, a z uszu wyrastały mu skrzydła. Drugi składał się tylko z głowy i wyglądał jak duże jajo z malutkim, szybko obracającym się wirnikiem wystającym z czoła.

Potem na niebie pojawił się inny jarzący się czerwono napis: „Liczba uczestników doszła do 194 783 453. Zaraz zacznie się zgromadzenie”.

Końcowe cyfry nadal się zmieniały.

W powietrzu rozległ się dobrze im znany głos Wielkiego Kwanta:

– Przekazałem twoją prośbę kierownictwu państwa.

– Zauważyliście, że Wielki Kwant mówił tylko o jednej prośbie? – zapytał Pan Yu.

– Kiedy tu będą? – zapytał dziecięcy głos. Trudno było powiedzieć, czy był to głos chłopca czy dziewczynki, ale był donośny i odbijał się długim

echem. Jednocześnie w powietrzu pojawił się czerwony wiersz: „Wirtualny Obywatel 1: 98,276%”.

– Kto to mówi? – zapytał Huahua Pan Yu.

– Wirtualny Obywatel 1.

– Kto to jest?

– To nie jest żaden „ktoś”. To osoba składająca się prawie z dwustu milionów dzieci.

– Właśnie zauważyłem, że wszyscy wokół nas poruszali ustami, jakby mówili, ale nic nie słyszałem.

– Zgadza się. Wszyscy mówili, ale te prawie dwieście milionów pytań dotarło tylko do Wielkiego Kwanta. Zsumował je w jednym, które usłyszeliście.

– To jest ten format zgromadzenia?

– Tak. Ten format pozwala jednostce prowadzić rozmowę z ponad stu milionami innych jednocześnie. W tym momencie dwieście milionów dzieci przeistoczyło się w jedno tylko dziecko i dlatego Wielki Kwant powiedział „twoją prośbę”, a nie „wasze prośby”. To bardzo złożony proces, który wymaga zaawansowanej technologicznie inteligencji i dużej szybkości przetwarzania danych. To krótkie, proste zdanie, które przed chwilą usłyszeliście, zapełniłoby po wydrukowaniu tyle papieru, że można by owinąć nim kulę ziemską. Może to zrobić tylko komputer kwantowy.

Wtedy Wielki Kwant odpowiedział Wirtualnemu Obywatelowi 1:

– Powiedzieli, że muszą to przemyśleć, zanim podejmą decyzję.

– Jest tylko jeden problem – wtrącił się Okularnik. – A jeśli dwieście milionów dzieci będzie miało różne opinie, których nie da się ująć w jednym zdaniu?

Pan Yu przyłożył palec do ust.

– Ćśśś! Wkrótce zobaczysz, co się zdarzy.

Rozległ się inny głos, o odmiennym od poprzedniego tonie, więc brzmiało to tak, jakby mówił ktoś inny:

– Na pewno przyjdą.

Tekst w powietrzu informował: „Wirtualny Obywatel 2: 68,115%”.

– To odsetek ludzi, którzy mają takie zdanie – wyjaśnił szeptem Pan Yu.

Odezwał się głos o innej barwie:

– To wcale nie jest takie pewne. Mogą nie przyjść.

Tekst w powietrzu informował: „Wirtualny Obywatel 3: 24,437%”.

– Mogą nie przyjść? Muszą przyjść! Są przywódcami państwa i muszą porozmawiać z dziećmi z całego kraju! (Wirtualny Obywatel 4: 11,536%)

– Co zrobimy, jeśli nie przyjdą? (Wirtualny Obywatel 3: 23,771%)

– Zrobimy to sami. (Wirtualny Obywatel 5: 83,579%)

– Powiedziałem wam: na pewno przyjdą. (Wirtualny Obywatel 2: 70,014%)

– Jak widzicie, jeśli nie ma zgody, wirtualny obywatel może się rozszczepić na dwie albo więcej części – powiedział Pan Yu. – O tym, na ile się podzieli, decyduje wybrany stopień precyzji. Na najwyższym poziomie dokładności pojawiłyby się wszystkie opinie. Oczywiście to niemożliwe. Ważne jest to, że każdy wirtualny obywatel jest mniej lub bardziej określoną grupą o pewnych szczególnych cechach charakteru. Będą się dalej pojawiać, tak jak WO 2 i WO 3, którzy właśnie wrócili.

Huahua przyglądał się zgromadzeniu przez chwilę, po czym powiedział:

– Wracajmy.

– Wciśnij przycisk wyjścia na swoim ubraniu – poinstruował go Pan Yu.

Przycisk znajdował się na tułowiu postaci z kreskówki i po jego naciśnięciu znaleźli się natychmiast w przestrzeni Windows.

– To było odlotowe! – krzyknął Huahua po zdjęciu hełmu.

– W tym sieciowym kraju nie potrzebują żadnych przywódców – stwierdziła Xiaomeng. – Sami dochodzą do wszystkiego w wyniku dyskusji prowadzonej przez dwieście milionów dzieci.

– Będzie to miało głęboki wpływ również na świat rzeczywisty – powiedział po namyśle Okularnik. – Za późno zwróciliśmy na to uwagę.

– No to powinniśmy z nimi porozmawiać czy nie? – zapytała Xiaomeng.

– Musimy być ostrożni – odparł Okularnik. – Nic takiego nie zdarzyło się jeszcze w historii. Nikt nie wie, co się może stać. Zanim coś zrobimy, powinniśmy to dłużej i dokładniej przemyśleć.

– Nie ma na to czasu. Tak jak powiedziałem: jeśli do nich nie wyjdziemy, na pewno coś się wydarzy – powiedział Huahua.

Za zgodą Okularnika i Xiaomeng zwołali posiedzenie rządu, na którym dyskutowali nad tą sprawą przez całą noc. Okazało się, że niemało jego członków bywało już na zgromadzeniach Nowego Świata, znało sytuację i uważało, że jest to rzecz pozytywna.

– Zajmujemy się sprawami, które przekraczają nasze możliwości – powiedziało jedno z dzieci. – Jeśli naprawdę można w ten sposób kierować państwem, rozwiązuje nam to ręce.

Wszyscy zgodzili się, by trójka przywódców reprezentująca władze centralne wzięła udział w zgromadzeniu Nowego Świata i porozmawiała z dwustoma milionami dzieci.

Ponownie weszli do zgromadzenia Nowego Świata, tym razem używając jako awatarów swoich rzeczywistych powierzchowności. Wielki Kwant wzniósł dla nich podium pośrodku tej przestrzeni. Pojawili się wcześniej, by się przygotować i oswoić z otoczeniem, i gdy zalogowało się i weszło

dwieście milionów dzieci, gęsty tłum postaci z kreskówek przesłonił niebo jak warstwa chmur. Kiedy bezkresne morze ludzi wreszcie się uspokoiło, w platformę wpatrywało się dwieście milionów par oczu.

– Czuję się tak, jakbym miała się za chwilę rozpłynąć – szepnęła Xiaomeng.

Natomiast Huahua był podekscytowany.

– Ze mną jest inaczej. Po raz pierwszy czuję, jak to jest przewodzić krajowi! A ty co powiesz, profesorze?

– Nie wkurzaj mnie. Myślę – odparł Okularnik bez emocji.

Gdy zaczęło się zgromadzenie, pierwszy zabrał głos Wirtualny Obywatel 1. Według cyfr, które pokazały się na niebie, reprezentował 97,458% zebranych.

– Jesteśmy niezwykle rozczarowani tym nowym światem. Dorośli odeszli i zostawili nas, dzieci, same, więc powinien to być świat zabaw. Ale tu w ogóle nie jest zabawnie. Nie jest nawet tak zabawnie jak wtedy, kiedy byli z nami dorośli.

– Dorośli dawali nam jedzenie i ubranie, więc oczywiście mieliśmy czas na zabawy i relaks. Ale nie teraz. Musimy pracować, bo inaczej umrzemy z głodu. Nie możemy zapomnieć o tym glutaminianie sodu i soli – odparła Xiaomeng.

– Xiaomeng – odezwał się Wirtualny Obywatel 2 (63,442%) – nie daj się wystraszyć temu pociągowi z glutaminianem sodu i dziesięciu pociągom z solą. W czasach dorosłych w naszym kraju żyło jeden i trzy dziesiąte miliarda ludzi. My nie jemy tak dużo.

– Czy Xiaomeng nie mówi jak dorosła? – powiedział Wirtualny Obywatel 3 (43,117%). – Przynudza!

Wirtualny Obywatel 1 (92,571%):

– Tak czy inaczej, nie podoba nam się ten świat.

– To jakiego świata chcecie? – zapytał Huahua.

Późniejsi historycy, którzy badali odpowiedzi wirtualnych obywateli na to pytanie, przejrzeli przechowywane przez komputer zapisy indywidualnych życzeń i chociaż została ich tylko mała część, liczyły prawie 40 GB, czyli około 20 miliardów chińskich znaków. Gdyby wydrukowano je w postaci książek w standardowym formacie, ich stos miałby osiemset metrów wysokości. A oto niektóre reprezentatywne:

Chcę żyć w kraju, w którym dzieci chodzą do szkoły, jeśli chcą, ale nie muszą chodzić, jeśli nie chcą. Jeśli chcą, mogą się bawić, ale nie muszą, jeśli nie chcą. Mogą jeść, jeśli chcą, ale jeśli nie chcą, nie muszą. Mogą chodzić, gdzie chcą, ale nie muszą nigdzie chodzić, jeśli nie chcą.

Nie cierpiałem tego, że dorośli stale nas pilnowali. Teraz ich już nie ma i państwo należy do dzieci. Naprawdę powinniśmy się sporo bawić.

W naszym kraju można grać w piłkę na środku ulicy.

Państwo, które daje mi tyle czekolady, ile chcę. A Kwiatkowi [prawdopodobnie chodzi o kota tego dziecka – przyp. red.] tyle puszek ryby, ile chce.

Państwo, w którym codziennie obchodzi się Święto Wiosny. Każdy dostaje codziennie dziesięć paczek ciasteczek, dwadzieścia petard i trzydzieści rac oraz sto czerwonych kopert z nowymi szeleszczącymi banknotami.

W moim kraju, kiedy jesz pierożki, możesz zjadać tylko ich nadzienie.

Dawniej mogły się bawić tylko dzieci, a dorośli nie, bo musieli chodzić do pracy. My też dorośniemy, ale teraz nie chcemy pracować, tylko się bawić.

Tata mówił, że jeśli nie będę ciężko pracował w szkole, to zostanę zamiataczem ulic. Jeśli nie będę ciężko pracował, to mój kraj nie zrobi ze mnie zamiatacza ulic.

Czy państwo pozwoli nam wszystkim mieszkać w miastach?

W szkole będę chodziła na lekcje tylko z trzech przedmiotów: muzyki, plastyki i wuefu.

Żadnych egzaminatorów w szkole. Dzieci powinny same wystawiać sobie oceny.

Państwo powinno przekazać każdej klasie w każdej szkole pięćdziesiąt konsoli do gier, po jednej dla każdego ucznia. Gra cała klasa, a kto nie zdobędzie stu tysięcy punktów w *Bitwie o Galaktykę*, zostanie wyrzucony! Ciach, ciach, ciach, bum, bum, bum. Będzie fantastycznie.

Zbudujcie duży plac zabaw w moim domu, taki jak w Miyun w Pekinie, ale dziesięć razy większy.

Państwo powinno nam dawać lalki zgodnie z ustalonym harmonogramem, za każdym razem inną.

Nakręćcie serię fajnych filmów animowanych, sto tysięcy odcinków, która nigdy nie zejdzie z ekranów.

Najbardziej lubię szczeniaki. Może państwo dałoby każdemu szczeniakowi ładną małą budkę?

Wielki Kwant zsumował wszystkie te życzenia w jednym zdaniu, które wypowiedział Wirtualny Obywatel 1, reprezentujący 96,314 procent członków obecnych na zgromadzeniu:

– Chcemy świata zabaw!

– Dorośli nakreślili dla państwa szczegółowy plan pięcioletni i musimy się trzymać tego planu – oświadczyła Xiaomeng.

– Naszym zdaniem pięcioletni plan dorosłych jest nudny – powiedział Wirtualny Obywatel 1. – Opracowaliśmy własny plan pięcioletni.

– Dacie nam na niego zerknąć? – zapytał Huahua.

– Po to jest to zgromadzenie – odparł Wirtualny Obywatel 1. – Po to, żeby go wam pokazać, zbudowaliśmy wirtualne państwo. Obwiezie was po nim Wielki Kwant. Na pewno bardzo się wam spodoba.

– Świetnie – rzekł Huahua. – Wielki Kwancie, oprowadź nas!

Kraj zabaw

Zaledwie wypowiedział te słowa, a zniknęły rozpościerające się przed ich oczami błękitne niebo i tłum i znaleźli się w bezkresnej czarnej pustce. Gdy dostosował się do niej ich wzrok, zobaczyli w oddali gwiazdy, a potem w przestrzeni ukazała się niebieska sfera. Wisiała w ciemnym oceanie nieskończonego kosmosu jak błyszcząca kryształowa kula, a nad jej powierzchnią wirowały śnieżnobiałe obłoki. Wyglądała na tak kruchą, że mogłaby się rozpaść pod najlżejszym dotknięciem i trysnąć niebieską krwią na zimną próżnię. Kiedy się przybliżyła, zdali sobie sprawę, jak jest ogromna. W końcu wypełniła ich całe pole widzenia i mogli wyraźnie dostrzec granice między oceanami i kontynentami. Po chwili widać już było całą Azję, a na brązowym lądzie pojawiła się kręta czerwona linia, zamknięta pętla, wyznaczająca granice i linię brzegową tego starożytnego wschodniego kraju. Obraz nadal się przybliżał i zaczęli rozróżniać fałdy łańcuchów górskich i podobne do żył rzeki.

Usłyszeli głos Wielkiego Kwanta:

– Jesteśmy na orbicie, na wysokości ponad dwudziestu tysięcy kilometrów.

Ziemia obracała się powoli pod ich stopami i zdawało się, że lecą ku czemuś. Nagle Xiaomeng krzyknęła:

– Patrzcie! Nad nami jest jakby nić.

Ta nić ciągnęła się z przestrzeni kosmicznej do lądu w dole. Jej górna połowa była dobrze widoczna na czarnym tle i przypominała nić pajęczą łączącą Ziemię z jakimś punktem w kosmosie. Dolna połowa zlewała się

z kolorami lądu i trudno ją było dostrzec, ale gdy wytężyli wzrok, zobaczyli, że kończy się w okolicy Pekinu. Lecieli w stronę tej pajęczej przędzy, a kiedy dotarli bliżej, ujrzeli, że lśni jak jedwab. W jej odcinkach momentami odbijało się słońce, a drugi koniec świecił jak lampa. Teraz zorientowali się, czym w istocie była: nie zwisała z nieba, lecz wznosiła się z powierzchni Ziemi. Nie wierzyli własnym oczom.

– O rany! – wykrzyknął Huahua. – To budynek!

I rzeczywiście był to drapacz chmur, cały pokryty odbijającymi światło lustrami, sięgający przestrzeni kosmicznej.

W uszach małoletnich przywódców zabrzmiał głos Wirtualnego Obywatela 1:

– Wszystkie dzieci w tym państwie nazywają to swoim domem. Budynek ma dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów wysokości i trzy miliony kondygnacji. Na każdej mieszka średnio sto dzieci.

– To znaczy, że wszystkie dzieci mieszkają w tym jednym domu? – zapytał zdziwiony Huahua.

Ale kiedy wylądowali na dachu, zrozumieli, że wcale nie jest to niemożliwe. Wrażenie, że jest to pajęcza nić, brało się z ich początkowej odległości od budynku i proporcji jego wysokości do szerokości, tymczasem dach okazał się tak duży, że mogłyby się na nim zmieścić dwa Stadiony Robotnicze. Umieszczona na jego środku błyskająca lampa sygnalizacyjna, wysokości zwykłego dwudziestopiętrowego budynku, obracała się i tak jasno świeciła, że nie mogli na nią patrzeć wprost; być może było to światło ostrzegawcze dla przelatujących statków kosmicznych.

Przeszli na drugą stronę dachu, gdzie znajdowało się wejście na najwyższe, trzymilionowe, piętro tego superwieżowca. Zauważyli od razu, że kondygnacja ta była jednym wielkim trawnikiem ze stojącą pośrodku

fontanną, w której odbijało się ciepłe sztuczne światło. Na trawniku rozproszonych było kilkadziesiąt starannie zbudowanych chat spotykanych tylko w baśniach, w których mieszkała setka dzieci z tego piętra. W każdej z nich zobaczyli typowy pokój dziecięcy, z różnymi rozrzuconymi na łóżku i na stole zabawkami. Inny, również wyraźnie dziecięcy, pokój był urządzony inaczej i przekonali się, że każdy był dostosowany do indywidualnych potrzeb jego mieszkańca.

Niższe piętro również było łąką, ale zamiast fontanny płynął tam czysty strumyk, a domy dzieci były usytuowane na jego brzegach. Weszli do kilku i tak jak poprzednio każdy był inny.

Na następnym piętrze sceneria radykalnie się zmieniła – był tam spokojny, śnieżny krajobraz, połyskujący bladoniebiesko w wiecznym zmierzchu, a z góry sypały się nieprzerwanie płatki śniegu, tworząc grube białe czapy na dachach domków. Przed każdym stał bałwan. Najwyraźniej dzieci na tym piętrze uwielbiały zimę.

Na kolejnym piętrze był las z domkami postawionymi na polankach. Gęstą poranną mgłę przeszywały snopy światła wschodzącego za drzewami słońca. Z lasu dobiegał śpiew ptaków.

Obejrzeli jeszcze ponad dwadzieścia pięter, z których każde było jedynym w swoim rodzaju światem. Na jednym nigdy nie przestawał padać deszcz, na innym rozciągała się pustynia ze złotym piaskiem, kolejne było miniaturowym oceanem, po którym dryfowały łodzie mieszkalne dzieci.

– Jak udało ci się zrobić to wszystko? – zapytał Okularnik.

– Dzięki wykorzystaniu jednego z programów gier wirtualnego państwa, starego symulatora miast. Wirtualne państwo używa do budowy swojego świata kart rozszerzenia dostarczanych przez komponent biblioteczny, samo też może tworzyć wirtualne obrazy.

Rozejrzeli się uważnie wokół, przyjrzeli się każdemu źdźbłu trawy i każdemu kamykowi. Wszystko wyglądało jak prawdziwe.

– Postawienie tego budynku wymagało ogromnej pracy – rzekł z uznaniem Huahua.

– Oczywiście – odparł Wirtualny Obywatel 1. – Do jego postawienia przyłożyło rękę ponad osiemdziesiąt milionów dzieci, a ponad sto milionów zaprojektowało swoje domy.

Prowadzone przez Wielkiego Kwanta dzieci weszły do przezroczystej windy o opływowym kształcie, która wystawała z bocznej ściany budynku. Z jej wnętrza widziały błyszczące gwiazdy i Ziemię w dole.

– Chyba nie zamierzacie postawić takiego budynku w świecie realnym, co? – zapytała Xiaomeng.

– Oczywiście, że zamierzamy – odparł głośno Wirtualny Obywatel 1. – Inaczej po co kreślilibyśmy te plany? Wszystko, co tu widzicie, chcemy zbudować w rzeczywistości!

– To do kitu – powiedział Huahua. – Jeśli chcesz się dostać na dach, musisz przejechać windą dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów.

– To żaden kłopot. Tutaj wszystkie windy są zbudowane jak rakiety i poruszają się szybciej niż te, które wynosiły w przestrzeń kosmiczną satelity w erze dorosłych. Popatrzcie!

Akurat wtedy przeleciała obok nich ze zdumiewającą prędkością, wyrzucając płomienie, inna winda i kiedy była tuż przed dachem, z jej spodu zniknęły płomienie i pojawiły się nad wierzchem, co spowalniało jej bieg.

– Te windy mogą osiągnąć prędkość sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę, dzięki czemu podróż z ziemi trwa tylko trochę ponad dwadzieścia minut – wyjaśnił Wirtualny Obywatel 1.

– Sądząc z tego hamowania, które widzieliśmy, obawiam się, że pasażerowie zostali zgnieceni na miazgę – parsknął Okularnik.

Wirtualny Obywatel 1 nic na to nie odpowiedział, najwidoczniej nie przejmując się ani trochę takim drobiazgiem. Potem z dachu ich windy buchnęły płomienie i zaczęli zjeżdżać z przerażającą prędkością. Odczuwali ją przez kilka sekund, ale gdy ściana budynku zamazała się i stała się jednym gładkim torem, wydawało się im, że się prawie nie poruszają, tyle że w tysiącach miejsc błyskawicznie się cofał licznik pięter. Nie mieli w ogóle wrażenia, że pędzą na dół; stali mocno na podłodze, jak gdyby program wirtualnej rzeczywistości przeoczył tę konkretną cechę realnego świata. Ale jedno się zgadzało – mimo że byli w przestrzeni kosmicznej, nie znajdowali się w stanie nieważkości, ponieważ nieważkość w orbitujących obiektach wynika raczej z ich ruchu niż z wysokości, na jakiej się znajdują; nawet na tej wysokości przyciąganie ziemskie pozostawało silne.

– Zapomnijmy na chwilę o wykonalności tego projektu – powiedział Huahua. – Po co to wszystko? Dlaczego wszystkie dzieci w tym państwie chcą mieszkać w jednym budynku?

– Żeby zostawić wszystkie pozostałe miejsca do zabawy! – odparł Wirtualny Obywatel 1.

Wiele lat później historycy doszukali się w pomyśle superwieżowca głębokiego znaczenia – wziął się on z poczucia osamotnienia dręczącego wszystkie dzieci po zatrzymaniu się zegara epoki.

– Ten kraj jest ogromny. Nie wystarczy wam do zabawy? – zapytała Xiaomeng.

– Nie, jak się zaraz przekonacie.

– Tak czy inaczej ten budynek jest odlotowy – powiedział z naciskiem w głosie Huahua.

– Na dole jest jeszcze bardziej odlotowo!

Rakietowa winda nadal jechała w dół. W końcu łuk skraju Ziemi stał się mniej wyraźny, a na terenie pod nimi pojawiło się więcej szczegółów.

Xiaomeng powiodła spojrzeniem po budynku od góry do dołu i krzyknęła:

– On jest dwukrotnie większy od średnicy Ziemi!

Okularnik skinął głową.

– Wygląda jak jej długi włos.

– I pomyślcie, jak przechodzi ze strony pogrążonej w mroku na stronę oświetloną przez słońce i jak wygląda w tym blasku jego ogromna wysokość. Co za wspaniały widok! – powiedział Huahua.

Rakietowe silniki windy przesunęły się z jej dachu pod podłogę i zaczęły hamować. Wkrótce mogli już dojrzeć odstępy między piętrami, a parę sekund później winda się zatrzymała, przy czym program wirtualnej rzeczywistości znowu zignorował fakt, że siła tak szybkiego hamowania zmiażdżyłaby pasażerów. Trójka przywódców widziała, że winda nadal znajduje się w przestrzeni kosmicznej, ale Wirtualny Obywatel 1 powiedział:

– Obecnie jesteśmy na dwieścieczterdziestotysięcznym piętrze, na wysokości dwóch tysięcy kilometrów. Dalej nie pojedziemy już windą, ale resztę drogi przebędziemy innym środkiem transportu.

Wyjrzeli na zewnątrz i zobaczyli długą linę wznoszącą się z ziemi, której koniec był tak cienki, że prawie niewidzialny. Tworzyła dwa koła i ciąg spiral i skrętów, jakby jakieś niegrzeczne dziecko narysowało zygzaki na zdjęciu Ziemi. Odchylała się w stronę budynku i dochodziła do niego tuż pod windą. Z bliska zobaczyli, że jest to wąski tor kolejowy.

– Domyślacie się, co to jest? – zapytał Wirtualny Obywatel 1.

– Wygląda tak, jakby jakiś olbrzym podniósł koniec linii kolejowej z Pekinu do Szanghaju i przymocował go tutaj – powiedział Huahua.

Wirtualny Obywatel 1 roześmiał się.

– Co za opis! Musisz być pisarzem. Ale ten tor jest dłuższy od tej linii. Ma ponad cztery tysiące kilometrów. To kolejka górska, którą planujemy zbudować w realu.

Kolejka górska? Przywódcy popatrzyli ze zdumieniem na długi tor i dwie ogromne pętle na nim, ładnie lśniące w słońcu.

– Chcesz powiedzieć, że sięga aż do ziemi?

– Tak. Zjedziemy nią.

W chwili, gdy to mówił, pod windę wysunął się z budynku mały wagonik z pięcioma podwójnymi siedzeniami jak w kolejkach górskich, które widywali w parkach rozrywki. W podłodze windy tuż nad wagonikiem otworzył się właz (w tym miejscu program wirtualnej rzeczywistości zignorował próżnię kosmosu).

Jak tylko znaleźli się w wagoniku, ten zaczął płynnie sunąć po torze, najpierw wolno, ale potem, gdy wyjechał z cienia budynku na jasne słońce, dotarł do pierwszej pętli i wystrzelił naprzód jak z procy. Ponieważ hełmy wirtualnej rzeczywistości dostarczały im tylko wrażeń wzrokowych, nie czuli przyspieszenia, a zatem mimo że wciąż przebywali w przestrzeni kosmicznej, nie mieli poczucia nieważkości. Gdy wagonik wpadł w pierwszą pętlę, siła grawitacji ustąpiła miejsca przeciążeniu i zobaczyli, jak gwiazdy i Ziemia wirują wokół nich. Po ponownym wyrównaniu toru jazdy siedząca z tyłu Xiaomeng obejrzała się za siebie. Pętla była już za nimi, a superwieżowiec stał się cienką pajęczą nicią, która zdawała się zwisać z migoczącej galaktyki. Druga pętla była jeszcze większa niż pierwsza, ale jej pokonanie zajęło im tyle samo czasu; najwyraźniej nadal przyspieszali. Potem nastąpił długi zjazd, oczywiście niemonotonny, ponieważ wagonik pędził ciągiem rynien i wzniesień, niektórych bardzo stromych. Na końcu tego odcinka wpadli w spiralę i poczuli się, jakby byli

w centrum wszechświata, a Ziemia i gwiazdy zataczały wokół nich nieskończone koła. Na początku płaska spirala potem zakręcała i stawała się niemal prostopadła, co sprawiało, że Ziemia wyglądała jak ogromna płyta gramofonowa kręcąca się przed nimi. Na drugim końcu spirali tor opadał pionowo w stronę Ziemi, stwarzając ponownie sytuację, w której powinni się znaleźć w stanie nieważkości, ale niczego takiego nie doznali. Przed nimi tor tworzył plątaninę mającą chyba ze sto kilometrów średnicy. Znalazłszy się w niej, mieli wrażenie, że będą wiecznie błądzić w tym labiryncie, bo kiedy tylko zbliżali się do wyjścia, tor z powrotem skręcał do tyłu. Teraz nie byli już w kosmosie, lecz w pudełku w rękach niespokojnego dziecka, które obracało je w różne strony. W końcu wagonik wydostał się z labiryntu i wjechał na prosty wjazd, znowu nabierając szybkości. Ten odcinek ciągnął się przez jakiś czas; tory nad nimi zlały się w gładki pas i trudno im było się zorientować, z jaką pędzi prędkością. Kolor przestrzeni w górze zmienił się z czarnego na lekko purpurowy, a potem stopniowo przeszedł w błękit; gwiazdy się rozmyły, a horyzont stał się nieco zakrzywiony. Siedzący z przodu Huahua zobaczył wydobywający się z przodu wagonika płomień, który szybko spowił cały pojazd; najwyraźniej program nie ignorował tarcia o atmosferę. Gdy płomienie zniknęły, trójka przywódców stwierdziła, że są nad poziomem chmur. Niebo nad ich głowami było czysto błękitne, rozświetlone blaskiem słońca, który ostro kontrastował z czernią i bielą przestrzeni kosmicznej i zdawał się przenikać do każdej fałdy ich ubrań. Przed nimi widać było kolejny ciąg pętli, wjazdów i zjazdów, których obecność oznaczała, że jazda będzie jeszcze bardziej szalona niż w kosmosie. W chwilach, gdy wagonik sunął gładko, ujrzeli wznoszące się w oddali ogromne ramy, z których każda miała co najmniej dziesięć tysięcy metrów wysokości i wbijała się w chmury. Niektóre z nich tworzyły z ziemią trójkąty, inne miały kształt

gigantycznych drzwi, jakby były ustawionymi na sztorc cyrklami i ekierkami. Huahua zapytał, co to za konstrukcje, a Wirtualny Obywatel 1 odparł:

– Zjeżdżalnie i huśtawki dla małych dzieci.

Huahua nie potrafił sobie wyobrazić małego dziecka, które zjechałoby z wysokiej na dziesięć tysięcy metrów zjeżdżalni, ani tego, jak można by rozhuśtać taką ogromną huśtawkę.

Ostatni odcinek toru kolejki był łagodnym zjazdem na coś, co – jak się wydawało ich trojgu – było łąką pełną kolorowych kwiatów, ale gdy w końcu tam dojechali, okazało się płaszczyzną utworzoną z wielkiej liczby różnobarwnych gumowych piłek, powiększonych wersji takich, jakie można znaleźć na boisku, ale ciągnących się jak daleko sięgał wzrok, tak że można ją było nazwać morzem piłek. Zanim wagonik się zatrzymał, pruł jeszcze dosyć długo powierzchnię tego oceanu, roztrącając piłki, które wzbijały się w powietrze i spadały ze stukotem jak kalejdoskopowy deszcz. Nie mieściło im się w głowach, jak ktoś mógłby zanurkować w tym niesamowitym oceanie i jak się potem z niego wydostać; wiedzieli z własnego doświadczenia, bo w młodszym wieku „pływali” w takich basenach, że nie jest łatwo poruszać się w nich. Dwa ogromne koła, po jednym z każdej strony, wyciągnęły wagonik, rozgarniając piłki, które przesuwały się z dziwnym bulgotem. Wirtualny Obywatel powiedział im, że ten ocean ma tysiąc kilometrów kwadratowych.

– Pójdzie na to cała guma w kraju. Z czego będziemy potem robić opony samochodowe? – zapytała Xiaomeng, ale Wirtualny Obywatel, którego najwyraźniej nic to nie obchodziło, nie odpowiedział.

Po wynurzeniu się wagonika z oceanu piłek mogli się przyjrzeć gigantycznej zjeżdżalni, która znajdowała się obok. Była to zjeżdżalnia wodna. Woda pędziła szerokim korytem ze szczytu, który znajdował się

poza zasięgiem ich wzroku, co sprawiało wrażenie, jakby z nieba płynęła rwąca rzeka. Gdy Huahua wyobraził sobie, jak zjeżdża po takiej rzece z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, aż się zatrząsł z podniecenia i zapytał, czy może zafundować sobie taki zjazd.

– Myślisz tylko o zabawie – powiedziała Xiaomeng, powstrzymując go. – Mamy poważne rzeczy do zrobienia.

– To prawda – dodał Wirtualny Obywatel. – Stąd jest czterdzieści kilometrów do windy i nie powinniśmy tracić na to czasu. Poza tym jaki jest sens korzystać z wirtualnej, zrobionej przez komputer zjeżdżalni? Poczekaj, aż zbudujemy prawdziwą, to dopiero będą emocje!

Po obejrzeniu zjeżdżalni wodnej zobaczyli zwisającą na grubych stalowych linach ogromną platformę, na której mogło się pomieścić kilkaset osób. Początkowo wzięli ją za boisko sportowe i dopiero kiedy Wirtualny Obywatel poinformował ich, że to huśtawka, zauważyli po jej obu stronach słupy wznoszące się na tysiąc metrów w niebo. Wtedy też odkryli, w jaki sposób wprawia się ją w ruch – do spodu platformy były przymocowane silniki rakietowe.

Następnie zwiedzili arenę samochodów elektrycznych. Każdy samochód był wielkości śmieciarki z czasów dorosłych i miał ponaddwumetrowe koła. Nadmuchiwane zderzaki ze wszystkich stron czyniły z nich ogromne potwory. Tysiące takich pojazdów, ścigając się i zderzając na rozległej równinie, mogło wzbić tyle kurzu, że przesłoniłby niebo. Podobna zabawa wymagała na pewno odwagi i bojowego ducha.

– To pierwsza strefa rozwoju nowego planu pięcioletniego, gdzie koncentrujemy się na budowie wielkich torów i zjeżdżalni świątecznych – wyjaśnił Wirtualny Obywatel. – Nie widzieliście jeszcze diabelskiego młyna i ufodromu, bo są sto kilometrów stąd, ale przy dobrej pogodzie można je zobaczyć. Teraz przenieśmy się do Strefy 2, strefy gier.

Zaledwie to powiedział, otoczenie się zmieniło i znaleźli się w wielkim mieście, pełnym wysokich budynków o dziwacznych kształtach. Niektóre wyglądały jak potężne zamki, inne spowite były plątaniną rur albo pełne dziur jak ser szwajcarski.

– To arkady gier wideo? – zapytał Huahua.

– Nie. Każdy jest konsolą do gry.

– Są ogromne! A… gdzie są ekrany?

– Te konsole zostały zbudowane według nowego pomysłu. Żeby na nich grać, trzeba wejść do środka, gdzie całe otoczenie składa się z obrazów holograficznych albo z prawdziwych przedmiotów. Każda gra zaczyna się od dolnej kondygnacji konsoli i trzeba się przedrzeć na sam szczyt. Nie używa się, tak jak wy dawniej, myszki ani joysticka: jest się częścią świata gry i cały czas biega się i walczy. Weźmy na przykład tę konsolę w kształcie zamku: to pałac królewski i musisz pokonać masę wrogów, zanim zostaniesz królem. Ta z dziurami to legowisko potworów. Musisz pozabijać laserowym mieczem jadowite smoki i uratować księżniczkę. Oczywiście to gry dla małych dzieci. Są takie małe, że mogą grać tylko w gry w niedużej skali.

– Co? To są gry w niedużej skali? A jak ogromne są te większe?

– Maszyny w dużej skali nie mają stałej formy. Większość z nich zajmuje całą strefę.

Otoczenie znowu się zmieniło i znaleźli się na granicy lasu i terenów trawiastych. Stada zwierząt wybiegały z lasu na równinę i wracały potem do niego.

– Takie megazoo jest prawdziwym królestwem zwierząt. Nie mają one klatek i mogą się swobodnie poruszać w swoim naturalnym środowisku. W takim ogrodzie zoologicznym wchodzisz w góry i puszcze, gdzie możesz spotkać przeróżne gatunki zwierząt. Będziesz miał elektrycznie zasilane

ubranie ochronne, by nie mogła cię zranić żadna bestia. Będziesz podróżował przez las na grzbiecie słonia albo zrobisz sobie zdjęcie z tygrysem bengalskim. Największe zoo ma trzysta tysięcy kilometrów kwadratowych, więcej niż Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej. W tym nie ma żadnych dróg; jedyną dostępną formą transportu są helikoptery, a kiedy się tam znajdziesz, będziesz się czuł, jakbyś wkroczył do pierwotnego świata u zarania ludzkości. Zbudujemy też trzy małe miasta z ulicami i domami, takie, w jakich mieszkają ludzie, ale będą w nich żyły bystre szczenięta, kocięta i inne zwierzaki, z którymi mogą się zaprzyjaźnić dzieci. Będziesz mógł tam wejść, pobawić się z nimi i zabrać ze sobą te, które ci się spodobają… Strefa 3 ma powierzchnię około miliona kilometrów kwadratowych.

– Musi być taka duża?

– Co to za pytanie? Zwierzęta mają prawo migrować, gdzie chcą. Ptaki muszą swobodnie latać. Mogą to robić, jeśli nie będą miały wystarczająco dużej przestrzeni? Teraz pokażę wam Strefę 4, strefę przygód.

Otoczenie szybko się zmieniało – od podnóża pokrytej śniegiem góry, przez bezkresną sawannę, po głęboki wąwóz i brzeg rwącej rzeki…

Gdy się w końcu zatrzymali pod potężnym wodospadem, Huahua zauważył:

– Wydaje się, że nie ma tu żadnych budowli.

– Zgadza się. Wszystkie stare miasta zostaną zburzone i tym terenom zostanie przywrócony pierwotny wygląd.

– Po co?

– W celu poszukiwania przygód!

– Nie możecie poszukiwać przygód w grach w Strefie 2?

– To się kompletnie różni od tamtej strefy! W grach program jest ustawiony fabrycznie. Wszystko jest przewidywalne. Tu jest zupełnie

inaczej. Nie wiesz, co napotkasz. Dlatego jest to takie ekscytujące. Poza tym ta gra zajmuje dużo większą powierzchnię niż Strefa 2.

– Ile?

– Cały północny zachód!

– To za dużo.

– Wcale nie. Musi być taka duża. Co to za przygoda, jeśli teren kończy się za parę kroków?

– Jeśli to zrobicie, to w naszym kraju prawie zabraknie terytorium.

– I właśnie dlatego w Strefie 5 zrealizujemy tylko jeden mały projekt.

– Jest też Strefa 5?

– Tak. Wesołe Miasteczko.

Miasto, w którym się teraz znaleźli, było w porównaniu z gigantyczną skalą poprzednio zwiedzanych stref wspaniałą miniaturą. Budynki były niskie, a ich najbardziej rzucającą się w oczy cechą była monochromatyczność, jakby składały się z wielkich drewnianych bali.

– To Wesołe Miasteczko. Wszystkie domy są zbudowane ze słodyczy. Ten brązowy stadion, na który patrzycie, jest w całości z czekolady. A ten przezroczysty budynek z kandyzowanego cukru.

– Można to jeść?

– Oczywiście!

Huahua podszedł do stadionu i stuknął w brązowy filar obok wejścia; od razu odpadł jego kawałek. Xiaomeng podeszła do małego kruchego domku, lekko dotknęła okna i szyba się rozsypała. Podniosła jej fragment i wyobraziła sobie, jaką słodycz poczułaby na języku, gdyby włożyła do ust ten cienki płatek kandyzowanego cukru.

Okularnik przerwał swoje długie milczenie i parsknął:

– To jest pogwałcenie praw nie tylko ekonomii, ale także nauki. Czy cukier jest tak mocny, by można było budować z niego domy?

– Właśnie dlatego w Wesołym Miasteczku nie ma wysokich budynków – odparł Wirtualny Obywatel. – A te, które tu są, mają stalowe szkielety dla wzmocnienia konstrukcji.

– A nie stopią się w cieple?

– Celna uwaga.

Otoczenie znowu się zmieniło, ale niewiele. Teraz byli na przedmieściu Wesołego Miasteczka, obok niskich wzgórz, które otaczały je pierścieniem. Ich wspaniałe kolory i miękkie zarysy sprawiały, że wydawały się żywcem przeniesione z akwareli.

– Szkoda, że nie czujecie ich zapachu, bo są przepyszne – powiedział Wirtualny Obywatel. – To Wzgórza Lodowe.

Gdy przyjrzeli się im dokładniej, zobaczyli spływające z nich strumyki lodów, na niektórych tworzyły się kremowe wodospady. Strumyki te łączyły się w rzekę na dnie doliny, której powierzchnię pokrywały mleczne zmarszczki i bezdźwięcznie kołyszące się fale.

– Trochę zignorowano warunki klimatyczne i dlatego lody się topią. Wesołe Miasteczko trzeba będzie zbudować w jakimś zimniejszym rejonie.

Późniejsi badacze ery supernowej poświęcili koncepcji Wesołego Miasteczka sporo uwagi, przede wszystkim po to, by odkryć, co powodowało, że dzieci, które w erze powszechnej nie zajadały się słodyczami, stały się tak zauroczone nimi w świecie stworzonym przez ich wyobraźnię. Spekulowano, że być może słodycze były dla nich symbolem czegoś, czego dorośli nigdy nie rozumieli – symbolem piękna.

Z analizy danych zachowanych w pamięci Wielkiego Kwanta historycy dowiedzieli się, że twórcami nowego planu pięcioletniego i architektami wirtualnego państwa były głównie dzieci w wieku od pięciu do jedenastu lat. Wspierane przez jeszcze młodsze, dzięki swojej liczbie miały zdecydowaną przewagę w organizowanych według opierających się na

indukcji zasad statystycznych zgromadzeniach Nowego Świata. Rozczarowanie światem realnym doprowadziło do tego, że przyłączył się do nich znaczny odsetek starszych dzieci i w szaleństwie ogarniającym stopniowo społeczeństwo tylko mniejszość zachowała choćby odrobinę zdrowego rozsądku.

Debata

Otoczenie zmieniło się po raz ostatni i trójka przywódców wróciła na platformę pośrodku morza uczestników zgromadzenia Nowego Świata. Z wysokości platformy zobaczyli nie tylko morze oczu, ale także ust, dwustu milionów nieustannie poruszających się ust wypowiadających słowa, które mógł usłyszeć jedynie Wielki Kwant.

Wirtualny Obywatel 1 (91,417%) zapytał:

– No i co sądzicie o nowym planie pięcioletnim? Możecie nas poprowadzić do jego urzeczywistnienia?

– Jesteś tu tylko ty? – odezwał się Huahua. – Nie ma Wirtualnego Obywatela 2?

– WO 2 był tu parę razy, ale on jest naprawdę irytujący – odparł Wirtualny Obywatel 1. – Hej, WO 2, pokaż się i odezwij, jeśli się odważysz!

I tak w państwie rozpoczęła się wielka debata, największa w dziejach ludzkości, w której brało bezpośredni udział ponad dwieście milionów osób. Na całym rozległym terytorium kraju można było znaleźć dzieci krzyczące przez telefony albo zawzięcie stukające w klawiatury komputerów, z których każde starało się przyczynić w jednej dwustumilionowej części do stworzenia świata swoich marzeń. W mniejszej z dwóch rywalizujących grup znajdowały się dzieci o wyższym przeciętnym wieku, ale, niestety, w streszczeniach ich wypowiedzi Wielki Kwant nie uwzględniał (może nie mógł uwzględnić) wieku, więc większa grupa zdobyła absolutną przewagę. Wskutek ogromnej

liczby młodszych dzieci debatę, która miała zdecydować o losach państwa, zdominowała najmniej rozsądna i najbardziej kapryśna, a zatem bardzo niebezpieczna siła społeczna.

Wirtualny Obywatel 2 (8,792%) ośmielił się powiedzieć:

– Huahuo, Okularniku i Xiaomeng, nie słuchajcie ich. To paplanina głupich maluchów, które interesuje tylko zabawa. Składam wniosek, żeby zmienić zasady zestawień sumarycznych tak, by obejmowały ważenie głosów na podstawie wieku.

W morzu w dole zapanowało poruszenie. Kreskówkowe awatary wrzeszczały i kręciły się, jakby silny wiatr wzburzył jego powierzchnię.

– My jesteśmy dziećmi? – oburzył się Wirtualny Obywatel 1. – A wy ile macie lat? Najwyżej trzynaście. Jeszcze kilka dni temu dostawaliście lanie od swoich ojców, a teraz udajecie dorosłych? Wstyd, wstyd, wstyd, wstyd! Dorosłych już nie ma. Zostałyśmy tylko my, dzieci. Już nikt nie będzie nam mówić, co mamy robić!

– Problem w tym, że wasz plan jest niewykonalny – powiedział Wirtualny Obywatel 2.

– Skąd wiesz, jeśli nie spróbujesz tego zrobić? Pomyślałbyś sto lat temu, że wszystkie dzieci z kraju, dwieście milionów, zbiorą się w jednym miejscu? Jesteś tchórzem.

– Skoro to możliwe, to dlaczego nie zrobili tego dorośli?

– Dorośli? Phi! Oni nie wiedzieli, jak się bawić. Oczywiście, że nie zamierzali zbudować świata zabaw. Świat, który stworzyli, był okropny. Wszystko było tam takie nudne. Zamiast się bawić, mieli kwaśne miny i codziennie chodzili w milczeniu do pracy. Prawdziwy festiwal ziewania. I bez przerwy mówili nam: „Nie rób tego, tego nie można robić, tamtego nie można robić, nie baw się tutaj, nie baw się tam”, a dla nas była tylko szkoła, szkoła, szkoła, i test, test, test, mieliśmy się dobrze zachowywać

i być grzecznymi dziećmi. Fuj, fuj, fuj! Ale teraz zostaliśmy tylko my i chcemy zbudować świat zabaw.

– A jak ten wasz świat zabaw będzie wytwarzał żywność? – zapytała Xiaomeng. – Bez jedzenia wszyscy umrzemy z głodu.

– Dorośli zostawili nam masę jedzenia – rzekł Wirtualny Obywatel 1. – Wystarczy na wieki.

– Kiedyś się skończy – zauważył Wirtualny Obywatel 2.

– Nie, nie, nie! Dorosłym nigdy się nie skończyło, prawda?

– Dlatego, że stale wytwarzali nowe.

– Wytwarzali, wytwarzali, wytwarzali. Zamknij się, zamknij się, zamknij się.

– Ale co się stanie, kiedy wszystko zjemy?

– To wtedy będziemy się martwić. Najpierw chcemy zbudować świat zabaw. Potem zajmiemy się jedzeniem. W czasach dorosłych żyło tu mnóstwo ludzi, ale mieli pod dostatkiem jedzenia bez zbyt ciężkiej pracy, nie?

– Moi drodzy, dorośli wkładali wiele pracy w zdobycie dostatecznej ilości jedzenia.

– Nigdy tego nie widzieliśmy. A któreś z was? Widziałaś to, Xiaomeng? Co?

– Wy idioci – odparł Wirtualny Obywatel 2 – to, że tego nie widzieliście, nie znaczy, że ciężko na to nie pracowali.

– Sam jesteś idiotą! Niedoszły dorosły. Nudziarz!

– Wróćmy do początku – odezwał się Huahua. – Załóżmy, że przyjmiemy wasz plan pięcioletni. Podołacie wszyscy takiemu ogromnemu zadaniu?

– Oczywiście – powiedział Wirtualny Obywatel 1.

– Może będziecie musieli pracować po dwadzieścia godzin dziennie – zauważył Huahua.

– Możemy pracować po dwadzieścia cztery godziny dziennie.

– Byłaby jakaś szansa, gdyby połowa z was miała stopień doktora.

– Będziemy się pilnie uczyli. Każdy z nas przeczyta dziesięć tysięcy książek. Zostaniemy doktorami!

– Guzik prawda – stwierdził Huahua. – I tak już jesteście zmęczeni.

– Bo praca jest taka nudna. Nie ma w niej nic z zabawy. Podczas zabawy się nie męczysz. Możemy pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszyscy zrobimy doktoraty. I wtedy zbudujemy ten świat zabaw. Zrobimy to, zrobimy, zrobimy!

Oddziaływanie grupy jest potężne, co widać w zachowaniach wielotysięcznych tłumów kibiców piłki nożnej, więc kiedy w jednym miejscu zgromadziło się dwieście milionów ludzi (w dodatku samych dzieci), wpływ ten był silniejszy, niż mogli sobie wyobrazić dawni socjolodzy i psycholodzy. Przestały istnieć indywidualne umysły, porwane przez uniesienie grupy. Po latach wielu uczestników zgromadzenia Nowego Świata wspominało, że zupełnie stracili kontrolę nad sobą, że dla milionów małych dzieci logika i rozsądek straciły wszelkie znaczenie. Nie chcieli słuchać, nie chcieli działać, pragnęli tylko jednego – swego wymarzonego świata zabaw.

– Czy przywódcy kraju nam odpowiedzą? – spytał Wirtualny Obywatel 1. – Przyjmiecie nasz plan pięcioletni czy nie?

Trójka przywódców wymieniła spojrzenia.

Xiaomeng powiedziała:

– Moi drodzy, postradaliście rozum. Rozejdźcie się do domów i jeszcze raz to przemyślcie.

– Postradaliśmy rozum? To bzdura! Dwieście milionów ma mniej rozumu niż wasza trójka? Bzdura, bzdura, bzdura!

Wtedy zaczęli się wypowiadać nowi wirtualni obywatele.

– Wygląda na to, że państwo nie zaakceptuje naszego planu pięcioletniego – zauważył Wirtualny Obywatel 3 (41,328%). – Sami to zrobimy!

– Sami? – odezwał się Wirtualny Obywatel 4 (67,933%). – Łatwo powiedzieć. Myślisz, że to tak samo jak stworzyć wirtualny świat w komputerze? Musicie skłonić przywódców państwa, żeby zrobili to w realnym świecie. Inaczej nic z tego nie wyjdzie.

– Eee…

Ustało zamieszanie w morzu oczu i ust, które zaraz przemieniło się w apatyczną pustynię.

– Moi drodzy, zrobiło się późno. Idźmy spać. Jutro czeka nas praca – powiedziała Xiaomeng.

– Ale syf – powiedział Wirtualny Obywatel 1. – Praca, praca, praca. Nauka, nauka, nauka. Jakie to nudne! I męczące. Nudy, nudy, nudy…

I tak już słaby głos odpłynął i dzieci zaczęły stopniowo wznosić się nad morze i opuszczać sesję w odwrotnym porządku niż deszcz kreskówkowych awatarów na początku, co wyglądało, jakby w słońcu wyparowywała woda z kałuży. Wkrótce odleciały wszystkie i na ziemi pojawił się napis: „Zakończyło się 214 zgromadzenie Nowego Świata”.

Po zdjęciu hełmów trójka przywódców długo milczała.

Tak skończył się drugi, trzymiesięczny okres ery supernowej, dłuższy niż zawieszenie, który również wziął nazwę z przypadkowo rzuconego określenia Okularnika. Późniejsi historycy nadali mu miano „inercji”.

Po trzech miesiącach dryfowania siłą bezwładu po kursie wyznaczonym przez dorosłych świat dzieci pokazał w końcu swą prawdziwą twarz.

7. Wesołe miasteczko

Czas marzeń

Po zgromadzeniu Nowego Świata czas zdawał się płynąć normalnie, pomimo pojawienia się kilku niezwykłych oznak, z których najbardziej widoczne było to, że niektóre dzieci nie uczyły się już rankami i wieczorami, lecz po skończeniu pracy albo szły spać, albo wchodziły do sieci. Kierownictwo państwa nie zwracało uwagi na to zjawisko, ponieważ uznało, że jest ono raczej oznaką zmęczenia niż zwiastunem czegoś groźnego. Jednak ten zwyczaj szybko się rozpowszechniał i wkrótce dzieci w wieku produkcyjnym zaczęły nie tylko opuszczać lekcje, ale także uchylać się od pracy. Młodsze w ogóle zarzuciły naukę. W tym momencie przywódcy kraju zdali sobie sprawę, że pod powierzchnią tego zjawiska kryje się coś innego, ale było już za późno. Sytuacja rozwijała się tak szybko, że nie mieli czasu podjąć żadnych środków zaradczych, i w rezultacie świat dzieci wpadł w drugą próżnię społeczną.

W odróżnieniu od pierwszej nie przybrało to formy katastrofy, lecz radosnego święta. Był niedzielny ranek, normalnie czas, kiedy miasto było najcichsze, bo dzieci smacznie spały po wyczerpującym sześciodniowym tygodniu pracy. Jednak tego dnia było inaczej. Przywódcy rezydujący w PWI odkryli, że miasto obudziło się z letargu, w którym było pogrążone od odejścia dorosłych. Na zewnątrz wszędzie widać było dzieci, jakby wszystkie wyległy na ulice. Przypominało to krzątaninę i zgiełk z dawno minionej ery dorosłych. Dzieci poruszały się w małych grupach, trzymając się za ręce, śmiejąc się, śpiewając i napełniając całe miasto radością. Spacerowały przez cały ranek, zaglądając to tu, to tam, jakby była to ich

pierwsza wizyta w tym mieście czy w tym świecie, i wszystkie włókna ich ciał przepełniało to samo uczucie: „Świat należy do nas!”.

Okres wesołego miasteczka dzieli się na dwie fazy: marzeń i snu. Teraz zaczęła się pierwsza z nich.

Tego popołudnia dzieci powróciły do szkół, gdzie myślały o tym, jak beztrosko im się żyło w czasach dorosłych, i wspominały utracone dzieciństwo. Cieszyły się ze spotkania z kolegami i koleżankami z ery powszechnej, ściskały się z dawno niewidzianymi przyjaciółmi i gratulowały sobie, że przeżyły katastrofę. Odsunęły zmartwienia o to, co przyniesie następny dzień, bo dosyć już się namartwiły i były tym zmęczone. Zresztą snucie planów na jutro i tak nie jest zadaniem dla dzieci.

Wieczorem zabawa osiągnęła crescendo. Paliły się wszystkie światła w mieście, powietrze drżało od fajerwerków, które przyćmiły Różaną Mgławicę.

Przywódcy patrzyli w milczeniu na orgię świateł i ogni sztucznych. Przyglądając się harcom na ulicach, Okularnik powiedział:

– To prawdziwy początek świata dzieci.

– A co będzie potem? – westchnęła cicho Xiaomeng.

Okularnik zdawał się w ogóle nie przejmować.

– Uspokój się. Historia jest rzeką, która płynie, gdzie chce, i nikt nie zdoła jej powstrzymać.

– Wobec tego co powinniśmy zrobić? – zapytał Huahua.

– Jesteśmy częścią historii, kilkoma kroplami wody w tej rzece. Płyń nią.

Teraz westchnął z kolei Huahua.

– Też to sobie uświadomiłem. Czuję się idiotycznie, gdy sobie przypomnę, jaki byłem pewny, że uda się nam pokierować nawą

państwową.

Następnego dnia dzieci obsługujące systemy o decydującym znaczeniu, takie jak elektrownie, transport i telekomunikacja, pozostały na swoich stanowiskach, ale ogromna większość nie poszła do pracy. Państwo dzieci zostało sparaliżowane po raz drugi.

W odróżnieniu od zawieszenia tym razem nie było wielu alarmujących ostrzeżeń. Młodociani przywódcy zwołali w PWI zebranie kryzysowe, ale żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć czy zrobić. Po długim milczeniu Huahua wyjął z szuflady okulary słoneczne i rzekł:

– Pójdę się rozejrzeć.

I wyszedł.

Kiedy opuścił budynek, znalazł rower i pojechał nim aleją. Dzieci było tyle samo co poprzedniego dnia i wyglądały na jeszcze bardziej podekscytowane. Zostawił rower przy centrum handlowym. Drzwi były otwarte, dzieci wchodziły tam i wychodziły, więc dołączył do nich. W środku roiło się od dziatwy, większość kręciła się przy półkach i brała stamtąd, co chciała.

Nadjechał z piskiem opon elektryczny samochodzik i zniknął pod półką. Spojrzawszy w stronę, skąd się wytoczył, Huahua dostrzegł inną półkę, koło której walały się na podłodze przeróżne zabawki – samochodziki, czołgi i roboty pędziły i przewracały stosy lalek ku radości gęstego tłumu dzieci. Przyszły po zabawki, które im się podobały, ale uświadomiwszy sobie, że jest tam więcej cudownych rzeczy, niż mogą zabrać, postanowiły bawić się na miejscu. Były młodsze od niego i kiedy chodził między nimi i patrzył, jak dokazują wśród towarów najwyższej jakości, przypomniał sobie świat opisany poprzedniego dnia w nowym planie pięcioletnim. Nie

był już w wieku, kiedy jest się zafascynowanym zabawkami, ale rozumiał ekscytację dzieci.

Chłopcy i dziewczynki bawili się w oddzielnych grupach. Ci pierwsi podzielili się na dwie mniejsze grupy i utworzyli spore armie z elektrycznych zabawek: setek czołgów i innych wozów bojowych, ponad stu myśliwców odrzutowych, mnóstwa robotów i masy dziwacznej broni, która chyba nie miała nawet nazwy, rozrzuconej w nieładzie na posadzce. Wokół tego mrugającego lampkami i terkoczącego sprzętu stało dwudziestu kilku chłopców. Byli w pełnym rynsztunku, z pistoletami u pasów, grzechoczącymi karabinami szturmowymi na plecach i pilotami w rękach. Wróg atakował. Po gładkiej wypolerowanej powierzchni sunęła gromada małych wrzeszczących żelaznych bestii, a przed Huahuą malutka armia przypuściła brawurowy szturm. Ku uciesze dzieci przeciwnicy zderzyli się z brzękiem i szczękiem cztery czy pięć metrów od niego. Wyglądało to tak, jakby nadepnęli na gniazdo szerszeni – połowa pojazdów przewróciła się i warczała, a inne zmykały w różne strony. Natarły roboty wroga – trzy szeregi wysokich na dziesięć czy dwadzieścia centymetrów żelaznych ludzików maszerowały w zwartym szyku, dopóki nie rozsypał się on na stercie pojazdów. Potem ruszyły posiłki zmobilizowane przez drugą stronę, trzydzieści sterowanych pilotami samochodzików, które wpadły z wielką prędkością na linię robotów, wyrzucając w powietrze metalowych żołnierzy. Kierowane zręcznie pilotami zaczęły ścigać roboty, które jeszcze zachowały pozycję pionową. Lastrykowe pole walki zasłane było przewróconymi samochodzikami elektrycznymi i oderwanymi kończynami robotów. Skończyła się pierwsza bitwa, entuzjazm dzieci sięgnął szczytu, ale na półkach nie było już dość towarów, by wszcząć drugą. Akurat wtedy wbiegł chłopiec i powiedział, że znalazł magazyn, i wszyscy ruszyli pędem za nim. Szybko przyciągnięto dziesiątki skrzynek z maszynami wojennymi

i robotami i odsunięto półki, by zrobić więcej miejsca do walki. Zaledwie kilka minut później rozgorzała nowa, większa bitwa, do której włączano coraz to nowe oddziały.

Grupa dziewczynek usadowiła się w menażerii pluszowych zwierząt i lalek i połączyła je w rodziny obok domków z drewnianych klocków. Domki ustawiano tak szybko, że dziewczynki musiały poprosić chłopców, by odsunęli półki na bok, a potem zaczęły budować na podłodze miasto zamieszkane przez jasnowłose i niebieskookie lalki. Kiedy przyglądały się z zadowoleniem światu, który stworzyły, chłopcy skierowali tam pilotami setkę czołgów, które wdarły się bez oporu i zburzyły urocze królestwo.

Huahua przeszedł do działu spożywczego, gdzie buszowała gromada młodych smakoszy. Wybierali z zapałem wyszukane delicje, ale z każdej odgryzali tylko kąsek, by zostawić w żołądku miejsce na więcej. Lada i podłoga zaśmiecone były wybornymi, ledwie napoczętymi czekoladami, otwartymi butelkami z napojami odrzuconymi po zaledwie jednym łyku, stosami puszek, z których uszczknięto tylko łyżkę zawartości. Huahua dostrzegł grupkę dziewczynek obok stoiska z cukierkami w papierkach mieniących się wszystkimi kolorami tęczy, które miały osobliwy stosunek do jedzenia – wyjmowały cukierek z papierka, szybko go lizały, a potem odrzucały i szukały kolejnego. Wiele z nich było już sytych, ale nie chciały przestać, jakby zaprzężono je do jakiejś męczącej pracy.

Wyszedł na zewnątrz i wpadł na cztero- czy pięcioletnią dziewczynkę, która upuściła duże naręcze lalek, prawie dwadzieścia. Zdjęła z ramienia nowiutką torbę turystyczną, rzuciła ją na ziemię, a potem usiadła obok niej i zaczęła wierzgać nogami i wrzeszczeć. Z przepełnionej torby wysypywały się duże i małe lalki i Huahua nie potrafił sobie wyobrazić, po co jej ich tyle. Na ulicy było jeszcze więcej dzieci niż wcześniej, wszystkie

w wyśmienitych humorach, a większość niosła rzeczy, na które w sklepie padł ich wzrok.

Podróż powrotna na rowerze była powolna, ponieważ ulice były pełne bawiących się dzieci, zupełnie jakby miasto stało się jednym wielkim placem zabaw. Niektóre grały w piłkę, inne w karty. Widział dzieci, które uruchomiły samochody i jechały zygzakiem jak pijane. Trzech chłopców siedziało na dachu luksusowego sedana, a inne dzieci umykały im z drogi i szukały schronienia. Nie ujechali daleko, bo uderzyli w furgonetkę zaparkowaną na poboczu i spadli na ziemię. Ci, którzy siedzieli w wozie, wyszli i zanosili się ze śmiechu na widok towarzyszy niezdarnie starających się stanąć na nogi.

Znalazłszy się z powrotem w PWI, Huahua opowiedział Okularnikowi i Xiaomeng, co zobaczył na zewnątrz, i dowiedział się od nich, że w innych rejonach miasta jest podobnie.

– Jak widać, dzieci biorą, co chcą, tak łatwo, jakby piły wodę czy oddychały – powiedziała Xiaomeng. – Wstrzymywanie się od pracy oznacza, że majątek państwowy nie jest chroniony, ale, o dziwo, nikt nie zgłasza praw własności do rzeczy, które nie należą do państwa, więc kiedy dzieci biorą wszystko, na co mają ochotę, nie wybuchają żadne konflikty.

– Nietrudno to wyjaśnić – rzekł Okularnik. – Utratę prywatnej własności można sobie powetować gdzie indziej. Oznacza to koniec tej własności.

Huahua był zszokowany.

– A więc z dnia na dzień przestały istnieć prawa ekonomii i wszystkie formy własności z czasów dorosłych?

– To niezwykła sytuacja – odparł Okularnik. – Żyjemy w czasach bezprecedensowej obfitości dóbr, po części wskutek drastycznego spadku

liczby ludności, po części dzięki ogromnej nadprodukcji towarów w ciągu roku po pojawieniu się supernowej, bo społeczeństwo dorosłych starało się zostawić dzieciom jak największy ich zapas. W dzisiejszym społeczeństwie ilość dóbr materialnych na osobę wzrosła z dnia na dzień pięć, a może nawet dziesięć razy! Przy tak fantastycznym bogactwie dojdzie do zadziwiających przekształceń struktur gospodarczych i pojęcia prywatnej własności. Nagle znaleźliśmy się w państwie prymitywnego komunizmu.

– A więc żyjemy już w przyszłości, z wyprzedzeniem harmonogramu? – zapytała Xiaomeng.

Okularnik potrząsnął głową.

– To tylko przejściowe złudzenie, bez odpowiedniej podstawy gospodarczej. Bez względu na to, ile zostawili nam dorośli, to wszystko zostanie w końcu zużyte i wtedy prawa ekonomii i pojęcie własności prywatnej wrócą do normy, a może nawet nastąpi regres. Ten proces może doprowadzić do rozlewu krwi.

Huahua walnął dłonią w stół.

– Powinniśmy polecić wojsku objęcie natychmiastową ochroną majątku państwowego!

Xiaomeng potrząsnęła głową.

– Rozmawialiśmy o tym ze sztabem generalnym i jednomyślnie doszliśmy do wniosku, że najpierw musimy wyprowadzić wojsko z głównych miast.

– Dlaczego?

– Mamy teraz stan wyjątkowy, ale armia też składa się z dzieci. Naturalnie będą nieprzygotowane. Aby mieć gwarancję sukcesu, trzeba rozpocząć przygotowania w pełnej skali i doprowadzić wojsko do jak najlepszego stanu. To potrwa, ale nie mamy wyjścia.

– Dobrze. Ale zróbcie to szybko. Sytuacja jest groźniejsza, niż kiedy stanął zegar epoki. Kraj trzeba oczyścić!

Dzieci chodziły oszołomione jeszcze przez trzy dni – dorośli zostawili tyle dóbr, tyle smakołyków i zabawek. Potem oszołomienie zastąpiła dezorientacja – skoro idealny świat był na wyciągnięcie ręki, to dlaczego nie zbudowano go wcześniej? Dzieci zapomniały o wszystkim, co było przedtem; nawet te starsze, które zachowały odrobinę rozsądku podczas zgromadzenia Nowego Świata, pochłonięte zabawą pozbyły się obaw o przyszłość. Był to najbardziej beztroski okres w dziejach ludzkości i cały kraj zamienił się w park rozrywki i młodzieńczego braku umiaru.

W okresie wesołego miasteczka trzech uczniów z klasy Zheng Chen, listonosz Li Zhiping, fryzjer Chang Huidong i kucharz Zhang Xiaole, którzy nie musieli już chodzić do pracy, spędzało wspólnie czas. Poczta praktycznie przestała funkcjonować, więc Li Zhiping nie miał żadnych przesyłek do dostarczenia; nikt nie przychodził do zakładu Chang Huidonga, by się ostrzyc, bo dzieci nie przywiązują do wyglądu takiej wagi, jakiej mogliby sobie życzyć dorośli; Zhang Xiaole miał jeszcze mniej powodów do przebywania w kuchni, bo dzieci znalazły dużo lepsze miejsca, gdzie mogły się pożywić. Przez trzy dni czasu marzeń każda komórka w ich ciałach była w stanie ekscytacji, więc niewiele spali. Każdego ranka budzili się tuż po świcie, jakby krzyczał do nich jakiś głos: „Wstawaj, patrz, zaczął się nowy cudowny dzień”.

Kiedy wychodzili na świeże powietrze, byli uradowani jak ptaki wypuszczone z klatki. Mieli całkowitą swobodę. Bez żadnych ograniczeń

i obowiązków mogli chodzić, gdzie chcieli, i bawić się, w co tylko zapragnęli. W ciągu minionych kilku dni tacy chłopcy jak oni prowadzili wyczerpujące fizycznie gry, młodsze dzieci, które bawiły się w wojnę i chowanego, mogły się ukryć tak dobrze, że nikt by ich nie znalazł, bo miały do dyspozycji całe miasto. Większe mogły jeździć samochodami (prawdziwymi samochodami!), grać w piłkę nożną albo hokeja na środku drogi. Grały zawzięcie, bo oprócz samej gry miały też inny cel – przygotowanie się do południowej uczty. W ostatnich dniach dobrze jadły, ale nigdy nie czuły się nasycone. Każdego ranka starały się ubawić po pachy, bo miały nadzieję, że kiedy przyjdzie czas na obiad, będą mogły z werwą powiedzieć: „Jestem głodny”.

Gry i zabawy kończyły się o 11.30, a o 12.00 zaczynała się uczta. Przy tak wielu możliwościach w mieście trzej przyjaciele uświadomili sobie, że byłoby niemądrze jadać za każdym razem w tym samym miejscu, bo posiłki dostarczane codziennie z tego samego magazynu traciły urok nowości. Ale uczta na stadionie była czymś innym. W tej największej jadłodajni w mieście obsługiwano ponad dziesięć tysięcy dzieci dziennie. Był tam też większy wybór. Kiedy wchodziło się na stadion, odnosiło się wrażenie, że wkracza się do labiryntu, którego ściany były zbudowane z puszek i ciastek. Trzeba było uważnie patrzeć pod nogi, bo można się było potknąć o stosy wybornych słodyczy. Pewnego dnia Li Zhiping spojrzał z miejsca na wysokiej trybunie na płytę boiska i zobaczył umorusane dzieci rojące się na górach jedzenia na boisku jak mrówki na zamrożonym cieście. Po każdej uczcie góra ta się nieco zmniejszała, ale była podwyższana przez dzieci z popołudniowymi dostawami.

Po kilku wizytach na stadionie trzech przyjaciół nabyło pewnego doświadczenia w jedzeniu – jeśli znaleźli coś smakowitego, mogli zjeść tylko trochę tego naraz, a potem robiło się to nieapetyczne. Zhang Xiaole

przekonał się o tym na przykładzie mielonki. Za pierwszym razem skosztował jej osiemnastu odmian, w sumie z dwudziestu czterech puszek. Oczywiście nie zjadł wszystkiego, a tylko kilka kęsów z każdej puszki, ale od tamtej pory smakowała mu jak trociny. Odkryli też, że pomocne były w tym względzie piwo i galaretka z głogu, i przez następne kilka dni używali ich jako przystawek.

Chociaż uczta stadionowa była spektakularna, jeszcze większe wrażenie wywarła na nich ta, którą zobaczyli w Asia Pacific Building, gdzie niegdyś mieścił się najwytworniejszy hotel w mieście. Na stołach piętrzyły się stosy delikatesów, które dawniej oglądali tylko na zagranicznych filmach, ale teraz jedynymi biesiadnikami były szczenięta i kocięta. Upite francuskim winem i szkocką whisky zwierzątka chwiały się na niepewnych nogach ku uciesze stanowiących audytorium ich małych pań i panów.

Obżarstwo w południe oznaczało, że popołudnia spędzano na wymagających mniej ruchu rozrywkach, takich jak gra w karty, gry wideo i w bilard albo nawet oglądanie telewizji. Zasadnicze znaczenie miała tylko jedna czynność – picie piwa. Każdy wypijał po południu dwie lub trzy butelki na lepsze trawienie. Po zapadnięciu zmroku trzech przyjaciół przyłączało się do odbywających się w całym mieście śpiewów i tańców, które trwały do północy, kiedy wszyscy już się tak wyhasali, że nabierali apetytu na kolację.

Jednak niebawem dzieci miały już dość ciągłych zabaw. Nauczyły się, że nic na świecie nie jest wieczną rozrywką, że najsmaczniejsze potrawy mogą się w końcu znudzić i że jeśli wszystko jest łatwo dostępne, szybko traci cały urok. Czuły się zmęczone i stopniowo gry i uczty zmieniły się w rodzaj pracy. A one nie chciały pracować.

Trzy dni później do miasta wkroczyła dziecięca armia z zadaniem ochrony majątku państwowego. Żywność i inne niezbędne dla życia artykuły miały być rozdzielane według rzeczywistych potrzeb, położono kres rozrzutności i dogadzaniu sobie we wszystkim. Sytuację opanowano łatwiej, niż się spodziewano, bez większego rozlewu krwi.

Ale następne wydarzenia nie przebiegały tak, jak życzyli sobie tego młodzi przywódcy. Każda zmiana w świecie dzieci ukazywała nowe dziwne oblicze, które przekraczało wyobraźnię dorosłych w erze powszechnej.

Okres wesołego miasteczka przeszedł w drugą fazę – czas snu.

Czas snu

Przez następne dni poza przynoszeniem jedzenia z punktu dystrybucji Li Zhiping i jego towarzysze głównie spali. Sypiali długo, osiemnaście albo dwadzieścia godzin dziennie. Jedli, ale ponieważ nikt ich nie budził, po prostu leżeli w łóżkach. W miarę upływu czasu nabierali w tym coraz większej praktyki i zasypiało się im coraz łatwiej. Umysły stawały się leniwe i stale czuli się senni. Robienie czegokolwiek innego nie miało dla nich sensu; wszystko, nawet jedzenie, było męczące. Zdali sobie nagle sprawę, że całkowite nieróbstwo jest wyczerpujące, i było to tak przerażające wyczerpanie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyli. Wcześniej, kiedy uczyli się albo pracowali, mogli odpocząć, ale teraz męczący był sam odpoczynek. Jedynym wybawieniem wydawał się sen, ale im więcej spali, tym bardziej ospali się stawali. Gdy się budzili, nie chciało im się wstać, bo mieli wrażenie, że ich kości są miękkie, jakby były z gumy. Leżeli więc i gapili się tępo w sufit. Trudno im było uwierzyć, że bezmyślne leżenie w łóżku może być tak nużące. Po pewnym czasie zasypiali ponownie i w końcu nie mogli odróżnić dnia od nocy. Doszli do wniosku, że ludzie są istotami śpiącymi, a jawa jest stanem nienormalnym. Stali się mieszkańcami krainy snu i przez większość czasu żyli w snach. Sny były lepsze od jawy, ponieważ mogli w nich stale powracać do kraju opisanego w nowym planie pięcioletnim, wjechać do megawieżowca, przejechać się ogromną kolejką górską, odwiedzić Wesołe Miasteczko i skosztować kawałka szyby. Komunikowali się teraz ze sobą tylko zaraz po przebudzeniu i opowiadali, co im się śniło; kiedy skończyli, naciągali

znowu kołdry na głowy i wracali do poszukiwań cudownego świata, który niedawno opuścili. Nigdy jednak go nie odnajdywali, tylko przenosili się w inne miejsca. Te światy ze snów powoli blakły i coraz bardziej upodabniały się do świata realnego, aż wreszcie trudno im było odróżnić je od niego.

Zdarzyło się nieco później, że kiedy Zhang Xiaole poszedł po jedzenie, natknął się na skrzynkę baijiu, więc zaczęli go pić. W czasie marzeń zasmakowali w piwie, ale teraz picie na umór szeroko się rozpowszechniło, bo dzieci odkryły, że mocny alkohol wprawia ich odrętwiałe ciała i umysły w bardzo przyjemny stan. Nic dziwnego, że dorośli tak go uwielbiali! Skończyli pić w południe i oprzytomnieli po zmroku, ale wydawało się im, że minęły tylko cztery czy pięć minut, bo trunek sprawił, że zapadli w twardy sen bez snów. Po przebudzeniu stwierdzili, że coś jest nie tak, ale ponieważ tyle wcześniej wypili, nie mogli skupić myśli. Dopiero po łyku zimnej wody zaczęli się nad tym zastanawiać i szybko znaleźli odpowiedź – nie wirowały ściany pokoju. Trzeba było przywrócić świat do normalności, więc zaczęli poszukiwać alkoholu. Li Zhiping znalazł butelkę i puścili ją w krąg, wlewając do gardeł żywy ogień i pozwalając, by całe ciało przenikał żar. Cztery ściany znowu zaczęły się stopniowo przesuwać, a oni zamienili się w chmury, które poruszały się razem ze ścianami, w górę i w dół, i z boku na bok, jakby Ziemia stała się tratwą, która podskakuje na falach oceanu wszechświata i może się w każdej chwili przewrócić do góry dnem. Listonosz Li Zhiping, fryzjer Chang Huidong i kucharz Zhang Xiaole leżeli na podłodze jak w bujających się kołyskach i myśleli o wietrze wiejącym nad nimi w bezkres kosmicznego oceanu.

Z najwyższym trudem dziecięcym władzom krajowym udało się utrzymać w czasie snu w miarę normalne funkcjonowanie kluczowych systemów. Działały wodociągi, transport, telekomunikacja i Domena Cyfrowa i dzięki temu w okresie wesołego miasteczka nie doszło do takich wypadków i katastrof, jakich fala przetoczyła się przez kraj podczas zawieszenia. Niektórzy historycy opisali czterdzieści kilka dni czasu snu jako „stukrotnie przedłużoną zwykłą noc", co jest dobrym określeniem. Chociaż w nocy większość ludzi śpi, społeczeństwo funkcjonuje. Inni uważali, że kraj był pogrążony w śpiączce, lecz mimo braku przytomności zachowywał podstawowe funkcje życiowe.

Małoletni przywódcy wykorzystywali wszystkie dostępne im metody, by obudzić dzieci z głębokiego snu, ale żadna nie okazała się skuteczna. Wielokrotnie uciekali się do sposobu wykorzystywanego podczas zawieszenia, polecając Wielkiemu Kwantowi, by dzwonił pod wszystkie telefony, ale nie wywołało to szczególnej reakcji. Jak podczas zgromadzenia Nowego Świata, Wielki Kwant podsumował odpowiedzi jednym zdaniem: „Odejdź. Śpię".

Przywódcy odwiedzali społeczeństwo Nowego Świata w sieci, która była prawie pusta i opuszczona. Miejsce zgromadzenia było opustoszałą równiną niezdradzającą oznak życia. Od początku tego okresu Huahua i Xiaomeng odwiedzali Domenę Cyfrową praktycznie codziennie, za każdym razem zwracając się do dzieci w całym kraju z pozdrowieniem:

– Cześć, dzieciaki, jak się macie?

Odpowiedź była zawsze taka sama:

– Żyjemy. Odwalcie się.

Tak mówili, ale nie nienawidzili Huahui ani Xiaomeng, a wręcz niepokoili się, jeśli któreś z nich nie pojawiło się jakiegoś dnia. Pytali wówczas:

– Dlaczego tych dwojga dobrych dzieci nie ma dzisiaj tutaj?

„Dobre dzieci” było czymś w rodzaju sarkastycznego, ale przyjaznego określenia, i tak też ich od tej pory nazywano. A wysłuchiwanie codziennie odpowiedzi „Żyjemy” dawało przywódcom odrobinę pociechy, bo jak dotąd w kraju nie doszło do najgorszego.

Pewnej nocy podczas wizyty w miejscu zgromadzenia Nowego Świata Huahua i Xiaomeng ujrzeli tam więcej dzieci niż zwykle, około dziesięciu milionów, większość bardzo wymizerowanych. Wiele kreskówkowych awatarów trzymało w rękach butelki z alkoholem, niekiedy większe od nich. Chwiały się i potykały albo padały na kupę i prowadziły pijackie rozmowy. Podobnie jak ich odpowiedniki siedzące przed komputerami w realnym świecie, awatary co jakiś czas pociągały łyk z cyfrowej butelki. Alkohol, który prawdopodobnie oznaczony był tym samym elementem w bazie obrazów, żarzył się jak roztopione żelazo i rozświetlał podczas picia kreskówkowe ciała.

– Cześć, dzieciaki, jak się macie? – zapytała jak zwykle Xiaomeng z platformy na placu, jakby odwiedzała osobę złożoną chorobą.

Odpowiedziało jej dziesięć milionów postaci, a Wielki Kwant zsumował te odpowiedzi w bełkotliwym:

– Do… dobrze. Ży… żyjemy.

– Ale co to za życie?

– No… to… co? A… jak… ty żyjesz?

– Dlaczego zupełnie przestaliście pracować i uczyć się?

– Pracować… a… po… co? Jesteście dobrymi dziećmi. Wy… wy możecie pracować.

– Hej! Hej! – krzyknął Huahua.

– Czego się drzesz? Nie widzisz, że jesteśmy pijane i senne?

Huahua rozzłościł się.

– Chlacie, śpicie i znowu chlacie. Wiecie, kim jesteście? Wieprzami!

– U… uważaj, co mówisz. Cały czas się na nas drzesz. Za kogo ty się uważasz? Za dyżurnego klasy? – Dyżurny był przydomkiem, który dzieci nadały Huahui; Okularnika nazywały Wujkiem Mądralą, a Xiaomeng Ciocią Dobrą Radą. – Chcesz, żebyśmy cię posłuchali? Dobra… No to walnij… z tej butelki!

Potem z błękitnego nieba spadła duża butelka wódki, zawisła przed Huahuą i zaczęła szyderczo podrygiwać. Rozbił ją machnięciem ręki, a jej zawartość podobna do rozżarzonego żelaza rozprysnęła się wokół platformy, tworząc mieniące się fontanny.

– Ha, wieprze – powiedział.

– Jeszcze ci mało?

Ze wszystkich części zgromadzenia nadleciały butelki, ale zostały przechwycone przez oprogramowanie i rozpłynęły się na skraju platformy. W rękach dzieci, które je rzuciły, pokazały się magicznie następne.

– Poczekamy, zobaczymy – powiedział Huahua. – Jeśli nie będziecie pracować, umrzecie z głodu.

– Ty też.

– Zasługujecie na lanie, prosiaki!

– Ha, ha, ha. Myślisz, że możesz spuścić nam lanie? Mówisz do trzystu milionów dzieci. Zobaczymy, kto tu kogo zleje.

Huahua i Xiaomeng zdjęli hełmy wirtualnej rzeczywistości i spojrzeli przez przezroczyste ściany PWI na miasto. Pogrążone było w najgłębszym śnie tego sennego okresu. Paliło się niewiele świateł, a las budynków połyskiwał lodowatym błękitem w nieziemskiej poświacie Różanej Mgławicy niczym drzemiące, skute lodem szczyty gór.

– W nocy śniła mi się mama – odezwała się Xiaomeng.

– Powiedziała ci coś? – zapytał Huahua.

– Opowiem ci, co mi się zdarzyło, kiedy byłam młodsza. Nie pamiętam, ile miałam lat, ale byłam bardzo mała. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam tęczę, wyobraziłam sobie, że jest to most na niebie zbudowany z kryształu i oświetlony różnobarwnymi latarniami. Kiedyś po ulewnym deszczu pobiegłam w stronę tęczy co sił w nogach. Chciałam dotrzeć do jej końca, wspiąć się na przyprawiającą o zawrót głowy wysokość, zobaczyć, co jest za górami na horyzoncie, i przekonać się, jak duży jest świat. Jednak kiedy biegłam, tęcza zdawała się oddalać, a potem zza gór ukazało się słońce i tęcza zniknęła. Stałam sama w szczerym polu, ubłocona od stóp do głowy, i ryczałam. Mama obiecała mi, że następnym razem po deszczu pójdzie ze mną gonić tęczę. Wypatrywałam więc niecierpliwie kolejnej ulewy i gdy się w końcu znowu rozpadało i pojawiła się tęcza, mama przyjechała odebrać mnie z przedszkola. Posadziła mnie na siodełku roweru i pojechałyśmy w stronę tęczy. Pedałowała szybko, ale mimo to znowu zaświeciło słońce i tęcza zniknęła. Mama powiedziała, że muszę poczekać do następnej ulewy. Czekałam i czekałam, ale pomimo wielu ulew tęcza już się nie pokazała, a potem zaczął sypać śnieg…

– Kiedy byłaś mała, lubiłaś fantazjować – stwierdził Huahua. – Ale już tego nie robisz.

Xiaomeng potrząsnęła lekko głową.

– Czasami dziecko musi szybko dorosnąć… Ale dzisiejszej nocy śniło mi się, że mama znowu zabrała mnie w pościg za tęczą! I udało nam się ją złapać. Wdrapałam się na szczyt tego wielokolorowego mostu i zobaczyłam tuż koło mnie migoczące gwiazdy. Chwyciłam jedną. Była zimna jak lód i wydawała dźwięki jak pozytywka.

– Czasy sprzed ukazania się supernowej naprawdę wydają się snem – powiedział z naciskiem w głosie Huahua.

– Tak. Chcę wracać w snach do czasów dorosłych i być z powrotem dzieckiem. Mam coraz więcej takich snów.

– Popełniasz błąd, marząc i śniąc o przeszłości zamiast o przyszłości – rzekł Okularnik, podchodząc do nich z dużym kubkiem kawy. W ostatnich dniach rzadko się odzywał i nie brał udziału w rozmowach z dziećmi w Domenie Cyfrowej. Większość czasu spędzał sam, pogrążony w myślach.

– A można w ogóle śnić o przyszłości? – westchnęła Xiaomeng.

– Na tym polega największa różnica między wami i mną. Traktujecie pojawienie się supernowej jako katastrofę, więc chcecie jak najszybciej przez to przejść, licząc na to, że dzieci jak najszybciej dorosną. Natomiast ja uważam, że jest to wielka szansa dla ludzkości. Może ona doprowadzić do wielkich przełomów i rozwoju cywilizacji.

Huahua wskazał miasto śpiące w niebieskim blasku Różanej Mgławicy.

– Popatrz na świat dzieci. Jest jakaś nadzieja?

Okularnik pociągnął łyk kawy i powiedział:

– Straciliśmy szansę.

Xiaomeng i Huahua popatrzyli na siebie, po czym Xiaomeng powiedziała:

– Znowu coś wymyśliłeś. Wykrztuś to z siebie!

– Pomyślałem o tym podczas zgromadzenia Nowego Świata. Pamiętacie, co mówiłem o podstawowej motywacji, która kieruje światem dzieci? Kiedy wróciliśmy po wizycie w wirtualnym kraju dzieci na platformę i stanęliśmy naprzeciw tych dwustu milionów twarzy, nagle uświadomiłem sobie, co je zachęca do działania.

– Co?

– Zabawa.

Xiaomeng i Huahua rozmyślali nad tym w milczeniu.

– Przede wszystkim – ciągnął Okularnik – musimy stworzyć definicję zabawy. To aktywność, która jest wyłącznie cechą dzieci, odmienną od rozrywek dorosłych. W społeczeństwie dorosłych rozrywka była tylko dodatkiem do głównych zajęć, urozmaicającym ich życie, natomiast dla dzieci zabawa może być całym życiem. Jest zupełnie możliwe, że świat dzieci mógłby się opierać na zabawie.

– Ale jak to się ma do tych przełomów i rozwoju cywilizacji, o których mówiłeś? – zapytała Xiaomeng. – Czy mogłoby to wynikać z zabawy?

– A w jaki sposób twoim zdaniem rozwija się cywilizacja? – odciął się Okularnik. – Przez ciężką pracę?

– A nie?

– Mrówki i pszczoły są pracowite, ale jak bardzo rozwinięta jest ich cywilizacja? Nasi tępi przodkowie uprawiali ziemię prymitywnymi kamiennymi narzędziami, a kiedy zaczęło ich to męczyć, nauczyli się wytapiać brąz i żelazo. Gdy i to uznali za męczące, zastanawiali się, czy nie uda im się znaleźć czegoś, co zastąpi ich w tej pracy, i tak wynaleźli maszyną parową, elektryczność i energię jądrową. Potem nawet myślenie stało się dla nich męczące, więc zaczęli szukać czegoś, co będzie myślało za nich, i wynaleziono komputery… Cywilizacja rozwija się nie dzięki ciężkiej ludzkiej pracy, ale z powodu lenistwa ludzi. Wystarczy przyjrzeć się światu przyrody, by dojść do wniosku, że ludzie są najbardziej leniwi ze wszystkich stworzeń.

Huahua kiwnął głową.

– To przesadna charakterystyka, ale jest w niej ziarno prawdy. Bieg historii to skomplikowana rzecz, ale nie powinniśmy jej za bardzo upraszczać.

– Nadal nie zgadzam się z twierdzeniem, że cywilizacja może się rozwijać bez ciężkiej pracy – sprzeciwiła się Xiaomeng. – Naprawdę uważasz, że to słuszne, żeby dzieci spały przez cały dzień?

– A czy one nie pracowały? – zaripostował Okularnik. – Pewnie jeszcze pamiętasz ten film o rzeczywistości wirtualnej, który nakręcono w Stanach Zjednoczonych przed pojawieniem się supernowej, wielką produkcję Warner Brothers z budżetem ponad stu milionów dolarów. Wszyscy twierdzili, że jest to największy komputerowy model wirtualny, jaki został kiedykolwiek stworzony. A przecież wszyscy widzieliście wirtualny kraj stworzony przez dzieci. Poleciłem Wielkiemu Kwantowi, by wykonał obliczenia, i okazało się, że jest on około trzech tysięcy razy większy od świata przedstawionego w tym filmie.

Huahua ponownie kiwnął głową.

– To prawda! Ten ich wirtualny świat był wielgachny, a mimo to każde ziarnko piasku i każde źdźbło trawy było odtworzone idealnie. Kiedyś na kursie komputerowym sporządzenie modelu jajka zajęło mi cały dzień. Wyobraźcie sobie, ile trzeba było włożyć pracy w stworzenie tego wirtualnego kraju!

– Uważacie, że dzieci są leniwe, że nie chce im się ciężko pracować, ale czy pomyśleliście kiedyś o tym, że po całym dniu harówki siedzą jeszcze prawie do północy przy komputerach i tak samo tyrają przy budowie swojego wirtualnego kraju? Słyszałem, że wiele z nich nawet zmarło z wycieńczenia przed komputerem.

– A więc znaleźliśmy przyczynę naszych kłopotów? – zapytała Xiaomeng.

– To jest naprawdę proste. Społeczeństwo dorosłych było społeczeństwem ekonomicznym. Ludzie pracowali, żeby otrzymać rekompensatę ekonomiczną. Społeczeństwo dzieci jest społeczeństwem

zabawy. Dla nich rekompensatą za pracę jest zabawa. Tymczasem teraz ta rekompensata jest praktycznie zerowa.

Teraz zarówno Huahua, jak i Xiaomeng kiwnęli głowami. Ta druga powiedziała:

– Nadal nie całkiem zgadzam się z twoją teorią, bo na przykład rekompensata ekonomiczna jest istotna również w społeczeństwie dzieci, ale widzę światełko w tunelu.

– Kiedy zasady zabawy zastąpią zasady ekonomii w determinowaniu działań całego społeczeństwa – ciągnął Okularnik – mogą doprowadzić do wspaniałych innowacji, uwalniając ludzki potencjał krępowany dawnymi zasadami ekonomii. Na przykład w czasach dorosłych większość ludzi nie mogłaby znaleźć racjonalnego uzasadnienia dla wydania dwóch trzecich oszczędności całego życia na podróż w kosmos, natomiast dzieci, kierując się zasadami zabawy, znalazłyby takie uzasadnienie. Nadałoby to podróżom w kosmos takie samo tempo, w jakim rozwijały się technologie informatyczne w czasach dorosłych. Zasady zabawy są bardziej nowatorskie niż zasady ekonomii. Zabawa oznacza podróżowanie dalej, oznacza stałe odkrywanie nowych tajemnic świata. Zabawa wzniesie się na wyższy poziom i tak jak ekonomia w czasach dorosłych będzie napędzała postęp naukowy, ale będzie dużo potężniejszą siłą napędową i w końcu doprowadzi do ogromnego skoku cywilizacyjnego, do osiągnięcia albo nawet przekroczenia prędkości niezbędnej dla przetrwania ludzi w tym zimnym wszechświecie.

– To znaczy, że nawet kiedy świat dzieci stanie się światem dorosłych, trzeba będzie się trzymać zasad zabawy – rzekł w zamyśleniu Huahua.

– To nie jest niemożliwe. Świat dzieci stworzy zupełnie nową kulturę i kiedy dorośniemy, nasz świat nie będzie kopią ery powszechnej.

– Cudownie! To wręcz genialne. I mówisz, że wpadłeś na to na zgromadzeniu Nowego Świata?

– Tak.

– To dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej?

– A czy mówienie o tym teraz ma jakiś sens?

Huahua wytknął go palcem i powiedział z irytacją:

– Jesteś niezwykle odważny w myśleniu i bojaźliwy w działaniu! Zawsze taki byłeś! Po co opowiadasz o jakimś pomyśle, jeśli nie masz zamiaru go zrealizować?

Okularnik potrząsnął głową, ale na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– A jak miałbym go zrealizować? Chyba nie możemy tak po prostu zaakceptować tego ich zwariowanego planu pięcioletniego, co?

– A dlaczego nie?

Okularnik i Xiaomeng popatrzyli na Huahuę, jakby był przybyszem z kosmosu.

– Ten plan pięcioletni jest dla was tylko nierealnym marzeniem?

– Nawet mniej realnym niż marzenie. Jeśli ludzkość stworzyła kiedykolwiek plan całkowicie oderwany od rzeczywistości, to właśnie ten – odparł Okularnik.

– Ale to przecież najdoskonalsze ujęcie twojego pomysłu – świat kierujący się zasadą zabawy.

– Masz rację, to najdoskonalsze ujęcie tego pomysłu, ale nie ma absolutnie żadnego znaczenia praktycznego.

– Żadnego?

Okularnik i Xiaomeng wymienili spojrzenia.

– Zachowujesz się jak lunatyk – powiedział Okularnik i zaraz potem przypomniał sobie, że dokładnie to samo powiedział mu Huahua

w krytycznym momencie zawieszenia przed kilkoma miesiącami.

– Pamiętacie tę strefę przygód, która zajmowała całą północno-zachodnią część kraju? – zapytał Huahua. – Cała nasza ludność stanowi zaledwie jedną piątą tej z czasów dorosłych, więc możemy opuścić połowę naszego terytorium, niekoniecznie na północnym zachodzie, porzucić miasta i zlikwidować przemysł na całym tym obszarze, przenieść ludność i zostawić ten teren niezamieszkany. Niech stopniowo wróci do stanu naturalnego, stanie się parkiem narodowym. Mimo to druga połowa kraju nadal nie będzie tak gęsto zaludniona jak w czasach dorosłych.

Po początkowym szoku spowodowanym propozycją Huahui Okularnik i Xiaomeng doznali nagłego olśnienia.

– Zgadza się! – powiedziała Xiaomeng. – A w rezultacie tego ludność na terenach zamieszkanych się podwoi i przeciętne obciążenie dziecka pracą zostanie zmniejszone o połowę. Rozwiązałoby to problem przepracowania i dało dzieciom więcej czasu na naukę czy zabawę.

– Co ważniejsze – dodał Okularnik z rosnącą ekscytacją – rekompensatą za pracę byłaby zabawa, jak to opisałem. Po pewnym okresie pracy dzieci mogłyby spędzać wolny czas w tym parku narodowym. To połowa kraju, prawie pięć milionów kilometrów kwadratowych, więc powinna dostarczać mnóstwo rozrywki.

Huahua kiwnął głową.

– A w dłuższej perspektywie można by naprawdę zbudować w tym ogromnym parku wielkie kolejki górskie.

– Myślę, że ten plan jest wykonalny i odciągnie kraj znad przepaści – stwierdziła Xiaomeng. – Decydującą sprawą jest migracja ludności. W czasach dorosłych byłoby to niewyobrażalne, ale społeczne struktury państwa dzieci są o wiele prostsze. W zasadzie mamy strukturę podobną do

wielkiej szkoły, więc przemieszczenie dużych mas ludności nie będzie dla nas zbyt trudne. Co o tym sądzisz, Okularniku?

Okularnik zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

– To twórczy pomysł. Tyle tylko, że jest to akcja w tak wielkiej skali i tak bezprecedensowa, że mogłaby doprowadzić do…

– Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, do czego doprowadzi! – przerwał mu Huahua. – Znowu odzywa się ten twój lęk przed działaniem. Oczywiście dokładnie wszystko przestudiujemy. Proponuję natychmiast zwołać zebranie rządu. Jestem pewien, że realizacja tego planu wyrwie wreszcie kraj ze snu.

Historycy badający początki ery supernowej nazwali później tę wymianę zdań „rozmową późną nocą” i nie sposób przecenić jej znaczenia. Podczas tej rozmowy Okularnik przedstawił dwa ważne poglądy: po pierwsze, że główną siłą napędową świata dzieci jest zabawa, który to pogląd stał się podstawą socjologii i ekonomii początku ery supernowej, po drugie, że zasady zabawy świata dzieci wpłyną w jakiś sposób na późniejszy świat dorosłych i zmienią charakter ludzkiego społeczeństwa. Ten pomysł był jeszcze śmielszy, a jego wpływ dużo głębszy.

Inną ważną częścią owej narady był zaproponowany przez Huahuę pierwszy przyszły plan oparty na zasadach zabawy, który stał się podstawowym wzorem działania nowego świata. Jednak rzeczywisty bieg wydarzeń był o wiele dziwniejszy i bardziej szokujący, niż młodociani przywódcy byli w stanie sobie wyobrazić.

Gdy ekipa przywódcza obradowała w sali PWI nad projektem ogromnego parku narodowego, bieg wydarzeń bezlitośnie przerwał e-mail z drugiej strony globu. A oto jego treść:

> Do chińskich dzieci: przywódców waszego kraju prosi się o jak najszybsze przybycie na zebranie ONZ. Będzie to pierwsze w erze supernowej Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych i wezmą w nim udział przywódcy wszystkich państw. Świat dzieci musi przedyskutować ważne sprawy. Pospieszcie się! Czekamy na was.
>
> Will Yagüe
> sekretarz generalny ONZ

8. Amerykańskie wesołe miasteczko

Bankiet z lodami

Różana Mgławica jeszcze nie wzeszła i ulice Waszyngtonu spowijał zmierzch. Na National Mall nie widać było ani jednej osoby, a ostatnie promienie słońca odbijały się od wysokiej kopuły Kapitolu na Jenkins Hill i padały na mroczną scenerię. Niesamowita iglica pomnika Waszyngtona stała samotnie na zachodzie, wskazując dwie gwiazdy, które się właśnie ukazały. Kilka latarni oświetlało białe budynki przy promenadzie – rotundę pomnika Jeffersona, kolosalny pomnik Lincolna, Narodową Galerię Sztuki i muzea Instytutu Smithsona. Fontanny były wyłączone, dzięki czemu lustro wody w basenie przed pomnikiem było spokojne i ukazywało odbicie ciemniejącego nieba. Neoklasycystyczne budynki wyglądały jak opuszczone ruiny greckich świątyń.

Z Białego Domu buchały światło i muzyka, jakby chciały zerwać otulający miasto welon ciemności i ciszy. Przed bramami wschodnią i północną stały samochody z chorągiewkami wielu krajów. Prezydent wydawał przyjęcie dla głów państw, które przybyły na pierwsze Zgromadzenie Ogólne ONZ ery supernowej. Bankiet miał się pierwotnie odbyć w Jadalni Państwowej w skrzydle zachodnim, ale mogła ona pomieścić tylko sto osób, a spodziewano się około dwustu trzydziestu, więc musiano go przenieść do Sali Wschodniej, największego pomieszczenia w budynku. Z sufitu ze złoconymi stiukami zwisały zamontowane w 1902 roku trzy ogromne żyrandole w stylu czeskim, rozświetlając pomieszczenie, w którym niegdyś odpoczywał w półleżącej pozie Abraham Lincoln. W sali o białych ścianach ze złotymi ornamentami tłoczyły się dzieci w strojach

wieczorowych. Niektóre opowiadały dowcipy w małych grupach, inne stały samotnie pod białą glazurową wykładziną, podziwiając dwanaście płaskorzeźb wykonanych przez braci Piccirillich podczas restauracji budynku w 1902 roku. Płaskorzeźby te zdawały się czekać przez ponad stulecie na tych akurat gości, ponieważ przedstawiały sceny z bajek Ezopa. Reszta dzieci otaczała kręgiem fortepian Steinwaya pod długim oknem (jego najbardziej rzucającymi się w oczy cechami były trzy podpierające go amerykańskie orły) i słuchała piosenki *Beer Barrell Polka*[*], którą wykonywała szefowa personelu Białego Domu Frances Benes, ładna blondynka. Wszyscy obecni w sali udawali, że nie zauważają stojącego pośrodku długiego stołu bankietowego, gdzie piętrzyły się przysmaki, na sam widok których ślinka ciekła do ust: klasyczne dania kuchni francuskiej, takie jak bitki wołowe w sosie własnym z imbirem czy ślimaki w winie, oraz typowe potrawy amerykańskie w rodzaju fasolki w sosie pomidorowym, kotletów wieprzowych czy tortu orzechowego.

Orkiestra wojskowa zagrała *America the Beautiful*, więc wszyscy goście przerwali rozmowy i obrócili się w stronę drzwi.

Do sali wchodził pierwszy amerykański prezydent ery supernowej, Herman Davey, w towarzystwie sekretarza stanu Chestera Vaughna i innych wyższych urzędników.

Wszystkie oczy skupiły się na prezydencie. Każde dziecko ma jakąś cechę – oczy, czoło czy usta – która jest w pewnym stopniu uderzająca, i gdyby połączyć w jedną całość najbardziej przyciągające wzrok cechy dziesięciu tysięcy dzieci, rezultatem tego byłby Herman Davey. Jego wygląd był takim obrazem doskonałości, że pozostałe dzieci zastanawiały się nad jego pochodzeniem i nawet posuwały się do snucia przypuszczeń, że przybył na Ziemię w lśniącym statku kosmicznym jako mały Superman.

W rzeczywistości Davey nie tylko został poczęty w łonie ziemskiej matki, ale nie był też potomkiem żadnego słynnego czy choćby szlacheckiego rodu. Jego ojciec był z pochodzenia Szkotem, ale jego drzewo genealogiczne dało się odtworzyć tylko do czasów rewolucji amerykańskiej, więc nie mógł się równać z kimś takim jak Franklin Delano Roosevelt, który mógł się wykazać listą przodków sięgającą czasów Wilhelma Zdobywcy. Natomiast o matce wiadomo było tylko tyle, że była emigrantką, która przybyła do Stanów Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej z Polski. Najbardziej rozczarowujące dla innych dzieci było to, że aż do dziewiątego roku życia niczym się nie wyróżniał. Wychowywał się w przeciętnej rodzinie. Ojciec był sprzedawcą środków czyszczących i nie miał w odniesieniu do przyszłości syna takich aspiracji, jakie wykazywał ojciec Johna Fitzgeralda Kennedy'ego; matka była graficzką w agencji reklamowej i nie mogła zapewnić mu takiego wykształcenia, jakie otrzymał od swojej matki Lincoln. Rodzina nie angażowała się politycznie; ojciec podobno tylko raz głosował w wyborach prezydenckich i o tym, czy postawić na kandydata republikanów czy demokratów, zdecydował, rzucając monetą. W dzieciństwie Hermana nie można było znaleźć nic godnego uwagi. W szkole miał z większości przedmiotów piątki, lubił futbol i baseball, ale nigdy nie był na tyle dobry, by choćby grzać miejsce na ławce rezerwowych. Młodym dziennikarzom udało się z najwyższym trudem wygrzebać informację, że w trzeciej klasie był przez jeden semestr doradcą**, ale w aktach szkoły nie znaleziono żadnej opinii o tym, jak się z tego wywiązywał. Jak wszystkie amerykańskie dzieci cieszył się nieograniczoną swobodą i zbijał bąki, ale zawsze wypatrywał jakiejś szansy, mało prawdopodobnej, ale możliwej, którą mógłby wykorzystać. W chwili ukazania się supernowej miał dwanaście lat i taka szansa się pojawiła.

Gdy usłyszał obwieszczenie prezydenta o katastrofie, natychmiast zrozumiał, że historia wyciąga do niego pomocną dłoń. W przeprowadzonych w jego kraju symulacjach była brutalna rywalizacja i omal nie stracił w nich życia, ale dzięki nagłemu przypływowi zdolności przywódczych i charyzmy pokonał wszystkich konkurentów.

Ale nie przebiegało to bezbłędnie. Nawet gdy był już u szczytu władzy, prześladowało go widmo, widmo w postaci Chestera Vaughna.

Każdy, kto zobaczyłby po raz pierwszy Vaughna, czy to osoba dorosła, czy dziecko, poczułby się nieswojo i odwróciłby oczy. Jego wygląd był przeciwieństwem wyglądu Daveya. Był przeraźliwie chudy i miał tak cienką szyję, że człowiek się zastanawiał, jak może ona podtrzymywać nieproporcjonalnie dużą głowę, a ręce niewiele się różniły od obciągniętych skórą kości. Jedyną rzeczą, która odróżniała go od głodującego dziecka z nękanych przez suszę rejonów Afryki, był kolor skóry, tak bladej, że inne dzieci nazywały go Małym Wampirem. Była niemal przezroczysta i widać przez nią było siateczkę naczyń krwionośnych, najwyraźniej na czole, co nadawało mu wygląd mutanta. Inną jego zwracającą uwagę cechą były starcze rysy, zmarszczki, z których powodu w erze dorosłych nie sposób było określić jego wieku; większość ludzi brała go za podstarzałego karła. Davey po raz pierwszy spotkał się z Vaughnem, kiedy wchodził do Gabinetu Owalnego, by stanąć przed umierającym prezydentem i prezesem Sądu Najwyższego, położyć rękę na Biblii i złożyć przysięgę. Vaughn stał w pewnej odległości, pod flagą narodową, odwrócony tyłem, zupełnie obojętny w tej historycznej chwili. Po przysiędze prezydent przedstawił ich sobie.

– Panie prezydencie, to Chester Vaughn, sekretarz stanu. Panie sekretarzu stanu, to Herman Davey, prezydent Stanów Zjednoczonych.

Davey wyciągnął do niego dłoń, ale opuścił ją, gdy Vaughn nie wykonał żadnego ruchu i nadal stał odwrócony do nich plecami. Jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że kiedy chciał się do niego odezwać, prezydent powstrzymał go ruchem ręki niczym sługa powstrzymujący aroganckiego gościa przed zakłóceniem głębokiej zadumy swego pana. Wreszcie po długiej chwili Vaughn się odwrócił.

– To Herman Davey – powtórzył prezydent. – Przypuszczam, że pan o nim słyszał.

Ton jego głosu świadczył, że prawie pragnął, by to nie on, lecz ten niesamowity chłopiec był śmiertelnie chory.

Kiedy Vaughn się odwrócił, wzrok miał nadal skierowany w inną stronę i po raz pierwszy spojrzał na Daveya dopiero wtedy, gdy prezydent skończył mówić. Potem bez słowa czy choćby najmniejszego ruchu głowy znowu odwrócił się tyłem. Ale ta chwila wystarczyła, by Davey ujrzał oczy Chestera Vaughna. Głęboko zapadnięte, pod ciężkimi brwiami, były mroczne jak dwa stawy w głębi gór i skrywały kto wie jaką przerażającą istotę. Mimo że Vaughn już na niego nie patrzył, Davey nadal czuł jego spojrzenie niczym parę wilgotnych i zimnych łap potwora, które wyciągały się z tych stawów, by chwycić go za szyję i udusić. A gdy Vaughn się odwracał, w jego oczach odbił się blask świetlówek i w tym samym momencie Davey zobaczył dwa wybuchy.

Davey wyczuwał siłę szóstym zmysłem. Jego uwagi nie umknęło ani to, że on, nowy prezydent, został poproszony do Gabinetu Owalnego po Vaughnie, sekretarzu stanu, ani żaden szczegół tego spotkania, i to wszystko go niepokoiło. Najbardziej ciążyła mu myśl o tym, że to Vaughn będzie formował jego gabinet. Chociaż takie upoważnienia dawała sekretarzowi stanu konstytucja, w przeszłości osobę na to stanowisko mianował nowy prezydent, a nie odchodzący. Poza tym umierający

prezydent podkreślił fakt, że Vaughn ma te konkretne uprawnienia, co w odczuciu Daveya było nieco niezwykłe.

Po wprowadzeniu się do Białego Domu Davey starał się jak mógł unikać bezpośrednich kontaktów z Vaughnem, który większość czasu spędzał na Kapitolu; porozumiewali się przeważnie przez telefon. Abraham Lincoln powiedział kiedyś o człowieku, którego nie chciał mianować na pewne stanowisko: „Nie podoba mi się jego twarz", a gdy ktoś zauważył, że człowiek nie odpowiada za to, jaką ma twarz, odparował: „Po czterdziestce każdy odpowiada za swoją twarz". Vaughn mógł mieć zaledwie trzynaście lat, ale mimo to Davey uważał, że powinien on być odpowiedzialny za swoje oblicze. Niewiele wiedział o pochodzeniu Vaughna. Prawdę mówiąc, inni też niewiele o tym wiedzieli, co było dość niezwykłe jak na Stany Zjednoczone. W erze dorosłych środowisko, z którego się wywodził każdy polityk wyższego szczebla, było dla elektoratu otwartą księgą. Mało dzieci w Białym Domu i na Kapitolu znało Vaughna wcześniej. Jedynie szefowa Rezerwy Federalnej wspomniała, że jej ojciec przyprowadził kiedyś do domu dziwne dziecko. Ojciec, profesor Harvardu, powiedział jej, że Vaughn jest niezwykle utalentowany w dziedzinie socjologii i historii. Trudno było Daveyowi przetrawić tę wiadomość, bo chociaż słyszał o wielu cudownych dzieciach, a niektóre z nich nawet poznał, i miał licznych przyjaciół, którzy zostali zwycięzcami Westinghouse Science Talent Search, wszyscy wykazywali się szczególnymi zdolnościami w zakresie nauk ścisłych albo sztuk pięknych. W odróżnieniu od nauk o przyrodzie w socjologii nie można dojść do wielkich osiągnięć tylko na podstawie samej inteligencji; wymaga to rozległej wiedzy o społeczeństwie i uważnej jego obserwacji pod każdym kątem widzenia. Podobnie rzecz się ma z historią – dziecku bez bogatego doświadczenia życiowego trudno by było pojąć prawdziwy sens historii, a bez tego nie może się obejść żaden

prawdziwy historyk. Kiedy jednak Vaughn miałby czas na zdobycie tego rodzaju doświadczeń?

Ale Davey był pragmatycznie myślącym dzieckiem i wiedział, że jego stosunki z sekretarzem stanu nie mogą dalej trwać w takiej formie. Postanowił pokonać obrzydzenie i strach (nawet jeśli nie chciał się sam przed sobą przyznać do odczuwania tej drugiej emocji) i złożyć Vaughnowi wizytę w domu. Wiedział, że tamten spędza całe dni zagrzebany w książkach i dokumentach, odzywa się tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne, i nie ma żadnych przyjaciół. Pozostawał w gabinecie do późnej nocy, pogrążony w lekturze, więc Davey wybrał się do niego dopiero po dziesiątej.

Vaughn mieszkał w Shepherd Park, na 16 Ulicy Północno-Zachodniej, w najbardziej wysuniętej na zachód części miasta zwanej Złotym Wybrzeżem. Niegdyś była to dzielnica żydowska, później zamieszkana głównie przez czarnoskórych specjalistów z klasy średniej, pracujących w administracji rządowej i zawodach prawniczych. Od strony położonej bliżej śródmieścia znajdował się duży pas od dawna nieodnawianych budynków mieszkalnych, jeden z najbardziej zaniedbanych fragmentów dystryktu, i chociaż domy nie waliły się tam jak w Anacostii na południowym wschodzie, był to jednak obszar o wysokim w czasach dorosłych wskaźniku przestępczości i narkomanii. W jednym z tych budynków rezydował Vaughn.

Na pukanie odpowiedział chłodno: „Niezamknięte”. Davey ostrożnie otworzył drzwi i jego oczom ukazał się magazyn książek. Leżały wszędzie w mdłym świetle żarówki, ale nigdzie nie było półek ani żadnych innych mebli, choćby biurka czy krzesła. Książki leżały w stertach na całej podłodze. Nie było tam nawet łóżka, tylko koc rozścielony na kilku równiej ułożonych stertach, ani miejsca, gdzie Davey mógłby postawić stopę.

Ponieważ nie mógł wejść, tylko patrzył na te książki. Oprócz angielskich dojrzał francuskie i niemieckie, a nawet kilka wystrzępionych dzieł po łacinie. Davey stał na *Dziejach od założenia miasta Rzymu* Liwiusza, tuż przed sobą miał *Księcia*, z nazwiskiem autora przesłoniętym przez inny tom, *The Glory and the Dream* Williama Manchestera. Leżały tam też *Le défi mondial* Jeana-Jacques'a Servana-Schreibera, *The Imperial Presidency* Arthura M. Schlesingera, *The Evolution of Weapons and Warfare* Trevora N. Dupuya, *Krytyka czystego rozumu* Kanta, *Geografia ekonomiczna świata* K. Spidczenki, *The Necessity for Choice* Henry'ego Kissingera…

Vaughn, który siedział na jednym ze stosów książek, podniósł się i Davey zobaczył, że odejmuje od lewego ramienia przezroczysty przedmiot, małą strzykawkę. Stanął przed Daveyem ze strzykawką w prawej ręce i wydawało się, że wcale mu nie przeszkadza, iż prezydent zobaczył go podczas tego zabiegu.

– Bierzesz narkotyki? – zapytał Davey.

Vaughn nie odpowiedział, tylko patrzył na niego, i znowu ku Daveyowi wysunęły się te niematerialne łapy. Trochę się przestraszył i obejrzał się za siebie z nadzieją, że ktoś tam jest, ale budynek był pusty. Od czasu odejścia dorosłych było takich wiele.

– Wiem, że mnie nie lubisz, ale musisz mnie tolerować – powiedział Vaughn.

– Tolerować ćpuna jako sekretarza stanu?

– Tak.

– Dlaczego?

– Dla Ameryki.

Pod intensywnym, nieruchomym jak maska Dartha Vadera spojrzeniem Vaughna Davey musiał się ugiąć. Westchnął i oderwał od niego wzrok.

– Zapraszam cię na kolację.

– Do Białego Domu?

– Tak.

Vaughn skinął głową, dał mu ręką znak, by odsunął się od drzwi, a potem zeszli obaj po schodach. Gdy gospodarz zamykał drzwi, Davey rzucił po raz ostatni okiem na wnętrze mieszkania i zobaczył, że oprócz książek i koca jest tam również niezwykle duży globus. Stał w kącie i dlatego Davey od razu go nie zauważył. Był większy od Vaughna. Opierał się na dwóch greckich rzeźbach, na posągu Ateny, bogini wojny i mądrości, oraz Kasandry, która miała dar wieszczenia.

Jedli w Pokoju Czerwonym, jednym z pomieszczeń Białego Domu przeznaczonych do przyjmowania gości i dawnym salonie, gdzie podejmowała ich pierwsza dama. Przyćmione światło oświetlało ciemnoczerwone obicie ścian z satynowego diagonalu ozdobionego na brzegach wolutami, a dwa osiemnastowieczne świeczniki na gzymsie kominka i empirowe francuskie serwantki nadawały pomieszczeniu aurę tajemniczości.

Obaj chłopcy siedzieli naprzeciw kominka, przy małym okrągłym stoliku, jednym z najwspanialszych mebli w zbiorach Białego Domu. Był wykonany z mahoniu i innych twardych gatunków drewna, a na marmurowym blacie opierającym się na popiersiach kobiet ze złoconego brązu stała butelka whisky. Vaughn jadł niewiele, ale był pijakiem i szybko wychylił sporą liczbę szklaneczek. Po dziesięciu minutach butelka była prawie pusta i Davey musiał poprosić, by przyniesiono jeszcze dwie. Vaughn nadal pił, ale alkohol zdawał się nie wywierać na niego żadnego wpływu.

– Możesz mi opowiedzieć o swoich rodzicach? – odważył się zapytać Davey.

– Nigdy ich nie poznałem – odparł zimno Vaughn.

– A więc… skąd jesteś?

– Z Hart Island.

Więcej nie rozmawiali, tylko jedli w milczeniu. Potem Davey uświadomił sobie implikacje tego, co powiedział Vaughn, i zadrżał. Hart Island była małą wysepką w pobliżu wybrzeża Manhattanu, na której znajdował się cmentarz, gdzie grzebano w masowych grobach niechciane dzieci narkomanów.

– To znaczy, że…

– Zgadza się.

– Chcesz powiedzieć, że włożono cię do koszyka i zostawiono tam?

– Na koszyk byłem za mały. Zostawiono mnie w pudełku po butach. Powiedziano mi, że tamtego dnia zostawiono ośmioro noworodków, a ja byłem jedynym, który przeżył.

Głos Vaughna był najspokojniejszy w świecie.

– Kto cię wziął?

– Znam go pod dziesiątkiem nazwisk, ale żadne nie jest prawdziwe. Handlował heroiną, używając różnych wyjątkowych metod, które sam wymyślił.

– Wy… wyobrażałem sobie, że wychowałeś się w bibliotece.

– I tak było, tyle że ta biblioteka była ogromna, a wszystkie strony znajdujących się w niej książek zrobione były z pieniędzy i krwi.

– Benes! – zawołał Davey.

Do pokoju weszła szefowa personelu Białego Domu, blondynka o twarzy lalki.

– Zapal jakieś światło.

– Ale… pierwsza dama przyjmowała gości przy tak właśnie przyćmionym świetle jak teraz – zaprotestowała.

– Jestem prezydentem, nie pierwszą damą, i ty też nią nie jesteś. Nie cierpię takiego przyćmionego światła! – rzekł ze złością Davey.

W przypływie irytacji Benes zapaliła wszystkie światła, włącznie z reflektorami, których używano tylko podczas robienia zdjęć, i ściany oraz dywany zapłonęły oślepiającą czerwienią. Davey poczuł się dużo lepiej, ale nadal nie mógł się zmusić do spojrzenia na Vaughna. Chciał teraz tylko jednego – by ta kolacja już się skończyła.

Brązowy złocony zegar na kominku, dar przekazany w 1952 roku przez prezydenta Francji Vincenta Auriola, zagrał miłą pastoralną melodię, informując obu chłopców, że robi się późno. Vaughn wstał i pożegnał się, a Davey zaproponował, że odwiezie go do domu, bo nie chciał, by ten mały świr spędził u niego noc.

Prezydencki lincoln sunął pustą aleją. W fotelu kierowcy siedział Davey; powstrzymał chłopca, który był jego szoferem i zarazem agentem Secret Service, od jazdy z nim. Milczeli, ale gdy dojechali do pomnika Lincolna, Vaughn gestem kazał mu stanąć i Davey zatrzymał limuzynę. Natychmiast tego pożałował. „Jestem prezydentem – pomyślał. – Dlaczego miałbym się stosować do dawanych przez niego znaków?” Musiał jednak przyznać, że tamten miał większą siłę niż on.

Nad nimi majaczyła niewyraźnie blada sylwetka siedzącego Lincolna i młody prezydent spojrzał na jego głowę, pragnąc, by Lincoln mógł go zobaczyć, ale wielki człowiek nie odrywał wzroku znad horyzontu, gdzie wbijał się w nocne niebo Pomnik Waszyngtona, a za sadzawką, na końcu deptaka, widać było Kapitol.

– Kiedy Lincoln umarł, Edwin Stanton, sekretarz wojny, powiedział: „Teraz on należy do wieków” – odezwał się nienaturalnym głosem Davey. – Ufam, że kiedy umrzemy, ktoś powie tak samo o nas.

Vaughn rzekł na to tylko:

– Davey.

– Hmm? – Davey był zaskoczony, usłyszawszy, że Vaughn wypowiedział jego nazwisko, bo do tej pory zawsze mówił do niego: „Panie prezydencie”.

Vaughn uśmiechnął się, czym ponownie go zaskoczył, bo Davey nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek to zrobi. Potem zadał pytanie, na które prezydent nie był w ogóle przygotowany:

– Czym jest Ameryka?

Gdyby zadał mu je ktoś inny, zirytowałoby to Daveya, ale w ustach Vaughna zabrzmiało tak, że zmusiło go do myślenia. Faktycznie, czym była Ameryka? Ameryka była Disneylandem, supermarketami i McDonald’sem, lodami o tysiącu smaków i tysiącem rodzajów hot dogów i hamburgerów, kurtkami kowbojskimi i rewolwerami, rakietami latającymi na Księżyc i statkami kosmicznymi, futbolem i breakdance’em, dżunglą drapaczy chmur na Manhattanie i dziwnymi formacjami skalnymi na teksaskiej pustyni, kandydatami na prezydentów debatującymi w telewizji pod emblematami osła i słonia… ale na koniec Davey odkrył, że w jego umyśle jest kalejdoskopem okruchów barwionego szkła, feerią rozproszonych kolorów, więc popatrzył w osłupieniu na Vaughna.

– A pamiętasz jakieś wrażenia z dzieciństwa? – zapytał Vaughn, zmieniając temat. – Czym był dla ciebie twój dom, zanim skończyłeś cztery lata? Czy lodówka była lodówką? Telewizor telewizorem? Samochód samochodem? Trawnik trawnikiem? A kosiarka do trawy – co ci przypominała?

Umysł Daveya pracował na pełnych obrotach, starając się nadążyć za słowami Vaughna, ale skończyło się na skonsternowanym:

– Chodzi ci o…

– O nic mi nie chodzi. To ty chodź ze mną – przerwał mu Vaughn i wysiadł.

Musiał przyznać, że prezydent ma bystry umysł, ale tylko w porównaniu ze zwykłymi ludźmi. Według jego własnych kryteriów ten chłopak był nieznośnie tępy.

– No to może mi powiesz, czym jest Ameryka! – krzyknął za nim Davey.

– Ameryka jest ogromną zabawką.

Vaughn nie powiedział tego głośno, ale zdawało się, że jego słowa odbiły się większym echem niż pytanie Daveya. Sprawiły, że młodociany prezydent stanął jak wryty za posągiem Lincolna. Dopiero po kilku sekundach doszedł do siebie. Chociaż nie całkiem zrozumiał, co Vaughn miał na myśli, był na tyle inteligentny, że pojął, iż kryje się w tym głębszy sens.

– Nawet teraz dzieci traktują Amerykę jak państwo – powiedział. – Świadczy o tym fakt, że wszystko idzie tak samo gładko jak w czasach dorosłych.

– Ale ten bezwład mija. Dzieci wychodzą z hipnotycznego zauroczenia, w które wprowadzili je dorośli, i kiedy spojrzą na świat własnymi oczami, odkryją ku swej radości, że jest zabawką.

– I co wtedy? Będą się bawić? Bawić się Ameryką? – zapytał Davey, sam nieco zaskoczony tym pytaniem.

– A co innego będą mogły robić? – odrzekł Vaughn z lekkim wzruszeniem ramion.

– Jak się będą bawić? Będą grać w futbol na ulicach? Urządzać całonocne gry?

Zbliżali się do południowej komory budowli. Vaughn potrząsnął głową.

– Ma pan godną pożałowania wyobraźnię, panie prezydencie.

Potem skinął na Daveya, by wszedł.

Davey wsuwał się ostrożnie między kolumnami w ciemność. Za nim Vaughn zapalił światła. Kiedy jego oczy przystosowały się do ich blasku, prezydent stwierdził ze zdumieniem, że znalazł się w świecie zabawek. Pamiętał, że na południowej ścianie komory znajdował się mural Julesa Guérina, alegoryczne przedstawienie wyzwolenia, a na przeciwległej drugie dzieło tego artysty, alegoria jedności, ale teraz całkowicie przesłaniały je piętrzące się od podłogi do sufitu zabawki. Było ich więcej, niż mógł zliczyć – lalki, klocki, baloniki, deskorolki i inne. Zupełnie jakby znalazł się w kolorowej dolinie między wzgórzami zabawek.

– Ameryka. Oto Ameryka. Rozejrzyj się. Może znajdziesz tu jakąś inspirację – niósł się za nim echem głos Vaughna.

Davey przyglądał się górze zabawek i nagle jeden przedmiot przykuł jego wzrok. Leżał, nie rzucając się w oczy, z boku, na wpół zagrzebany w stosie lalek o krzykliwych kolorach, i z daleka wyglądał jak czarna gałąź. Davey podszedł bliżej, wydobył go spomiędzy lalek i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Był to lekki pistolet maszynowy. Bynajmniej nie zabawka.

– To FN minimi, produkcji belgijskiej – wyjaśnił Vaughn. – Nazywamy go M249. To jeden z lekkich pistoletów maszynowych, które są standardowym uzbrojeniem armii amerykańskiej. Mały kaliber, 5,56 mm, zwarty i lekki, ale o przyzwoitej sile ognia. Do tysiąca strzałów na minutę.

Davey uniósł czarną lufę, której metalowa fizyczność wydawała mu się w jakiś trudny do opisania sposób bardziej pasować do tego miejsca niż otaczające go kruche zabawki.

– Podoba się? – zapytał Vaughn.

Davey kiwnął głową, pieszcząc gładką, chłodną lufę.

– Wobec tego zatrzymaj go jako memento. Dar ode mnie.

Potem Vaughn odwrócił się i skierował z powrotem do komory centralnej.

– Dzięki. Ze wszystkich prezentów, jakie kiedykolwiek otrzymałem, z tego jestem najbardziej zadowolony – odparł Davey, biorąc pistolet w ramiona i podążając za sekretarzem stanu.

– Panie prezydencie, jeśli mój dar zainspirował pana tak, jak powinien, to ja też jestem zadowolony – rzekł lekkim tonem Vaughn.

Idący tuż za nim Davey oderwał wzrok od broni i spojrzał na jego oddalającą się sylwetkę. Sekretarz stanu szedł bezgłośnie i przesunął się przez mroczny korytarz jak zjawa.

– Chodzi ci… o to, że to była pierwsza rzecz, którą zobaczyłem w tej górze zabawek?

Vaughn kiwnął głową.

– W tej małej zabawkowej Ameryce zauważyłeś przede wszystkim pistolet maszynowy.

Byli już na zewnątrz, na szczycie schodów. Chłodny powiew wiatru otrzeźwił Daveya, który uprzytomnił sobie prawdziwe znaczenie słów Vaughna i mimo woli zadrżał. Vaughn wziął od niego broń i Davey nie mógł się nadziwić, że w jego chudych, pozornie słabych rękach wygląda ona jak patyk. Vaughn podniósł pistolet i przyjrzał mu się w świetle gwiazd.

– To najbardziej imponujące dzieła sztuki, jakie stworzyła ludzkość – powiedział. – Ucieleśnienie najprymitywniejszych instynktów i pragnień tego zwierzęcia. Nic nie dorównuje ich pięknu. Zimnemu pięknu. Porywającemu pięknu. Pięknu, które uwodzi duszę każdego człowieka. To wieczne zabawki ludzkości.

Wprawnym ruchem odwiódł zamek i oddał trzy sześciostrzałowe salwy, które zburzyły panującą w stolicy ciszę i od których huku ścierpła Daveyowi skóra. Z lufy wydobyły się trzy równe języki płomieni, rzucając drgające światło na ciemne budynki wokół. Pociski przeszyły ze świstem nocne niebo, przelatując nad miastem, a na marmurowe schody spadło z miłym brzękiem osiemnaście łusek, ostatnie takty całej melodii.

– Niech pan posłucha pieśni ludzkiej duszy, panie prezydencie – rzekł Vaughn z półprzymkniętymi w zadumie oczami.

– No, no! – wyrzucił z siebie z podnieceniem Davey. Potem wyrwał pistolet z rąk Vaughna i pogładził z podziwem jego ciepłą kolbę.

Zza budowli wypadł samochód policyjny i zatrzymał się z piskiem opon przed schodami. Wysiedli z niego trzej młodociani funkcjonariusze i skierowali latarki na prezydenta i sekretarza stanu. Wymienili między sobą parę słów, a potem wsiedli z powrotem do samochodu i odjechali.

Wtedy Davey przypomniał sobie, co powiedział Vaughn w komorze.

– Ale ta inspiracja jest… przerażająca.

– Historia nie dba o to, czy jest czy nie jest przerażająca – odparł Vaughn. – Wystarczy sam fakt, że istnieje. Dla polityka historia jest tym, czym farby olejne dla malarza. Nie ma dobra ani zła, liczy się tylko to, jak nią kierujesz. Nie ma złej historii, są tylko źli politycy. Rozumie pan teraz, panie prezydencie, jaki jest pana cel?

– Nie przywykłem, panie Vaughn, do tonu, jakim pan mówi, do tonu nauczyciela zwracającego się do ucznia, ale doceniam sens tego, co pan powiedział. A co do celu, to czy różni się od tego, który przyświecał dorosłym?

– Zastanawiam się, panie prezydencie, czy pan rozumie, w jaki sposób dorośli uczynili Amerykę wielką.

– Zbudowali flotę lotniskowców!

– Nie.

– Wysłali rakietę na Księżyc!

– Nie.

– Stworzyli amerykańską naukę, technikę, przemysł, finanse…

– To ważne dziedziny, ale to też nie to.

– To co wobec tego? Co sprawia, że Ameryka jest wielka?

– Myszka Miki i Kaczor Donald.

Davey milczał i myślał.

– Myszkę Miki i Kaczora Donalda można znaleźć w przemądrzałej Europie, w zaściankowej Azji, w biednej Afryce, w każdym zakątku świata, nawet tam, gdzie nie da się dolecieć samolotem – ciągnął Vaughn.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Ameryka rozprzestrzenia się na cały glob?

Vaughn kiwnął głową.

– Na horyzoncie pojawia się świat zabawy. Dzieci w różnych krajach i różnych narodowości będą się bawiły w różny sposób. Pana zadaniem, panie prezydencie, jest sprawić, by dzieci na całym świecie bawiły się według reguł ustanowionych przez Amerykę!

Davey zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę i w końcu powiedział:

– Ty naprawdę masz zadatki na nauczyciela.

– To dopiero elementarz, a pan już czuje się zawstydzony. I tak powinno być, panie prezydencie.

Po tych słowach Vaughn, nie oglądając się za siebie, zszedł po schodach i cicho zniknął w mroku nocy.

Davey spędził noc w Sypialni Królowych, najwygodniejszym pokoju w Białym Domu, gdzie nocowali podczas wizyt w Stanach Zjednoczonych królowa Elżbieta II, królowe Wilhelmina i Juliana, Winston Churchill, Leonid Breżniew i Wiaczesław Mołotow. Wcześniej sypiał na łożu z baldachimem, które poprzednio należało do Andrew Jacksona, ale tej nocy nie mógł zmrużyć oka. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Zatrzymywał się od czasu do czasu przy oknie, by zerknąć na zabarwiony przez Różaną Mgławicę na niebiesko park Lafayette'a, a potem poszedł do kominka, nad którym wisiały martwa natura z kwiatami i lustro w złoconej ramie (prezent przekazany w 1952 roku za pośrednictwem księżniczki Elżbiety przez jej ojca, króla Jerzego VI), by przyjrzeć się swej zakłopotanej twarzy.

Wyczerpany usiadł w mahoniowym fotelu, którego niegdyś używał prezydent Jerzy Waszyngton w tymczasowej stolicy, Filadelfii, i pogrążył się w najdłuższych w swoim życiu rozmyślaniach.

Tuż przed świtem młodociany prezydent wstał i poszedł w kąt sypialni, gdzie stała duża maszyna do gier wideo. Nie pasowała ona do klasycznego wyposażenia wnętrza. Włączył ją i rzucił się w wir i zgiełk międzygwiezdnej bitwy, która coraz bardziej go pochłaniała. Grał, dopóki słońce nie znalazło się wysoko na niebie i nie powróciła jego poprzednia pewność siebie.

Gdy odegrano *America the Beautiful* i zabrzmiało *Hail to the Chief*, prezydent zaczął wymieniać uściski dłoni z młodymi gośćmi.

Najpierw przywitał się z prezydentem Francji Jeanem Pierre'em i premierem Anglii Nelsonem Greenem. Pierwszy był energicznym chłopcem o pucułowatych, rumianych policzkach, drugi był wysoki i chudy

jak tyczka. Z poważnymi minami, w wieczorowych garniturach i muszkach zawiązanych na wysokich białych kołnierzykach, obaj wyglądali na dżentelmenów w każdym calu, jakby przybyli zademonstrować tradycyjny styl europejskich dorosłych.

Wreszcie prezydent Davey dotarł do szczytu stołu i był gotowy do wygłoszenia przemowy. Za jego plecami wisiał naturalnej wielkości portret Jerzego Waszyngtona, ocalony przed zniszczeniem przez Dolly Madison, która wyjęła go z ram, zanim w 1812 roku angielskie wojska okupacyjne spaliły Biały Dom. Davey, w eleganckim tweedowym garniturze na tle tego obrazu, wywarł na Pierze takie wrażenie, że ten rzekł szeptem do Greena:

– Boże, niech pan spojrzy, jaki on jest przystojny! W upudrowanej peruce byłby Waszyngtonem. Z brodą Lincolnem. W mundurze wojskowym Eisenhowerem. Gdyby siedział w czarnym płaszczu na wózku inwalidzkim, byłby Rooseveltem. On jest Ameryką, a Ameryka jest nim!

Powierzchowna ocena Pierre’a nie zrobiła wrażenia na premierze, który odparł, nie odwracając głowy:

– Historia dowodzi, że wielkie jednostki wyglądają zwyczajnie. Jak wasz Napoleon, który miał sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Był niski. Ludzi przyciąga ich wewnętrzna siła. Ci przystojni są przeważnie haftowanymi poduszkami.

Dzieci czekały, aż prezydent zacznie, ale on zwlekał. Siedział z zamkniętymi ustami, przeszukując wzrokiem tłum. W końcu obrócił się do szefowej personelu i zapytał:

– A gdzie Chiny?

– Właśnie dostaliśmy telefon. Są w drodze i w każdej chwili mogą tu być. Przez zaniedbanie zbyt późno powiadomiono państwa, których nazwy zaczynają się na „C”.

– Zgłupiałaś? Nie wiesz, że wśród tych państw jest kraj dwa razy większy od naszego, którego mieszkańcy stanowią jedną piątą ludności świata?

– To była usterka systemu poczty elektronicznej. Gdzie tu moja wina? – zaprotestowała Benes.

– Bez przedstawicieli chińskich dzieci nie możemy o niczym dyskutować – rzekł prezydent. – Jeszcze trochę poczekamy. Zapraszam wszystkich do jedzenia i picia.

Ale gdy dzieci ruszyły w stronę stołu bankietowego, Davey krzyknął:

– Zaczekajcie! – Zlustrowawszy wzrokiem wystawne dania, odwrócił się do Benes: – To ty kazałaś podać te świństwa?

Benes otworzyła szeroko oczy.

– Coś jest nie w porządku? Jest dokładnie tak, jak robili to dorośli.

– Ile razy mam ci powtarzać – rzekł głośno Davey – żebyś przestała gadać o dorosłych? Nie popisuj się tym, jak ściśle się trzymasz ich głupich zasad. To świat dzieci. Przynieście lody!

– Lody na bankiecie wydawanym przez głowę państwa? – wymamrotała Benes, ale mimo to posłała po nie kogoś.

– To nie wystarczy! – powiedział Davey, widząc porcje lodów. – Nie te ociupinki. Chcę dużych talerzy z piętrzącymi się górami lodów!

– Smacznego – mruknęła Benes, ale wykonała polecenie i kazała kelnerom wnieść dziesięć tac z lodami.

Były tak duże, że każdą musiało nieść dwóch chłopców, a gdy postawiono je na stole, nawet z daleka czuć było ich chłód. Davey wziął pucharek, zanurzył go w kremowej masie, a potem naciskając jego nóżkę, napełnił cały lodami. Podniósł go i kilkoma kęsami pochłonął całą zawartość. Zrobił to tak szybko, że przyglądające się temu dzieci poczuły

odruch wymiotny, ale Davey oblizał z zadowoleniem usta, jakby pociągnął tylko łyk kawy.

– Słuchajcie mnie wszyscy – powiedział. – Zrobimy konkurs jedzenia lodów. Najbardziej interesujące będzie to państwo, którego przedstawiciel zje najwięcej. A najbardziej nudne to, którego przedstawiciel zje najmniej.

Potem nabrał sobie następny pucharek i wziął kolejny kęs.

Pomimo wątpliwego charakteru tego kryterium głowy państw jedna po drugiej podchodziły i zanurzały w lodach swoje pucharki, by bronić reputacji swoich krajów. Davey opróżnił dziesięć pucharków po kolei i nie widać po nim było, by miał dosyć. Aby dowieść, że ich państwa nie są nudne, inne dzieci brały duże kęsy, podczas gdy stado podekscytowanych reporterów robiło zdjęcia z przebiegu konkursu. Zwyciężył Davey, z piętnastoma pucharkami, natomiast pozostali przywódcy zamienili swoje żołądki w lodówki, a co najmniej kilkunastu wybiegło w poszukiwaniu toalety.

Po lodach goście rozgrzewali wnętrzności alkoholem, whisky lub brandy, i rozmawiali w małych grupkach. Mieszanina języków i sztywne maszynowe tłumaczenia na angielski wywoływały w niektórych grupach salwy śmiechu. Davey krążył między nimi ze szklanką w ręku i dużym translatorem zawieszonym na szyi i czasami wtrącał długie uwagi. Bankiet przebiegał w atmosferze rozbawienia. Kelnerzy stale kursowali między kuchnią i salą, ale jedzenie znikało, gdy tylko postawili je na stole. Na szczęście Biały Dom miał duże zapasy. Obok fortepianu rosła góra pustych butelek, a dzieci były coraz bardziej podchmielone. Potem wydarzyło się coś dość nieprzyjemnego.

Premier Green i prezydent Pierre wraz z przywódcami kilku państw północnoeuropejskich byli pogrążeni w dyskusji na jakiś interesujący ich temat, gdy podszedł do nich Davey z dużą szklanką whisky w ręku.

Właśnie mówił Pierre, zamaszyście gestykulując i robiąc różne miny, więc Davey przełączył swego translatora na francuski i usłyszał w słuchawce:

– …w każdym razie, o ile mi wiadomo, nie ma nikogo, kto miałby prawo zasiąść na brytyjskim tronie.

– Zgadza się – rzekł Green, kiwając głową. – To dla nas zmartwienie.

– Zupełnie bezpodstawne! Dlaczego nie pójdziecie za przykładem Francji i nie ustanowicie republiki? Tak, Federacyjnej Republiki Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej. To całkowicie uzasadnione, bo wasz król umarł, a nie został posłany na gilotynę jak nasz.

Green powoli pokręcił głową, a potem powiedział w stylu osoby dorosłej:

– Nie, mój drogi przyjacielu, to byłoby nie do pomyślenia, zarówno dzisiaj, jak i w przeszłości. Uczucia, które żywimy do monarchii, różnią się od waszych. Dla Brytyjczyków jest ona oparciem duchowym.

– Jesteście zbyt konserwatywni. Właśnie dlatego w imperium brytyjskim w końcu zaszło słońce.

– A wy jesteście zbyt skorzy do zmian. Słońce zaszło też we Francji i w całej Europie. Czy Napoleon i Wellington mogliby sobie wyobrazić, że taki światowy kongres jak ten odbędzie się nie w Londynie, Paryżu czy w Wiedniu, lecz w kraju prymitywnych i brutalnych kowbojów? Dajmy temu spokój, Pierre, nie rozmawiajmy o historii – rzekł Green, kręcąc ze smutkiem głową.

Wtedy zobaczył, że podchodzi do nich Davey.

– Ale rzeczywistość jest brutalna. Gdzie znajdziecie królową?

– Wybierzemy ją.

– Co? – krzyknął niezbyt wytwornie Pierre, zwracając uwagę innych.

Ta rozmowa przyciągnęła tyle osób, że ich grupa stała się największą na bankiecie.

– Wybierzemy na królową najładniejszą i najbardziej zachwycającą dziewczynkę.

– A jej rodzina i pochodzenie?

– Te sprawy są bez znaczenia. Wystarczy być Angielką. Ale najważniejsze jest, by była najładniejsza i najbardziej urocza.

– To fascynujące.

– Wy, Francuzi, lubicie rewolucje. U nas to właśnie można uznać za rewolucję.

– Będziecie musieli znaleźć kandydatki.

Green wyjął z kieszeni wieczorowej marynarki plik hologramów i podał je Pierre’owi. Zdjęcia dziesięciu kandydatek na królową. Francuski prezydent przejrzał je, wzdychając nad każdym z podziwem. Praktycznie wszystkie dzieci w sali zebrały się wokół i przekazywały sobie te fotografie, również wzdychając z podziwem. Dziewczęta na nich wyglądały jak słońca promieniejące urodą.

– Panowie – rzekł dyrygent – następny utwór dedykujemy tym dziesięciu królowym.

Popłynęły dźwięki *Dla Elizy*. W wykonaniu orkiestry subtelna kompozycja na fortepian była tak samo poruszająca jak zawsze, a nawet bardziej ujmująca. Zasłuchane w muzykę dzieci czuły, że świat, życie i przyszłość będą piękne jak tych dziesięć słoneczek i tak samo zachwycające.

Gdy orkiestra skończyła, Davey zapytał grzecznie Greena:

– A co z mężem królowej?

– O tym też zdecyduje wybór. Oczywiście wybierzemy najprzystojniejszego i najbardziej czarującego chłopca.

– Są jacyś kandydaci?

– Jeszcze nie. Pojawią się po elekcji królowej.

– Och, racja. Będziecie musieli wysłuchać jej opinii – powiedział Davey, kiwając zgodnie głową. Potem dodał z tym szczególnym rodzajem amerykańskiego pragmatyzmu: – Jeszcze jedno pytanie. Jak taka młoda królowa będzie mogła urodzić następcę tronu?

W odpowiedzi Green tylko prychnął, jakby wyrażał pogardę dla braku wychowania Daveya. Zaledwie kilkoro innych dzieci dobrze orientowało się w szczegółach, więc wszyscy tylko zastanawiali się nad pytaniem i przez chwilę nikt się nie odzywał. W końcu milczenie przerwał Pierre:

– Sądzę, że sprawa ma się tak. Ich małżeństwo będzie tylko, hmm, symboliczne. Nie będą ze sobą żyli tak, jak to robią dorośli. A kiedy dorosną, będą mieli dzieci. Dobrze mówię?

Green kiwnął głową, podobnie Davey, by pokazać, że zrozumiał. Potem zrobił się jakby trochę nieśmiały.

– Eee… chciałbym porozmawiać o tym przystojnym kandydacie – powiedział, gestykulując z gracją dłońmi w białych rękawiczkach.

– A dlaczego to pana interesuje?

– Chodzi o to… – odparł z jeszcze większą nieśmiałością – że na razie nie ma jeszcze żadnego.

– To prawda. Nie ma.

Jeśli Daveya mogła ogarnąć jeszcze większa nieśmiałość, to tak właśnie się stało. Wskazał kciukiem na siebie i zapytał:

– A ja się nadaję?

Otaczający ich tłum zachichotał ku irytacji prezydenta, który warknął: „Cisza!”, a potem odwrócił się do Greena i cierpliwie czekał. Green powoli obrócił się w stronę stołu bankietowego, podniósł pusty kieliszek, a potem skinął na kelnera, by go ponownie napełnił. Gdy kieliszek był pełny, podszedł z nim do Daveya, poczekał, aż powierzchnia płynu się uspokoi, i powiedział:

– Niech pan zerknie.

Grupa wybuchła śmiechem. Zrywali boki ze śmiechu, aż w końcu przyłączyli się do nich kelnerzy i członkowie orkiestry, a najbardziej rozbawiona była szefowa personelu Benes.

Twarz stojącego w środku prezydenta wykrzywiła się ze złości. Prawdę mówiąc, gdyby spojrzał, stwierdziłby, że niczego mu nie brakuje poza jednym – nie był brytyjskim obywatelem. Gdyby nim był, a nie Amerykaninem, nadawałby się na kandydata do ręki królowej. Oczywiście denerwowało go, że stał się przedmiotem międzynarodowych kpin, ale najbardziej zirytował go Green. W minionych kilku dniach Davey spotkał się z szefami krajów należących do NATO, ale największych kłopotów przysporzył mu angielski premier. Zaledwie przyleciał do Stanów Zjednoczonych, zaczął prosić o różne rzeczy – o stal, ropę naftową i przede wszystkim broń. O trzy lotniskowce o napędzie jądrowym klasy Nimitz, z których każdy wart był pięć miliardów dolarów, i o osiem okrętów podwodnych zdolnych do przenoszenia balistycznych pocisków jądrowych, po pięć miliardów sztuka, za jednym zamachem, jakby chciał odtworzyć Royal Navy z czasów Nelsona. Co gorsza, chciał ziemi. Na początku tylko zwrotu kilku byłych kolonii na Pacyfiku i Bliskim Wschodzie, ale potem wyciągnął pachnący stęchlizną pergamin z siedemnastego wieku, mapę bez zaznaczonych szerokości i długości geograficznych, na której na północnym i południowym biegunie nie było nic, a Afryka i obie Ameryki były narysowane z wieloma błędami. Pokazując różne obszary na niej, Green poinformował Daveya o wszystkich miejscach, które były i pozostały Anglią (unikając tylko jakiejkolwiek wzmianki o Ameryce Północnej i Południowej przed rewolucjami). Uważał, że nawet jeśli Stany Zjednoczone nie zechcą pomóc Brytanii odzyskać tych terytoriów, to dzięki łączącemu oba kraje szczególnemu związkowi przynajmniej pozwolą

ponownie objąć je we władanie, bo skromne terytorium, które teraz zajmowała ta druga, było bardzo nieproporcjonalne do wielkiego wkładu, jaki przez wieki wniosła do zachodniej cywilizacji. Wielka Brytania była hołubionym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych w dwóch wojnach światowych, a w drugiej wyczerpała siły w obronie Wysp i powstrzymywaniu nazistów przed przebyciem Atlantyku po to tylko, by w rezultacie tak nisko upaść. Teraz trzeba było na nowo podzielić tort i na pewno amerykańskie dzieci nie okażą się tak skąpe jak ich ojcowie i dziadkowie! Kiedy jednak Davey zażądał, by w stosownej sytuacji przed natarciem na Wschód Wielka Brytania zgodziła się na rozmieszczenie na jej terytorium natowskich pocisków balistycznych średniego zasięgu, Green natychmiast stał się twardy jak Żelazna Dama i oświadczył, że jego kraj i cała Europa Zachodnia, skoro już o tym mowa, w żadnym razie nie będą polem bitwy jądrowej. Nie ma mowy o żadnych nowych wyrzutniach pocisków; prawdę mówiąc, Green miał zamiar zlikwidować niektóre z już istniejących… A teraz na domiar wszystkiego urządzał sobie żarty z prezydenta Stanów Zjednoczonych w stylu upadłego arystokraty, który nie może się powstrzymać od głupiego grania pod publiczkę. Na myśl o tym Davey się wściekł i walnął Greena w szczękę.

Nagły cios posłał premiera, który podsuwał z wyższością Daveyowi kieliszek z winem jako lustro, na stół bankietowy. W sali wybuchł chaos. Dzieci ścisnęły się wokół Daveya, krzycząc ze złością, a premierowi udało się z niewielką pomocą stanąć na nogi. Nie zważając na kawior i majonez na ubraniu, najpierw poprawił sobie muszkę. Pomagał mu minister spraw zagranicznych, krzepki chłopak, który teraz rzucił się w stronę Daveya, ale został powstrzymany przez premiera. Jeszcze zanim wstał, Green ochłonął i zrozumiał, że to nie jest czas na to, by tracić z oczu wyższy cel. W tym zamieszaniu był jedyną osobą, która zachowała godny pozazdroszczenia

spokój. Wyciągnął z gracją arystokraty palec wskazujący prawej ręki i rzekł do ministra spraw zagranicznych tonem zupełnie nieróżniącym się od tego, jakim zwykle mówił:

– Proszę sporządzić protest dyplomatyczny.

Błysnęły flesze aparatów reporterów i następnego dnia we wszystkich ważniejszych gazetach pojawiły się zdjęcia Greena w powalanym jedzeniem stroju wieczorowym i ze wzniesionym w górę palcem, informując całą Europę i obie Ameryki o godnym zachowaniu premiera. Nie omieszkał wykorzystać tego uśmiechu losu, natomiast Davey mógł za swój wyskok zwalić winę tylko na to, że był pijany. Ale teraz, stojąc przed tłumem wściekłych młodocianych głów państw i drwiących reporterów, Davey zaczął się bronić:

– O co pan mnie posądza? O hegemonistyczne zapędy? Jeśli Ameryka jest hegemonistyczna, to co powiedzieć o Anglikach? Poczekajcie – zwrócił się do wszystkich – a przekonacie się, jak potrafią być hegemonistyczni!

Green ponownie podniósł palec i powiedział ministrowi spraw zagranicznych:

– Proszę sporządzić następny protest dyplomatyczny przeciwko tej haniebnej napaści prezydenta Stanów Zjednoczonych na Wielką Brytanię. Oto nasze oświadczenie: My sami, nasi ojcowie i matki, dziadkowie i babcie, jesteśmy najuprzejmiejszymi ludźmi na świecie. Ani my, ani oni nigdy nie dopuściliśmy się i nigdy się nie dopuścimy takich niekulturalnych, barbarzyńskich czynów.

– Nie słuchajcie go! – powiedział Davey, machając obiema rękami do zgromadzonych. – Mówię wam, w X wieku Anglia nazwała się Królem Mórz, a wszystkie wody, po których mogli pływać, Morzami Brytyjskimi. Kiedy na tych morzach statek innego kraju napotkał statek angielski, musiał w salucie opuszczać flagę, bo w przeciwnym razie angielska marynarka

otwierała do niego ogień. W 1554 roku hiszpański książę Filip pożeglował do Anglii, by poślubić królową Marię, a ponieważ zapomniano o tym salucie, został kilkakrotnie ostrzelany. W 1570 roku, znowu z powodu nieoddania tego salutu, angielska marynarka wojenna omal nie ostrzelała statku królowej Hiszpanii. Zapytajcie go, czy to nieprawda!

Davey pozostał sobą i jego płomienna replika odebrała Greenowi mowę.

– Chcecie rozmawiać o hegemonii? – ciągnął. – To słowo wynalezione przez dorosłych. Ale w rzeczywistości to prosta sprawa. Kilkaset lat temu Anglia miała największą marynarkę wojenną, więc to, co wtedy robiła, nie było hegemonizmem, ale wspaniałą historią. Dzisiaj największą marynarkę wojenną na świecie mają Stany Zjednoczone. Mamy lotniskowce klasy Nimitz, atomowe okręty podwodne, samolotów jak komarów i czołgów jak mrówek. Ale nigdy nie zmuszaliśmy nikogo, by oddawał salut amerykańskim okrętom, opuszczając flagę! Jak śmiecie przypisywać nam hegemonistyczne zapędy? Pewnego dnia…

Zanim skończył, na jego szczęce wylądował potężny cios i Davey, jak wcześniej Green, padł na stół bankietowy. Odtrącił ręce tych, którzy chcieli pomóc mu wstać, rzucił się jak ryba i poderwał na nogi, chwytając jednocześnie butelkę francuskiego szampana i biorąc zamach, by uderzyć nią tego, kto mu zadał cios. Jednak zastygł w pół ruchu, a z butelki trysnęła resztka szampana i utworzyła na dębowej podłodze pieniącą się kałużę.

Naprzeciw niego stał Ōnishi Fumio, premier Japonii. Wysoki i szczupły Azjata miał spokojną minę i trudno byłoby uwierzyć, że to on zadał ten cios, gdyby nie wyraz jego oczu. Davey rozluźnił uścisk na szyjce butelki i ją opuścił. Teraz wszyscy musieli stawić czoło wściekłości tego wyspiarskiego karła. (Pomimo tego powojennego przezwiska Ōnishi nie był w istocie niższy od Daveya, a japońskie dzieci miały wyższy średni wzrost niż amerykańskie). Dwa dni wcześniej Davey obejrzał w CNN reportaż

pokazujący znany pomnik z Hiroszimy, przedstawiający dziewczynkę z papierowym żurawiem w ręku, która zginęła w wyniku wybuchu zrzuconej na to miasto bomby atomowej. W reportażu wokół pomnika piętrzyła się jak śnieg sięgająca do połowy jego wysokości góra białych przedmiotów. Na pierwszy rzut oka Daveyowi wydawało się, że są to takie same żurawie, jakie zawsze składały dzieci pod pomnikiem, ale gdy kamera pokazała to na zbliżeniu, zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości były to papierowe myśliwce odrzutowe. Naprzód wysunęła się grupa dzieci w białych, ozdobionych flagą ze słońcem hachimaki, które śpiewały marsz *Korpus wyciągniętych mieczy* i rzucały w stronę rzeźby następne papierowe myśliwce. Wirowały one wokół dziewczynki jak białe duchy i opadały na coraz wyższą górę u jej stóp, coraz bardziej przybliżając ją do pogrzebu.

A potem przybyły zmęczone podróżą chińskie dzieci. Huahui i Du Binowi, ambasadorowi Chin w Stanach Zjednoczonych, towarzyszył wiceprezydent William Mitchell.

Davey czekał na nich u stóp schodów i powitał ich entuzjastycznym uściskiem. Potem powiedział do reszty dzieci:

– Skoro są tu już przedstawiciele wszystkich państw, możemy przystąpić do omawiania ważnych spraw świata dzieci.

* Amerykańska wersja piosenki autorstwa czeskiego kompozytora Jaromíra Vejvody, której polskie wersje noszą tytuły *Banda* oraz *My młodzi, my młodzi, nam bimber nie zaszkodzi* (przyp. wyd. pol.).

** Uczeń wybrany spośród mających dobre oceny, którego zadaniem była opieka nad kolegami uzyskującymi słabsze oceny z przedmiotów nadobowiązkowych (przyp. autora).

Amerykańskie wesołe miasteczko

Kiedy chińskie dzieci dotarły wreszcie do kresu męczącej podróży i znalazły się w przestrzeni powietrznej nad lotniskiem Kennedy'ego w Nowym Jorku, zobaczyły pod sobą tylko pusty ocean. Wieża kontrolna poinformowała załogę samolotu, że woda na pasie startowym jest płytka, nie sięga nawet do połowy łydki, więc mogą bezpiecznie lądować, traktując jako znaczniki pasa dwa rzędy szeroko rozstawionych czarnych plamek. Przez lornetki ustalili, że te czarne plamki są samochodami stojącymi w wodzie. Przy lądowaniu samolot wzbił w powietrze tumany kropel, a gdy rozstąpiła się utworzona przez nie mgiełka, Huahua zauważył, że port lotniczy jest silnie strzeżony. Wszędzie stali uzbrojeni żołnierze. Kiedy samolot się zatrzymał, szybko otoczyło go kilkanaście pojazdów pancernych, które wcześniej podążały za nim przez płytką wodę jak motorówki. Z jednego z pojazdów wyskoczyli żołnierze w polowych strojach maskujących i w pełnym rynsztunku, a potem rozbiegli się jak dziwaczne owady, tworząc wraz z pojazdami pierścień ochronny. Żołnierze z karabinami w rękach stali plecami do samolotu i rozglądali się wokół czujnie, podobnie jak obsługa karabinów maszynowych na pojazdach opancerzonych.

Otworzyły się drzwi samolotu i kilkoro amerykańskich dzieci wbiegło po podstawionych schodach. Większość z nich miała karabiny, a jedno dużą torbę. Dwóch ochroniarzy Huahui stanęło po obu stronach drzwi, by nie wpuścić ich do środka, ale Huahua kazał im zrobić przejście, bo na czele grupy zobaczył Chińczyka, ambasadora Du Bina.

Gdy dzieci weszły do kabiny i złapały oddech, Du Bin przedstawił Huahui jasnowłosego chłopca.

– To wiceprezydent Stanów Zjednoczonych William Mitchell, który przyjechał tu, by was powitać. – Huahua przyjrzał się chłopcu z przypiętym do pasa wielkim pistoletem, który zupełnie nie pasował do jego szytego na miarę garnituru. Potem Du Bin przedstawił innego, w mundurze wojskowym. – A to generał dywizji Dowell, odpowiedzialny za bezpieczeństwo uczestników Zgromadzenia Generalnego ONZ.

– Tak się nas wita? – zapytał Mitchella Huahua, co przetłumaczył Du Bin.

– Jeśli pan chce, może pan mieć czerwony dywan i gwardię honorową. Przedwczoraj zgotowano na prowizorycznym podium takie powitanie prezydentowi Finlandii i pocisk roztrzaskał mu nogę – odparł Mitchell, co Du Bin też przetłumaczył.

– Nie przylecieliśmy do Stanów Zjednoczonych z wizytą, więc wcale nie potrzebujemy takich formalności. Ale to trochę niezwykłe.

Mitchell westchnął i potrząsnął głową.

– Proszę wybaczyć tę sytuację. Szczegółowo wyjaśnię to w drodze.

Dowell wyjął z torby i podał im kamizelki, kuloodporne, jak powiedział. Następnie wyjął z innej torby kilka czarnych pistoletów o krótkich lufach i wręczył je Huahui i jego świcie ze słowami:

– Ostrożnie. Są naładowane.

– A po co nam to? – zapytał zdziwiony Huahua.

– Jeśli w dzisiejszej Ameryce wyjdziesz nieuzbrojony, to tak, jakbyś wyszedł bez spodni! – odparł Mitchell.

Wszyscy wyszli z samolotu i Mitchell poprowadził Huahuę oraz Du Bina, otoczonych przez grupę żołnierzy osłaniających ich przed jakąś zbłąkaną kulą, do pojazdu opancerzonego. Pozostali wsiedli do osobnych

samochodów. W środku było ciemno, ciasno i pachniało olejem. Dzieci usiadły na twardych ławkach po obu stronach, a potem zbrojny konwój ruszył pędem.

– Poziom oceanu szybko się podnosi. W Szanghaju też tak jest? – zapytał Mitchell Huahuę.

– Tak. Lotnisko Hongqiao jest zalane, ale dorośli postawili kilka grobli, więc woda nie dotarła jeszcze do miasta. Ale to już nie potrwa długo.

– Nowemu Jorkowi woda nadal nie zagraża, ale tak naprawdę to nie jest odpowiednie miejsce na Zgromadzenie Ogólne ONZ.

Kawalkada skierowała się w stronę miasta i w końcu dotarli do suchych dróg. Tu i ówdzie przez małe okienka pojazdu opancerzonego widać było na poboczach przewrócone samochody z bokami podziurawionymi kulami; niektóre z nich płonęły. Widać też było dużo uzbrojonych dzieci, wyraźnie nie żołnierzy, chodzących nerwowo grupami wzdłuż lub w poprzek drogi z karabinami niewiele mniejszymi od nich i skrzyżowanymi na piersiach pasami z amunicją. Kiedy pojazd z Huahuą mijał jedną z takich grup, dzieci nagle padły na ziemię i prawie równocześnie o bok pancerza wozu zagrzechotał grad kul.

– Nie wygląda to normalnie – rzekł Huahua, zerknąwszy przez okienko.

– Takie czasy, człowieku. Normalne jest to, co nienormalne – sprzeciwił się Mitchell. – Powinniśmy odebrać was w samochodach kuloodpornych, ale wczoraj ostrzelano lincolna specjalnymi pociskami przebijającymi pancerz, w wyniku czego został ranny ambasador Belgii. Tak więc dla większego bezpieczeństwa wzięliśmy te pojazdy opancerzone. Oczywiście jeszcze lepsze byłyby czołgi, ale wiadukty nie wytrzymałyby ich ciężaru.

Gdy kawalkada dotarła do miasta, było już ciemno. Widoczna na horyzoncie linia budynków Nowego Jorku lśniła jak miniaturowa Droga Mleczna. Jak każde dziecko, Huahuę przepełniało pragnienie zobaczenia

jednego z największych miast na świecie, więc patrzył podekscytowany na oszałamiające drapacze chmur. Ale wkrótce zauważył w budynkach pełganie innego światła, czerwieni pożarów, i wznoszące się w niebo słupy dymu. Od czasu do czasu w powietrzu pojawiała się kula ognia i w jej magnezjowym błysku drgały cienie wieżowców. Bliżej centrum usłyszał trzaski strzałów, świst zbłąkanych kul i dziwne wybuchy.

Konwój się zatrzymał i otrzymali wiadomość, że ulica przed nimi jest zabarykadowana. Ignorując ostrzeżenia, Huahua wyszedł, by się rozejrzeć, i zobaczył piętrzące się w poprzek ulicy worki z piaskiem. Za barykadą dzieci wkładały taśmy z amunicją do trzech ciężkich karabinów maszynowych. Dowell negocjował z nimi.

Jedno z dzieci za workami z piaskiem machnęło karabinem i powiedziało:

– Gra nie skończy się przed północą. Pojedźcie objazdem!

– Nie bądź bezczelny! – rzekł ze złością generał dywizji. – Naprawdę chcesz, żebym wezwał eskadrę apache’ów, by was stąd wykurzyć?

Wtrącił się inny chłopiec zza barykady:

– Nie możesz zachować się rozsądnie? Nie gramy przeciw wam. Dzisiaj rano umówiliśmy się na tę ustawkę z Niebieskimi Diabłami. Jeśli nie podejmiemy gry, to będzie znaczyło, że nie można nam ufać, rozumiesz? Jak nie macie z kim grać, to poczekajcie. Może skończymy wcześniej.

Wtedy do Dowella podszedł Mitchell i jedno z dzieci za barykadą go rozpoznało.

– Hej, czy to nie wiceprezydent? To rzeczywiście może być konwój rządowy.

Zza barykady wyskoczył chłopak z ogoloną głową i przyjrzał się z bliska Mitchellowi i pozostałym. Potem machnął ręką w stronę barykady.

– Nie powinniśmy przeszkadzać w sprawach oficjalnych. Przepuśćmy ich.

Wyskoczyła reszta i zaczęli usuwać worki z piaskiem, ale gdy to robili, z drugiego końca ulicy rozległ się terkot wystrzałów i powietrze wypełnił gwizd kul i odgłos ich uderzeń w pancerze pojazdów. Wszyscy, którzy znajdowali się na otwartej przestrzeni, zanurkowali pod pojazdy albo za worki. Du Bin wciągnął Huahuę do pojazdu i wtedy usłyszeli dziecko krzyczące zza barykady przez megafon:

– Hej, przywódco Niebieskich Diabłów! Przerwijcie ogień! Przerwijcie!

Strzały ustały i z tej samej strony rozległ się głos mówiący również przez megafon:

– Czerwone Diabły, o co chodzi? Sprawdźcie zegarki. Nie umówiliśmy się, że zaczynamy grę o 18.30 czasu wschodniego?

– Ale akurat przepuszczamy konwój rządowy. Z głową obcego państwa zmierzającą na Zgromadzenie Ogólne ONZ. Poczekajcie, aż odjadą.

– Dobra, tylko się pospieszcie.

– No to przyślijcie nam paru ludzi do pomocy.

– Dobra. Idziemy. Wstrzymać ogień!

Po trawiastym stoku naprzeciw drogi zbiegło kilkoro dzieci. Rzuciły broń na kupę i zaczęły pomagać przy odsuwaniu worków z piaskiem. Wkrótce zrobiły przejazd. Kiedy droga stanęła otworem, dzieci z drużyny Niebieskich Diabłów podniosły broń i odwróciły się, by odejść, ale chłopak z wygoloną głową krzyknął za nimi:

– Jeszcze nie odchodźcie. Pomóżcie nam odbudować umocnienie. Poza tym dwóch naszych zostało rannych.

– No to co? Nie złamaliśmy reguł.

– To prawda. Ale kiedy wznowimy grę, nie będziemy mieli równych sił. Skąd mamy wiedzieć, kto wygra?

– Żaden kłopot. Mike, zostań po tamtej stronie. Tym razem będziesz z Czerwonymi Diabłami. Oczywiście musisz grać dla nich tak samo dobrze jak dla nas. Ale nie możesz powiedzieć im o naszym planie bitwy.

– Spoko – odparł Mike. – Ja też chcę, żeby było ciekawie.

– No to w porządku. Słuchajcie, Czerwone Diabły, oddajemy wam naszego najlepszego strzelca. Wczoraj na Wall Street zdjął trzech Niedźwiedzi. Teraz jest sprawiedliwie, tak?

Mitchell miał już z powrotem wsiąść, kiedy jedno z dzieci zawołało:

– Panie wiceprezydencie, mamy do pana pewną sprawę.

Od razu otoczyła go grupa dzieci z twarzami tak wysmarowanymi czarnym kremem maskującym, że w świetle ognia błyskały tylko ich oczy i zęby. Zasypały go pytaniami.

– Co wy, do diabła, robicie? Dorośli wydali miliardy na tony zabawek, ale dzieci mogą się bawić tylko tym gównem! – powiedziało jedno z nich, uderzając w kolbę M16, który trzymało.

– Tak jest! Dlaczego nie dacie nam do zabawy tych wszystkich lotniskowców?

– I myśliwców, i bombowców. I pocisków sterowanych. To by była zabawa!

– I międzykontynentalnych pocisków balistycznych!

– Tak. Dopiero po wyciągnięciu broni ciężkiej zrobiłoby się naprawdę ciekawie. A teraz te wszystkie zabawki leżą nieużywane. To marnowanie amerykańskiego bogactwa. Rząd powinien się wstydzić!

– Jeśli amerykańskie dzieci nie będą miały rozrywki, to wy będziecie za to odpowiedzialni.

Mitchell rozłożył ręce.

– Przepraszam was wszystkich. Nie mogę się tutaj wypowiadać w imieniu władz. Wczoraj wieczorem prezydent mówił o tych sprawach

w telewizji…

– Czego się pan boi? Nie ma tu żadnych dziennikarzy.

– Słyszałem, że Kongres ma go postawić w stan oskarżenia. Jeśli do tego dojdzie, to będzie koniec demokratów.

– Wczoraj w telewizji przywódca republikanów powiedział, że jeśli dojdą do władzy, pozwolą dzieciom bawić się całym sprzętem wojsk lądowych, sił powietrznych i wielkimi okrętami marynarki wojennej.

– Ooo. To równy gość. Będę głosował na republikanów!

– A ja słyszałem, że wojsko chce zatrzymać wszystko dla siebie.

– Zgadza się. Nie słuchajcie gadania rządu. Chcecie się bawić sami? Po co stale urządzacie te ćwiczenia? Wyciągnijcie to wszystko i zabawmy się naprawdę!

Dowell przepchnął się przez grupę do chłopca, który powiedział, że wojsko będzie się bawić samo, i chwycił go za kołnierz.

– Ty gnojku! Jeśli będziesz rozpuszczał plotki o armii Stanów Zjednoczonych, każę cię aresztować!

Chłopak szarpnął się i powiedział:

– No to aresztuj dowódcę Floty Atlantyckiej i przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. To oni powiedzieli, że będą bawili się sami!

Inny wskazał na ocean, gdzie od czasu do czasu na horyzoncie błyskały światła, jakby nadciągała burza.

– Niech pan spojrzy! Flota Atlantycka już od dwóch dni strzela. Kto wie, może zaczęli zabawę.

Mitchell rozejrzał się wokół, a potem powiedział cichym głosem:

– Nigdy nie mówiliśmy, że nie pozwolimy wam się bawić. Nie mówił tego ani prezydent, ani rząd. Ale jeśli my będziemy się bawić, musi się

z nami bawić cały świat. To samobójstwo, jeśli będziemy robić to sami, prawda?

Jedno z dzieci pociągnęło go za rękaw i zapytało:

– A więc przywódcy państw przybywają do ONZ, żeby porozmawiać o grach?

Mitchell kiwnął głową.

– Zgadza się.

Inne, z granatnikiem przeciwpancernym, powiedziało z uśmiechem:

– Fantastycznie! Postarajcie się dogadać. Obowiązkiem was wszystkich jest dopilnować, żeby świat stał się dobrym miejscem do zabawy!

Kawalkada ruszyła dalej.

– Skoro drogi są takie niebezpieczne, to dlaczego nie korzystacie z helikopterów? – zapytał Huahua.

Mitchell potrząsnął głową.

– Oczywiście byłoby to prostszym rozwiązaniem, ale w ubiegłym tygodniu niszczyciel zgubił w porcie dziesięć pocisków Stinger i jeden z nich strącił przedwczoraj helikopter nowojorskiej policji. FBI uważa, że pozostałe dziewięć jest gdzieś w pobliżu, więc będzie bezpieczniej, jeśli pozostaniemy na ziemi.

Huahua spojrzał na ocean i wyłaniający się z niego oświetlony gigantyczny posąg.

– To Statua Wolności? – zapytał, a kiedy Mitchell skinął głową, przyjrzał się uważnie symbolowi Ameryki. Stwierdził, że coś jest z posągiem nie tak. – A gdzie pochodnia?

– W ubiegłym tygodniu jakiś dureń odstrzelił ją z karabinu bezodrzutowego – odparł Mitchell. – W lewej ręce miała już dziurę

zrobioną przez rakietę.

– O co chodzi amerykańskim dzieciom? – zapytał Huahua.

W świetle czerwonej lampki sufitowej Mitchell wyglądał na niezwykle zirytowanego.

– O co im chodzi? Odebrałem z lotniska kilkudziesięciu przywódców państw i wszyscy o to pytacie. To dzieci. O co im chodzi? O zabawę!

– Nasze dzieci tak się nie bawią – rzekł Huahua.

– Nawet gdyby chciały, nie mają broni.

Du Bin nachylił się do Huahui i szepnął mu do ucha:

– Tak wygląda wesołe miasteczko w Ameryce. Cały kraj oddaje się brutalnym grom.

W końcu konwój dotarł do siedziby ONZ. Huahua wysiadł, by przyjrzeć się budynkowi, który przynajmniej nominalnie był biurowcem przywódców świata, i przystanął zszokowany. W przeciwieństwie do otaczających go rozświetlonych domów sekretariat był czarny jak smoła, brakowało mu całego lewego górnego rogu, nie miał połowy okien, za to ściany pełne dużych dziur – z jednej z nich wydobywał się jeszcze dym.

Kiedy szli po potłuczonym szkle i kawałkach cementu do budynku, uwagę Huahui przyciągnął mały chłopiec w pobliżu. Wyglądał na zaledwie trzy czy cztery lata i trzymał strzelbę prawie tak dużą jak on. Usiłował utrzymać ją poziomo i wymierzył do stojącego parę metrów dalej kompaktowego samochodu. Odrzut powalił go na pupę i siedział tam, gapiąc się na samochód, ale gdy zdał sobie sprawę, że nic się nie stało, wstał, podpierając się kolbą strzelby – na jego gołych pośladkach wyzierających przez rozdarte majtki widać było dwie okrągłe plamy błota – oparł wylot lufy o ziemię, załadował następny nabój i ponownie starając się

trzymać nieruchomo kołyszącą się lufę, oddał kolejny strzał. Znowu upadł na ziemię i znowu samochód nie zareagował. Maluch podniósł się do następnego strzału. Po każdym strzale przewracał się do tyłu, ale po piątym rozległo się głośne „bum!” i auto stanęło w płomieniach. Dzieciak krzyknął: „Juhuuu!” i odskoczył, ciągnąc za sobą strzelbę.

W wejściu do budynku czekał na nich Argentyńczyk Will Yagüe, pierwszy sekretarz generalny ONZ w erze supernowej. Kilka miesięcy wcześniej Huahua oglądał w telewizji ceremonię przekazania mu stanowiska przez ostatniego sekretarza generalnego ery powszechnej, ale w chłopcu, który stał teraz przed nim, nie było ani odrobiny dawnej godności. Cały pokryty był kurzem i ścierał krawatem krew z czoła. Wydawał się zupełnie przybity. Kiedy Mitchell zapytał go, jak wygląda sytuacja, odpowiedział z irytacją:

– Pięć minut temu w wieżowiec trafiła kolejna bomba. Patrzcie, o tam! – Wskazał dymiący krater w środku budynku. – Akurat wyszedłem na zewnątrz i posypało się na mnie roztrzaskane szkło… Ponawiam żądanie, byście objęli siedzibę główną ONZ odpowiednią ochroną!

– Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy – powiedział Mitchell.

– Wszystko co w waszej mocy? – warknął Yagüe i wysunął oskarżycielsko palec w stronę walącego się budynku. – Prosiłem, byście usunęli z sąsiedztwa całą ciężką broń.

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić – wtrącił się Dowell. – To – wskazał puste miejsce po rogu budynku – zrobiło działo o kalibrze co najmniej 105 milimetrów i zasięgu około dwudziestu kilometrów.

– No to usuńcie całą ciężką broń w promieniu dwudziestu kilometrów!

Mitchell wzruszył ramionami.

– To nierealne. Przeszukanie tak dużego obszaru, a potem ustawienie tam posterunków wojskowych będzie trudne. Da tym sukinsynom republikanom

pretekst. Jesteśmy państwem demokratycznym, proszę pana.

– Państwem demokratycznym? Czuję się, jakbym się znalazł w kryjówce jakichś porąbanych piratów!

– W pańskim kraju też nie dzieje się lepiej. W Buenos Aires, na boisku, którym jest całe miasto, z dwiema bramkami większymi niż Łuk Triumfalny, odbywa się z udziałem stu tysięcy graczy mecz piłki nożnej. Sto tysięcy graczy z jedną piłką, pędzących, gdzie ona poleci. W ciągu dwóch tygodni trwania tego supermeczu stratowano tysiące ludzi i nic nie wskazuje na to, żeby miało się to szybko skończyć. Wasza stolica została rozniesiona w pył. Gra i zabawa leżą w naturze dzieci. Czasami są ważniejsze od snu i jedzenia. – Mitchell wskazał budynek. – To prawda, że to miejsce nie nadaje się na sesję ONZ. Wiem też, że dach budynku Zgromadzenia Ogólnego zapadł się po uderzeniu bomby. Właśnie dlatego proponujemy zorganizowanie tego spotkania w Waszyngtonie.

– Gówno prawda! Teraz Waszyngton, a następnym razem lotniskowiec! To jest zebranie Organizacji Narodów Zjednoczonych, nie Kongresu, i odbędzie się na terytorium ONZ.

– Ale wszystkie głowy państw są już w Waszyngtonie. To jedyne miejsce w kraju, gdzie gry są zakazane, więc tylko tam możemy zagwarantować bezpieczeństwo.

– Sprowadźcie ich tu z powrotem! Muszą podjąć to ryzyko dla dobra świata dzieci!

– Ani oni, ani ich kraje nie zgodzą się na zorganizowanie spotkania tutaj. A zresztą nawet gdyby wrócili, gdzie jest wasz personel? Ile dzieci jest w tym budynku?

– Banda tchórzy! Wszyscy uciekli. Nikt z nich nie jest godny pracować w ONZ.

– A kto by chciał zostać w tej piekielnej dziurze? Przyjechaliśmy tu z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby dać chińskim dzieciom możliwość rozejrzenia się, bo wtedy zrozumieją, dlaczego nie organizujemy sesji tutaj. To, czy pojadą do Waszyngtonu czy nie, to ich decyzja. Po drugie, żeby zaprosić pana do wyjazdu z nami. W Waszyngtonie przygotowaliśmy dla ONZ miejsce do pracy na Wzgórzu Kapitolińskim i zebraliśmy dla was zupełnie nowy personel…

– Zamknij się! – krzyknął Yagüe. – Zawsze wiedziałem, że chcecie zastąpić ONZ! – Potem, odwróciwszy się do Huahui, wskazał budynki w oddali. – Widzi pan, te budynki są nietknięte. Tylko siedziba ONZ została trafiona tyle razy. Zastanawiam się, kto, do diabła, odpalił te wszystkie rakiety.

Mitchell podniósł palec i powiedział:

– Panie Yagüe, złośliwie zniesławia pan rząd Stanów Zjednoczonych. Gdyby nie miał pan immunitetu dyplomatycznego, z miejsca pozwalibyśmy pana do sądu.

Yagüe zignorował go i pociągnął Huahuę za rękaw.

– Jako stałe państwo członkowskie macie zobowiązania wobec ONZ. Zostańmy tutaj!

Huahua zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Panie sekretarzu generalny, celem naszej wizyty jest nawiązanie kontaktów z innymi światowymi przywódcami, wysłuchanie ich zdania na temat nowego świata i wymiana opinii. Jeśli wszystkie głowy państw są w Waszyngtonie, to my też musimy tam jechać. Nic tutaj nie zdziałamy.

Yagüe machnął lekceważąco ręką.

– Dobrze. Wszyscy tam jedźcie. Teraz jasno widzę, że era dzieci jest najobrzydliwszym okresem w ludzkiej historii!

– Panie sekretarzu generalny, świat się naprawdę zmienił – odparł Huahua. – Nie rozwiąże pan żadnych problemów, podchodząc do nich z mentalnością osoby dorosłej. Musimy się przystosować do tego nowego świata.

– Nie docenia pan ambicji sekretarza generalnego – rzekł do niego z uśmiechem Mitchell. – Miał kiedyś pomysł, by w świecie dzieci zlikwidowano wszystkie władze państwowe i zjednoczono kraje pod bezpośrednim kierownictwem ONZ, a w takim wypadku sekretarz generalny zostałby w naturalny sposób głową Ziemi…

– Zamknij się! To jawne zniesławienie! – zaprotestował Yagüe, celując palcem w Mitchella.

Huahua jednak przypomniał sobie, że rzeczywiście wystąpił on z takim pomysłem niedługo po tym, jak rozpoczęła się era supernowej.

– Jedźcie i przystosujcie się do nowego świata – powiedział sekretarz generalny. – Ja zostanę tutaj i będę trwał przy Organizacji Narodów Zjednoczonych do końca.

Potem, kręcąc głową, wrócił do ciemnego, dymiącego budynku.

Konwój ruszył na przedmieście, gdzie czekały na nich helikoptery. Odlecieli do Waszyngtonu, zostawiając za sobą morze świateł Nowego Jorku.

– Wiesz, jaka jest sytuacja w kraju? – zapytał Huahua Du Bina i widząc, że ten kiwa głową, zadał kolejne pytanie: – Widzisz jakieś podobieństwa między ich wesołym miasteczkiem i naszym?

Du Bin potrząsnął głową.

– Widzę tylko różnice.

– Spójrz w dół. Nowy Jork pozostaje wspaniale oświetlony mimo walk ulicznych. Popatrz na ich drogi: wszystkie autobusy i samochody osobowe jeżdżą jakby nigdy nic.

– Faktycznie, tu mamy podobieństwo. Nawet w tych warunkach ich systemy usług publicznych funkcjonują normalnie.

Huahua skinął głową.

– To zjawisko, które jest wyłączną cechą świata dzieci, niewyobrażalne w czasach dorosłych. Gdyby wtedy warunki socjalne pogorszyły się choć w połowie tak jak teraz, państwo by upadło.

– Ale zastanawiam się, jak długo sytuacja pozostanie normalna. Amerykański aparat wojskowy jest niepewny. Mają najpotężniejsze na świecie arsenały i aż ich ręce świerzbią, żeby się nimi pobawić. Z drugiej strony największą zmianą, jaka dokonała się w Ameryce od początku ery supernowej, jest wejście wojska na scenę polityczną i jego stale powiększająca się kontrola nad krajem. Żeby udobruchać armię, rząd urządza jedne bezsensowne manewry po drugich. Ale ćwiczenia nigdy nie zaspokoją amerykańskich dzieci.

– Teraz najważniejsze jest to, jak się będą bawić.

– Prawdopodobnie nie tylko ze sobą. Mogą to robić z użyciem lekkiej broni, ale kiedy wyciągną ciężką, to nie ma mowy, żeby robili to sami… Nie wiem, czy powinienem kontynuować.

Nad całym kontynentem amerykańskim zapadła noc. Jedynymi jasnymi punktami były światła nawigacyjne drugiej maszyny. Wydawało się, że wiszą nieruchomo na czarnym niebie.

– Sytuacja jest ponura… – mruknął Huahua, dobrze wiedząc, co myśli Du Bin.

– Właśnie. Powinniśmy się przygotować na najgorsze – odparł tamten drżącym głosem.

Igrzyska światowe

W Sali Wschodniej trwało spotkanie przywódców państw. Obrady otworzył prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Chłopcy i dziewczęta kierujący krajami świata, witajcie w Ameryce! Na początku chciałbym przeprosić za to, że przyjmuję was w Waszyngtonie. Wolałbym, by ten bankiet odbywał się na ostatnim piętrze nowojorskiego drapacza chmur. Nie lubię Waszyngtonu. To miasto nie jest w żadnym stopniu reprezentatywne dla Stanów Zjednoczonych. Na pokrytym drapaczami chmur nowym kontynencie miasto, w którym jesteśmy, wygląda jak relikt średniowiecznej Europy. Ten Biały Dom to wiejski dwór. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś z was się zastanawiał, czy za domem nie ma stajni. – Śmiech tłumu. – Dorośli umieścili tutaj bijące serce Ameryki dla podkreślenia ciągłości, związku z przeszłością, nie tylko z przeszłością L'Enfant, ale z waszymi rodzinnymi krajami. – Wskazał gestem ręki przywódców europejskich. – To dobrze opisuje niezręczną sytuację, w której się teraz znajdujemy. Jesteśmy dziećmi, ale nadal żyjemy jak dorośli. Wróćcie myślami do ostatnich dni ery powszechnej, do naszej wizji tego, co nam przyniesie przyszłość. Ta wizja koiła w pewnym stopniu nasz smutek z powodu nieszczęścia, które spotkało dorosłych, bo byliśmy przekonani, że za cenę ich odejścia otrzymamy nowy, cudowny świat. Ale jeśli spojrzymy na ten świat teraz, to okazuje się, że pozostał szary i nudny. Czy jest to świat, jakiego chcieliśmy? Nie, absolutnie nie! Widzimy, jak cały glob ogarnia rozczarowanie nową rzeczywistością. Nie możemy pozwolić, by to nadal trwało. Jesteśmy dziećmi. Chcemy gier! Chcemy

zabawy! Chcemy przekształcić Ziemię w prawdziwy świat dzieci, w świat zabawy.

Po aplauzie zgromadzonych Davey kontynuował:

– Zebraliśmy się tu dzisiaj po to, żeby ustanowić nowy porządek w świecie dzieci. Moglibyście zapytać: „Co jest podstawą tego porządku?”. Nie ideologia układu jałtańskiego, nie rozwój gospodarczy okresu po zimnej wojnie. Jesteśmy światem dzieci, który może się opierać tylko na jednej podstawie – na grach! Gry są dla świata dzieci tym, czym była religia w wiekach średnich, czym w epoce wielkich odkryć była eksploracja niezbadanych obszarów Ziemi, czym podczas zimnej wojny była ideologia, a w późnych latach ery powszechnej gospodarka. Wszystkie te rzeczy były podstawą istnienia, punktem wyjścia i dojścia. W świecie dorosłych dzieci wiodły niedoskonałe życie, co pokazuje chociażby skala ich gier. Mogły grać tylko w żałośnie małą liczbę gier w mikroskali, o niezwykle ograniczonej atrakcyjności, w pojedynkę, we dwoje albo w małych grupach. Wszyscy marzyliśmy o wielkich grach, grach w megaskali, ale w erze powszechnej nie mogliśmy zrealizować tego marzenia. Teraz, w świecie dzieci, to marzenie powinno się spełnić! Będziemy prowadzić gry w skali świata, między państwami! Na szczęście dzieci w mniejszym lub większym stopniu zdają sobie z tego sprawę i już zaczęły grać. Celem tego zgromadzenia jest rozpoczęcie gier w skali globalnej i zrobienie z całego świata miejsca zabaw! Naturalnie można się bawić na nieskończenie wiele sposobów, ale gry, które mamy zamiar tutaj rozpocząć, muszą spełniać dwa warunki: muszą się odbywać między państwami i muszą być ekscytujące. A oba warunki spełnia tylko jeden rodzaj gier – gry wojenne!

Davey wyciągnął przed siebie ręce skierowane wnętrzem dłoni na zewnątrz, by uciszyć wybuch entuzjazmu, i przez chwilę trwał w tej pozie,

jakby oklaskiwał go cały świat. Jednak w rzeczywistości nikt nie bił mu brawa – panowała cisza jak makiem zasiał, a przywódcy państw patrzyli na niego w osłupieniu.

– Takie gry, w jakie teraz grają amerykańskie dzieci? – zapytał jeden z nich.

– Takie same. Ale chcemy zrobić to w skali międzynarodowej, żeby mógł w nich wziąć udział cały świat.

– Sprzeciwiam się! – krzyknął Huahua, wskoczył na podium i powiedział do stojących niżej dzieci: – Ta gra jest zakamuflowaną wojną światową.

Dzieci przełączyły swoje translatory na chiński, a kiedy skończyły słuchać tłumaczenia jego słów, na podium wskoczył prezydent Rosji Iljuchin i rzekł:

– Dobrze powiedziane! To zamieni życie dzieci w piekło!

Takie same opinie wyrażały inne dzieci:

– To prawda. Nie chcemy wojny światowej.

– Nie mamy zamiaru walczyć! Nie weźmiemy udziału w tej grze!

– Tak jest. Niech amerykańskie dzieci bawią się same.

Davey zachował spokój i uśmiech, jakby spodziewał się takiego rozwoju wypadków. Stanąwszy między Huahuą i Iljuchinem, poklepał ich dobrodusznie po ramionach, a potem nachylił się do Huahui i powiedział:

– Niech pan nie da się ponieść wyobraźni. To tylko wielka gra. Przyjmiemy format igrzysk olimpijskich. Będzie to pierwsza olimpiada ery supernowej. Gry wojenne będzie się prowadzić według reguł obowiązujących w zawodach sportowych. Wszystkie państwa będą uczciwie rywalizować na z góry wyznaczonym terenie, będą eliminacje i finały, złote, srebrne i brązowe medale. W czym przypomina to wojnę?

Potem zwrócił się do Iljuchina:

– Jak świat zabaw może się zamienić w piekło?

– Krwawa olimpiada? – odparował z wściekłością Huahua.

– To tylko gra. Wszystko ma swoją cenę; w przeciwnym razie skąd miałby się brać dreszczyk emocji? Poza tym udział będzie dobrowolny. Jeśli nie będziecie chcieli grać, nie ma sprawy.

– Jesteście jedynym państwem, które chce w to grać – prychnął Iljuchin.

Davey pomachał mu palcem przed twarzą.

– O nie, drogi przyjacielu, kiedy wszystko się wyjaśni, gwarantuję ci, że wszystkie państwa, włącznie z waszym, wezmą udział w tych igrzyskach olimpijskich, bo nie będą się mogły temu oprzeć.

– Chyba żartujesz.

– Poczekajmy i przekonajmy się, dobrze? A teraz pomówmy o tym, które państwo będzie gospodarzem następnej olimpiady. To powinno się stać jednym z ważnych tematów naszego spotkania. Jeśli się nie mylę, miastem wybranym na miejsce następnej olimpiady w erze dorosłych był Manchester.

– Absolutnie nie! – krzyknął Green i poderwał się jak oparzony. – Naprawdę uważa pan, że Anglia pozwoli siłom zbrojnym innych państw wkroczyć na swoje terytorium i przemienić je w pole walki?

Davey uśmiechnął się blado do premiera.

– A więc imperium brytyjskie po prostu rezygnuje z zaszczytu, o który tak zażarcie walczyło w erze powszechnej?

Potem odwrócił się do prezydenta Turcji.

– No to macie szczęście. Jeśli sobie dobrze przypominam, Stambuł dostał największą po Manchesterze liczbę głosów.

– Nie ma mowy. Nie podejmiemy się tego!

Davey rozejrzał się wokół siebie, a potem klepnął Iljuchina w ramię i wskazał premiera Kanady.

– Rosja i Kanada mają największe niezamieszkane obszary. Mogą zorganizować tam olimpiadę.

– Zamknij się! – wrzasnął premier Kanady.

– Ponieważ to wy zaproponowaliście gry wojenne, olimpiada powinna się odbyć w Ameryce – stwierdził Iljuchin przy ogromnym aplauzie.

Davey wybuchnął śmiechem.

– Spodziewałem się, że do tego dojdzie. Nikt nie chce, żeby olimpiada wszech czasów odbyła się w jego kraju. Ale ten problem ma w istocie proste rozwiązanie. Wszyscy zapominacie, że jest na Ziemi miejsce, które nie należy do żadnego państwa i jest zupełnie niezamieszkane. Jest odległe i puste jak Księżyc.

– Ma pan na myśli Antarktydę?

– Zgadza się. I nie zapominajcie, że nie jest tam już zimno.

– Byłoby to poważne pogwałcenie układu antarktycznego – zauważył Huahua.

Davey uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Układu antarktycznego? To układ zawarty przez dorosłych. Nie wpłynie na naszą grę. Kiedyś Antarktyda była lodownią, w której zamarzłbyś na śmierć, i ten stan leżał u podłoża układu. Gdyby wtedy był tam taki klimat jak teraz, ten kontynent zostałby już dawno temu podzielony.

Przywódcy państw milczeli. Gdy uświadomili sobie prawdziwe znaczenie kwestii, którą mieli rozstrzygnąć, w ich głowach trwała gorączkowa gonitwa myśli. Od czasu pojawienia się supernowej Antarktyda stała się nadającym się do zamieszkania kontynentem, co nie uszło uwagi świata. Dla wielu państw, które z powodu podniesienia się poziomu mórz straciły znaczne obszary lądu, ten kontynent był ostatnią nadzieją.

Davey spojrzał znacząco na stojących niżej młodych przywódców.

– Jeszcze raz podkreślam, że udział w igrzyskach światowych jest dobrowolny. Być może, jak powiedział prezydent Iljuchin, nie będzie chciał w nich uczestniczyć nikt oprócz nas. Dobrze, popłyniemy tam sami. Amerykańskie dzieci popłyną na Antarktydę. A teraz zobaczmy, który kraj nie chce grać!

Nikt nic nie powiedział.

– Mówiłem panu – rzekł zadowolony z siebie Davey do Iljuchina. – Wszyscy chcą się bawić!

9. Wojna w erze supernowej

Antarktyda

Z morza dobiegł niski grzmot jak odgłos wiosennej burzy na horyzoncie.

– Zwiększa się tempo odpadania lodu – powiedział Huahua, patrząc w stronę, skąd dochodził ten dźwięk.

Rozległ się następny grzmot, tym razem wyraźniej, i zobaczyli, że do oceanu wpada, wzbijając fontannę wody, wielki srebrzysty kawał wznoszącej się blisko brzegu góry lodowej. W brzeg uderzyły wysokie fale i zalały stado pingwinów; gdy fale się cofnęły, ptaki brodziły w chaotycznej rozsypce.

– W ubiegłym tygodniu – powiedział Lü Gang – opłynęliśmy z Okularnikiem tę barierę niszczycielem i cały czas odpadały kawały lodu. Bez przerwy pęka, zupełnie jakby cały kontynent topniał.

– Stopniała połowa Morza Rossa. W tym tempie za dwa miesiące Szanghaj i Nowy Jork staną się Wenecjami – rzekł zatroskany Huahua.

Huahua, Okularnik i Lü Gang stali na Wybrzeżu Amundsena na Antarktydzie. Przybyli na najbardziej wysunięty na południe kontynent przed miesiącem. Tamtego dnia, kiedy ich samolot po ostatnim tankowaniu na Ziemi Ognistej przeleciał po raz pierwszy nad linią brzegową Antarktydy, pilot powiedział:

– Hej, czy ta ziemia nie wygląda jak panda?

Widziany z dużej wysokości, pokryty czarnymi i białymi plamami ląd bardzo się różnił od bezmiaru srebrzystej bieli, której obraz mieli w głowach. Była to nowa twarz tego kontynentu. Topniał liczący dziesięć tysięcy lat lód, odsłaniając czarne skały i ziemię. W świetle wiszącego nad

horyzontem polarnego słońca ich sylwetki rzucały trzy długie cienie. Wiatr wciąż był zimny, ale już nie kąsał, i niósł wilgotny oddech wczesnej wiosny, zapach nieznany tu wcześniej.

– Przyjrzyjcie się temu. – Lü Gang pochylił się i wyrwał z ziemi małą roślinkę. Wyglądała dziwnie – była ciemnozielona i miała grube liście.

– Rosną tu wszędzie – powiedział Huahua. – Słyszałem, że to roślinność prehistoryczna, która we wszystkich innych miejscach na świecie wyginęła. Jej nasiona przetrwały w antarktycznej glebie i po zmianie klimatu odżyły.

– Dawno temu na Antarktydzie było ciepło – rzekł Okularnik. – Świat ciągle oscyluje.

Na Antarktydzie zbierały się wojska państw biorących udział w igrzyskach światowych. Dotąd przybyły sto dwie dywizje, liczące w sumie około półtora miliona żołnierzy, w tym dwadzieścia pięć ze Stanów Zjednoczonych, dwadzieścia z Chin, osiemnaście z Rosji, dwanaście z Japonii, osiem z Europy i dziewiętnaście z innych krajów. Uczestniczyły praktycznie wszystkie państwa, nawet jeśli zdołały wystawić tylko jedną kompanię. Wciąż przybywali drogami morskimi i powietrznymi nowi żołnierze, a wiele krajów przesyłało oddziały i sprzęt poprzez punkty przeładunkowe w Argentynie i Nowej Zelandii.

Ponieważ większość armii wykorzystywała jako bazę tranzytową Argentynę i wyruszała na Antarktydę z portów i lotnisk w południowej części tego kraju, lądowały na Półwyspie Antarktycznym po drugiej stronie Cieśniny Drake’a. Jednak w końcu wszyscy uświadomili sobie, że półwysep jest zbyt wąski, by można było prowadzić tam gry wojenne na dużą skalę, i wybrali szerszy rejon Ziemi Marii Byrd. Na tym rozległym pustkowiu uczestnicy gry budowali teraz swoje bazy lądowe, a żeby ułatwić

sprowadzanie dostaw wprost ze statków, skupiały się one na brzegu Morza Amundsena, na długim, wąskim pasie między Wyspą Lairda i Przylądkiem Dart, w odległości od pięćdziesięciu do stu kilometrów jedna od drugiej.

Trzej chłopcy przez dłuższą chwilę przyglądali się z brzegu odrywaniu się fragmentów lodu, a potem z powrotem wsiedli do pojazdów terenowych, które na nich czekały. Mały konwój wyruszył na zachód, do bazy amerykańskiej, na pierwsze spotkanie przedstawicieli państw, które brały udział w grach wojennych. Pierwotnie mieli tam polecieć helikopterem, ale chcieli obejrzeć rejon przyszłych zmagań z bliska, więc zdecydowali się na podróż lądem. Między bazami poszczególnych państw nie poprowadzono jeszcze przejezdnych dróg, zatem musieli skorzystać ze specjalistycznych pojazdów wykonanych w erze dorosłych dla polarnych wypraw naukowych.

Krajobraz był monotonny. Po lewej stronie ciągnęły się na przemian czarne plamy odkrytej ziemi i białe okrywy śnieżnej, a teren był przeważnie płaski, z niskimi wzgórzami. Po prawej było Morze Amundsena z mnóstwem gór lodowych, o powierzchni usłanej oderwanymi od skorupy lodowej bryłami lodu o różnych rozmiarach. Dalej widać było stojące na kotwicach okręty różnych państw. Na Morzu Rossa i Amundsena znajdowało się teraz ponad piętnaście tysięcy jednostek, tworzących największą w ludzkich dziejach flotę. Były w niej zarówno lotniskowce i ogromne tankowce, jak i kutry rybackie o wyporności zaledwie kilkuset ton. To właśnie ta gigantyczna flota przewiozła na pusty kontynent ponad milion ludzi oraz ogromną ilość materiałów i sprzętu i zastąpiła ciszę Oceanu Południowego gwarem i hałasem, jakby z wody wyrósł nieskończony łańcuch miast.

Po godzinie jazdy ukazał się szereg ciągnących się wzdłuż drogi namiotów polowych i chat – baza japońska. Na plaży odbywała się musztra. Oddziały dzieci maszerowały równym, energicznym krokiem, śpiewając piosenki wojskowe. Jednak wzrok chińskich dzieci przyciągnął leżący na piasku ogromny humbak z rozciętym brzuchem, w którym widać było różowe mięso i ciemno zabarwione narządy wewnętrzne. Na jego cielsku roiła się jak mrówki na rybie gromada dzieci. Odcinały piłami łańcuchowymi wielkie płaty mięsa i ładowały je dźwigiem na ciężarówkę, która miała zawieźć je do obozu. Chińczycy wysiedli z pojazdu i stanęli cicho z boku. Okazało się, że wieloryb jeszcze żyje, jego pysk drgał, a wielkie jak koło ciężarówki, zasnute mgłą oko patrzyło nieruchomo w górę. Z brzucha zwierzęcia wyłoniło się kilkoro umazanych krwią dzieci, niosąc z wysiłkiem duży, ciemnoczerwony narząd – wątrobę. Dźwig przeniósł ją na ciężarówkę, gdzie, jeszcze parując, zajęła całą pakę. Wdrapał się tam chłopak ze spadochroniarskim nożem, odciął kilka kawałków wątroby i rzucił je watasze psów wojskowych, kłębiącej się pod ciężarówką. Cała ta scena – krąg poplamionego krwią śniegu, bebeszony żywcem wieloryb, dzieci na jego cielsku odcinające płaty mięsa, umazany krwią dźwig i ciężarówka, psy walczące o ochłapy na śniegu i dwie rzeki krwi wielorybiej barwiące ocean na szkarłatno – była surrealistycznym horrorem.

– Na Morzu Rossa i na Morzu Amundsena flota japońska ogłusza wieloryby bombami głębinowymi, a potem wyciąga je na brzeg – powiedział Lü Gang. – Jedna bomba może ogłuszyć całe stado.

– W ciągu jednego dnia mogą się obrócić wniwecz stuletnie starania o ochronę wielorybów – stwierdził z westchnieniem Okularnik.

Kilkoro japońskich dzieci rozpoznało ich. Zeskoczyły z wieloryba i zasalutowały zakrwawionymi rękami. Potem z powrotem wspięły się na

górę i wróciły do pracy.

– Mam tylko jedno pytanie i proszę, byście szczerze na nie odpowiedzieli – rzekł Okularnik do Huahui i Lü Ganga. – Kiedy byliście mali, ceniliście nade wszystko życie?

– Nie – odparł Huahua.

– Nie – zawtórował mu Lü Gang. – Kiedy byłem z ojcem w garnizonie, codziennie po szkole bawiłem się z chłopcami z miejscowych wsi. Strzelaliśmy do ptaków i łapaliśmy żaby, a gdy widziałem, jak te małe stworzenia umierają w moich rękach, nie czułem nic szczególnego. Tak samo inni.

Okularnik kiwnął głową.

– No tak. Żeby naprawdę docenić wartość życia, trzeba dużo przeżyć. W umyśle dziecka życie nie zajmuje takiego samego miejsca jak w umyśle osoby dorosłej. Dziwne, że dorosłym dzieci zawsze kojarzyły się z dobrocią, pokojowym usposobieniem i innymi cudownymi rzeczami.

– Co w tym dziwnego? – powiedział Huahua, spoglądając na niego. – W erze dorosłych dzieci zawsze miały ograniczenia. Ale, co jeszcze ważniejsze, nie mogły brać jako kolektyw udziału w okrutnej walce o przetrwanie, więc oczywiście nie wychodziła na jaw ich prawdziwa natura. Aha, w ostatnich dniach czytałem *Władcę much*, którego mi dałeś.

– To dobra książka. Golding był jednym z nielicznych dorosłych, którzy naprawdę rozumieli dzieci. Szkoda, że zamiast poznać naszą prawdziwą naturę, inni dorośli oceniali serca dzieci według miary wielkich ludzi*. To był ich ostatni i największy błąd. I ten błąd wprowadził zbyt wiele zmiennych do biegu dziejów w erze supernowej – powiedział ponurym głosem Okularnik.

Cała trójka jeszcze przez chwilę patrzyła na wszystko w milczeniu, po czym wróciła do wozu i pojechała dalej.

Gdyby jacyś dorośli przeżyli do ery supernowej, pomyśleliby, że to, co widzą, jest koszmarnym snem. Według wyobrażeń dorosłych po zniszczeniu rozmieszczonej w kosmosie broni jądrowej nadchodząca era dzieci miała być rajem, w którym będzie panowała ogólna harmonia, a niewinne i przyjazne dzieci ujmą się za ręce jak w przedszkolu i z wrodzonej czystości serc i dobroci zbudują nowy, cudowny świat. Pojawiały się nawet pomysły, że powinno się zniszczyć wszystkie historyczne zapiski:

> Naszą ostatnią nadzieją jest to, że dzieci zachowają w sercach nasz obraz jako ludzi przyzwoitych. Gdyby te łagodne dzieci spojrzały na naszą historię z punktu widzenia swego cudownego świata pokoju i zobaczyły te wszystkie wojny i grabieże, zdałyby sobie sprawę, jak nierozsądnymi i zboczonymi stworzeniami byliśmy.

Dorośli nie byliby w stanie wyobrazić sobie, że niespełna rok po rozpoczęciu się ery supernowej na świecie dzieci wybuchnie wojna. Przyjęte w niej zasady rywalizacji były tak twarde, a stosowane metody tak krwawe i barbarzyńskie, że nie miały precedensu nie tylko w erze powszechnej, ale i w całych ludzkich dziejach. Dorośli z ery powszechnej nie mieli powodu martwić się o swój obraz w sercach dzieci, bo w ich oczach byli nierozsądni tylko z powodu swej powściągliwości i umiarkowania oraz głupich obaw i kodeksów moralnych. Dzieci z dnia na dzień odrzuciły prawo międzynarodowe i normy zachowania, a gdy wszystko postawiono otwarcie, nikt nie czuł już potrzeby ukrywania czegokolwiek.

Chińskie dowództwo naczelne było początkowo podzielone w sprawie wysłania wojsk na Antarktydę i wzięcia udziału w grach wojennych. Waga tych gier była niezaprzeczalna, ale Xiaomeng podeszła do tego pragmatycznie.

– Sytuacja w naszym sąsiedztwie nie jest zbyt stabilna. Na przykład Indie wysyłają tylko jedną dywizję i zostawiają w kraju ponadmilionową armię. Kto wie, co planują? Jeśli chcemy wziąć w tych grach pełny udział, musimy tam skierować dużą część wojsk lądowych oraz co najmniej dwie trzecie marynarki wojennej. Wysłanie dwóch z trzech naszych flot poza kraj spowoduje lukę w systemie obrony. Dodajmy do tego obecną sytuację wewnętrzną, podnoszący się poziom oceanu i zalewanie coraz większych obszarów nadbrzeżnych oraz skutki innych potencjalnych klęsk żywiołowych o wielkim zasięgu, których usuwanie wymaga dużej pomocy ze strony wojska.

– Obie te kwestie da się rozwiązać – powiedział Huahua. – Po pierwsze, Indie powstrzymuje Pakistan, który też zostawia w kraju znaczne siły wojskowe. Możemy wszcząć ofensywę dyplomatyczną zmierzającą do tego, by pod naciskiem innych wielkich mocarstw Indie zostały zmuszone do zaangażowania się w grę w takim samym stopniu jak my. Co do klęsk żywiołowych, to oczywiście obecność wojska byłaby pożądana, ale nic nie możemy na to poradzić.

Inną, bardziej niepokojącą sprawę poruszył Lü Gang.

– Nasze siły zbrojne są nastawione na obronę terytorialną i nieprzygotowane do prowadzenia wojny międzykontynentalnej w dużej odległości od kraju. Na przykład marynarka wojenna działa na podstawie teorii wojny lądowej. Przygotowana jest do obrony przybrzeżnej, nie do walk na dalekich morzach. Większość okrętów nie popłynie dalej niż do Ławicy Jamesa, co dla współczesnej marynarki wojennej jest

równoznaczne z pozostaniem na własnym podwórku, a teraz mamy się udać na Antarktydę. Przed odejściem dorośli stale nam powtarzali, byśmy nie dali się wciągnąć w wojnę międzykontynentalną albo wojnę za oceanem. Zdajecie sobie z tego sprawę.

– Ale świat jest zupełnie inny, niż wyobrażali go sobie dorośli. Nie możemy być nieelastyczni – rzekł Huahua.

Potem Okularnik przedstawił swój punkt widzenia.

– Jeśli klimat będzie się zmieniał tak jak dotychczas, połowa naszego kraju znajdzie się pod wodą albo w strefie takich upałów, że nie będzie można tam żyć. Nasza przyszłość związana jest z Antarktydą, przy czym nieunikniona jest globalna rywalizacja o biegun południowy. W latach osiemdziesiątych XX wieku, kiedy nasz kraj postanowił wysyłać ekspedycje antarktyczne, jeden z naszych przywódców powiedział: „W natłoku pilnych spraw takie jałowe posunięcie świadczy o wizji”**. Ale dla nas wysłanie armii na Antarktydę nie jest jałowym posunięciem. To sprawa niecierpiąca zwłoki i błąd może pociągnąć za sobą przegraną w tej grze.

– Zostawmy na razie na boku strategiczne znaczenie Antarktydy i zastanówmy się nad samymi grami wojennymi. Ich wynik może zdecydować o porządku w świecie dzieci – dodał Huahua.

Wszyscy zgodzili się z uwagą Huahui, że gra wojenna może mieć poważne konsekwencje w przyszłości, i w ten sposób rozstrzygnięto kwestię tego, czy wziąć w niej udział.

Wiadomość o igrzyskach szybko rozeszła się po całym kraju i doprowadziła do równie szybkiego zakończenia okresu wesołego miasteczka. Kraj poderwał się z dwumiesięcznego snu, „jakby ktoś włożył tackę z kostkami

lodu pod pierzynę”, jak stwierdził jeden z późniejszych historyków. Jednak po dokładnym zastanowieniu trzeba przyznać, że nie było w tym nic niezwykłego. Nic nie jest dla społeczeństwa silniejszym bodźcem niż wojna.

Jednym z głównych czynników, oprócz ekscytacji i napięcia, które doprowadziły do ocknięcia się dzieci z marazmu wesołego miasteczka, był nowy kierunek nadany przez Antarktydę. Odległy biegun południowy, cudowne i tajemnicze miejsce, był dla nich jedyną nadzieją na wydobycie się z nudy codzienności. Wierzyły, że armii uda się zdobyć dla nich ogromny szmat ziemi na tym kontynencie, gdzie te z nich, które się tam osiedlą, będą mogły zacząć nowe życie. W przekazanym przez telewizję wezwaniu do mobilizacji oddziałów, które miały wyruszyć na Antarktydę, Huahua powiedział:

– Nasze terytorium jest kartką papieru pokrytą rysunkami dorosłych. Antarktyda jest czystą kartką, na której możemy narysować to, czego pragniemy, i zbudować raj z naszych marzeń!

Ta wypowiedź doprowadziła do poważnego nieporozumienia. Zaczęła otóż krążyć plotka, jakoby kraj miał realizować jednocześnie dwa plany pięcioletnie: nudny, przygotowany przez dorosłych, w kraju, i wspaniały, nakreślony przez dzieci w wirtualnym państwie, na Antarktydzie. Tam miały zbudować swoje parki. Niezmiernie podekscytowało to wszystkie dzieci. Przez pewien czas „Park Antarktyczny” był najgorętszym tematem w sieci i środkach przekazu i cały kraj skupił uwagę na odległych grach wojennych. Po wydaniu rozkazu mobilizacji powrócił porządek z okresu inercji. Dzieci wróciły do swoich zajęć, podjęły pracę i wkrótce kraj znowu kipiał aktywnością.

Wojna w erze supernowej była pierwszą w historii wojną toczoną przez dzieci i od początku dały o sobie znać ich specyficzne cechy. Dorośli w erze powszechnej nie byliby w stanie wyobrazić sobie wojny, która miała formę gry i prowadzona była zgodnie z regułami turnieju sportowego.

Mimo że na Antarktydzie rozmieszczono ponad milion żołnierzy i założono bazy w co najmniej pięćdziesięciokilometrowych odstępach, panował spokój. Gdyby była to era dorosłych, już dawno wybuchłyby walki. Na przykład połączenia transportowe między poszczególnymi państwami i ich bazami były słabe, a z nieuprawianej ziemi nie można było uzyskać płodów rolnych, co oznaczało, że skutkiem ataku, który przerwałby te linie, byłby upadek bazy lądowej danego kraju. Tymczasem dzieci postępowały dokładnie odwrotnie – floty wielkich mocarstw pomagały słabszym państwom przetransportować ludzi i sprzęt na igrzyska.

Główny powód takiego postępowania jest jednym z najdziwniejszych aspektów wojny dzieci – otóż żadne państwo nie wiedziało jeszcze, kto będzie jego przeciwnikiem. Wszystkie kraje były sportowcami biorącymi udział w olimpiadzie i miały się dowiedzieć, z kim będą walczyć, dopiero po ustaleniu porządku gry. Poza tym w każdej rundzie miały trafić na innego gracza. Chociaż prowadzono zarówno jawne, jak i tajne rozmowy dyplomatyczne, nie zawarto żadnych sojuszy i wszystkie państwa godziły się na całkowite niezaangażowanie, czekając na antarktycznym boisku na rozpoczęcie igrzysk.

Po opuszczeniu bazy japońskiej chińskie dzieci czekała jeszcze dwugodzinna podróż do bazy amerykańskiej. Była to ich pierwsza wizyta i zdumiała je wielkość tej bazy. Ciągnęła się wzdłuż brzegu przez dwadzieścia kilka kilometrów, a skupiska namiotów i tymczasowych

budynków rozpościerały się jak okiem sięgnąć. Niektóre były dość wysokie, a ich dachy pokrywał las anten. Duża liczba anten radarów była rozmieszczona na całym terenie bazy, z czego połowa znajdowała się pod białymi kopułami, które wyglądały jak jaja zniesione tu i ówdzie przez gigantycznego ptaka. Bazę otaczała sieć dróg, po których poruszały się przeróżne pojazdy wojskowe, wzbijając nigdy wcześniej niewidziane na Antarktydzie tumany kurzu i brukając ostatnie skrawki śniegu. Bliżej prowizorycznego portu piętrzyły się góry wszelkiego rodzaju dóbr. Właśnie przybił do brzegu rząd amfibii, które otworzyły czarne paszcze i wypluły czołgi oraz pojazdy opancerzone. Ogromne stalowe bestie brnęły przez płyciznę na suchy ląd i po obu stronach pojazdu śnieżnego chińskich dzieci trzęsła się ziemia. W górze leciał niekończący się sznur samolotów transportowych, których wielkie cienie przesuwały się po wodzie i lądzie w stronę pasów startowych ułożonych w pośpiechu ze specjalnych perforowanych stalowych płyt.

Szczyt państw biorących udział w grze odbywał się w przestronnej hali wzniesionej z nadmuchiwanych materiałów budowlanych. Była jasno oświetlona i ogrzana do wiosennej temperatury, a pod sufitem unosiło się mnóstwo różnokolorowych baloników. Orkiestra wojskowa grała wesołą melodię, jakby odbywały się obchody jakiegoś święta. Kiedy weszły chińskie dzieci, większość przywódców już tam była. Prezydent Davey podszedł do nich, by je powitać, a potem zaprowadził je do długiego stołu pośrodku hali, przy którym inni przywódcy pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Na stole leżało ponad sto hełmów wypełnionych po brzegi jakąś lśniącą substancją.

– Spróbujcie. Kryl z Morza Rossa.

Huahua wziął przezroczystego skorupiaka, obrał z pancerza i zjadł.

– Surowy?

Davey skinął głową.

– Niech się pan nie obawia. Na Antarktydzie wszystko jest czyste. – Podał Okularnikowi szklankę piwa, a potem wziął z tacy leżącej na stole parę kawałków lodu i wrzucił je do szklanki, gdzie z sykiem zaczęły się wydobywać z nich bąbelki. – Naturalny lód antarktyczny. Zawiera dużo gazu. Sprowadzały go najlepsze europejskie restauracje. Jest bardzo drogi.

– Jak można sądzić po plamach oleju na brzegu, wkrótce zniknie – zauważył Okularnik.

Huahua zbliżył się do stojącego po przeciwnej stronie premiera Japonii Ōnishiego Fumio i wycelował w niego palec.

– Chciałbym poruszyć pewien temat spoza ustalonego porządku obrad – rzekł. – Musicie powstrzymać wasze dzieci przed przełowieniem wielorybów. Jeśli będzie to nadal trwać, niedługo zostaną całkowicie wytrzebione w wodach antarktycznych.

Ōnishi odłożył kryla i odparł drwiąco:

– Skupcie się na grze. W przeciwnym razie zostaniecie starci na proch.

– Tak jest, skupcie się na grze – krzyknął z podnieceniem Davey. – To cel tego spotkania. Od poprzedniego, w Waszyngtonie, minęły cztery miesiące, i teraz, gdy każde państwo sprowadziło na Antarktydę przyzwoitą ilość sił morskich i lądowych, możemy rozpocząć grę. Rzecz w tym, że nikt nie wie, jak grać! To główny temat dyskusji. Najpierw…

– Panie prezydencie, to ja powinienem przewodniczyć temu zebraniu! – krzyknął Yagüe z drugiego końca stołu, stukając w blat hełmem.

– Dobrze. Panie przewodniczący MKOl, jeśli pan pozwoli – powiedział Davey, lekko kiwnąwszy głową.

Podczas pierwszej i ostatniej sesji ONZ w erze supernowej Yagüe jako sekretarz generalny starał się uratować tę skazaną na zagładę międzynarodową organizację, ale nawet on zdał sobie w końcu sprawę, że

jego wysiłki są daremne, i siedział sam w ruinach Sekretariatu ONZ, nie mając nic do roboty. W wieżowcu panowała ciemność i krążyły pogłoski, że jest on miejscem nawiedzanym przez duchy. Powiadano, że kiedy przez zapadnięty dach budynku wpadało światło Różanej Mgławicy, na wpół zburzonym podium pojawiał się Roosevelt na swym wózku inwalidzkim, popychanym na zmianę przez kolejnych sekretarzy generalnych. Gdy przez dziurę w dachu świecił księżyc, w sali rozbrzmiewało echo stuknięć, jakby duch Chruszczowa walił w pulpit nie butem, lecz czaszką Kennedy'ego… Od tych opowieści Yagüe dostawał gęsiej skórki i musiał sobie w nocy dodawać odwagi alkoholem. Gdy był już na granicy załamania, otrzymał zaproszenie od zreformowanego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, któremu powierzono organizację gier wojennych, i z zadowoleniem przyjął nowe stanowisko.

Yagüe podniósł ręce.

– Proszę wszystkich, żeby przestali jeść i usiedli. Zachowujcie się jak na zebraniu.

Przywódcy państw zajęli miejsca przy stole i założyli słuchawki translatorów, chociaż niektórzy wzięli jeszcze skorupiaka czy dwa z leżących przed nimi hełmów.

– Powiedziałem, żebyście przestali jeść. Panie prezydencie, proszę, niech pan każe komuś to zabrać.

Davey spojrzał na niego z ukosa.

– Panie przewodniczący, musi pan zrozumieć, na czym polega tutaj pańska rola. Jest pan arbitrem w tych grach. Nie ma pan uprawnień do wydawania rozkazów.

Yagüe patrzył na niego przez kilka sekund, a potem splunął w bok.

– Dobrze. Wobec tego zaczynajmy. Jestem pewien, że wszyscy obecni tutaj przywódcy państw się znają, więc nie ma potrzeby nikogo

przedstawiać. Jednak dzisiaj są tu też najwyżsi dowódcy wojsk wszystkich krajów. Może się sami przedstawią?

Młodzi generałowie zrobili to po kolei. W szytych na miarę oficerskich mundurach z lśniącymi złotymi gwiazdkami na pagonach oraz kolorowymi baretkami i medalami na piersiach wyglądali bardziej imponująco niż ich poprzednicy z ery dorosłych i dodawali blasku spotkaniu.

Jako ostatni wystąpił przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów Stanów Zjednoczonych, generał Scott. Kiedy objął swoje stanowisko, nie mógł się zdecydować, czy ma się wzorować na Eisenhowerze, Bradleyu, Pattonie czy MacArthurze, więc ku konsternacji swoich młodych podwładnych codziennie zmieniał styl. Tego dnia wybrał MacArthura. Polecił podwładnemu, by przygotował mu fajkę z kolby kukurydzy, ale nie można jej było znaleźć na Antarktydzie. Tamten przyniósł mu dużą lśniącą czarną fajkę z wrzośca, co doprowadziło generała do wściekłości. Teraz nie zasalutował jak inni generałowie, ale machnął do wszystkich fajką i powiedział:

– Poczekajcie, głupki. Tak wam przywalę, że się zeszczacie w spodnie.

Jego słowa wywołały śmiech.

– Generale Scott, intrygują nas pana gwiazdki – powiedział sarkastycznym tonem szef Sztabu Generalnego rosyjskich sił zbrojnych marszałek Zawjałow. Scott miał na pagonach siedem gwiazdek.

– Ma pan zastrzeżenia do liczby tych gwiazdek? To prawda, że najwyższą szarżą stworzoną w armii amerykańskiej był sześciogwiazdkowy generał, i był to awans pośmiertny. Ale ja chcę mieć siedem gwiazdek. Mógł mieć sam Patton, więc dlaczego ja nie mogę mieć o jedną więcej? Prezydent mnie nie skrytykował, więc o co panu chodzi?

– Tylko zastanawiam się, dlaczego nie ma pan ośmiu. Byłyby bardziej symetryczne.

– Nie, ich rozmieszczenie byłoby zbyt sztywne. Wolę siedem.

– Może niech pan włoży flagę amerykańską – wtrącił Lü Gang.

– Pan ze mnie kpi, generale Lü! – odparł z wściekłością Scott. – Nie pozwolę na to! Nie pozwolę!

– Może pan wytrzymać jeden dzień bez wdawania się w kłótnie? – zapytał Davey.

– On sobie ze mnie kpi! – odparł Scott, wskazując Lü Ganga.

Davey wyrwał mu z ręki fajkę i rzucił na stół.

– Od tej chwili przestajesz się obnosić z tym gównem. I zdejmij trzy gwiazdki z tych idiotycznych epoletów. Nie dawaj mediom pretekstu do plotek.

Scott poczerwieniał, gdy uświadomił sobie, że popełnił błąd, wybierając sobie na ten dzień taki styl. Pozowanie na MacArthura w obecności prezydenta było niestosowne.

Yagüe postukał w stół hełmem zamiast młotka.

– Już dobrze, kontynuujmy. Porządek dzienny dzisiejszego spotkania obejmuje dwa punkty. Pierwszy to ustalenie ogólnych zasad gier wojennych, drugi – ułożenie harmonogramu rozgrywek. Zaczniemy od punktu pierwszego. Oto nasza propozycja dotycząca ogólnych zasad. Żeby gra była ekscytująca i wciągająca, sześć wielkich mocarstw, a mianowicie Stany Zjednoczone, Rosja, Unia Europejska (występująca w grach wojennych jako całość), Chiny, Japonia i Indie muszą się zastosować do zasady pakietowania, to znaczy muszą uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach. Pozostałe kraje mogą brać udział w wydarzeniach według własnego wyboru.

Te ogólne zasady zostały jednogłośnie przyjęte przez wszystkie państwa, a Davey powiedział z podnieceniem:

– Wspaniale. Początek godny pochwały.

Yagüe ponownie stuknął hełmem w stół.

– Przechodzimy do drugiego punktu: ułożenia harmonogramu zawodów.

– Jako pierwsze – krzyknął Davey – proponuję bitwę zgrupowań lotniskowców!

Pozostałym dzieciom odebrało na chwilę mowę, a Yagüe powiedział niepewnie:

– Czy to trochę nie za… duże? Zgrupowania lotniskowców? Z tymi wszystkimi samolotami na pokładach oraz eskortą krążowników i okrętów podwodnych? To za duże.

– I o to chodzi! – powiedział Davey. – Czy dzieci nie chcą wyciągnąć broni ciężkiej?

Huahua wstał.

– Może amerykańskie. Ale my nie weźmiemy udziału w tej grze. Chiny nie mają ani jednego lotniskowca.

– Ani Japonia – rzekł Ōnishi.

– My mamy jeden – oznajmił premier Indii Jairu – ale to stary model z tradycyjnym napędem. I nie możemy zebrać grupy bojowej.

– To znaczy, że będziemy walczyć tylko my, Rosja i Unia Europejska, a wy wszyscy będziecie się tylko przyglądać temu z brzegu? – zapytał Davey.

Yagüe kiwnął głową i dodał:

– To jest niezgodne z zasadą pakietowania.

Huahua wzruszył ramionami.

– Nic na to nie poradzimy. Skąd mamy wytrzasnąć lotniskowiec?

– A nam nie pozwoliliście wyprodukować takiego okrętu – prychnął Ōnishi.

Scott wycelował w nich palec i powiedział:

– Zaledwie zaczęła się gra, już ją zepsuliście!

Lü Gang wstał i zaproponował:

– A może użyjemy przeciw waszym zgrupowaniom lotniskowców naszych krążowników i okrętów podwodnych?

– Nie ma mowy! – krzyknął Davey.

– Bystry chłopak – szepnął Lü Gang Huahui do ucha, gdy usiadł, a Huahua uśmiechnął się lekko i kiwnął głową.

W istocie Davey zdawał sobie doskonale sprawę, że lotniskowce dorosłych były czymś zupełnie innym w rękach dzieci. Młodzi lotnicy morscy dopiero się nauczyli latać w pojedynkę, a ich atak na okręty i cele naziemne przebiegał bardzo niesprawnie. Tymczasem walka zgrupowania lotniskowca była bardzo wyrafinowanym procesem technicznym, którego dzieci nie były w stanie opanować w tak krótkim czasie, więc w prawdziwej bitwie samolotom wystrzeliwanym z lotniskowca być może nie udałoby się zlokalizować celów. Jeszcze większym problemem dla marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych było zapewnienie lotniskowcom bezpieczeństwa. Miały one niewielkie możliwości samodzielnej obrony i musiały polegać na eskorcie. Sprzęt i oprogramowanie opartego na Aegis systemu obrony lotniskowców były tak skomplikowane, że nawet dorosłym dwoiło się w oczach, i nie było mowy, by dzieci mogły je normalnie obsługiwać. Chociaż lotniskowiec pływał jak zwykle otoczony przez inne okręty, w rzeczywistości był słabo broniony i przy swojej potężnej bryle stanowił łatwy cel na otwartym morzu. Amerykańskie dzieci bały się mnóstwa broni – na przykład poważnym zagrożeniem były przeciwokrętowe pociski C-802 chińskiej marynarki wojennej („chińskie exocety”). Do zatopienia lotniskowca wystarczyłoby, żeby tylko jeden taki pocisk przedostał się przez granicę obszaru objętego systemem walki Aegis i trafił w niego. Jak powiedział dowódca Floty Pacyficznej: „Obecnie nasz lotniskowiec jest kruchy jak

jajko pływające po oceanie”. W dawnych czasach pan wód, teraz mógł w najlepszym razie służyć jako środek transportu dla myśliwców. Ale nie można było dopuścić do jego zatopienia, bo był wsparciem duchowym dla amerykańskich dzieci, symbolem potęgi Ameryki, więc lotniskowce pływały po oceanie z dala od brzegu. Davey tylko blefował.

– No dobrze – powiedział z westchnieniem. – Zróbmy zmagania niszczycieli.

Stali członkowie przyjęli tę propozycję jednomyślnie i Yagüe zapisał to w notatniku. Potem podniósł głowę i powiedział:

– Zgłaszajcie następne propozycje…

– Okręty podwodne! – krzyknął premier Green.

– Co to za zabawa: kupa dzieci bawiących się w kotka i myszkę! – rzekł marszałek Zawjałow, ale Yagüe i tak to zanotował.

– Nie trzymajcie się tylko oceanu. A gry lądowe? – zapytał Huahua.

– Dobrze. Bitwa czołgów! – powiedział rosyjski prezydent Iljuchin.

– To obszerna kategoria, więc powinniśmy to określić bardziej szczegółowo – rzekł generał Scott. – Proponuję rzucić się do walki głową naprzód. Zgrupowania czołgów ruszą na siebie jednocześnie z pewnej odległości i otworzą ogień.

– To pasuje do tutejszego płaskiego terenu. Żeby było zabawniej, ograniczmy to do armat czołgowych. Nie używajmy pocisków kierowanych – powiedział marszałek Zawjałow.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

– Powinna być jakaś odległość progowa. Obie strony mogą zacząć walkę dopiero wtedy, kiedy do niej dotrą – zaproponował Lü Gang, podnosząc kluczową dla Chińczyków kwestię. Abramsy, T-90 i leclerki miały nowocześniejsze systemy kierowania ogniem niż chińskie typy 99.

– Trzy tysiące pięćset metrów – powiedział Scott.

– Nie, tysiąc metrów – zaoponował Lü Gang.

Dzieci zaczęły się sprzeczać, ale przerwał im Yagüe:

– Dobrze, dobrze. Szczegóły techniczne mogą ustalić siły, które wezmą udział w poszczególnych zawodach. Teraz omawiamy zasady ogólne.

– To bardzo ważne. Musimy o tym zdecydować teraz – powiedział Huahua, nie ustępując ani na centymetr.

Dzieci chińskie jednak zostały przegłosowane i ostatecznie przyjęto bardzo dla nich niekorzystną odległość trzech tysięcy metrów.

– Proponujemy jeszcze jedną dyscyplinę czołgową – krzyknął Huahua, podnosząc rękę. – Rozbijanie murów z bardzo bliskiej odległości.

– A co to jest? – Pozostałe dzieci były zdziwione.

– Zasady są takie: rywalizujące czołgi zaczynają za dwoma równoległymi murami i po komendzie „start!” przewracają te mury i wzajemnie się atakują. Mury są oddalone od siebie od dziesięciu do dwudziestu metrów.

– Ha! To naprawdę ekscytująca gra! – powiedział Davey ze śmiechem.

Scott szepnął mu, że bradley, który waży pięćdziesiąt siedem ton, jest cięższy od chińskiego typu 99 i rosyjskiego T-90 i może rozwinąć prędkość od zera do trzydziestu kilometrów w zaledwie siedem sekund, nie zostanie zdeklasowany w obalaniu murów, więc się temu nie sprzeciwił.

– Jest jeszcze bardziej ekscytująca gra. Piechota przeciw czołgom! – powiedział marszałek Zawjałow.

– Fantastycznie! – wykrzyknął Lü Gang, a wszyscy pozostali zgodzili się z nim.

– Na pewno jest wiele innych fajnych gier czołgowych, ale na razie mamy te i od nich rozpoczniemy. Jeśli będziemy mieli ochotę, możemy dodać nowe – powiedział Yagüe, zapisując dyscypliny.

– Myśliwce! – krzyknął Scott.

Nikt się nie sprzeciwił, tylko ktoś zapytał, czy tej dyscypliny nie należy podzielić na dwie: pociski powietrze–powietrze i działka.

Marszałek Zawjałow potrząsnął głową.

– Nie widzę powodu. Dzieci nie opanowały jeszcze biegle latania i sama walka powietrzna jest wystarczająco trudna. Dodamy jeszcze jakieś ograniczenia i obawiam się, że nie będzie zabawy.

Tak więc przyjęto to w ogólnej formie.

– Piechota z lekką bronią – krzyknął Huahua.

– Hmm. To podstawowa dyscyplina. Ale trzeba ją podzielić na węższe. Najpierw określmy, co będziemy uznawać za broń lekką – zauważył marszałek Zawjałow.

– Wszystko o kalibrze poniżej 20 milimetrów.

– No to może powinniśmy najpierw wydzielić dwie konkurencje: fortyfikacje i natarcia. W pierwszej obie strony strzelają do siebie ze swoich umocnień. Druga jest podobna do walki czołgów: obie strony nacierają na siebie i kiedy dotrą na pewną odległość, otwierają ogień. Tej odległości… nie musimy ustalać już teraz.

– To jak pojedynek na pistolety w rosyjskim stylu – mruknął ktoś.

– Pojedynki helikopterów opancerzonych! – krzyknął Davey.

Chiny i Indie sprzeciwiły się wprowadzeniu tej dyscypliny do programu igrzysk, a Japonia wstrzymała się od głosu, ale przyjęto ją, bo uzyskała poparcie Stanów Zjednoczonych, Rosji i Unii Europejskiej.

– Granaty! – krzyknął Huahua, ale zaraz się zmitygował. – A, tak. To powinna być podkategoria piechoty z bronią lekką.

– Dlaczego proponujecie tylko te przestarzałe rzeczy? – zapytał Chińczyków Davey.

– A dlaczego wy proponujecie tylko te nowoczesne? – odciął się Huahua.

I znowu spór załagodził Yagüe.

– Wszystko w porządku. Każdy ma ten sam cel: fajne gry. Musicie być wobec siebie wyrozumiali. Jak będziemy grać, jeśli każdy opowie się tylko za dyscypliną, w której jest silny, a odrzuci te, w których jest słabszy?

– Granaty to podstawowa broń. Dlaczego mają być wykluczone? – zapytał Lü Gang.

– Dobra. Wobec tego włączmy je. Tylko nie wyobrażaj sobie, że będziemy popychadłami – powiedział kostycznie Davey.

– Je też powinniśmy podzielić na fortyfikacje i natarcia – rzekł marszałek Zawjałow. – A skoro już mowa o podstawowej broni, wzięliście pod uwagę artylerię?

Gdy dzieci uświadomiły sobie, jaki ma to potencjał, zaczęły wykrzykiwać różne propozycje dyscyplin.

– Pojedynki artyleryjskie na odległość pięciu kilometrów!

– Działa dużego kalibru na dziesięć kilometrów!

– Rakiety o zasięgu trzydziestu kilometrów!

– Samobieżne wyrzutnie rakiet przeciw poruszającym się celom! Hej, na równinach Antarktydy to będzie jak bitwa morska.

– Moździerze! Jak można zapomnieć o moździerzach?

– Zgoda. Moździerze na bliską odległość. One też mogą być mobilne. Będzie kupa zabawy.

– Pozwólcie, że zgłoszę jeszcze jedną propozycję – przerwał im Scott. – W pojedynkach na odległość większą niż pięć kilometrów można korzystać ze zwiadu powietrznego i korekty zasięgu ognia.

– Sprzeciw! To za bardzo skomplikuje grę i zwiększy liczbę fauli – powiedział Lü Gang.

– Jestem za! Dzięki temu gra będzie ciekawsza – poparł Scotta premier Green.

– Stop! – Yagüe głośno stuknął hełmem. – Jak powiedziałem wcześniej, szczegóły techniczne ustalą siły biorące udział w danej konkurencji.

Kiedy Yagüe skończył zapisywanie gier artyleryjskich, Davey poderwał się z miejsca.

– Wszystkich interesuje mnóstwo dyscyplin. Proponuję jeszcze jedną: bombowce i obrona naziemna!

Yagüe podniósł brwi i zastanowił się nad tym.

– To byłaby taka gra jak czołgi przeciw piechocie. Nie byłoby równowagi sił, więc obie strony musiałyby zamieniać się rolami, co zwiększy liczbę startów w eliminacjach i skomplikuje prowadzenie zawodów oraz sędziowanie. Powinniśmy jak najbardziej ograniczyć takie gry.

Huahua zachichotał i szeroko uśmiechnął się do Daveya.

– Założę się, że prezydent Davey nie wziął pod uwagę zamiany ról. Pewnie wyobrażał sobie, że Stany Zjednoczone będą tylko bombardować, a ktoś inny będzie się bronił. Mam rację?

Davey klepnął się w głowę.

– Fakt. Przeoczyłem to.

– Bezwład poznawczy. No to jak, amerykańskie dzieci chcą, żeby nasze H-12 i rosyjskie Tu-22M zbombardowały ich pozycje?

– Eee… skoro przewodniczący przed chwilą wspomniał, że utrudniłoby to prowadzenie zawodów i sędziowanie, to możemy to sobie odpuścić.

– Możemy dodać grę między wybrzeżem i okrętami, na przykład desant i obronę przed nim – wtrącił Scott.

– To też niezwykle trudno zorganizować i sędziować. I zajęłoby strasznie dużo czasu. I może wcale nie byłoby takie zabawne. Uważam, że powinniśmy dać sobie z tym spokój – powiedział marszałek Zawjałow.

Yagüe i reszta dzieci też tak uważali, więc ta dyscyplina nie przeszła.

– Ale to powinno się sprawdzić: pociski kierowane przeciw pociskom kierowanym – zaproponował niezrażony Davey.

Iljuchin kiwnął z aprobatą głową.

– Świetnie. Wspaniała gra. Można ją podzielić na trzy kategorie: pociski bliskiego i średniego zasięgu oraz międzykontynentalne.

– O, międzykontynentalne pociski balistyczne! – Davey poderwał się z miejsca, wymachując z ekscytacją rękami. – Na razie to najlepsza propozycja!

– Ale bez systemów obrony przeciwrakietowej i antybalistycznej – powiedział chłodno Iljuchin.

– Co? Oczywiście musimy użyć tych systemów! – krzyknął Scott.

– Ale większość stałych członków ich nie ma, więc nie zgadza się to z zasadą pakietowania.

– I co z tego? I tak ich użyjemy. Popieramy to na sto dwadzieścia procent! W przeciwnym razie wycofujemy się z igrzysk – krzyknął Davey, gestykulując gorączkowo.

– Dobra. Użyjcie ich, jeśli chcecie – rzekł Lü Gang, machnąwszy lekceważąco ręką.

– Obrony antybalistycznej? Nie potrafią nawet uruchomić systemu Aegis – stwierdził ze szczyptą pogardy Zawjałow.

Davey odetchnął głęboko.

– Dobrze. Idźmy dalej – powiedział i usiadł, patrząc z zadowoloną z siebie miną na inne dzieci.

Huahua podniósł rękę.

– Miny lądowe!

– To ciekawe. Jak chcecie grać? – zapytały podniecone dzieci.

– Przeciwnicy zakładają dwa pola minowe na terenie wyznaczonym przez drużyny, które biorą w tym udział. Pośrodku każdego pola ustawiamy

flagę drużyny. Zwycięża ten, kto pierwszy oczyści drogę do flagi przeciwnika.

Davey wykrzywił usta i powiedział sarkastycznie:

– Dobrze, niech i przedszkolaki mają jakąś zabawę. Proszę to zapisać, panie przewodniczący.

W tym momencie podniósł się przywódca jednej z wysp na Pacyfiku.

– Niektóre mniejsze kraje chcą, żebym powiedział parę słów w ich imieniu. Musicie dać nam choć małą szansę na zabawę.

– Nie możecie wziąć udziału w tradycyjnych dyscyplinach, tych, które zaproponowały dzieci chińskie? – zapytał Davey.

– Nie rozumie pan, panie prezydencie. Weźmy mój kraj. Mamy na Antarktydzie tylko jedną kompanię, mniej niż dwustu żołnierzy, i oceniam, że nawet w najprostszej konkurencji piechoty już po pierwszej rundzie stracimy sprawność bojową.

– Wszyscy możecie zaproponować inne gry.

– Ja mam jedną – powiedział Lê Sâm Lâm, premier Wietnamu. – Wojna partyzancka!

– Wspaniale! Jak chcecie grać?

– Każda z dwóch rywalizujących ze sobą stron atakuje bazę przeciwnika małym oddziałem partyzanckim. Szczegółowe zasady są takie…

– Niech się pan zamknie! – przerwał mu Davey, podskakując i waląc w stół. – Powinniście się wstydzić, że zgłosiliście taki wstrętny pomysł!

– Tak jest. Powinniście się wstydzić! – przyłączył się do niego Green.

– To… to by było nieco destrukcyjne – rzekł Yagüe do Lê Sâm Lâma. – Na spotkaniu w Waszyngtonie osiągnęliśmy konsensus w sprawie baz. Są nietykalne. Pana propozycja burzy same podstawy igrzysk.

Propozycję odrzucono.

– Antarktyda stała się prywatnym klubem wielkich mocarstw. Po co my tu w ogóle jesteśmy? – burknął Lê Sâm Lâm.

Yagüe go zignorował i zwrócił się do wszystkich:

– Nasze spotkanie doprowadziło już do oszałamiających rezultatów. Czy inne państwa mają jakieś propozycje gier? – Jego wzrok skupił się na Ōnishim siedzącym na drugim końcu stołu. – Premierze Ōnishi, przez cały czas pan milczał. Pamiętam, że podczas pierwszej sesji ONZ przekazał pan żarliwe pragnienie Japonii, by miała prawo przemawiać na zgromadzeniach, a teraz, gdy Japonia jest stałym członkiem MKOl, milczy pan.

Ōnishi złożył lekki ukłon i powiedział powoli:

– Proponuję grę, która jeszcze nikomu nie przyszła na myśl.

– Posłuchajmy – rzekł Davey i wszyscy popatrzyli wyczekująco na japońskiego premiera.

– Biała broń.

Wszyscy zebrani popatrzyli po sobie. W końcu ktoś zapytał:

– Biała broń? A co to jest?

– Miecze. – Nie powiedział nic więcej, tylko siedział nieruchomo jak posąg.

– Miecze? Nikt z nas ich nie ma – powiedział nieco zakłopotany Scott.

– Ja mam – powiedział Japończyk i wyjął spod stołu długi miecz. Wyciągnął go z pochwy i dzieciom aż zaparło dech na widok jego zimnego połysku. Brzeszczot był tak ostry, że wydawał się cienki jak nitka. Ōnishi pogładził go delikatnie palcem. – Jest wykuty ze stopu węglowego i nie ma nic ostrzejszego od niego. – Potem machnął nim nad stołem i dzieci usłyszały przeciągły świst. – Ma dwuwarstwową klingę; kiedy stępi się jedno ostrze, obnaża drugie, więc zawsze pozostaje ostry. – Położył delikatnie miecz na stole, skąd oślepiał dzieci zimnym lśnieniem

i przeszywał je dreszczem. – Możemy dostarczyć na igrzyska dziesięć tysięcy sztuk.

– To trochę zbyt… barbarzyńskie – zauważył bojaźliwie Davey, a inne dzieci pokiwały głowami na znak, że się z nim zgadzają.

Ōnishiemu nawet nie drgnęła powieka.

– Panie prezydencie i wy wszyscy – powiedział, biorąc miecz – powinniście się wstydzić, że macie takie słabe nerwy. To podstawa wszystkich gier, które zaproponowaliście do tej pory, dusza wojny. Pierwsza zabawka ludzkości.

– Dobrze. Włączmy do gry broń białą – rzekł Iljuchin.

– Tyle że tego rodzaju miecze bojowe… nie są chyba konieczne, prawda? – zapytał Davey, odwracając oczy od miecza, jakby nie mógł znieść jego blasku.

– No to bagnety – rzucił marszałek Zawjałow.

Entuzjazm dzieci gdzieś się ulotnił. Wszystkie patrzyły w milczeniu na miecz jak obudzeni lunatycy i starały się zrozumieć, co właśnie robią.

– Czy ktoś jeszcze chce zgłosić jakąś propozycję? – zapytał Yagüe.

Nikt mu nie odpowiedział. W hali panowała cisza, jakby miecz pozbawił wszystkich ducha.

– No więc dobrze. Powinniśmy przygotować się do rozpoczęcia igrzysk.

Tydzień później na szerokiej równinie Ziemi Marii Byrd odbyła się ceremonia otwarcia pierwszych igrzysk olimpijskich ery supernowej. Wzięło w niej udział ponad trzysta tysięcy dzieci, które stały w gęstym tłumie. W oddali nisko wiszące w tej połowie roku słońce znajdowało się już w większości za horyzontem i tylko cienki jego sierp rzucał na marmurkowy, monochromatyczny krajobraz rdzawe światło odbijające się

w morzu hełmów. Na granatowym niebie zaczęło mrugać kilka srebrnych gwiazd.

Sama ceremonia była prosta. Najpierw obniesiono wokół flagę z pięcioma olimpijskimi kółkami, do czego oddelegowały swoich przedstawicieli wszystkie państwa biorące udział w igrzyskach, a potem zawieszono ten symbol pokoju na wysokim maszcie nad areną zmagań. Młodociani żołnierze oddali w powietrze salut, który przetoczył się falami nad tłumem, bo kiedy umilkły strzały w jednym miejscu, zaczynały się w następnym jak grzywacze podnoszące się i opadające na oceanie. Na platformie pod masztem stał przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego Yagüe, machając przez wieczność, jak się zdawało, rękami, dopóki nie ucichły strzały i mógł wreszcie rozpocząć przemówienie. Kiedy otworzył notatki, stojący obok niego chłopiec podał mu hełm. Yagüe odtrącił z irytacją jego rękę, nie zauważywszy, że wszyscy przywódcy światowi i inne ważne osoby na platformie są w hełmach. Spieszył się do wygłoszenia przemówienia.

– Dzieci nowego świata, witajcie na pierwszych igrzyskach olimpijskich ery supernowej…

W tym momencie usłyszał grzechot, jakby zaczął padać grad. Po chwili dezorientacji zdał sobie sprawę, że jest to odgłos pocisków uderzających w hełmy i w ziemię, faktycznie grad, ale kul powracających z góry po salucie. Teraz zrozumiał, po co dawano mu hełm, ale zanim zdążył po niego sięgnąć, otrzymał mocne uderzenie w czaszkę. Spadający pocisk trafił w bliznę po starej ranie, której Yagüe doznał kilka miesięcy wcześniej od odłamka szkła spadającego z okien budynku Sekretariatu ONZ. Prawdopodobnie był to tylko pocisk natowskiego kalibru 5,56 × 45 mm, bo gdyby wystrzelono go z używanego przez chińskie i rosyjskie dzieci starszego AK-47 o kalibrze 7,62 × 39 mm, mógłby stracić przytomność.

Wśród śmiechów włożył hełm i walcząc z bólem, wcisnął pod niego dłoń, by pomasować bliznę. Mimo że kule nadal sypały się z nieba, powiedział głośno:

– Dzieci nowego świata, witajcie na pierwszych igrzyskach olimpijskich ery supernowej. To olimpiada składająca się z gier wojennych, fajna, z dreszczykiem emocji, prawdziwa olimpiada! Skończyła się nuda ery powszechnej i ludzka cywilizacja wróciła do wieku dzieciństwa, do szczęśliwych czasów. Zostawiliśmy drętwą ziemię i wróciliśmy do wolności wśród drzew, zrzuciliśmy ubrania hipokryzji i włożyliśmy luksusowe puchowe szaty. Dzieci, nowe hasło igrzysk olimpijskich brzmi: „Bierzcie udział! Ostrzej, zażarciej, groźniej”. Niech świat zwariuje! A teraz opiszę nowe dyscypliny olimpijskie.

Yagüe wygładził pomiętą kartkę z notesu i zaczął czytać:

– Po negocjacjach między wszystkimi państwami członkowskimi zostały określone dyscypliny pierwszych igrzysk olimpijskich ery supernowej. Dzielą się one na trzy kategorie: lądowe, morskie i powietrzne. Do kategorii dyscyplin lądowych należą bitwy czołgów, czołgów z piechotą uzbrojoną w broń ciężką, czołgów z piechotą bez broni ciężkiej, bitwy artyleryjskie (działa o dużym kalibrze i zasięgu pięciu kilometrów, rakiety o zasięgu piętnastu kilometrów, rakiety samobieżne i moździerze o zasięgu kilometra), walki piechoty z użyciem karabinów maszynowych, walki piechoty z użyciem granatów, walki piechoty z użyciem broni białej, walki z użyciem pocisków kierowanych (o krótkim, średnim i dalekim zasięgu oraz międzykontynentalnych pocisków balistycznych), miny lądowe. Do kategorii dyscyplin morskich należą bitwy niszczycieli i okrętów podwodnych. Do kategorii dyscyplin powietrznych należą walki myśliwców odrzutowych i walki helikopterów szturmowych. W każdej dyscyplinie zostaną przyznane medale złoty, srebrny i brązowy.

Dyskutowano też o kategoriach mieszanych, takich jak atak na ląd z powietrza czy z powietrza na morze, ale ponieważ ich zorganizowanie i ocenianie jest bardzo skomplikowane, nie włączono ich formalnie do programu igrzysk. A teraz proszę reprezentantów świata dzieci biorących udział w olimpiadzie o złożenie przysięgi.

Reprezentanci, podpułkownik sił powietrznych USA, porucznik rosyjskiej marynarki wojennej i porucznik armii chińskiej wyrecytowali następującą przysięgę:

– Przyrzekam, po pierwsze, stosować się do zasad obowiązujących w grach oraz przyjąć wszelkie kary, jeśli je złamię, po drugie, dołożyć wszelkich sił, by gry były ekscytujące i zabawne, oraz nie okazywać moim przeciwnikom ani krzty litości.

Na równinie rozległy się brawa i strzały.

– Wszystkie siły zbrojne na plac boju!

Przez ponad dwie godziny obok masztu flagowego sunęły piechota i dywizje pancerne ze wszystkich krajów, a na końcu czołgi, pojazdy opancerzone i mobilne wyrzutnie rakiet zmieszane z ciżbą ludzi w chaotycznym potoku żelaza, wzbijającym obłoki kurzu, które przesłoniły niebo. Na morzu okręty uczestników igrzysk otworzyły zmasowany ogień; ich działa pluły oślepiająco białym blaskiem w niebieskoczarnym zmierzchu, a od ich huku trzęsła się ziemia.

Kiedy powrócił spokój, ale jeszcze zanim zapadł zmrok, Yagüe polecił wykonać ostatni punkt ceremonii otwarcia:

– Zapalić znicz!

Powietrze wypełnił ryk silników i wszyscy spojrzeli w górę. Zobaczyli nadlatujący ze wschodu samolot. Na prawie ciemnym niebie widać było tylko jego sylwetkę, która zdawała się wycięta z kartonu. Gdy samolot się zbliżył, zebrani rozpoznali brzydki kształt A-10 warthoga z dwoma dużymi

silnikami, które wyglądały jak dodatki z rynku wtórnego przymocowane do jego sekcji ogonowej. Kiedy przelatywał nad dużą luką w tłumie, zrzucił bombę napalmową, która wybuchła z głuchym hukiem, wysyłając wysoko w górę płomienie i czarny dym. Tłum oświetlił pomarańczowy blask, a dzieci stojące kręgiem wokół miejsca eksplozji poczuły fale gorąca.

Słońce skryło się już całkowicie za horyzontem i zaczęła się długa antarktyczna noc. Ale nie była ona ciemna; zorze polarne, bardzo wzmocnione promieniowaniem supernowej, sprawiały, że całe niebo wypełniały tańczące kolorowe wstęgi, a tymczasem na rozległym kontynencie pod nim kontynuowała swój marsz koszmarna historia ery supernowej.

* Odwrócenie aforyzmu z dzieła *Przekazy Zuo*, który przestrzega przed przypisywaniem szlachetnym ludziom niecnych pobudek.

** Wu Heng (1914–1999), geolog, który był przewodniczącym Państwowej Komisji Badań Antarktycznych (późniejszej Chińskiej Administracji Arktycznej i Antarktycznej), przypisywał tę uwagę marszałkowi Chen Yi (1901–1972).

Gry z krwią i żelazem

Trzydzieści pięć czołgów batalionu porucznika Wang Rana jechało na pełnej prędkości w szyku bojowym, ale przed nimi roztaczała się tylko otwarta równina upstrzona płatami niestopniałego śniegu. Przebyli już sporą odległość i nie widzieli nawet śladu przeciwnika. Brali udział w bitwie czołgów. Ich miejscem startu była depresja, wspaniałe miejsce do ukrycia dywizji pancernej, trudne do zlokalizowania w tej części równiny. W normalnych warunkach bojowych mogliby ruszyć pod osłoną nocy, zachowując znaczne odległości pomiędzy pojazdami, i starannie się zakamuflować, kiedy wszystkie znalazłyby się na upatrzonym miejscu, a następnego dnia czekać, aż przeciwnik się zbliży, i wtedy go zaatakować. Jednak w obecnej sytuacji było to niemożliwe, bo nieprzyjaciel znał ich położenie, podobnie jak oni jego, i każda strona była doskonale świadoma siły drugiej strony. Dane te były stuprocentowo dokładne, bo się wzajemnie bezpośrednio poinformowali. Znali nawet typ i ilość amunicji w każdym z trzydziestu pięciu abramsów, z którymi mieli się zetrzeć, i dzięki wiadomości otrzymanej poprzedniego dnia od dowódcy armii amerykańskiej wiedzieli o defektach w gąsienicach i systemach kierowania ogniem. Wszystko było tak jasne i otwarte jak ta równina w blasku zorzy polarnej. Mogli wykorzystać tylko swój szyk bojowy i umiejętności strzeleckie. Wang Ran był kierowcą, ale jego czołg został zniszczony w rozgrywce przed dwoma dniami i on sam ledwie uszedł z życiem. W tamtej rozgrywce został zabity działonowy z jego obecnego czołgu i Wang zajął jego miejsce w trybie awaryjnym. Chociaż wcale nie był

pewien siebie, był podekscytowany, bo stanowisko działonowego było czymś zupełnie innym. Siedział dużo wyżej niż kierowca, słuchając ryku silnika i rozkoszując się pędem. Najlepszy moment nadszedł, kiedy czołg pokonywał średniej wielkości uskok, bo wtedy gąsienice straciły kontakt z gruntem i typ 99 zawisł całkowicie w powietrzu, a kiedy opadł, Wang Ran doznał wspaniałego uczucia nieważkości. Przez krótką chwilę pięćdziesięciotonowa stalowa bestia była zwinna jak szybowiec, ale już w następnej wylądowała ciężko na ziemi, która zapadła się pod impetem tego uderzenia jak miękkie błoto. Czołg zapadł się razem z nią, jakby był górą, która wreszcie osiadła w miejscu. Podczas całego tego skoku każda komórka w ciele Wang Rana wrzeszczała z podniecenia jak podczas szarży kawaleryjskiej.

– Przede wszystkim uprościliśmy walkę czołgów do starcia dwóch pojazdów jadących wprost na siebie na dwuwymiarowej płaskiej równinie. Takie warunki w rzeczywistości nie istnieją, podobnie jak punkty i linie geometryczne w świecie rzeczywistym, ale daje to jasny obraz istotnych elementów walki czołgów. W naszej epoce kluczem do zwycięstwa jest strzelić pierwszemu i trafić za pierwszym razem. Związek między tymi czynnikami jest mnożnikowy, nie addytywny; jeśli któryś element jest zerowy, wynik też jest zerowy. Ciekawe, że istnieje między nimi przeciwieństwo: im wcześniej strzelasz, tym dalej jesteś od celu i tym niższy stopień trafień podczas pierwszej salwy, i na odwrót…

Tej lekcji udzielił młodym pancerniakom dorosły oficer rok temu i jego słowa nadal brzmiały w głowie Wang Rana, chociaż teraz czuł, że to wszystko było gówno warte. Teraz to on mógłby być instruktorem tamtego pułkownika, ponieważ ów pułkownik nigdy nie uczestniczył w prawdziwej walce czołgów; w przeciwnym razie przekazałby Wang Ranowi i innym trochę bardziej pożytecznych informacji. Owszem, pułkownik wspomniał,

że zmodyfikowany system kierowania ogniem abramsa zwiększał skuteczność trafień pierwszych strzałów na odległość powyżej jednej mili do siedemdziesięciu ośmiu procent, ale nie pojmował, jakie miało to rzeczywiste skutki. Natomiast Wang Ran to zrozumiał. Cel, który przyświecał jemu i jego młodym braciom broni przy wstępowaniu do dywizji pancernej – zostać bohaterem z jak największą liczbą zniszczonych czołgów na rozkładzie – był najlepszym dowcipem na świecie. Teraz ich jedynym celem było trafienie jednego czołgu wroga, zanim sami zostaną zniszczeni, bo wtedy nie straciliby na tej wymianie. Nie był to w żadnym razie łatwy cel; gdyby udało się to osiągnąć każdemu chińskiemu czołgowi, nie przegraliby w tej grze.

Obie strony wypuściły flary, które rozświetliły otoczenie na zielono. Wang Ran patrzył przez celownik na żółtawą mgłę, obłok kurzu wzbity przez jednostkę 105 z lewej strony z przodu. Nagle żółtą mgłę w jego polu widzenia zmienił na czerwoną błysk ognia. Mgła opadła i Wang Ran zobaczył, że jednostka 108 zwalnia, ciągnąc za sobą wstęgę dymu i ognia, a potem zostaje daleko w tyle. Z prawej strony z przodu stanął w ogniu drugi czołg i też został z tyłu. Wang w ogóle nie usłyszał strzałów, którymi zostały trafione te dwa czołgi. Nagle wprost przed nimi wzbił się w górę słup piasku, a kiedy w niego wjechali, na pancerz ich pojazdu posypały się z grzechotem kamienie i fragmenty skorupy pocisku. Strzał pociskiem przeciwpancernym o dużej prędkości, stabilizowanym brzechwami, był niecelny. Teraz jego czołg znalazł się na przedzie ich formacji i Wang usłyszał w słuchawkach głos podpułkownika dowodzącego ich batalionem:

– Cele rozpoznane wprost przed nami! Strzelajcie wedle uznania!

Kolejna brednia. Tak jak w poprzednich starciach nigdy nie podają ci informacji, których potrzebujesz, tylko duperele. Czołg zwolnił, ewidentnie po to, by Wang mógł strzelić. Spojrzał przez wizjer i w świetle flar zobaczył

obłoki kurzu przesłaniające niebo na horyzoncie, a potem u ich podstawy czarne punkty. Nastawiał ostrość, dopóki punkty te nie przekształciły się w abramsy. Odniósł wrażenie, że w niczym nie przypominają one tego, co widział na zdjęciach, gdzie wyglądały jak dwie zespawane ze sobą potężne, kwadratowe, żelazne sztaby. Tutaj, ciągnąc za sobą obłoki kurzu, wydawały się mniejsze. Uchwycił jeden z nich w siatkę celowniczą i wepchnął przycisk, zatrzymując ją na nim i zmieniając M1A2 w magnes przyciągający pocisk kalibru 120 mm z gładkolufowej armaty, tak by bez względu na to, czy czołg zakołysze się lub wjedzie w dół, lufa pozostawała uparcie skierowana na cel jak igła kompasu. Nacisnął spust i ujrzał ogień tryskający z lufy i kurz rozpędzony przepływem powietrza. Potem pocisk eksplodował w oddali, buchnął ogień i dym. Wybuch nie wzbił w górę kurzu, więc Wang Ran wiedział, że czysto trafił. Dymiący abrams sunął dalej, ale było jasne, że niebawem stanie.

Przesunął celownik, by uchwycić następny cel, ale z zewnątrz dobiegł ogłuszający huk. Jego hełm i słuchawki były wspaniale wygłuszone, ale wiedział, że huk musiał być potężny, bo całe jego ciało było jak sparaliżowane. Celownik pociemniał i Wang nagle poczuł, że jego nogi tkwią w jakimś ukropie, jak wtedy, kiedy ojciec wsadził go do wanny z gorącą wodą. Ale podczas gdy wtedy to uczucie szybko minęło, teraz jeszcze bardziej się nasiliło. Spojrzał w dół i zobaczył, że znajduje się w piekle – cała dolna część kabiny stała w płomieniach. Automatycznie włączyły się gaśnice, napełniając wnętrze mgłą tłumiącą ogień. W tym momencie Wang Ran zdał sobie sprawę, że pod jego stopami znajduje się jakiś czarny, podobny do gałęzi, drgający przedmiot. Była to okopcona przez ogień ręka. Chwycił ją i pociągnął. Nie wiedział, czy należy do kierowcy czy do ładowniczego, ale żaden z nich nie był taki lekki. Szybko poznał tego powód – wyciągnął tylko górną część ciała. Cała była

osmalona, a dolną część klatki piersiowej nadal spowijały płomienie. Zatrzęsła mu się dłoń i zwęglone resztki zsunęły się z powrotem. Wciąż nie mógł się zorientować, czyje to były zwłoki ani dlaczego ręka nadal drgała. Otworzył właz i najszybciej jak mógł wydostał się z wraku. Czołg nadal sunął naprzód, więc stoczył się z jego tyłu i ciężko runął na ziemię, otoczony chmurą dymu.

Kiedy wiatr rozwiał dym, Wang Ran zobaczył, że czołg już znieruchomiał. Z jego wnętrza nadal wydobywał się ogień. Teraz Wang już wiedział, że został trafiony przez pocisk z ładunkiem kumulacyjnym, który przechodzi przez pancerz w postaci strumienia metalu o wysokiej temperaturze i zmienia czołg w palenisko. Ruszył do tyłu, mijając inne płonące czołgi. Strzępy spalonych spodni spadły mu z nóg. Odwrócił się na odgłos głuchego uderzenia za sobą – jego czołg eksplodował i był teraz kulą ognia i dymu. Intensywny ból w nogach zmusił go, by usiadł na ziemi, otoczony wybuchami i płomieniami, pod zorzą polarną, którą przesłaniał gęsty dym. Poczuł zimny wiatr i w jego głowie znowu odezwały się echem słowa pułkownika instruktora:

– …starcia grup czołgów są bardziej skomplikowane. Naszą grupę i grupę nieprzyjaciela można ująć w kategoriach matematycznych jako dwie macierze, a cały przebieg bitwy jako wynik pomnożenia tych macierzy…

Bzdura. Kompletna bzdura. Nawet teraz Wang Ran nie miał pojęcia, jak mnoży się macierze. Rozglądając się po polu bitwy, dokładnie liczył zniszczone czołgi obu stron. Trzeba było obliczyć względny współczynnik uszkodzeń.

Trzy dni później, nadal kuśtykając na zranionej nodze, Wang Ran wsiadł do trzeciego czołgu, tym razem jako kierowca. Dotarli na miejsce gry przed świtem. Wzdłuż długiego ceglanego muru stała ponad setka czołgów, czekając na sygnał do rozpoczęcia zawodów w rozbijaniu murów. Po komendzie „start!” mieli, podobnie jak ich przeciwnicy, których pojazdy stały wzdłuż drugiego, oddalonego o dziesięć metrów muru, obalić mur i ruszyć na siebie. Ta dyscyplina wymagała szybkiego refleksu, a kluczem do zwycięstwa był szyk ataku, nie umiejętności strzeleckie, bo kiedy dojdzie do strzelania, nie trzeba nawet będzie celować. Instruktorzy w erze powszechnej nie byliby sobie w stanie wyobrazić, że szkoleni przez nich czołgiści będą otwierać ogień do nieprzyjaciela z odległości zaledwie kilku metrów, a tym bardziej że rozkaz do ataku zostanie wydany przez szwajcarskiego sędziego oglądającego przebieg bitwy z wiszącego wysoko helikoptera.

Przez kilka godzin całym światem zewnętrznym, który Wang Ran mógł dojrzeć przez przednie okienko czołgu, był mur. W tańczącym w górze świetle zorzy polarnej mur ukazywał się na przemian wyraźnie i niewyraźnie. Wang Ran oglądał jego najdrobniejsze szczegóły, aż po ostatnie pęknięcie cegły i po ostatnią cementową spoinę, radując się grą świateł i cieni rzucanych przez zorzę, której nie widział. Po raz pierwszy odkrył, że na świecie jest tak wiele rzeczy godnych podziwu, i przyrzekł sobie, że jeśli wyjdzie z tej gry żywy, będzie się nimi rozkoszował jak dziełem malarstwa.

Pięciogodzinną ciszę w słuchawkach przerwał rozkaz do ataku. Rozległ się tak nagle, akurat w chwili, gdy Wang uważnie studiował wzór pęknięć w trzynastej cegle w czwartym rzędzie od góry, że chłopiec na sekundę zamarł. Ale po tej jednej sekundzie wcisnął pedał gazu i ogromna stalowa bestia skoczyła naprzód, by razem z pozostałymi rozwalić mur. Pośród

pryskających szczątków cegieł i tumanów kurzu zorientował się, że znalazł się już w formacji wroga. Podczas krótkiej chaotycznej bitwy, w stałym huku wystrzałów z gładkolufowych armat i wybuchów pocisków, w oślepiających błyskach na zewnątrz, w zapachu prochu, przy szybkich obrotach wieży nad nim i zgrzycie ładowarki pocisków, wiedział, że działonowy powinien jedynie strzelać jak najszybciej we wszystkie strony, nie mogąc ani nie musząc celować. Szaleńcza strzelanina trwała niespełna dziesięć sekund, potem rozległ się potworny grzmot i świat przed oczami Wanga eksplodował.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał w polowej stacji pierwszej pomocy. Obok niego stał reporter gazety wojskowej.

– Ile czołgów zostało z naszego batalionu? – zapytał słabym głosem Wang Ran.

– Ani jeden – odparł reporter.

Wang powinien był wiedzieć. Niewiele brakowało, by to starcie stało się rekordem świata w bitwach oddziałów pancernych.

– Ale muszę ci pogratulować – dodał reporter. – Jeden do jednego i dwóch dziesiątych! Po raz pierwszy udało się nam odwrócić względny współczynnik uszkodzeń! Twój czołg zniszczył dwie z ich maszyn: leclerca i challengera.

– Zhang Qiang jest niezwykły – powiedział Wang Ran, kiwając głową, mimo rozdzierającego mu czaszkę bólu, w uznaniu zasług działonowego jego czołgu.

– Ty też. Tylko jeden został zniszczony strzałem. Ty trzepnąłeś drugi samym rozpędem!

Wang Ran znowu zrobił się senny z powodu upływu krwi i odpłynął z rozbrzmiewającym mu w uszach niczym walenie ulewy o metalowy dach

echem szaleńczej strzelaniny. Ale w oczach miał wciąż tylko te abstrakcyjne wzory na ceglanym murze.

Dowódca dywizji pancernej Wang Rana stał na niskim wzgórzu i patrzył, jak wytaczają się jego bataliony. Kiedy stalowa linia dotarła do pozycji wroga i czołgi włączyły generatory dymu, widział tylko jego białą chmurę. Rozległa się seria wybuchów i chociaż z miejsca, gdzie stał, nie mógł dostrzec czołgów przeciwnika, widział eksplozje pocisków wystrzeliwanych w kierunku jego pojazdów, które tworzyły w chmurze dymu oślepiające świetlne kule. Czasami wśród tej mgły mignęła jakaś sylwetka. Trzynastoletni dowódca nagle uświadomił sobie, że już kiedyś widział coś podobnego. Przypomniało mu się, jak rankiem pierwszego dnia Święta Wiosny odpalił ognie sztuczne i tak go to przestraszyło, że rzucił całą ich wiązkę na ziemię, gdzie zaczęły z trzaskiem wybuchać i wysyłać w unoszące się kłęby dymu setki drobnych błysków…

Ale starcie nie trwało nawet tak długo jak tamte ognie sztuczne, choć prawdę mówiąc, dowódcy wydawało się, że ciągnęło się dłużej. Potem dowiedział się, że było to w istocie zaledwie dwanaście sekund. W tym krótkim czasie, wystarczającym do zrobienia sześciu oddechów, została unicestwiona ostatnia dywizja, która mu pozostała. Tkwiły przed nim w płomieniach typy 99, które w rzednącym dymie wyglądały jak pochodnie pod zasłoną z gazy.

– Jaki jest współczynnik uszkodzeń? – zapytał dowódca stojącego obok niego oficera sztabowego, nie mogąc zapanować nad drżeniem głosu. Znalazł się na skrzyżowaniu dróg między niebem i piekłem, jak duch pytający Boga, którą z nich ma obrać.

Sztabowiec zdjął słuchawki i podał mrożącą krew w żyłach liczbę, którą osiągnęli kosztem życia ponad setki dzieci:

– Jeden i trzy dziesiąte do jednego.

– Możliwe do przyjęcia. Nie przekracza limitu – powiedział dowódca i wziął głęboki oddech. Wiedział, że w oddali płoną też niewidoczne ze wzgórza czołgi wroga w liczbie dziesięciu trzynastych jego sił. Gra nadal trwała, ale on wykonał swoje zadanie, utrzymując współczynnik uszkodzeń poniżej limitu.

Podporucznik Wei Ming, jeden z kolegów z klasy Huahui, wraz ze swoim plutonem wziął udział w podkategorii broni ciężkiej obejmującej walkę piechoty z czołgami. W odróżnieniu od podkategorii broni lekkiej, w której żołnierze musieli ograniczyć używanie broni przeciwpancernej do granatów, w tej dyscyplinie mogli oni korzystać z rusznic przeciwpancernych i przeciwczołgowych pocisków kierowanych. Nie było im jednak ani trochę łatwiej, bo podczas gdy w tej drugiej grze występował pluton przeciwko jednemu czołgowi, oni musieli stawić czoło trzem ciężkim lub pięciu lekkim czołgom naraz.

Dzisiaj miał się odbyć mecz o wyjście z grupy, więc Wei Ming i jego młodzi towarzysze ślęczeli całą noc nad planami bitwy. Poprzedniego dnia obserwowali, jak drugi pluton ich kompanii radzi sobie z najnowocześniejszymi w kraju pociskami przeciwpancernymi, HJ-12, nad którymi rozpływali się z zachwytu ich dorośli instruktorzy, wychwalając zwłaszcza trzy wykorzystywane w nich typy naprowadzania, włącznie z dopasowywaniem wzorów wizualnych. Tymczasem podczas meczu tory trzech wystrzelonych przez drugi pluton pocisków zostały zmienione przez wroga i przeżyło tylko trzech żołnierzy. Resztę skosiły karabiny

maszynowe i armaty trzech leclerców. Czołgi M1A2, przeciw którym miał teraz ruszyć pluton Wei Minga, miały jeszcze potężniejsze systemy zakłócające, więc zdecydowali się użyć przestarzałych, kierowanych przewodowo pocisków HJ-73. Miały one krótszy zasięg, ale były odporne na zakłócenia, a ich głowice zostały wzmocnione tak, by zwiększyć zdolność przebicia pancerza z trzystu do ośmiuset milimetrów grubości.

Teraz przygotowania się zakończyły. Trzy pociski przeciwpancerne ustawiono w małej bazie w jednej linii. Wyglądały nie groźniej niż pomalowane na biało kołki. Indyjski sędzia po ich stronie dał machnięciem ręki znak, że gra się rozpoczęła, po czym pomknął za osłonę worków z piaskiem i skierował na nich lornetkę. Walka piechoty z czołgami była dla sędziów niełatwym zadaniem; dwóch już zginęło, a pięciu zostało rannych.

Wei Ming obsługiwał jedną z trzech wyrzutni. Podczas ćwiczeń w czasach dorosłych, dzięki zamiłowaniu do zabaw z kamerą wideo w domu, uzyskał najwyższą ocenę w tej dyscyplinie. Obsługa wyrzutni polegała na trzymaniu od początku do końca celu w siatce celowniczej i naprowadzaniu na niego lecącego pocisku.

Na horyzoncie pojawił się kurz i Wei Ming zobaczył przez lornetkę dużą grupę czołgów. Ponieważ tego dnia w rozgrywkach brał udział cały pułk piechoty, wszystkie M1A2 oprócz trzech atakowały inne cele. Wei Ming szybko wyłuskał te trzy, które były już na wyznaczonej wcześniej drodze. Z takiej odległości ich małe kształty wcale nie wydawały się przerażające.

Opuścił lornetkę i położył się obok wyrzutni, by śledzić w wizjerze jeden z czołgów. Trzymał w siatce celowniczej czarną plamkę niewyraźnie widoczną przez kurz. Gdy nabrał pewności, że znalazła się w wynoszącym trzy tysiące metrów zasięgu strzału, nacisnął spust i pocisk wyleciał ze świstem, ciągnąc za sobą przewód kierujący. Wei Ming usłyszał jeszcze dwa świsty, kiedy zostały odpalone następne pociski. Potem z przodu trzech

M1A2 błysnął ogień, jakby otwierały oczy, i dwie czy trzy sekundy później z ich prawej strony i z tyłu uderzyły pociski, rozległo się kilka ogłuszających wybuchów i na pluton spadł grad kamieni i ziemi. Potem nadleciały następne pociski i Wei Ming mimowolnie zakrył głowę rękami. Szybko ochłonął, ale kiedy spojrzał w wizjer, zobaczył tylko kołyszący się niepewnie horyzont. Zanim znowu znalazł cel i nastawił na niego siatkę, zobaczył, że z prawej strony czołgu wznosi się słup piasku, i wiedział już, że chybił. Spojrzawszy ponad wizjerem, dostrzegł za czołgami dwa inne słupy piasku, co oznaczało, że żaden z trzech pocisków nie trafił. Czołgi nacierały na nich; ich załogi wyraźnie uznały, że bez pocisków przeciwpancernych baza nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. Gra przeistoczyła się w podkategorię broni lekkiej, tyle że pluton znalazł się w obliczu nie jednego, lecz trzech czołgów.

– Przygotować granaty przeciwczołgowe! – krzyknął Wei Ming, biorąc jeden ze swoich i kuląc się w odłamkach skorup pocisków. Granat z materiałem magnetycznym był ciężki.

– Jak się to robi? Nie uczyłem się tego! – powiedział zdenerwowany chłopak obok niego.

Rzeczywiście nigdy ich tego nie uczono, bo dorośli nie wyobrażali sobie, że ich podopieczni będą szli na najgroźniejsze na świecie czołgi uzbrojeni tylko w granaty ręczne.

Kiedy trzy stalowe bestie się zbliżyły, Wei Ming czuł pod stopami wywołane przez nie wibracje ziemi. Pochylił się, gdy nad jego głową huknęła seria z karabinu maszynowego i musiał ocenić odległość dzielącą go od czołgów. Gdy zdał sobie sprawę, że wtaczają się do bazy, poderwał się, cisnął granat w środkowy czołg i w tej samej chwili zobaczył błysk z lufy karabinu maszynowego naprzeciw siebie. Obok jego ucha bzyknęła kula. Granat zatoczył w powietrzu łuk i przylgnął do boku wieży M1A2,

nieco przed wyrzutnią granatów dymnych, co tak przestraszyło amerykańskiego chłopca obsługującego karabin maszynowy, że aż cofnął się w głąb wieży. Inni chłopcy z plutonu Wei też rzucili granaty, z których część przywarła do pancerzy, a część padła obok czołgów. Chłopak obok niego osunął się na ziemię za okopem z ziejącą raną w plecach, upuszczając granat, który potoczył się dwa czy trzy metry dalej. Nie eksplodował; być może chłopak zapomniał wyciągnąć zawleczkę. Pozostałe granaty wprawdzie wybuchły, ale czołgi przetoczyły się wśród płomieni nad transzejami nawet niedraśnięte. Wei Ming wyskoczył ze swojego okopu i przeturlał się w bok, umykając przed zbliżającą się gąsienicą, ale wielu jego kolegów zostało zmiażdżonych. Potem jeden z czołgów przechylił się z ogłuszającym trzaskiem nad transzeją i stanął, bo rozjechał chłopca w trakcie rzucania granatem, który wybuchł, rozrywając gąsienicę i wyrzucając jedno z kół w powietrze.

Oddalony sędzia dał zielony sygnał, oznaczający koniec gry. Wieża abramsa otworzyła się ze szczękiem i wyłonił się z niej amerykański chłopiec w hełmie, ale na widok wycelowanego w niego pistoletu maszynowego Wei Minga znowu zanurkował do środka, wystawiając tylko pół głowy, i krzyknął przez translator:

– Przestrzegajcie reguł, Chińczycy! Gra się skończyła. Przestańcie walczyć!

Gdy Wei Ming opuścił broń, wyszedł z włazu, a tuż za nim trzech innych chłopców. Zsunęli się na ziemię i stanęli z dłońmi na pistoletach u pasów, spoglądając czujnie na ocalałe chińskie dzieci. Potem skierowali się w stronę bazy amerykańskiej. Ostatni chłopiec, z translatorem wiszącym na szyi, odwrócił się do Wei Minga, zasalutował i powiedział coś, co urządzenie przetłumaczyło jako:

– Jestem porucznik Morgan. Wszyscy dobrze graliście, poruczniku.

Wei Ming zrewanżował mu się salutem, ale nie rzekł ani słowa. Nagle zauważył jakiś ruch na piersi Morgana – zza kurtki dywizji pancernej chłopaka wysunął głowę kot i miauknął. Morgan wyjął go i pokazał Wei Mingowi.

– To Arbuz, maskotka naszej załogi.

W oczach Wei Minga pręgi na futrze kota rzeczywiście upodobniały go do arbuza.

Porucznik Morgan jeszcze raz zasalutował, odwrócił się i odszedł.

Wei Ming stał nieruchomo, patrząc na drgający w świetle zorzy polarnej antarktyczny horyzont. Po długiej chwili podszedł powoli do skraju transzei i swoich dwóch zmiażdżonych towarzyszy, usiadł na mokrej ziemi i wybuchnął płaczem.

Major Jin Yunhui, trzeci z kolegów z klasy Huahui i Okularnika, był pilotem myśliwca Pierwszej Dywizji Powietrznej Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, która brała teraz udział w walce myśliwców. Jego dywizjon J-10 leciał w szyku bojowym na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Widoczność była znakomita i kabinę zalewało światło zorzy polarnej. Ich przeciwnicy, dywizjon F-15, lecieli równo z nimi, oddaleni zaledwie o trzy tysiące metrów. Jin Yunhui usłyszał w uchu sygnał rozpoczynający grę.

– Odrzucić zbiorniki paliwa i wznieść się na dużą wysokość! – rozkazał dowódca dywizjonu.

Jin Yunhui przesunął w dół przełącznik odłączenia zbiornika paliwa w rogu tablicy przyrządów kontrolno-pomiarowych i szarpnął dźwignię do tyłu, kierując samolot ostro w górę. Od siły przeciążenia pociemniało mu w oczach. Kiedy zaćmienie minęło, stwierdził, że jego formacja oderwała się od formacji wroga, a wokół panuje chaos. Wyrównał lot, ale nie było

mowy, by kogokolwiek zaatakował; mógł tylko starać się unikać kolizji z innymi samolotami, zarówno swoimi, jak i nieprzyjacielskimi. Ta sytuacja nie trwała długo i po chwili znalazł się w przestrzeni, gdzie było dużo puściej. Wezwał przez radio swego skrzydłowego, ale nie uzyskał odpowiedzi. Potem w świetle zorzy polarnej zobaczył przed sobą srebrzystą plamkę i szybko potwierdził, że jest to F-15. Jego pilot zdawał się czegoś szukać, ale widać było, że nie odkrył J-10 Jin Yunhuiego. Kiedy ten ostrożnie skracał dystans, ujrzał, że wrogi myśliwiec, najwyraźniej zauważywszy jego obecność, wzbija się nagle w górę i robi ostry zwrot. Jin Yunhui wystrzelił dwa pociski, ale F-15 wypuścił dwie flary magnezjowe, a potem skręcił w bok, by odlecieć od dwóch smug dymu. Zanurkował za nim, znowu wziął go na celownik i odpalił jeszcze dwa pociski, ale tamten łotr i tym razem zdołał się wywinąć. Nacisnął spust działek i poczuł lekkie wibracje, gdy oba zaczęły pluć ogniem, a kiedy przeciwnik wykonał unik w lewo, wyraźnie zobaczył, jak pociski smugowe przechodzą przez część ogonową F-15, i nawet wydało mu się, że widzi obłoczek dymu wylatujący z miejsca uderzenia. Jego radość była krótkotrwała – F-15 leciał dalej, jakby nic mu się nie stało. Jin Yunhuiemu szybko wyczerpała się amunicja i był bezbronny. W tej sytuacji jedynym wyjściem była ucieczka. Uświadomił sobie, że przeciwnik przewyższa go wyszkoleniem, i zdjął go strach. Przez chwilę leciał na oślep, skręcając to w prawo, to w lewo i nie zważając na pozycję wrogiego myśliwca, a potem nigdzie nie mógł go dostrzec. Kiedy skrzek radaru ostrzegł go przed tropiącym go pociskiem, wykonał ostatni manewr, by uniknąć trafienia, ale zrobił to zbyt szybko jak na swoje umiejętności, więc samolot wszedł w korkociąg i runął w dół jak kamień. Jin Yunhui bez wahania nacisnął włącznik katapulty, bo nigdy nie słyszał, by młodocianemu pilotowi udało się wyprowadzić ponaddźwiękową maszynę z korkociągu. Kiedy został wystrzelony z kabiny

i nad jego głową otworzył się spadochron, rozejrzał się w poszukiwaniu wrogiego myśliwca i zobaczył, że tamten leci prosto na niego – po to, by przestrzelić jego spadochron albo go przeciąć. Żadne z tych działań nie było niezgodne z regułami gry, więc w każdym przypadku czekała go śmierć. Ale wtedy zdarzył się cud: z tyłu F-15 wyskoczył biały przedmiot – spadochron hamujący! Pęd powietrza i wyziewy silnika rozerwały go w mig na strzępy, ale zdołał spowolnić lot myśliwca na tyle, by on też wszedł w korkociąg. Jin Yunhui zobaczył, że z kokpitu katapultuje się i otwiera spadochron amerykański chłopiec. Podnieśli obaj ku sobie kciuki; on zrobił to w stu procentach szczerze. Nie dorównywał tamtemu chłopakowi umiejętnościami, a uwolnienie spadochronu hamującego nie było błędem wynikającym z niedbałości; spadochrony te były zamknięte podczas szybkiego lotu. Spadochron otworzył się dlatego, że Jin Yunhui przestrzelił jego pomieszczenie na rufie myśliwca.

Niedługo potem na czarno-białym terenie pod sobą zobaczyli dwie kule ognia.

Walki odbywające się na kontynencie antarktycznym miały bezprecedensową formę i było nieprawdopodobne, by taką samą postać mogły przybrać jakiekolwiek zmagania w przyszłości. Były to igrzyska wojenne prowadzone na wzór zawodów sportowych. Naczelne dowództwo obu stron ustalało czas i miejsce bitwy, określało siły każdej z nich i wybierało lub tworzyło reguły walki, do których wszyscy się stosowali. Później walczono zgodnie z tymi ustaleniami, a bezstronni sędziowie obserwowali przebieg bitwy i decydowali o tym, kto zwyciężył. Wszystkie strony uczestniczące w igrzyskach miały równy status, nie tworzyły sojuszy i walczyły ze sobą po kolei. Poniżej przytoczony jest zapis rozmowy

między naczelnymi dowództwami dwóch państw ustalającymi zasady turnieju.

Państwo A: Cześć, B.

Państwo B: Cześć.

Państwo A: Określmy zasady następnej rozgrywki pancernej. Jak będziemy jutro grać?

Państwo B: Może jeszcze jedno starcie czołowe?

Państwo A: Dobrze. Ile maszyn wystawiacie?

Państwo B: No, sto pięćdziesiąt.

Państwo A: To za dużo. Jutro część naszych maszyn bierze udział w walce czołgów z piechotą. Powiedzmy sto dwadzieścia.

Państwo B: W porządku. Odpowiada wam Arena 4?

Państwo A: Arena 4? Nie najlepsza. Odbyło się tam już pięć starć czołowych i trzy walki na krótki dystans, z przewracaniem murów, i teraz cały teren usłany jest wrakami.

Państwo B: Wraki mogą posłużyć obu stronom za osłonę. Doda to trochę zmiennych i urozmaici grę.

Państwo A: To prawda. A więc niech będzie Arena 4. Ale muszą się trochę zmienić zasady.

Państwo B: Tym mogą się zająć sędziowie. Jaki czas ustalamy?

Państwo A: Zacznijmy o dziesiątej. Dzięki temu i wy, i my będziemy mieli dosyć czasu, by się zebrać.

Państwo B: Wspaniale. No to do jutra.

Państwo A: Do jutra!

Po dokładnym przemyśleniu można dojść do wniosku, że taka forma wojny nie jest całkowicie niewytłumaczalna. Reguły i uzgodnienia dowodzą, że został stworzony pewien system, a każdy system popada z czasem w inercję; naruszenie zasad przez jedną stronę pociąga za sobą jego upadek, co ma nieprzewidywalne skutki. Kluczowe jest to, że taki system prowadzenia wojny mógł zostać stworzony tylko w świecie dzieci,

w którym przeważa myślenie o grach i zabawach, i nie mógłby powstać w świecie dorosłych.

Gdyby jakiś człowiek z ery powszechnej był świadkiem igrzysk wojennych, tym, co najbardziej by go zdumiało, nie byłaby wcale ich forma podobna do zawodów sportowych, bo takie wojny można by znaleźć, choć nie w tak jaskrawej postaci, w dawnych czasach, kiedy do walk używano broni białej. Nie, ktoś taki byłby niewątpliwie zaskoczony, a nawet zszokowany, rolami granymi przez państwa, które brały w niej udział. Wrogów ustalano według kolejności gry. W późniejszych czasach mawiano o „sportowym charakterze" stron rywalizujących ze sobą w bitwach toczonych w sposób niespotykany wcześniej w dziejach ludzkości.

Inną charakterystyczną cechą igrzysk wojennych była specjalizacja walk. Każda bitwa była starciem z użyciem tylko jednego, najwyżej dwóch, rodzajów broni. Integracja sił i ich wspólne działania praktycznie nie istniały.

Niedługo po otwarciu olimpiady wojna lądowa przekształciła się w wielką bitwę czołgów. Były one ulubioną bronią dzieci i nic nie pobudzało fantazji chłopców bardziej niż czołg. W erze dorosłych żaden prezent nie cieszył chłopca tak jak kierowany pilotem model czołgu. Po wybuchu wojny przenieśli swoją fascynację na prawdziwe czołgi i rzucali je na pole bitwy bez opamiętania. W sumie wszystkie państwa uczestniczące w igrzyskach sprowadziły ich na Antarktydę prawie dziesięć tysięcy i potem brały one udział w bojach na ogromną skalę, przy czym w każdej walce stawały naprzeciw siebie setki, a nawet tysiące tych maszyn. Grupy stalowych potworów pędziły, strzelały i płonęły na otwartej równinie Antarktydy. Gdziekolwiek się spojrzało, wszędzie leżały szczątki zniszczonych czołgów. Niektóre paliły się przez dwa albo trzy dni, a gdy osłabł wiatr, z kup wraków na całej równinie unosiły się wysokie słupy

dziwnego czarnego dymu. Z daleka wyglądało to tak, jakby ląd porastały zmierzwione włosy.

W porównaniu z ogromem i brutalnością bitew pancernych walki powietrzne były znacznie mniej ekscytującym zajęciem. Pojedynki myśliwców powinny być najbardziej widowiskowe, ale młodociani piloci trenowali niespełna rok i nie wylatali nawet stu godzin na szybkich maszynach, co oznaczało, że opanowali w najlepszym razie tylko normalny start, lądowanie i płaski lot. Dla znakomitej większości z nich mistrzowskie umiejętności i sprawność fizyczna niezbędne do walki powietrznej były po prostu nieosiągalne. Dlatego walki między przeciwstawnymi formacjami zaledwie się zaczęły, a już się kończyły, przy czym dużo więcej samolotów tracono wskutek wypadków niż w wyniku zestrzelenia. Podczas podniebnych pojedynków piloci większość uwagi poświęcali unikaniu kolizji i na atakowanie zostawało im niewiele energii. Poza tym wskutek dużej prędkości nowoczesnych myśliwców podczas walki pilot ulegał przeciążeniu rzędu sześciu, a przy unikaniu namierzenia radarem albo trafienia pociskiem samokierowanym nawet dziewięciu g, czego nie mogłyby wytrzymać delikatne naczynia krwionośne w dziecięcych mózgach. Zdarzały się oczywiście cudowne dzieci, jak amerykański as Carlos (pilot F-15, któremu udało się dwukrotnie wykonać unik przed pociskiem samokierowanym), ale były to nieliczne wyjątki i można było ze spotkania z nimi w powietrzu ujść z życiem, jeśli się ich nie prowokowało.

Jeszcze mniej ekscytująco było na morzu. Wskutek położenia geograficznego Antarktydy oceaniczne linie dostawcze były arteriami życiowymi dla armii wszystkich państw. Przecięcie takiej arterii byłoby najgorszą z możliwych klęsk i równałoby się porzuceniu dzieci na innej Ziemi. A zatem żeby zagwarantować ciągłość dostaw i transport, żaden kraj nie odważył się tego zaryzykować i dlatego podczas bitw morskich okręty

przeciwnych stron trzymały się od siebie z daleka, zwykle poza zasięgiem wzroku. Ataki z takiej odległości wymagały zaawansowania technicznego, ale systemy z ogromnymi pociskami balistycznymi miały w rękach dzieci niewielką skuteczność rażenia. Kilka uderzeń rzeczywiście trafiło w cel, ale podczas igrzysk zatopiono zaledwie kilka statków transportowych. Tak samo działo się pod wodą. Prowadzenie strukturalnie skomplikowanych okrętów podwodnych przez mroczne głębiny jedynie w oparciu o sonary podczas zabawy z wrogiem w kotka i myszkę było grą, która wymagała wielkiego doświadczenia i najwyższych umiejętności, a w tak krótkim czasie dzieci nie zdołały nabyć ani jednego, ani drugiego. Podobnie jak walki powietrzne, walki okrętów podwodnych się nie udały. Podczas całych igrzysk ani jedna torpeda nie trafiła w cel. Poza tym ponieważ na Antarktydzie nie było żadnej bazy okrętów podwodnych, a budowa takiej była bardziej skomplikowanym zadaniem niż utworzenie prowizorycznego portu dla okrętów nawodnych, wszystkie państwa musiały korzystać z baz logistycznych w Argentynie lub Oceanii. Okręty podwodne o napędzie konwencjonalnym nie były przystosowane do długiego pobytu na Oceanie Południowym, a tylko kilka krajów miało okręty o napędzie jądrowym. Podczas igrzysk zatonął tylko jeden okręt o napędzie konwencjonalnym, a i to wskutek awarii.

Tak więc większość walk koncentrowała się na lądzie, który zobaczył niemało osobliwych i nieznanych historii wojen form walki.

Pojedynki artyleryjskie w podkategorii haubic nie były szczególnie trzymającymi w napięciu wydarzeniami. Sędziowie podawali obu stronom precyzyjne współrzędne i po komendzie „start!” zaczynały się one bezlitośnie ostrzeliwać. W pierwszej rundzie strony namierzały cel przed

komendą, skutkiem czego obie ponosiły straty. Zmieniono zatem reguły tak, by pod nadzorem sędziów działa były skierowane w inną stronę i dopiero po komendzie załogi zaczynały celować. Tak jak w pojedynku na pistolety decydowała szybkość: celuj, strzelaj, a potem szybko opuść to miejsce (ponieważ działa o dużym kalibrze trudno było przesunąć, usunięcie ich ze stanowiska było niemożliwe). W tym momencie pocisk wystrzelony przez przeciwnika był już w powietrzu i tylko kilka sekund decydowało o przeżyciu lub śmierci. Potem jeszcze bardziej zmodyfikowano reguły – haubice ciągnięto na stanowiska ogniowe dopiero po rozpoczęciu gry. Ta zmiana jeszcze bardziej zwiększyła różnice między stronami walki i czasami jedna z nich nawet nie zdążyła skończyć się okopywać, gdy druga już zaczynała ją zasypywać pociskami z odległości pięciu kilometrów. Baterie stały się miejscami grozy, gdzie uczestnicy czuli się tak, jakby stali w przedsionku piekła. Dzieci nazwały tę grę „armatnim boksem”.

W porównaniu z tą dyscypliną w grach z użyciem artylerii samobieżnej, w których baterie przeciwników mogły zmieniać pozycje, było dużo więcej zmiennych. Wprawdzie dozwolone było używanie radaru balistycznego dla określenia kierunku, z którego nadlatywał pocisk, ale dzięki temu można było tylko określić pozycję wroga w chwili, gdy oddawał strzał; jego obecne stanowisko trzeba było oszacować na podstawie tego punktu wyjściowego, a potem metodą prób i błędów starać się go trafić, strzelając w różne strony i na różne odległości. Pewien młodociany dowódca artylerii tak opisał tę grę: „To było jak próba złowienia ościeniem ryby w mętnej wodzie, kiedy tylko mignęła w niej jej głowa”. Liczba trafień po obu stronach była beznadziejnie niska, ale kiedy dopuszczono możliwość korygowania ognia po rozpoznaniu powietrznym, znacznie wzrosła. Dzieci ochrzciły tę grę mianem „armatniej koszykówki”.

Moździerze były bronią piechoty, ale umieszczono je w kategorii gier artyleryjskich. Przeciwne strony dzieliło tylko tysiąc lub dwa tysiące metrów, widziały się więc wzajemnie, co czyniło tę grę szczególnie emocjonującą. Była ona zresztą jedną z dyscyplin wymagających największej sprawności fizycznej. Obsługa moździerzy była ciągle w biegu, starała się uniknąć nadlatujących pocisków i wykorzystać szansę na ustawienie działa, wymierzenie do tak samo uwijającego się przeciwnika i oddanie strzału. Gdy załogi moździerzy uwijały się na równinie, kurz i dym wzbijany przez wybuchy malował stale zmieniający się abstrakcyjny obraz. Dzieci nadały tej grze sugestywną nazwę: „moździerzowy futbol”.

Najstraszniejsze ze wszystkich były gry piechoty. Chociaż we wszystkich dyscyplinach z tej kategorii używano broni lekkiej, liczba ofiar była znacznie większa niż w innych grach. Największe gry polegały na wymianie ognia, a rozgrywano je w dwóch kategoriach: fortyfikacji i ataków.

W pierwszej z nich przeciwne strony strzelały do siebie z położonych w pewnej odległości umocnień, co mogło trwać nawet kilka dni. Jednak, jak odkryły dzieci, tkwienie na ufortyfikowanych pozycjach oznaczało niewielkie wystawienie na ogień przeciwnika, co minimalizowało skuteczność broni palnej i ograniczało śmiertelność. Obie strony zasypywały się tak gęstymi seriami, że pociski zderzały się ze sobą w powietrzu, a na stanowiskach strzeleckich puste łuski piętrzyły się do kolan, ale w ostatecznym rachunku każda z nich osiągała niewiele ponad poszatkowanie zewnętrznego pierścienia umocnień. A zatem przestawiono się na strzelanie z wyposażonych w precyzyjne celowniki optyczne karabinów snajperskich, co tysiąckrotnie zmniejszyło zużycie amunicji

i dziesięciokrotnie zwiększyło liczbę skutecznych trafień. Po wprowadzeniu tej modyfikacji reguł młodociani strzelcy wyborowi leżeli przez większość czasu bez ruchu, obserwowali pozycje przeciwnika, przeczesywali wzrokiem teren cal po calu, szukali czegoś, co nie pasowało do kamieni i płatów śniegu, i posyłali tam kulę. Przed linią strzelców ciągnęła się pusta ziemia; przez szeroką równinę nie przemykało żadne stworzenie, a dzieci kryły się w bunkrach. Charakterystyczny trzask karabinu snajperskiego i gwizd pocisku mknącego przez powietrze tylko potęgowały zimną ciszę pola bitwy, jakby gdzieś pod zorzą polarną samotny duch brzdąknął na cytrze. Również dla tej gry dzieci znalazły trafną nazwę – „wędkarstwo karabinowe”.

Zupełnie inaczej wyglądały gry z grupy ataków. Przeciwstawne strony nacierały na siebie nawzajem, zupełnie jak w dziewiętnastowiecznych wojnach lądowych, w których piechota uformowana w długie szeregi szła równym krokiem na wroga i strzelała. Tyle że gładkolufowe muszkiety z tamtego okresu nie umywały się pod względem zasięgu i precyzji ognia do współczesnej broni lekkiej, więc formacje dzieci były bardziej rozproszone i większość raczej czołgała się, niż szła czy biegła. Przy braku jakichkolwiek osłon liczba ofiar była dużo wyższa niż w kategorii fortyfikacji i walka nie trwała nawet w przybliżeniu tak długo.

Najbardziej fascynujące i najbardziej bezlitosne były walki z użyciem granatów, które też dzieliły się na kategorie fortyfikacji i ataków. W tych pierwszych umocnienia budowano przed rozpoczęciem gry, przy czym obie strony dzieliło zaledwie dwadzieścia metrów, odległość, na którą dziecko mogło rzucić granat. Po jej rozpoczęciu dzieci wychylały się ze schronów, rzucały pociski i z powrotem się chowały, by uniknąć tych nadlatujących ze strony przeciwnika. Najczęściej używano granatów trzonkowych, ponieważ miały dość dużą siłę rażenia i można je było rzucić dość daleko; jajowe

były dużo mniej powszechne. Ta gra wymagała dużej siły, odwagi i szczególnie mocnych nerwów. Po komendzie „start!” granaty sypały się jak grad i nawet w schronie szybkie tempo wybuchów mogło wystraszyć dziecko na śmierć, no i oczywiście powstrzymywało je przed przejściem do kontrataku. Decydującym czynnikiem była wytrzymałość schronów. Jeśli nieprzyjacielski granat przedziurawił dach lub oderwał jego część, było po wszystkim. Była to jedna z gier o najwyższej śmiertelności, a dzieci nazwały ją „siatkówką granatową”.

W kategorii ataków granatowych strony nie wykorzystywały żadnych umocnień. Stały naprzeciw siebie na rozległej równinie, a gdy się do siebie zbliżyły na odpowiednią odległość, zaczynały się obrzucać granatami. Potem rzucający padali na ziemię albo szybko uciekali z obszaru rażenia odłamkami. W tej grze najczęściej używano granatów jajowych, bo można było ich unieść więcej niż trzonkowych. To atakując, to uciekając, obie strony nieuchronnie się mieszały, a wtedy każdy po prostu ciskał swoje granaty w miejsce, gdzie był największy tłok. Wyglądało to jak scena z koszmarnego snu: po równinie zasnutej gęstym dymem i rozświetlonej ogniem eksplozji biegały i padały na nią tłumy dzieci, z których to jedno, to drugie wyciągało od czasu do czasu z torby i rzucało granat… Dzieci nazwały tę grę „futbolem granatowym”.

Mimo niewinnych nazw te gry należały do najbrutalniejszych form walki w historii. Nigdy wcześniej nie dochodziło podczas bitw do tak częstej wymiany ognia z bliskiej odległości, a liczba ofiar w poszczególnych rodzajach walki była najwyższa, jaką kiedykolwiek odnotowano. Na przykład w bitwach czołgów nawet zwycięska strona traciła co najmniej połowę maszyn. Pod koniec każdej gry na tej wojennej olimpiadzie krew

płynęła strumieniami. Jeśli chodzi o małych żołnierzy, byli pod każdym względem przygotowani na spotkanie z wiecznością.

Doprowadziło to później do odkrycia, że ludzie ery powszechnej zasadniczo mylili się w ocenie dzieci. Wojna w erze supernowej dowiodła, że przypisują one życiu mniejszą wartość niż dorośli, wskutek czego łatwiej godzą się ze śmiercią. Jeśli zaistniała potrzeba, potrafiły być bardziej bezwzględne, zimniejsze i okrutniejsze niż dorośli. Późniejsi historycy i psycholodzy byli zgodni co do tego, że gdyby ta okrutna, szalona wojna wybuchła w erze powszechnej, niewyobrażalna presja psychiczna doprowadziłaby wszystkich jej uczestników do zbiorowego załamania psychicznego. Wprawdzie niemała liczba dzieci uciekała przed rozpoczęciem bitwy, ale przypadki załamania psychicznego były rzadkie. Następne pokolenia nie mogły wyjść z podziwu nad siłą charakteru i bohaterstwem, jakimi odznaczała się większość na polu bitwy. Na przykład podczas gier w granaty pojawiły się dzieci określane mianem „odrzucaczy", które nigdy nie używały własnych granatów, ale podnosiły rzucone przez wroga i odrzucały je w jego stronę. Chociaż niewielu z nich udawało się przeżyć, uzyskanie miana „odrzucacza" uważano za zaszczyt. Wychwalała ich popularna wśród uczestników igrzysk pieśń:

Och, cóż za rozkosz być odrzucaczem tak wspaniałym jak ja!
Uwielbiam granaty ręczne i czyszczę z nich teren do cna.
Jestem szybki jak strzała i chwytam je, gdy dymią w błocie,
Jak Ali Baba w jaskini skarbów,
Ale… nie mam… zamiaru… dać się… posiekać… tej… hołocie!

Ze wszystkich dyscyplin rozgrywanych podczas olimpiady wojennej do najbardziej barbarzyńskich i przerażających należy zaliczyć walki na broń białą. Podczas takich starć obie strony biły się na bagnety oraz inną broń

kłującą i sieczną, co przywracało wojnie jej najpierwotniejszą formę. Poniżej przytaczamy opis przedstawiony przez młodocianego żołnierza, który wziął udział w jednej z takich gier.

Znalazłem w pobliżu skałę i po raz ostatni naostrzyłem mój bagnet na karabinie. Kiedy to robiłem wczoraj, zobaczył to dowódca drużyny i nagadał mi do słuchu. Powiedział, że bagnetów nie można ostrzyć, bo uszkadza to warstwę rdzoodporną. Nie przejąłem się tym i ostrzyłem dalej. Wydaje się, że ten bagnet nigdy nie będzie wystarczająco ostry. A poza tym i tak nie spodziewałem się, że przeżyję tę grę, więc po kiego diabła była mi potrzebna warstwa rdzoodporna?

Chłopcy z zespołu sędziowskiego sprawdzali nasze karabiny jeden po drugim, żeby mieć pewność, że nie są załadowane. Zabrali nam też zamki i przeszukali nas, żeby sprawdzić, czy nie mamy pistoletów albo innej broni palnej. Sprawdzono całą pięćsetkę chińskich dzieciaków, ale nic nie znaleziono, bo kiedy zaczęła się inspekcja, każdy z nas zakopał granat w śniegu pod stopami. Kiedy odeszli, odkopaliśmy je i wetknęliśmy za mundury. Nie próbowaliśmy złamać reguł, tyle że poprzedniego wieczoru przyszedł do nas potajemnie japoński kapitan i powiedział, że należy do grupy pacyfistów i że japońskie dzieci planują użyć w walkach na broń białą jakiejś strasznej broni. Zapytaliśmy go, co to za broń, ale nie chciał nam powiedzieć. Dodał tylko, że nigdy byśmy się nie domyślili i że jest naprawdę straszliwa. Radził nam, byśmy się mieli na baczności.

Po rozpoczęciu gry formacje piechoty obu stron zaczęły iść ku sobie. W blasku zorzy polarnej tysiąc bagnetów lśniło jak lód i wyraźnie pamiętam wycie wiatru nad niestopniałym śniegiem, które brzmiało jak jakaś smutna pieśń wojenna.

Znajdowałem się na tyłach formacji, ale ponieważ byłem na skrzydle, miałem dobry widok na to, co się działo z przodu, i widziałem Japończyków stopniowo zbliżających się do nas. Nie mieli na głowach stalowych hełmów, lecz białe opaski, i śpiewali podczas natarcia. Widziałem w ich rękach karabiny z osadzonymi na nich bagnetami, ale nie widziałem tej strasznej broni, przed którą ostrzegł nas tamten kapitan poprzedniego wieczoru. Nagle wróg zmienił szyk, przechodząc w kolumny oddzielone jedna od drugiej o mniej więcej dwa kroki i tworząc w ten sposób korytarze przebiegające przez całą formację. Potem ujrzałem kłęby śniegu i piachu unoszące się za nimi i przedzierającą się przez nie jak potop hordę jakichś czarnych

obiektów. Słyszałem skowyt, a kiedy lepiej się przyjrzałem, zmroziło mi krew w żyłach.

Była to ogromna sfora psów bojowych.

Psy przebiegły przez oddział wroga i w mgnieniu oka dopadły nasz. Połowa czoła naszej formacji była w nieładzie i słyszałem przeraźliwe wrzaski. Nie mogłem rozpoznać rasy tych psów, ale były ogromne, wyższe ode mnie i piekielnie zajadłe. W wyniku walki dzieci z psami ziemia na przedzie spływała świeżą krwią. Widziałem, jak jeden pies skoczył w górę z ręką oderwaną od ciała w pysku… Japończycy zbliżali się coraz bardziej, aż w końcu złamali szyk, rzucili się na nas z ustawionymi poziomo bagnetami i przyłączyli się do atakujących psów. Większość moich towarzyszy z przodu była już posiekana bagnetami i kłami na miazgę.

– Rzucić granaty! – krzyknął dowódca.

W ułamku sekundy wyciągnęliśmy zawleczki, cisnęliśmy granaty w kłębowisko ludzi i psów i po wybuchach w powietrzu zaczęły fruwać fragmenty ciał.

Ci z nas, którzy jeszcze pozostali na placu boju, ruszyli do ataku przez strefę wybuchów, depcząc po ciałach naszych towarzyszy, wrogów i psów, a kiedy dotarliśmy do armii japońskiej, zmieniliśmy się w maszyny do zabijania. Używaliśmy bagnetów, kolb i zębów. Znalazłem się naprzeciwko japońskiego podporucznika, który skoczył na mnie z wrzaskiem, mierząc bagnetem w moje serce, ale sparowałem cios karabinem i trafił mnie w lewe ramię. Trząsłem się z bólu i upuściłem karabin na ziemię. Instynktownie chwyciłem obiema rękami za jego karabin przy nasadzie bagnetu. Czułem, jak po lufie cieknie moja gorąca krew. Szarpnął kilka razy bronią do tyłu i do przodu i bagnet jakoś odłączył się od lufy. Prawą ręką, którą nadal mogłem poruszać, wyrwałem ostrze z ramienia i trzymając je drżącą dłonią, ruszyłem na niego. Gówniarz gapił się na mnie, a potem uciekł z karabinem bez bagnetu. Nie miałem siły za nim gonić, więc rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że jeden z japońskich chłopaków dusi obiema rękami mojego towarzysza leżącego na ziemi. Zrobiłem parę kroków i wbiłem bagnet w plecy tamtego. Nie miałem nawet siły, żeby go wyciągnąć. Pociemniało mi w oczach, zobaczyłem, że zbliża się do mnie brązowa i błotnista ziemia, i upadłem twarzą w tę maź powstałą z naszej i wrogiej krwi, antarktycznego śniegu i ziemi.

Obudziłem się trzy dni później w punkcie pierwszej pomocy i dowiedziałem się, że przegraliśmy. Zdaniem sędziów, mimo że obie strony złamały reguły gry, my

naruszyliśmy je poważniej, bo granaty zdecydowanie nie były bronią białą. Psy użyte przez japońskie dzieci były w najlepszym razie czymś pośrednim.

Za: Zheng Jianbing, *Krwawe błoto. Armia chińska w wojnie ery supernowej*, Dom Wydawniczy Kunlun, 8 r. e.s.

W miarę dalszego przebiegu igrzysk olimpijskich ich wynik, który powoli nabierał kształtu, zaczął przekraczać wszystko, czego się spodziewali zwolennicy tej formy wojny.

Z czysto wojskowego punktu widzenia gry wojenne w niczym nie przypominały tradycyjnej wojny. Mniej lub bardziej ustalone pozycje i uzgodnienia między dwiema stronami oznaczały, że po raz pierwszy geograficzne usytuowanie sił odgrywało dość małą rolę. Celem bitwy nie było zajęcie jakiegoś miasta czy strategicznie ważnej pozycji, lecz zwykłe wyczerpanie sił wroga. Od samego początku igrzysk uwaga dzieci skupiała się tylko na jednym kluczowym punkcie – od naczelnego dowództwa po szeregowego żołnierza wszyscy myśleli i mówili o względnym współczynniku uszkodzeń.

W erze dorosłych względny współczynnik uszkodzeń poszczególnych rodzajów broni był brany pod uwagę w obmyślaniu strategii wojennej, ale rzadko traktowany jako najważniejszy czynnik. Naczelne dowództwo mogło wybrać jakiś strategiczny czy taktyczny cel i starać się go osiągnąć bez względu na koszty. Natomiast w wojnie toczonej przez dzieci współczynnik ten nabrał całkowicie nowego znaczenia, głównie dlatego, że w ich świecie broń ciężka była zasobem nieodnawialnym; dzieci nie miały możliwości wyprodukowania tak skomplikowanych maszyn bojowych w tak krótkim czasie. Jeśli został zniszczony jeden czołg, miały o jeden czołg mniej, jeśli zestrzelono jeden samolot, ich siły powietrzne były uboższe o jeden samolot. Nie można było uzupełnić strat nawet w broni

względnie prostej, takiej jak haubice. A zatem względne współczynniki uszkodzeń stały się niemal jedynym wyznacznikiem zwycięstwa.

Skoro dzieci nie opanowały skomplikowanych operacji technicznych, nie miały wiele pożytku z nowoczesnej, skoordynowanej broni. Na przykład lotnictwo, które odgrywało decydującą rolę w wojnach w erze powszechnej, w erze supernowej miało tylko marginalne znaczenie. Ponieważ w samolotowych systemach rozpoznania terenu i namierzania celów wykorzystywano technologię łączącą kilka dyscyplin, znalazłszy się w powietrzu, większość pilotów myśliwców nie była po prostu w stanie zlokalizować celu ataku, a nawet jeśli się to udało, dzieciom było niezwykle trudno trafić w niego podczas lotu i kończyło się na tym, że tylko bombardowały pewien obszar jak rozsiewająca kwiaty apsara. Podobnie rzecz się miała z pociskami manewrującymi, które w regionalnych konfliktach pod koniec ery powszechnej były dla Stanów Zjednoczonych niezrównaną bronią zaczepną – w wojnie ery supernowej nie było na nie miejsca. Dzieci tak słabo sobie radziły z systemem nawigacji satelitarnej, że był niemal całkowicie sparaliżowany, co pozbawiało pociski manewrujące kluczowej metody naprowadzania na cel. Druga metoda, naprowadzanie według rzeźby terenu, opierała się na jeszcze bardziej wyrafinowanej technologii i wymagała dostarczania pociskowi w drodze do celu danych z radaru, ale w oceanie informacji pozostawionym przez dorosłych trudno było znaleźć dane dla Antarktydy, jeśli takie w ogóle istniały. Z oczywistych względów prowadzenie własnych pomiarów tym bardziej nie wchodziło w grę.

Na poziomie technologicznym wojna w erze supernowej była podobna do pierwszej wojny światowej, w której decydującą rolę odgrywały regularne siły lądowe. W przeciwieństwie do dużych dysproporcji w dostępie do nowoczesnej broni pomiędzy stronami używającymi broni

konwencjonalnej nie było wielkiej różnicy we względnych współczynnikach uszkodzeń.

Najważniejszą bronią w tej wojnie były czołgi. W teorii wojny lądowej przyjętej przez NATO pancerne siły naziemne były nierozłącznie związane z siłami powietrznymi operującymi na małej wysokości; bez osłony z powietrza i zwiadu powietrznego, który zapewniały pancerne helikoptery, zgrupowania czołgów były jak kaczki siedzące na wodzie. Jak to ujął jeden z amerykańskich dowódców sił pancernych z ery powszechnej, „abrams bez apache'ów siedzi ze spuszczonymi spodniami". Ale szkolenie dzieci było takie krótkie, że ataki śmigłowców z niskiej wysokości miały podczas wojny ery supernowej tak samo mały wpływ na przebieg działań jak ataki myśliwców i bombowców z dużej wysokości, i zestrzelono tych maszyn więcej niż jakichkolwiek innych samolotów. Pilotowany przez dwójkę niedoświadczonych i działających pod silną presją dzieci apache, który latał tam i z powrotem nad polem bitwy, był wspaniałym celem dla rakiet przeciwlotniczych odpalanych z trzymanej na ramieniu wyrzutni. Tak więc na antarktycznym polu bitwy najbardziej pożądanym przez pilotów śmigłowcem szturmowym stał się nie amerykański apache, lecz wyposażony w dwa współosiowe wirniki rosyjski Ka-50, którego wyróżniającą cechą było to, że jako pierwszy w historii helikopter był wyposażony w wyrzucany fotel pilota. W wypadku awarii lub zestrzelenia szczególnie trudno było pilotowi przelecieć z zachowaniem życia przez wirniki; w Ka-50 rozwiązano ten problem przez odstrzelenie łopat wirników przed katapultowaniem fotela, co dawało mu szansę na uniknięcie bezpośredniego uderzenia. Natomiast jeśli apache został trafiony w locie, to jego młodzi piloci mogli tylko czekać na swój koniec. W grach czołgów pozbawionych wsparcia i ochrony z powietrza nie było dużych różnic między względnymi współczynnikami uszkodzeń.

Czas płynął i ani się obejrzano, gdy minęło kolejne pół roku. W tym czasie cały czas podnosił się poziom mórz i oceanów, zamieniając wybrzeża w bagna, a Szanghaj, Nowy Jork i Tokio w miasta stojące w wodzie. Większość dzieci z tych terenów przeniosła się w głąb lądu, a pozostałe przystosowały się do życia na wodzie, pływały między wieżowcami na tratwach i zachowywały pewne pozory zamieszkiwania w tętniących dawniej życiem metropoliach. Tymczasem klimat na Antarktydzie nadal się ocieplał i nawet podczas długiej polarnej nocy napływało ciepłe wczesnozimowe powietrze, a średnia temperatura utrzymywała się powyżej –10 stopni. Umiarkowana pogoda tylko podkreślała kluczową rolę kontynentu.

Zbliżała się pora rozpoczęcia negocjacji w sprawie podziału Antarktydy, a decydującym argumentem przetargowym były dla każdego państwa osiągnięcia w grach wojennych, co motywowało dzieci do podwojenia wysiłków. Na kontynent stale napływały nowe oddziały, co zwiększało skalę gier, więc wojenna pożoga sunęła nieprzerwaną falą.

Stany Zjednoczone, mimo że były inspiratorem igrzysk, ogarnęło rozczarowanie i przygnębienie. Ponieważ zaawansowana technologicznie broń nie była w rękach dzieci żadnym zagrożeniem, kraj ten nie zdominował igrzysk w takim stopniu, na jaki liczyli jego mieszkańcy, i przed zbliżającymi się rozmowami na temat podziału Antarktydy martwili się wielobiegunowym układem sił, który ukształtował się na olimpiadzie.

Niebawem miała się rozpocząć ostatnia dyscyplina, walka na międzykontynentalne pociski balistyczne, i w niej amerykańskie dzieci pokładały ostatnią nadzieję.

– Chyba żartujesz – rzekł marszałek Zawjałow do swego doradcy. – Naprawdę leci na nas?

– Taką informację przekazało Centrum Ostrzegania Radarowego. Wątpię, by się mylili.

– Może zmieni trajektorię? – powiedział niepewnie prezydent Iljuchin.

– Mowy nie ma. Głowica jest w końcowej fazie naprowadzania, w locie bez napędu. Spada jak kamień.

Wszyscy członkowie naczelnego dowództwa rosyjskiego koncentrowali się na pierwszej walce z USA na międzykontynentalne pociski balistyczne. Amerykańskie dzieci wystrzeliły rakietę z własnego, odległego o dziesięć tysięcy kilometrów terytorium wprost na rosyjskie centrum dowodzenia, co było poważnym pogwałceniem reguł gry. Obie strony z góry ustaliły strefy celu na swoim obszarze, a podana przez Rosjan znajdowała się ponad sto kilometrów dalej. Nie powinno być żadnej pomyłki.

– Czego się boisz? Przynajmniej nie jest to głowica jądrowa – powiedział Iljuchin.

– Konwencjonalna jest wystarczająco przerażająca. To peacekeeper. Myślę, że jeden z tych, które zostały rozmieszczone w latach osiemdziesiątych XX wieku. Może przenieść głowicę z trzema tonami silnego materiału wybuchowego. Jeśli uderzy w odległości do dwustu metrów od nas, zostaniemy zniszczeni! – wyjaśnił Zawjałow.

– A jeśli spadnie nam na głowy? Będziemy martwi, nawet jeśli nie ma żadnego ładunku! – powiedział pułkownik sprawujący funkcję doradcy.

– Tego nie da się wykluczyć – rzekł Zawjałow. – Peacekeeper jest jednym z najprecyzyjniej trafiających pocisków balistycznych. Z dokładnością do stu metrów.

Usłyszeli w powietrzu niski świst, jakby cienkie ostrze rozcinało niebo na pół.

– Nadlatuje! – krzyknął ktoś i wszyscy wstrzymali oddech, czekając z cierpnącą skórą na uderzenie.

Z zewnątrz dobiegł głuchy łoskot i lekko zadrżała ziemia. Wysypali się na dwór i zobaczyli opadający o jakieś pół kilometra dalej deszcz piachu. Iljuchin, Zawjałow i pozostali wskoczyli do samochodów i popędzili tam. W kraterze uwijała się już koparka i żołnierze ze szpadlami i motykami.

– Zdaje się, że na wysokości około dziesięciu tysięcy metrów głowica wypuściła mały spadochron, więc nie zaryła się zbyt głęboko – powiedział pułkownik sił powietrznych.

Pół godziny później odsłonięto dolną część zakopanej głowicy pocisku, metalową kulę o średnicy 2,3 metra z trzema przypaleniami od piorunów. Dzieci wywierciły dziurę w szczelinie, którą w niej znalazły, i udało się im rozdzielić metalowy płaszcz. Patrzyły z podziwem na obfitość pudeł o różnych kształtach i rozmiarach leżących w osłaniającej je przed wstrząsami otulinie. Potem otworzyły ostrożnie jedno z nich. Wewnątrz znajdowały się małe foliowe torebki ze sztabkami brązowej substancji.

– To materiały wybuchowe! – ostrzegł jeden z chłopców.

Zawjałow wyjął jedną ze sztabek „materiału wybuchowego” i obejrzał ją. Powąchał i ugryzł kawałek.

– Czekolada – oznajmił.

Otworzyli pozostałe pudełka, w których była nie tylko czekolada, ale również cygara. Podczas gdy pozostałe dzieci dzieliły czekoladę, Iljuchin wziął grube cygaro i zapalił je, ale pyknął zaledwie parę razy, gdy wybuchło i wystrzelił z niego zwój serpentyn. Jego towarzysze wybuchnęli śmiechem, widząc, jak stoi z oszołomioną miną i zwisającą z ust resztką cygara.

Wypluł niedopałek i powiedział:

– Za trzy dni wypada nasza kolej. Wystrzelimy pocisk na centrum dowodzenia amerykańskich dzieci.

– Mam złe przeczucia – powiedział Okularnik podczas narady w chińskim centrum dowodzenia.

– Zgadzam się. Powinniśmy natychmiast przenieść centrum dowodzenia w inne miejsce – rzekł Lü Gang.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytał Huahua.

– Amerykańskie dzieci podczas gry w międzykontynentalne pociski balistyczne zaatakowały rosyjskie centrum dowodzenia wbrew zasadzie, że bazy są nietykalne. Uderzenie może być też wymierzone w naszą bazę, a głowica może zawierać coś więcej niż tylko czekoladę i cygara.

– Moje przeczucia dotyczą poważniejszej sprawy – powiedział Okularnik. – Mam wrażenie, że może nastąpić nagła zmiana sytuacji.

Na widocznym z okna bazy horyzoncie pokazał się pierwszy brzask. Długa antarktyczna noc zbliżała się do końca.

Na pustej równinie w północno-zachodniej Rosji blisko koła podbiegunowego wystrzelił z mobilnej dziesięciokołowej wielofunkcyjnej wyrzutni międzykontynentalny pocisk balistyczny Topol o zwiększonym zasięgu i w ciągu czterdziestu minut przeleciał na drugą stronę globu. Gdy znalazł się na niebie nad Antarktydą, głowica opadła równą parabolą i uderzyła w płat śniegu w bazie amerykańskiej, zaledwie dwieście osiemdziesiąt metrów od centrum dowodzenia. Po wystrzeleniu topola amerykańskie systemy obrony wystrzeliły sześć pocisków

antybalistycznych w celu jego przechwycenia. Dzieci obserwowały na ekranach z oczekiwaniem i podnieceniem, jak dwa świetlne punkty wpadły niemal dokładnie na siebie. Jednak oba chybiły, ponieważ ich suborbitalne trajektorie w atmosferze dzieliło kilkadziesiąt metrów.

Po chwilowym osłupieniu amerykańskie dzieci wyszły na zewnątrz, odkopały głowicę i odkryły, że ich rosyjscy przeciwnicy przesłali im z odległości dwudziestu tysięcy kilometrów duży ładunek wódki w odpornych na wstrząsy butelkach i ładne pudełko z kartką wyjaśniającą, że jest to prezent dla Daveya. W środku była rosyjska lalka, matrioszka, w której znajdowała się inna, a w tej jeszcze inna, w sumie dziewięć, każda z dokładnym przedstawieniem twarzy Daveya. Pierwsza, największa, była uśmiechnięta, ale następne miały coraz mniej zadowolone, za to coraz smutniejsze miny, a ostatnia, wielkości kciuka, rozdziawione ze zdziwienia usta.

Rozwścieczony Davey rzucił lalki w śnieg i chwycił jedną ręką generała Scotta, a drugą generała Harveya, który był odpowiedzialny za obronę antyrakietową.

– Zwalniam was obu! Wy idioci! Gwarantowaliście, że systemy obrony nie zawiodą. Wy… – Zdusił wyzwisko w ustach i rzekł do Scotta: – Nie mówiłeś, że dzięki nim będziemy bezpieczni jak w kasie pancernej? A ty… – Obrócił się do Harveya i krzyknął: – Gdzie, do diabła, byli ci twoi geniusze z Westinghouse? Są choć trochę lepsi od zwykłych hakerów?

– Eee… wszystkie sześć pocisków chybiło o włos – odparł zaczerwieniony Scott.

Harvey, który od trzech dni nie spał, odepchnął Daveya bez żadnego szacunku dla piastowanego przezeń urzędu i wrzasnął:

– Sam jesteś idiotą! Myślisz, że te dwa systemy są do zabawy? Oprogramowanie obrony przeciwrakietowej to prawie dwieście milionów

linii kodu!

Do Daveya podszedł doradca i podał mu wydruk.

– To od pana Yagüego. Najnowszy porządek rokowań w sprawie Antarktydy.

Dzieci z naczelnego dowództwa armii USA stały w ciszy na brzegu ogromnego krateru, na którego dnie spoczywała głowica pocisku z drugiej strony świata. Davey przez chwilę milczał, a potem powiedział:

– Przed negocjacjami musimy zdobyć absolutną przewagę na igrzyskach.

– To niemożliwe – rzekł Vaughn. – Igrzyska praktycznie się skończyły.

– Wiesz, że możliwe, tylko nie chcesz przyjąć tego sposobu myślenia – odparował Davey, obracając się gwałtownie i wbijając wzrok w sekretarza stanu.

– Chyba nie chce pan wprowadzić nowej dyscypliny?

– Właśnie, że tak. Nowa dyscyplina. O to chodzi. Powinniśmy byli zacząć wcześniej! – odpowiedział za Daveya podekscytowany Scott.

– Nie wiadomo, dokąd to doprowadzi antarktyczne igrzyska – rzekł Vaughn. Patrzył w dal, a w jego głęboko osadzonych oczach odbijało się białe światło świtu.

– Lubisz komplikować najprostsze sprawy, żeby się wykazać swoją wiedzą. Nawet idiota zrozumie, że nowa dyscyplina da nam za jednym zamachem absolutną przewagę na całym kontynencie. To całkowicie zmieni wynik igrzysk. – Davey pomachał Vaughnowi przed twarzą wydrukiem, który przed chwilą dostał od doradcy. – Wszystko będzie tak jasne jak to zawiadomienie. Nie ma w tym żadnej niewiadomej!

Vaughn wziął od niego zawiadomienie.

– Uważa pan, że ta kartka to rzecz oczywista?

Davey spojrzał na niego ze zdziwieniem, a potem przeniósł wzrok na kartkę.

– Pewnie.

Vaughn złożył pomarszczonymi dłońmi kartkę na pół i powiedział:

– To raz. – Potem znowu złożył ją na pół. – To dwa. – Złożył ją jeszcze raz. – To trzy… Nadal uważa pan, panie prezydencie, że to rzecz oczywista? Coś łatwego i przewidywalnego?

– Oczywiście.

– A zatem dobrze. Niech pan spróbuje złożyć ją trzydzieści pięć razy.

Vaughn podał mu trzykrotnie złożoną kartkę.

– Nie chwytam.

– Niech pan mi odpowie. Spróbuje pan to zrobić?

– A dlaczego miałbym nie spróbować?

Davey podszedł do Vaughna, by wziąć kartkę, ale tamten chwycił go za rękę. Pod wpływem jego zimnego, lepkiego dotyku Davey poczuł się tak, jakby po plecach pełzł mu wąż.

– Panie prezydencie, mówi pan jako najwyższy decydent i każda pana decyzja tworzy historię. Niech pan to przemyśli. Naprawdę pan spróbuje?

Davey patrzył na niego zupełnie zdezorientowany.

– Ma pan tylko jedną jedyną szansę. Zanim podejmie pan decyzję, nie zechciałby pan przewidzieć wyniku, tak jak przewidział pan wynik zawodów w nowej dyscyplinie?

– Wyniku? Wyniku złożenia trzydzieści pięć razy kartki na pół? Nie rozśmieszaj mnie – powiedział szyderczo Scott.

– Na przykład jaką grubość będzie miała złożona tyle razy kartka?

– Zgaduję, że taką jak Biblia – powiedział Davey.

Vaughn potrząsnął głową.

– Mniej więcej od ziemi do kolan – rzekł Harvey.

Vaughn ponownie potrząsnął głową.

– Będzie wysokości centrum dowodzenia?

Vaughn potrząsnął głową.

– Chyba nie powiesz, że będzie taka wysoka jak Pentagon? – zapytał z przekąsem Scott.

– Ta kartka ma grubość około 0,1 milimetra. Jeśli przyjmiemy tę wartość za podstawę obliczeń, możemy założyć, że po trzydziestopięciokrotnym złożeniu będzie miała grubość 6 871 950 metrów, czyli około 6872 kilometrów. To w przybliżeniu promień Ziemi.

– Co? Zaledwie po trzydziestu pięciu razach? Żarty sobie z nas stroisz! – wybuchnął Scott.

– On ma rację – odezwał się Davey. Nie był tępakiem, więc szybko powiązał to z indyjską legendą o królu i szachownicy.

Vaughn wetknął złożoną kartkę do kieszeni koszuli Daveya. Patrząc na osłupiałych młodych dowódców, wycedził:

– Nigdy nie czyńcie zbyt optymistycznych założeń, jeśli chodzi o bieg historii.

Davey zwiesił głowę i z przygnębieniem przyjął porażkę. Potem powiedział:

– Przyznaję, że nie dorównujemy ci umysłem. Gdyby każdy miał taki umysł jak ty, świat byłby naprawdę przerażającym miejscem. Mimo to nie możemy być pewni nie tylko wygranej, ale też przegranej. Dlaczego nie mielibyśmy spróbować? W żaden sposób nie da się nas powstrzymać!

– Panie prezydencie – odparł zimno Vaughn – ma pan do tego prawo. Powiedziałem wszystko, co do mnie należało.

W pierwszych promieniach świtu na antarktycznym pustkowiu era supernowej wkraczała w najbardziej niebezpieczną fazę swej młodej historii.

Tysiąc słońc

Przed rozpoczęciem pojedynku na rakiety balistyczne ze swoimi amerykańskimi rówieśnikami chińskie dzieci przeniosły potajemnie swoje centrum dowodzenia. Załadowały cały personel i sprzęt łączności na czternaście helikopterów i wywiozły go czterdzieści kilka kilometrów w głąb lądu. W tym miejscu ukształtowanie terenu było nieco inne niż na wybrzeżu – znajdowały się tu stożkowate wzgórza, na których niecały śnieg stopniał. Centrum dowodzenia urządzono w namiotach przylegających do jednego ze wzgórz, przodem zwróconych w stronę bazy.

– Dzwonił dowódca drugiego korpusu artylerii z pytaniem, co powinniśmy załadować do głowicy – poinformował Huahuę Lü Gang.

– Hmm… może tanghulu*?

Potem zaczęli przeszukiwać niebo przez lornetki. Młodociany doradca ze słuchawką w uchu podał im na podstawie danych przesłanych z odległego centrum namiaru radarowego ogólny kierunek, z którego nadlatywał amerykański międzykontynentalny pocisk balistyczny.

– Patrzcie w górę! Mówią, że się do nas zbliża. Kierunek 135, nachylenie 42. Tam. Teraz powinniście go już widzieć!

Wczesnym rankiem niebo nad Antarktydą miało ciemnogranatowy kolor i widać na nim było gwiazdy. Wskutek znacznego zmniejszenia się zorzy polarnej wydawało się nawet ciemniejsze niż podczas długiej polarnej nocy. Na tym granatowym tle wyraźnie wyróżniał się świetlny punkt, który poruszał się szybko, ale wolniej niż spadająca gwiazda. Ciągnął się za nim widoczny przez lornetkę krótki ogon ognia, spowodowany tarciem

powietrza przy ponownym wejściu w atmosferę. Potem światło zgasło i na niebie nie było nic widać ani gołym okiem, ani przez lornetkę, zupełnie jakby nadlatujący obiekt rozpłynął się w nieskończonym morzu ciemności. Ale dzieci wiedziały, że pocisk wszedł w warstwę atmosfery i leci po precyzyjnej, kierowanej grawitacją trajektorii w stronę celu.

– Dobrze. Jego celem jest baza. Albo, mówiąc dokładniej, centrum dowodzenia! – krzyknął doradca ze słuchawką w uchu.

– Co tym razem będzie w głowicy?

– Może lalki Barbie.

Antarktyczny świt stał się nagle jasny jak środek dnia.

– Supernowa! – wykrzyknął ze strachem jeden z chłopców.

Był to widok dobrze znany dzieciom, widok, który ponad rok temu wrył się im w pamięć. Rzeczywiście bardzo przypominał wybuch supernowej; oślepiające światło spowiło ziemię i zbocze wzgórza niezwykłą jasnością. Ale tym razem zamiast zabarwić się na niebiesko, niebo nabrało koloru ciemnej purpury. Światło padało od strony oceanu i kiedy dzieci na nie spojrzały, zobaczyły, że nad horyzontem wznosi się nowe słońce. W odróżnieniu od supernowej ta kula była większa od prawdziwego słońca i tak gorąca, że czuły na twarzach jej żar.

Zdawszy sobie sprawę, co się stało, Lü Gang krzyknął:

– Nie patrzcie na to! Uszkodzi wam wzrok!

Wszyscy zamknęli oczy, ale coraz silniejszy blask przenikał przez powieki i sprawiał im ból; mieli wrażenie, jakby wpadli do oceanu jasności. Zasłonili oczy dłońmi, ale światło przenikało przez palce. Trwali w tej pozycji, dopóki świat ponownie nie pociemniał, a potem ostrożnie opuścili dłonie. Dopiero po chwili ich przytępiony wzrok przystosował się do otoczenia.

– Jak długo waszym zdaniem świeciło to słońce? – zapytał Lü Gang.

Po namyśle powiedzieli, że co najmniej dziesięć sekund.

Kiwnął głową.

– Ja też tak myślę. Sądząc z czasu trwania tej ognistej kuli, mógł to być ładunek rzędu kilku megaton.

Kiedy dzieciom powróciła zdolność normalnego widzenia, popatrzyły tam, gdzie pojawiło się i zniknęło to słońce. Na horyzoncie gwałtownie rosło coś białego.

– Zakryjcie uszy! – krzyknął Lü Gang. – Szybko! Zakryjcie uszy!

Zakryli uszy i czekali, ale nie dotarł do nich żaden odgłos wybuchu. Chmura w kształcie grzyba na horyzoncie, srebrzyście biała w świetle poranka, dotykała już nieba. Kontrast między nią a ziemią i niebem był surrealistyczny, jakby na realistyczny obraz nałożono jakieś gargantuiczne, fantastyczne malowidło. Dzieci patrzyły w milczeniu, a część z nich podświadomie odjęła dłonie od uszu.

– Zakryjcie uszy! – krzyknął ponownie Lü Gang. – Dźwięk dotrze do nas za dwie sekundy.

Przycisnęli ciasno dłonie do uszu i wtedy ziemia pod ich stopami zaczęła dudnić jak membrana bębna, wyrzucając piasek i śnieg na wysokość ich kolan i strząsając ze wzgórza śnieżną okrywę, która jakby nagle stopniała. Ten dźwięk przenikał przez ich mięśnie i kości i wwiercał się w czaszki. Czuli się tak, jakby ich ciała zostały rozerwane na strzępy, które wiatr rozniósł na cztery strony świata, zostawiając na miejscu ich przerażone i roztrzęsione dusze.

– Ukryjmy się za wzgórzem! – krzyknął Lü Gang. – Lada chwila nadejdzie tu fala uderzeniowa!

– Fala uderzeniowa? – Huahua spojrzał na niego pytająco.

– Tak. Zanim do nas dotrze, może przejść w silny wiatr.

Kiedy dzieci schroniły się za wzgórzem, wokół zerwał się nagle huragan, który zrywał namioty z kołków i unosił sprzęt w powietrze. Przewrócił połowę helikopterów na zboczu, zanim całą tę scenę przesłonił sypiący śnieg, ale usłyszeli odgłos kamieni przebijających ściany kadłubów samolotów. Huragan trwał niespełna minutę, a potem nagle osłabł i zupełnie ucichł, pozwalając ziarnom piachu i śniegowi osiąść z powrotem łagodnie na ziemi. Gdy ta kurtyna opadła, na horyzoncie ukazały się zamglone płomienie. Grzyb był teraz mniej wyraźny, ale dużo większy – zajmował połowę nieba. Wiatr przesunął jego górną część w bok, nadając mu wygląd potwora ze zmierzwionymi włosami.

– Baza została zniszczona – stwierdził trzeźwo Lü Gang.

Wszystkie połączenia z bazą były zerwane, a kiedy spojrzeli na nią przez kurz, który jeszcze nie opadł, zobaczyli na horyzoncie tylko pożar.

Do Huahui podszedł doradca i powiedział, że dzwoni do niego amerykański prezydent.

– Czy odpowiedź ujawni naszą pozycję? – zapytał Huahua.

– Nie. Przekaźnik znajduje się w innym miejscu.

Z bezprzewodowej słuchawki dobiegł głos Daveya.

– Cześć, Huahua. Wygląda na to, że na tej bombie atomowej nie napisano twojego nazwiska. Jesteście naprawdę bystrzy, skoro wpadliście na pomysł przeniesienia waszego centrum dowodzenia. Cieszę się, że wciąż żyjesz. Chciałbym was wszystkich powiadomić, że zaczynamy nową grę! Bomby jądrowe! – Roześmiał się. – To najwspanialsza gra! Czy to nowe słońce nie było ładne?

– Jesteście bandą bezczelnych szczyli. Podeptaliście wszystkie reguły igrzysk! Zniszczyliście ich samą podstawę! – odparł ze złością Huahua.

Davey znowu się roześmiał.

– Jakie reguły? Jedyną regułą jest zabawa!

– Wasi dorośli byli draniami, skoro zostawili wam broń strategiczną.

– Zaraz, zaraz. Zostawili nam tylko kilka, przez nieuwagę. Mieliśmy ogromny arsenał. Kiedy jesz kromkę chleba, zawsze na ziemię spadnie parę okruchów. Poza tym nie zastanawiasz się, czy z wielkiego rosyjskiego bochna też nie zostały jakieś okruchy?

– To ważne – szepnął Huahui do ucha Lü Gang. – Nie ośmielą się wymierzyć jądrowego uderzenia w Rosjan, bo boją się odwetu. Jeśli chodzi o nas, nie muszą się tym martwić.

– Nie przejmuj się drobiazgami, jeśli nie musisz – powiedział Davey przez radio.

– Nie przejmujemy się tym – odparł zimno Okularnik. – Na tym szalonym świecie nie ma sensu wściekać się z powodów moralnych. To zbyt męczące.

– Tak, tak. Posłuchaj go, Huahua. On ma właściwe podejście. Właśnie tak trzeba utrzymywać nastrój zabawy.

Potem Davey się rozłączył.

Chińskie dzieci natychmiast skontaktowały się z innymi uczestnikami antarktycznych igrzysk olimpijskich z myślą o tym, by utworzyć sojusz i ukarać Amerykanów za złamanie reguł, ale skończyło się to rozczarowaniem.

Huahua i Okularnik najpierw zadzwonili do Rosjan.

– Wiemy o tym, co się przydarzyło państwu chińskiemu, i głęboko wam współczujemy – powiedział zdawkowo Iljuchin.

– To obrzydliwe pogwałcenie zasad zasługuje na karę – oznajmił Huahua. – Jeśli temu nikczemnemu prezydentowi ujdzie to na sucho, to posunie się do zrzucenia bomb atomowych na bazy innych państw, nawet poza Antarktydą! Powinniście przeprowadzić atak jądrowy na bazę sprawcy. Być może jesteście jedynym państwem, któremu pozostała ta zdolność.

– Takie postępowanie zasługuje oczywiście na karę – odparł Iljuchin. – Myślę, że wszystkie państwa liczą na to, że wykonacie kontratak jądrowy dla zachowania nienaruszalności zasad. Również mój kraj pragnie ukarać złoczyńcę, ale Rosja nie ma broni jądrowej. Nasi czcigodni ojcowie i matki wystrzelili wszystkie bomby jądrowe w słońce.

Rozmowa z Unią Europejską była jeszcze bardziej przygnębiająca. Obecny przewodniczący Rady Europejskiej, premier Wielkiej Brytanii Green, zapytał niewinnie:

– Dlaczego uważacie, że zachowaliśmy broń jądrową? To haniebna potwarz dla zjednoczonej Europy. Poinformujcie nas o waszej obecnej sytuacji, a my złożymy protest.

Huahua odłożył słuchawkę.

– Ci gówniarze chcą tylko siedzieć bezpiecznie na szczycie góry i przyglądać się walce tygrysów.

– I postępują bardzo mądrze – rzekł Okularnik, kiwając głową.

Przywrócono prowizorycznie łączność centrum dowodzenia z chińską bazą i przez radio popłynął nieprzerwany strumień przerażających wiadomości. Grupa Armii G, która stacjonowała w bazie, otrzymała powalający cios; nadal nie była znana całkowita liczba zabitych, ale najprawdopodobniej grupa całkowicie straciła zdolność do walki. Większość urządzeń w bazie

została zniszczona. Na szczęście po zwiększeniu skali geograficznej igrzysk dwie pozostałe grupy armii, które wcześniej też stacjonowały w bazie, zostały przemieszczone ponad sto kilometrów dalej, więc przetrwały dwie trzecie chińskich sił antarktycznych. Jednak w wyniku uderzenia jądrowego poważnie ucierpiał port, który budowali przez dwa miesiące, co stwarzało poważny kłopot dla zaopatrzenia tych sił.

W pospiesznie rozbitym namiocie u stóp wzgórza zwołano nadzwyczajną naradę naczelnego dowództwa. Krótko przed jej rozpoczęciem Huahua powiedział, że musi na chwilę wyjść.

– Sprawa jest pilna! – przypomniał mu Lü Gang.

– Nie będzie mnie tylko pięć minut – odparł Huahua i wyszedł.

Pół minuty później z namiotu wyszedł też Okularnik i kiedy zobaczył Huahuę leżącego bez ruchu na płacie śniegu i gapiącego się w niebo, podszedł i usiadł obok niego. Kurz już opadł i wiał ciepły, łagodny wietrzyk, niosąc wilgoć topniejącego śniegu i zapach mokrej ziemi. Grzyb na niebie nad oceanem stracił kształt, ale stał się jeszcze większy i trudno było powiedzieć, gdzie się kończy i gdzie zaczynają się chmury. Drugą połowę nieba malowały promienie świtu nad przeciwległym horyzontem.

– Nie mogę już dłużej tego znieść – oznajmił Huahua.

– Inni też nie znoszą tego lepiej – powiedział lekkim tonem Okularnik.

– To nie to samo. To niemożliwe!

– Pomyśl o sobie jak o komputerze. Jesteś tylko zimnym sprzętem, a rzeczywistość to tylko dane. Przyjmuj dane wyjściowe i dokonuj obliczeń. W ten sposób wytrzymasz.

– To strategia, której używasz od pojawienia się supernowej?

– Robiłem to jeszcze przed jej pojawieniem się. To nie strategia. To moja natura.

– Ale ja nie mam takiej natury.

– Łatwo jest się stąd wydostać. Po prostu biegnij w dowolnym kierunku, nie wziąwszy niczego ze sobą. Biegnij przed siebie, a szybko się zgubisz i wkrótce albo zamarzniesz, albo umrzesz z głodu na antarktycznym pustkowiu.

– Niezły pomysł. Po prostu nie chcę zostać dezerterem. To wszystko.

– Więc bądź komputerem.

Huahua usiadł i spojrzał na Okularnika.

– Naprawdę uważasz, że można osiągnąć wszystko tylko dzięki dedukcji i kalkulacji?

– Tak. Za tym, co wyobrażasz sobie jako intuicję, w rzeczywistości kryje się złożony zbiór obliczeń i dedukcji. Tak złożony, że niedostrzegalny. Potrzeba nam teraz tylko dwóch rzeczy: po pierwsze, spokoju, i po drugie, spokoju.

Huahua wstał i strzepnął śnieg z pleców.

– Wracajmy.

Okularnik złapał go za rękę.

– Dobrze przemyśl, co powiesz.

Huahua uśmiechnął się do niego blado.

– Już przemyślałem. Dla komputera nasza obecna sytuacja to nic więcej niż proste zadanie arytmetyczne.

Na początku narady dzieci długo siedziały w milczeniu, wciąż oszołomione nagłym pogorszeniem się ich i tak marnego położenia.

Milczenie przerwał dowódca Grupy Armii D, waląc ręką w stół i krzycząc:

– Czy nasi rodzice byli naprawdę aż tak uczciwi? Nie zostawili nam ani jednej sztuki?

Zawtórowały mu pozostałe dzieci:

– Tak. Chociaż paru?

– Zostawili nas z pustymi rękami!

– Gdybyśmy mieli chociaż jedną, bylibyśmy w zupełnie innej sytuacji!

– Tak! Dobrze by było mieć chociaż jedną!

– Starczy tego – powiedział Lü Gang. – Dość tego bezużytecznego gadania. – Potem odwrócił się do Huahui. – Co masz zamiar zrobić?

Huahua wstał i powiedział:

– Obie grupy armii w głębi kontynentu muszą się natychmiast ewakuować, by zachować siły na wypadek kolejnego uderzenia jądrowego ze strony wroga.

Lü Gang też się podniósł i zaczął szybko chodzić tam i z powrotem.

– Powinieneś wiedzieć, co to znaczy. Jeśli wszystkie nasze zgromadzone i gotowe do walki siły się ewakuują, ich ponowne zebranie zajmie dużo czasu. Całkowicie stracimy zdolność bojową na Antarktydzie!

– To będzie jak ponowne sformatowanie naszego dysku twardego – stwierdził Okularnik.

Lü Gang kiwnął głową.

– To będzie właśnie to.

– Ale zgadzam się z Huahuą. Natychmiast się ewakuujcie – dodał twardo Okularnik.

Pochyliwszy głowę, Huahua powiedział:

– Nie ma innego sposobu. Jeśli te grupy pozostaną w zwartej, gotowej do walki formacji, następny atak jądrowy wroga może zetrzeć w pył całą naszą

armię.

– Ale jeśli podzielą się na dużą liczbę małych oddziałów rozmieszczonych na dużym obszarze, trudno będzie zapewnić im zaopatrzenie. Mogą nie przetrwać długo.

Dowódca Grupy Armii B powiedział:

– Trzeba brać sprawy takimi, jakie są. Nie czas teraz na długie myślenie. Zagrożenie wzrasta z każdą sekundą. Wydajcie rozkaz!

– Nad naszymi głowami wisi na cienkim włosku miecz – rzekł dowódca Grupy Armii D. – Może spaść w każdej chwili.

Większość dzieci poparła szybką ewakuację.

Huahua spojrzał na Okularnika i Lü Ganga. Obaj kiwnęli głowami. Przeszedł na drugi koniec stołu konferencyjnego.

– Dobrze. Wydajcie obu grupom armii rozkaz ewakuacji. Nie ma czasu na opracowanie szczegółów, niech więc grupy rozdzielą się na bataliony i rozproszą. Najważniejsza jest szybkość. I proszę, byście wyraźnie uświadomili sobie konsekwencje tego posunięcia i przygotowali się na nie psychicznie. Od tej pory nasza misja na Antarktydzie będzie bardzo trudna.

Dzieci wstały. Doradca odczytał zapis rozkazu, ale nikt nie zgłosił żadnej poprawki. Wszyscy chcieli, by został jak najszybciej wydany i wykonany. Doradca podszedł z rozkazem do radia, ale nagle odezwał się poważny głos:

– Jedną chwilę, proszę.

Dzieci odwróciły się i dostrzegły tego, kto wypowiedział te słowa. Był to starszy pułkownik Hu Bing, rzecznik pięciu specjalnych obserwatorów. Zasalutował Huahui, Okularnikowi i Lü Gangowi, po czym powiedział:

– Panowie, zespół obserwatorów specjalnych wykona teraz swoją ostatnią powinność!

Tajemnicze ciało utworzone przez dorosłych przed ich odejściem składało się z pięciu starszych pułkowników, trzech z wojsk lądowych i dwóch z sił powietrznych. W przypadku wojny mieli prawo poznawać wszystkie informacje poufne i przysłuchiwać się wszystkim rozważaniom naczelnego dowództwa. Jednak dorośli zagwarantowali, że ten zespół nigdy nie będzie się wtrącał do prac naczelnego dowództwa. Było tak przez cały czas trwania igrzysk – podczas każdej narady wojskowej cała piątka siedziała z boku i przysłuchiwała się w milczeniu. Nie robili nawet żadnych notatek, tylko słuchali. Nigdy się nie odzywali i nawet po zakończonych naradach rzadko się z kimkolwiek kontaktowali. Stopniowo dzieci z naczelnego dowództwa zapomniały, że tych pięciu tam jest.

Kiedyś na pytanie Huahui, kto jest szefem zespołu, Hu Bing odpowiedział:

– Wszyscy mamy równą władzę. Nie ma dowódcy zespołu, ale kiedy będzie to konieczne, ja będę jego rzecznikiem.

To tylko pogłębiło tajemnicę otaczającą ich zadanie.

Teraz pięciu oficerów stanęło w dziwnym szyku, twarzami do siebie, i to na baczność, jakby pośrodku tego kręgu podnoszono flagę na maszt.

– Mamy sytuację A. Głosujcie.

Każdy z nich podniósł rękę.

Hu Bing odwrócił się w stronę skrzynek po amunicji, które służyły jako stół konferencyjny, i wyjął z kieszeni munduru białą kopertę. Trzymając ją w obu dłoniach, położył z szacunkiem na środku stołu i powiedział:

– To list napisany przez ostatniego prezydenta naszego państwa w erze powszechnej do obecnego kierownictwa.

Huahua podniósł kopertę i otworzył. Wewnątrz znajdowała się jedna kartka ze znakami napisanymi wiecznym piórem. Odczytał je głośno:

Dzieci,

jeśli czytacie ten list, spełniły się nasze najgorsze obawy.

W ostatnich dniach ery powszechnej możemy tylko snuć przewidywania co do przyszłości zgodnie z naszym sposobem myślenia i na ich podstawie wykonać jak najlepiej to, co jesteśmy w stanie zrobić.

Ale cały czas dręczą nas obawy. Umysły i postępowanie dzieci całkowicie różnią się od umysłów i postępowania dorosłych. Świat dzieci może wejść na zupełnie inną drogę, niż przewidujemy. Ten świat może być dla nas niewyobrażalny, ale niewiele możemy dla was zrobić.

Możemy wam zostawić tylko jedno.

To ostatnia rzecz, jaką chcieliśmy zostawić naszym dzieciom. Gdy ją zostawialiśmy, czuliśmy się, jakbyśmy odbezpieczali pistolet i kładli go obok poduszki, na której spoczywa głowa śpiącego dziecka.

Działaliśmy możliwie najostrożniej i utworzyliśmy zespół specjalnych obserwatorów, składający się z pięciu najbardziej beznamiętnych dzieci, które na podstawie oceny stopnia zagrożenia w niebezpiecznej sytuacji zdecydują przewagą głosów, czy przekazać wam ten spadek. Jeśli ten list nie zostanie doręczony w ciągu dziesięciu lat, to, co zostawiamy, ulegnie samozniszczeniu.

Mieliśmy nadzieję, że nigdy nie będą musieli przeprowadzać tego głosowania, ale teraz otworzyliście kopertę.

Piszemy to w punkcie ostatniej zbiórki. Doszliśmy do kresu życia, ale nadal myślimy jasno. Dziecko, które trzyma straż w tym punkcie, dostarczy ten list do zespołu. Uważaliśmy, że przed odejściem powiedzieliśmy wszystko, co trzeba było powiedzieć, ale podczas pisania tego listu tak wiele myśli przychodzi do głowy.

Ale teraz otworzyliście kopertę. Oznacza to, że wasz świat całkowicie przekracza naszą wyobraźnię. Nic z tego, co chcieliśmy powiedzieć, nie ma już znaczenia, oprócz jednej rzeczy:

Trzymajcie się, dzieci.

Ostatniego dnia ery powszechnej w punkcie ostatniej zbiórki nr 1, Chiny

[podpis]

Młodociani przywódcy skupili uwagę na Hu Bingu, który oficjalnie zasalutował i powiedział:

– Zespół dokona teraz przekazania jednego międzykontynentalnego pocisku balistycznego Dongfeng 101 o maksymalnym zasięgu dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów, z głowicą termojądrową o mocy czterech megaton.

Lü Gang gapił się na niego.

– Gdzie to jest? – zapytał po chwili.

– Nie wiemy. I nie musimy wiedzieć – odparł Hu Bing.

Potem inny starszy pułkownik z zespołu postawił na stole laptop i otworzył go. Komputer już pracował i pokazywał na ekranie mapę świata.

– Każde miejsce na mapie można powiększyć, żeby zobaczyć je bardziej szczegółowo, maksymalnie w skali 1:100 000. Naprowadź kursor na cel i dwa razy kliknij, a bezprzewodowy modem prześle przez satelitę sygnał do wyrzutni i pocisk zostanie automatycznie wystrzelony.

Dzieci stłoczyły się wokół komputera i zaczęły go głaskać, niektóre ze łzami w oczach, jakby dotykały rąk dorosłych wyciągających się ku nim z innego świata.

* Tradycyjna chińska przekąska z kandyzowanych owoców nadziewanych na bambusowe patyczki (przyp. A.J.).

Podziemna mina z ery powszechnej

Supernowa nie w każdej części świata spowodowała ogromne zmiany. Na przykład w małej górskiej wiosce w południowo-zachodnich Chinach życie prawie w ogóle się nie zmieniło. Oczywiście nie było już dorosłych, ale w erze powszechnej też nie było ich tam wielu, bo wszyscy pracowali daleko od domu. Prace w gospodarstwach wykonywane przez dzieci nie były wcale cięższe od tych, do których już przywykły. Ich życie codzienne upływało tak samo jak wcześniej – zaczynały pracę o wschodzie słońca, a o zachodzie udawały się na spoczynek, chociaż były jeszcze bardziej nieświadome tego, co się dzieje na świecie, niż w erze powszechnej.

Ale przez pewien czas przed odejściem dorosłych wydawało się, że w ich życiu zajdą wielkie zmiany. Obok wioski zbudowano autostradę prowadzącą do doliny ogrodzonej drutem kolczastym. Codziennie jechało tam wiele załadowanych po brzegi ogromnych ciężarówek, które wracały puste. Ich ładunek był przykryty zielonym brezentem albo zapakowany do dużych skrzyń, w których było nie wiadomo co, i gdyby złożyć to wszystko na kupę, byłaby ona pewnie równie wysoka jak wzgórze za wioską. Dniem i nocą autostradą płynął nieprzerwany strumień ciężarówek, w jedną stronę pełnych, w drugą pustych. Od czasu do czasu pojawiał się też samolot ze śmigłami jak w wentylatorze, który leciał do doliny z podwieszonymi pod kadłubem przedmiotami i wracał już bez nich. Trwało to prawie przez pół roku, a potem ruch ustał i wszystko ucichło. Buldożery rozryły autostradę i dzieci oraz nieuleczalnie chorzy w wiosce musieli się dziwić, dlaczego po

prostu jej nie zostawiono, zamiast wkładać tyle wysiłku w jej zniszczenie. Niedługo potem na wywróconej ziemi wyrosła trawa i pozostałości po autostradzie mniej więcej wtopiły się w krajobraz otaczających wzgórz. Zdjęto też ogradzający dolinę drut kolczasty i dzieci z wioski mogły znowu polować i ścinać drzewa na opał. Gdy dotarły do doliny, stwierdziły, że nic się tam nie zmieniło. Rósł ten sam stary las i ta sama stara trawa. Nie miały pojęcia, po co tysiące obcych w wojskowych mundurach i ubraniach cywilnych spędziły tam pół roku ani gdzie się podział ładunek niemającej końca rzeki samochodów. Wydawało się im, że to wszystko było snem, i powoli o tym zapomniały.

Nie wiedziały, że pod górską doliną zakopano śpiące słońce.

Historycy nazwali to podziemną miną z ery powszechnej, bo, po pierwsze, ten międzykontynentalny pocisk balistyczny spoczywał w głębokim na sto pięćdziesiąt metrów szybie, pokrytym dwudziestometrową warstwą ziemi, dzięki czemu nie zostałby odkryty nawet podczas prowadzenia dużych wykopów. Przed wystrzeleniem ukierunkowany wybuch odrzuciłby tę ziemię i odsłonił wylot szybu. Po drugie dlatego, że pocisk spokojnie czekał na sygnał, który go uruchomi, jak ogromna mina, zanim ktoś na nią nadepnie. Mina z ery powszechnej miała dziewięćdziesiąt metrów wysokości i gdyby postawić ją na ziemi, wznosiłaby się jak wieża. Teraz drzemała w silosie i działały tylko jej zegar i odbiornik. Słuchając na wyznaczonej tylko dla niej częstotliwości, niewątpliwie odbierała ze świata zewnętrznego różne dźwięki, ale czekała na długi ciąg cyfr, którego najszybszy komputer nie zdołałby odtworzyć do końca świata. Istniał tylko jeden egzemplarz tej liczby, na laptopie pięciu obserwatorów. Gdyby zegar doliczył do 315 360 000 sekund, to znaczy do końca dziesiątego roku po jej

ustawieniu, mina obudziłaby się, włączyłaby systemy i wyleciała z silosu na orbitę na wysokości pięciu tysięcy kilometrów nad Ziemią, gdzie sama by się zniszczyła, zostawiając po sobie błyszczącą gwiazdę, widoczną nawet w dzień przez co najmniej dziesięć sekund.

Ale gdy licznik doszedł do zaledwie 23 500 817 sekund, pocisk otrzymał sygnał, na który czekał, a zaraz po nim dwie inne liczby z dokładnością do trzeciego miejsca po przecinku. Prosty program w odbiorniku sprawdził obie liczby; gdyby pierwsza przekraczała zakres od 0 do 180 albo druga przedział od 0 do 90, nic by się nie stało i pocisk nadal by nasłuchiwał. Ale obie liczby, chociaż bliskie tej granicy, mieściły się w odpowiednich zakresach, i to wystarczało. Program nie potrzebował niczego więcej. Gdy zbliżał się świt, góry jeszcze spały i dolinę spowijała lekka mgła, ale mina się przebudziła.

Jej potężne cielsko przenikało ciepło prądu elektrycznego. Po przebudzeniu od razu przeniosła wartości dwóch współrzędnych do bazy danych celów, która natychmiast dodała punkt do mapy Ziemi w skali 1:100 000. Komputer główny w mgnieniu oka stworzył parametry toru lotu i po otrzymaniu z bazy danych informacji, że cel znajduje się na równinie, ustawił głowicę na wybuch na wysokości dwóch tysięcy metrów nad nim. Gdyby mina była świadoma, zauważyłaby coś dziwnego, ponieważ w niezliczonej liczbie symulowanych uderzeń przeprowadzonych po jej zainstalowaniu dla sprawdzenia wiarygodności systemu jedynie kontynent, na którym znajdował się cel, nie został nigdy uwzględniony w symulacjach. Ale to się nie liczyło. W jej elektronicznym umyśle świat był niezwykle prosty i liczył się tylko odległy cel na antarktycznym kontynencie. Reszta świata sprowadzała się do współrzędnych opisujących punkt, w który miała trafić, świecący na samej górze przezroczystego kulistego systemu współrzędnych, nęcący ją bliskim zakończeniem bardzo prostego zadania.

Mina włączyła układ podgrzewania zbiornika z paliwem. Podobnie jak większość innych międzykontynentalnych pocisków balistycznych, miała napęd na paliwo płynne, ale w celu długiego przechowywania było ono w postaci zestalonej, która zwykle miała postać żelu, i musiało zostać stopione przed wystrzeleniem.

Warstwa ziemi nad silosem została zmieciona i wystawiła minę na spojrzenie poranka.

Tych we wsi, którzy mieli lekki sen, obudził niski odgłos wybuchu. Zorientowali się, że dobiegł on od strony doliny, ale pomyśleli, że to tylko huk odległego gromu, i go zignorowali.

Następny dźwięk, który dotarł do wioski, powstrzymał ich przed ponownym zaśnięciem i obudził inne dzieci. Tym razem było to niskie dudnienie, jakby z głębi ziemi podnosiła się ogromna bestia albo jakby w ich stronę pędziła z oddali fala potopu, zagrażając całej ziemi pochłonięciem. Zadrżał papier w szprosowych oknach. Dźwięk był coraz głośniejszy i z niskiego dudnienia przeszedł w wysoki ryk, od którego trzęsły się ich pokryte dachówkami domy.

Wszystkie dzieci wybiegły na zewnątrz w porę, by ujrzeć ogromnego ognistego smoka wzbijającego się powoli w górę. Ogień był zbyt intensywny, by można było na niego patrzeć wprost, i rzucał na wzgórza otaczające wioskę pomarańczową poświatę. Dzieci patrzyły, jak się wznosi coraz wyżej, nabiera prędkości i zmienia się w świetlisty punkt, a jego dźwięk staje się coraz cichszy. W końcu ten punkt poleciał na południe i niebawem zniknął na niebie.

Kontratak

Antarktyczny poranek był pochmurny, a potem zaczął sypać gęsty śnieg, ale Davey wciąż był pogodny. Zorganizowane w bazie poprzedniego wieczoru cocktail party przeciągnęło się do późnej nocy, ale prezydent spał bardzo dobrze. W pełni wypoczęty jadł śniadanie z generałami i wyższymi urzędnikami, którzy przybyli na Antarktydę. Cenił te spotkania przy śniadaniu, ponieważ rano dzieci były na ogół w dobrych nastrojach, jeszcze niezirytowane i nierozdrażnione frustracjami i codzienną pracą. Podczas śniadania można było omówić wiele spraw.

Orkiestra wojskowa grała w hali pod ciśnieniem przyjemną muzykę i wszyscy byli w dobrych humorach.

– Przewiduję, że dzisiaj chińskie dzieci oznajmią, że wycofują się z igrzysk – powiedział Davey przy stole.

Siedmiogwiazdkowy generał Scott, który kroił kawałek steku, uśmiechnął się szeroko.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Mają inny wybór po wczorajszym uderzeniu?

Davey podniósł ku niemu szklankę.

– Teraz wypchnięcie ich z Antarktydy będzie dużo łatwiejsze.

– A potem wykopanie stąd Rosjan. A potem Japończyków i Unii Europejskiej… – powiedział Scott.

– Z Rosjanami musimy uważać. Kto wie, czy nie mają w plecaku jakichś okruchów chleba?

Wszyscy pokiwali głowami, bo rozumieli, jakie skutki mogą mieć te okruchy.

– A czy możemy mieć pewność, że Chińczycy nie mają żadnych okruchów? – rzekł Vaughn, nabijając na widelec żywą krewetkę.

Davey pogroził mu pięścią.

– Nie mają żadnych! Mówiłem ci, że nie mają. Ich bochenek był za mały, żeby został z niego choć jeden okruszek! Mówię ci, wygraliśmy w tej grze!

– Kiedy zaczniesz być większym optymistą? – zapytał Scott, spoglądając z ukosa na Vaughna. – Gdzie się tylko pokażesz, siejesz przygnębienie.

– Na łożu śmierci będę większym optymistą niż którykolwiek z was – odparł zimno Vaughn i połknął krewetkę w całości.

Wtedy wszedł pułkownik z przenośnym telefonem, pochylił się nad Daveyem i szepnął mu coś do ucha, a potem przekazał słuchawkę.

Biorąc ją ze śmiechem, Davey powiedział podekscytowanym głosem:

– To Chińczycy. Powiedziałem wam, że dzisiaj na pewno wycofają się z igrzysk! – Potem rzucił do telefonu: – Czy to Huahua? Jak się masz?

Nagle zamarł i zrobił nienaturalną minę, bo jego charakterystyczny słodki uśmiech zastygł mu na ustach, a po kilku sekundach zniknął. Odłożył słuchawkę i rozejrzał się za Vaughnem, co robił w każdej krytycznej chwili. Gdy go dostrzegł, powiedział:

– Poinformował nas, że nadal biorą udział w igrzyskach i właśnie wystrzelili na naszą bazę pocisk z głowicą jądrową o mocy czterech megaton, który uderzy w cel za dwadzieścia pięć minut.

– Powiedział coś jeszcze? – zapytał Vaughn.

– Nie. Potem zakończył rozmowę.

Spojrzenia wszystkich skupiły się na Vaughnie. Odłożył delikatnie nóż i widelec, po czym powiedział spokojnie:

– To się dzieje naprawdę.

W tym momencie wbiegł inny oficer i nerwowo zameldował, że centrum ostrzegania wykryło niezidentyfikowany pocisk lecący w ich kierunku. System wykrył ten obiekt po raz pierwszy, kiedy wystartował on z południowo-zachodnich Chin, ale zanim to ostrzeżenie przeszło przez wiele szczebli potwierdzeń, przekroczył on już równik.

Wszyscy młodociani generałowie i wysocy urzędnicy poderwali się z miejsc z rozszerzonymi oczami i pobladłymi twarzami, jakby do ich luksusowej restauracji wtargnęła banda uzbrojonych zabójców.

– Co robimy? – zapytał oszołomiony Davey. – Możemy się schronić w tym świeżo wybudowanym podziemnym hangarze?

– W podziemnym hangarze? – krzyknął siedmiogwiazdkowy generał. – Bzdura! Wybuch bomby o mocy czterech megaton zamieni cały ten obszar w głęboki na sto metrów krater. A my tkwimy w samym środku! – Chwycił Daveya za rękę i w typowy dla niego sposób rzucił mu prosto w twarz obelgę: – Ty durny dupku! To ty nas w to wpakowałeś. Przez ciebie zginiemy tutaj!

– Helikoptery – powiedział Vaughn. To proste stwierdzenie otrzeźwiło wszystkich. Rzucili się do wyjść. – Zaczekajcie – dodał i zatrzymali się jak przygwożdżeni do ziemi. – Natychmiast powiadomcie wszystkie samoloty, żeby zabrały tyle sprzętu i ludzi, ile się da, i natychmiast wystartowały. Ale nie wyjaśniajcie dlaczego. Musimy zachować spokój.

– A inne rodzaje sił? Zarządźcie całkowitą ewakuację bazy! – powiedział Davey.

Vaughn łagodnie pokręcił głową.

– To nie ma sensu. W tak krótkim czasie, jaki nam został, żaden pojazd nie zdoła uciec poza strefę rażenia. Spowodowałoby to tylko chaos i w końcu nikt by się nie uratował.

Dzieci zaczęły przepychać się do drzwi. Wszystkie oprócz Vaughna, który został za stołem i wycierał palce serwetką. Potem powoli się podniósł i ruszył do wyjścia, machnąwszy ręką do orkiestry, kiedy obok niej przechodził, na znak, że to nic ważnego.

Na zewnątrz dzieci walczyły na asfalcie o dostęp do trzech blackhawków. Scottowi udało się wepchnąć do jednego z nich i gdy zaczęły pracować wirniki, spojrzał na zegarek i powiedział przez łzy:

– Zostało tylko osiemnaście minut. Nie uda się nam! – Potem odwrócił się do Daveya. – Ty nas w to wpakowałeś. Nie ujdzie ci to na sucho, nawet w chwili śmierci!

– Zachowaj spokój – rzekł do niego zimno Vaughn, który ostatni wszedł na pokład helikoptera.

– Nie uda się nam! – szlochał Scott.

– A co jest takiego przerażającego w śmierci? – Na twarzy Vaughna pojawił się rzadko goszczący tam uśmiech. – Jeśli chcesz, generale, masz siedemnaście minut na to, by zostać prawdziwym filozofem. – Potem obrócił się do innego oficera. – Powiedz pilotowi, żeby nie wspinał się w górę, bo bomba prawdopodobnie wybuchnie na wysokości około dwóch tysięcy metrów. Niech leci z wiatrem, z maksymalną prędkością. Zdążymy oddalić się o jakieś trzydzieści kilometrów, więc powinniśmy się znaleźć poza promieniem rażenia.

Trzy helikoptery pochyliły wirniki i nabierając prędkości, poleciały w głąb lądu. Gdy Davey patrzył przez okno na rozpościerającą się pod nimi antarktyczną bazę, wydawało mu się, że stopniowo przemienia się ona w stół piaskownicę, i napełniło go to takim bólem, że zacisnął powieki.

Niebo było zamglone, więc nie widzieli nic w dole, jakby helikoptery stały w miejscu. Ale Davey wiedział, że mogli już wylecieć poza bazę.

Spojrzał na zegarek. Od chwili, gdy otrzymali ostrzeżenie, minęło dwanaście minut.

– Może Chińczycy chcą tylko nas nastraszyć? – powiedział do Vaughna, który siedział obok niego.

Tamten potrząsnął głową.

– Nie, to się dzieje naprawdę.

Davey przycisnął twarz do szyby i ponownie wyjrzał na zewnątrz, ale nie było tam niczego oprócz mgły.

– Światowe igrzyska się skończyły, Davey – rzekł Vaughn. Potem zamknął oczy, oparł się o ścianę kabiny i nic już nie powiedział.

Później okazało się, że trzy helikoptery leciały przez mniej więcej dziesięć minut przed wybuchem, dzięki czemu znaleźli się około czterdziestu pięciu kilometrów od bazy, poza promieniem rażenia.

Najpierw zobaczyli, że świat zalewa światło. Jak stwierdził jeden z młodych pilotów, który nie został poinformowany o sytuacji: „Było to tak, jakbyśmy lecieli przez neonówkę”. Blask trwał przez około piętnastu sekund i towarzyszył mu potężny huk, jakby eksplodowała pod nimi Ziemia. Nagle zobaczyli błękitne niebo, kolisty rejon wokół miejsca wybuchu, który szybko się rozszerzał. Jak się później dowiedzieli, sprawiła to fala uderzeniowa, która rozproszyła chmury w promieniu stu kilometrów od hipocentrum. Pośrodku tego błękitu unosiła się chmura w kształcie grzyba. Na początku dzieliła się na dwie części: ogromną kulę białego dymu i ognia, która po schłodzeniu przybrała taką postać na wysokości dwóch tysięcy metrów, i drugą na ziemi, gdzie fala uderzeniowa wzbiła w powietrze niską piramidę piasku o wierzchołku przechodzącym w cienką iglicę, która połączyła się z tą kulą. Wchłonąwszy piach i pył z piramidy, biała kula natychmiast pociemniała, a po jej powierzchni przemykały płomienie. Mgła pod helikopterem rozstąpiła się jak chmury, ukazując im

wyraźnie ziemię. Pilot wspominał później: „Nagle ziemia stała się rozmyta, jakby zmieniła się w ciecz, jakby parła w naszą stronę bezkresna fala powodziowa, a te małe wzgórza były wyspami i rafami. Widziałem, jak na tymczasowych drogach przewracają się samochody niczym pudełka zapałek…”.

Helikopterami miotało jak liśćmi podczas burzy. Wiele razy opadły niebezpiecznie blisko ziemi i zostały obsypane fruwającymi kamieniami i piachem, a potem zostały wyrzucone wysoko w górę. Ale się nie rozbiły. Kiedy w końcu wylądowały bezpiecznie na zaśnieżonej ziemi, dzieci wyskoczyły z kabin i patrzyły na ogromny grzyb, teraz czarny, po stronie morza. Poranne słońce, wciąż pod horyzontem, wzniosło się już jednak na tyle wysoko, że oświetlało szczyt tej chmury, zabarwiając na złoto jej kontur falujący na tle powoli powiększającego się błękitnego kręgu na niebie.

Zamieć

– I to jest prawdziwa Antarktyda! – powiedział Huahua, stojąc w śniegu niesionym przez wiatr przenikający do szpiku kości. Wskutek nieskończonej bieli ziemi i nieba widoczność była marna i chociaż stali na brzegu morza, nic nie odróżniało go od lądu. Młodzi przywódcy wszystkich państw, których siły stacjonowały na Antarktydzie, zbili się w ciasną gromadę pośród szalejącej zamieci.

– Tak naprawdę nie jest to trafne stwierdzenie – odezwał się Okularnik. Musiał krzyczeć, żeby jego słów nie zagłuszył wyjący wiatr. – Przed pojawieniem się supernowej na Antarktydzie rzadko padał śnieg. W istocie jest to jedno z najsuchszych miejsc na Ziemi.

– To prawda – powiedział Vaughn. Był jedyną lekko odzianą osobą i stał odprężony w zimnym wietrze, przed którym inne dzieci kuliły się w kurtkach. Zupełnie jakby zimno w ogóle się go nie imało. – Wysoka temperatura napełniła powietrze wilgocią, a jej dramatyczny spadek zamienia teraz tę wilgoć w śnieg. Być może są to największe opady śniegu na tym kontynencie w ciągu stu tysięcy lat.

– Wracajmy. Zamarzniemy na kość, jeśli tu zostaniemy – powiedział Davey, szczękając zębami i tupiąc.

Tak więc głowy państw wróciły do hermetycznej hali, identycznej jak hala w bazie amerykańskiej, która wyparowała wskutek wybuchu miny z ery powszechnej.

Mina z ery powszechnej położyła kres antarktycznym grom wojennym. Dzieci ze wszystkich państw zgodziły się w końcu spotkać przy stole negocjacyjnym i omówić kwestię podziału terytorium Antarktydy. Każdy kraj zapłacił wysoką cenę za udział w igrzyskach, ale teraz, gdy rywalizacja nieoczekiwanie wróciła do punktu wyjścia i żadne wielkie mocarstwo nie zdobyło decydującej przewagi nad innymi, zakończenie negocjacji w przewidywalnej przyszłości wydawało się niemożliwe. Dzieci nie wiedziały, czy na kontynencie znowu wybuchnie wojna, czy też wydarzenia potoczą się innym torem. Jednak ostatecznie wszystkie problemy rozwiązała nagła zmiana klimatu.

Jej oznaki zaczęły się pojawiać już ponad miesiąc wcześniej, kiedy po dwuletniej nieobecności na północną półkulę powróciła jesień, najpierw z odrobiną chłodu, a potem z deszczami, zimnem i gromadzącymi się na ziemi opadłymi liśćmi. Po przeanalizowaniu danych urzędy meteorologii różnych państw doszły do wniosku, że wpływ supernowej na globalny klimat był tylko przejściowy i teraz wracał on do stanu sprzed jej wybuchu. Poziom oceanów przestał się podnosić, ale woda opadała wolniej, niż się wznosiła, co skłoniło wielu młodych naukowców do snucia przewidywań, że nigdy już nie wróci do poprzedniego stanu. Mimo to ogólnoświatowy potop się skończył.

Na Antarktydzie temperatura niewiele się zmieniła, a jej nieduży spadek większość dzieci uznała za skutek długiej polarnej nocy. Spodziewano się, że coraz wyżej wschodzące słońce usunie chłód i Antarktyda wkrótce powita pierwszą wiosnę. Nie miały pojęcia, że nad rozległym kontynentem unosi się białe widmo śmierci.

Dzięki mądrej, jak się później okazało, decyzji państwa zaczęły wycofywać z Antarktydy swoje kontyngenty, kiedy doszły do wniosku, że powróci dawny klimat. Gry wojenne pochłonęły życie pięciuset tysięcy

dzieci, z czego połowa zginęła w starciach konwencjonalnych, a druga połowa w wyniku eksplozji jądrowych, ale śmiertelne żniwo byłoby cztero- lub pięciokrotnie większe, gdyby wskutek powrotu klimatu do normalnego stanu ich uczestnicy nie zaczęli się natychmiast wycofywać. Ich bazy były przeważnie budowane z myślą o przetrzymaniu zimą temperatury nie niższej niż –10 stopni Celsjusza i nie mogliby w nich przetrwać przy temperaturze –30 stopni, która miała niebawem nadejść. W pierwszym miesiącu temperatura zmieniała się stopniowo, co pozwoliło 2,7 miliona dzieci wycofać się w tempie, które zdumiałoby dorosłych. Trzeba jednak było ewakuować również sprzęt, a poza tym wszystkie kraje pragnęły zachować choćby minimalną obecność, więc gdy zmienił się klimat, na kontynencie było jeszcze prawie trzysta tysięcy dzieci. W ciągu jednego tygodnia temperatura spadła o blisko dwadzieścia stopni, a na Antarktydzie rozszalały się burze śnieżne, zamieniając ją w białe piekło.

Po awaryjnej ewakuacji wciąż przebywających tam dzieci na brzegu pozostało ich jeszcze dwieście tysięcy, bo pogorszenie pogody uziemiło praktycznie całe lotnictwo, a wszystkie porty w ciągu tygodnia skuł lód, uniemożliwiając statkom wejście do nich. Ponieważ większość młodocianych przywódców była nadal na lądzie, gdzie zebrali się w sprawie negocjacji terytorialnych, naturalną koleją rzeczy było objęcie przez nich roli dowództwa ewakuacji. Głowa każdego państwa chciała zebrać dzieci ze swojego kraju, ale w tłumach na brzegu wymieszały się wszystkie narodowości, więc nie mieli pojęcia, co robić.

Gdy znaleźli się w hermetycznej hali, Davey powiedział:

– Skoro zobaczyliście już, jak wygląda sytuacja na zewnątrz, musimy wypracować jakieś rozwiązanie, i to szybko. W przeciwnym razie ponad dwieście tysięcy osób zamarznie na brzegu na śmierć.

– W razie potrzeby moglibyśmy wrócić do baz w głębi lądu – zasugerował Green.

– Nie – rzekł Okularnik. – Większość urządzeń w bazach została już rozebrana podczas odwrotu. A ponieważ zostało niewiele opału, nikt tam długo nie przetrwa. Zresztą jazda tam i z powrotem pochłonie mnóstwo czasu i odbierze nam wszelkie szanse na ewakuację.

– Nie możemy tam wrócić – dodał ktoś. – Nawet gdyby bazy były w idealnym stanie, przy takiej pogodzie zamarzniemy w tych budynkach na śmierć.

– Jedyną naszą nadzieją jest teraz ocean – rzekł Huahua. – Problem w tym, jak mamy sobie poradzić z zamarzniętymi portami.

– Kiedy mogą tu dotrzeć wasze lodołamacze? – zapytał Iljuchina Davey.

– Są na środku Atlantyku. Dopłyną tu najwcześniej za dziesięć dni. Nie liczcie na nie.

– A może wyrąbać kanał bombami z ciężkich bombowców? – zasugerował Ōnishi.

Davey i lljuchin potrząsnęli głowami, a Scott powiedział:

– Przy tej pogodzie bombowce nawet nie oderwą się od ziemi.

– Czy B-2 i Tu-22 nie latają w każdych warunkach pogodowych? – zapytał Lü Gang.

– Samoloty może tak, ale nie piloci.

Marszałek Zawjałow kiwnął głową.

– Mówiąc o każdych warunkach pogodowych, dorośli nie wzięli pod uwagę tak podłej sytuacji, jaką mamy tutaj. Poza tym nawet gdyby bombowce zdołały wystartować, widoczność jest tak zła, że utworzenie kanału za pomocą precyzyjnych uderzeń byłoby niemożliwe. Wybiłyby tylko parę dziur w lodzie i okręty nadal nie mogłyby się tu dostać.

– A co powiecie o działach okrętowych dużego kalibru? – zaproponował Pierre. – Albo o minach?

Generałowie potrząsnęli głowami.

– Ten sam kłopot z widocznością. Nawet gdyby można było zrobić w ten sposób spławny kanał, nie ma na to czasu.

– Poza tym – powiedział Huahua – uszkodziłoby to powierzchnię lodu i uniemożliwiło jedyne realne rozwiązanie.

– Jakie?

– Przejście po lodzie.

Kilka kilometrów wybrzeża było gęsto usiane porzuconymi samochodami i w pośpiechu wzniesionymi namiotami, a wszystko to pokrywała gruba warstwa śniegu, wskutek której tworzyły jednolity krajobraz ze śnieżną równiną z jednej i zamarzniętym oceanem z drugiej strony. Kiedy dzieci zobaczyły, że idzie ku nim grupa przywódców, wyszły z namiotów i samochodów, pobiegły ku nim i otoczyły ich gęstym tłumem. Krzyczały coś, ale słowa porywał wiatr. Koło Huahui i Okularnika znalazło się kilkoro chińskich dzieci. Zawołały:

– Dyżurny, Mądralo, co robimy?

Huahua nie odpowiedział od razu, ale wspiął się na szczyt czołgu zagrzebanego obok w śniegu i krzyknął do stojącego niżej tłumu:

– Przejdziemy po lodzie. Idźcie na skraj pokrywy lodowej, gdzie czekają na nas okręty! – Potem uświadomił sobie, że w tym wietrze jego głos nie niesie się daleko, więc ukucnął i powiedział stojącemu najbliżej chłopcu: – Przekaż to dalej!

Jego słowa rozeszły się w tłumie, trafiając do osób innej narodowości przez translatory albo gesty, których znaczenie było wystarczająco jasne.

– Zwariowałeś, Dyżurny? Na oceanie jest tak silny wiatr, a lód tak śliski, że zwieje nas jak trociny! – wrzasnęło jedno z dzieci.

– Nie zwieje, jeśli wszyscy będziemy trzymali się za ręce – powiedział Okularnik. – Przekażcie to dalej.

Tak więc wkrótce pojawiły się na lodzie sznury dzieci, z których każdy składał się niemal z setki trzymających się za ręce osób. Gdy oddalały się od linii brzegu, wyglądały jak uparcie kręcące się chrząszcze. Pierwszy wszedł na lód sznur przywódców. Huahua miał z lewej strony Daveya, a z prawej Okularnika, za którym szedł Iljuchin. Gęsty, niesiony przez wiatr śnieg spowijał ich nogi, przez co miały wrażenie, jakby brnęły przez biały ciąg wodospadów.

– A więc tak kończy się ten okres historii – powiedział Davey do Huahui przez nastawiony na maksymalną głośność translator.

– Tak – odparł Huahua. – W erze dorosłych było u nas takie stare powiedzenie: „To też przeminie”. Bez względu na to, jak może być trudno, czas zawsze biegnie naprzód.

– To ma sens. Ale będzie jeszcze trudniej. Namiętność, którą wzbudziła w dzieciach Antarktyda, ustąpiła miejsca zniechęceniu, a amerykańskie społeczeństwo może wrócić do zabaw pełnych przemocy.

– Chińskie dzieci mogą ponownie wpaść w odrętwienie i stupor, może też powrócić przerwany okres wesołego miasteczka – rzekł Huahua i westchnął. – Będzie ciężko.

– Być może ja nie będę już brał w tym wszystkim udziału.

– Kongres naprawdę ma zamiar wystąpić z wnioskiem o zdjęcie cię z urzędu?

– Sukinsyny!

– Ale może wyjdziesz na tym lepiej niż ja. Bycie głową państwa to żadna przyjemność.

– Ba! Kto by pomyślał, że cienką kartkę historii można tak złożyć, że będzie taka gruba?

Huahua nie bardzo zrozumiał ostatnią uwagę Daveya, a tamten nie kwapił się z wyjaśnieniem. Przenikliwy ziąb i silny wiatr znad oceanu zniechęcały do rozmowy, więc mogli tylko iść naprzód i od czasu do czasu pomagać jakiemuś towarzyszowi, który poślizgnął się na lodzie.

Nieco ponad sto metrów za Huahuą brnął z trudem przez zamieć również podporucznik Wei Ming. W pewnym momencie wiatr nagle ucichł i Wei Ming usłyszał miauczenie kota. Najpierw pomyślał, że jest to wytwór jego wyobraźni, ale gdy się rozejrzał, dostrzegł na lodzie nosze, które właśnie minął. Były tak zasypane śniegiem, że początkowo wziął je za zaspę. Miauczenie dochodziło spod nich. Wei Ming oderwał się od kolumny i ślizgając się, podszedł do noszy, spod których wyskoczył kot i stanął, trzęsąc się, na śniegu. Podniósł go – to był Arbuz. Ściągnąwszy koc z noszy, zobaczył leżącego na nich poważnie rannego Morgana. Miał oszronioną brodę, a jego oczy płonęły z gorączki. Zdawał się nie rozpoznawać Wei Minga, a kiedy wypowiedział kilka słów, jego głos był wątły jak nitka. Zresztą bez translatora Wei Ming i tak by go nie zrozumiał. Wsunął kota pod koc, przeszedł naprzód i zaczął ciągnąć nosze. Posuwał się wolno, ale kiedy zrównała się z nim następna kolumna dzieci, kilkoro z nich pomogło mu je nieść.

Przez długi czas w bezmiarze otaczającej je bieli dzieci widziały tylko wirujący śnieg i chociaż brnęły przed siebie, miały wrażenie, jakby stały w miejscu, przymarznięte do lodu. Ale akurat w chwili gdy zbyt zdrętwiały

z zimna, by się ruszać, przed nimi ukazały się czarne sylwetki okrętów i poinformowano je przez radio, żeby nie posuwały się dalej. Doszły do skraju pokrywy lodowej, gdzie lód był cienki i w każdej chwili mógł się załamać. Okręty miały przysłać po nie barki desantowe i poduszkowce. Zanim otrzymały tę wiadomość, przez szczeliny w lodzie wpadło do lodowatego morza ponad tysiąc dzieci, ale większości z nich udało się złapać pokrywy.

Przez padający śnieg widać było różniące się od okrętów czarne cienie, które stopniowo nabierały kształtów. Były to dziesiątki barek desantowych przedzierających się przez krę. Gdy dotarły do zwartego lodu, otworzyły prostokątne paszcze i wchłonęły rój dzieci.

Wei Ming wniósł z innymi nosze na jedną z barek. Była to jednostka tylko dla rannych, więc pomocnicy zaraz odeszli i nigdy się nie dowiedział, z jakich byli krajów. W przyćmionym żółtym świetle w kabinie Morgan patrzył na niego obojętnym wzrokiem. Najwyraźniej jeszcze go nie rozpoznał, więc Wei Ming podniósł Arbuza i powiedział:

– Nie możesz już się nim opiekować. Może zabiorę go ze sobą do Chin? – Postawił kota na noszach, a ten polizał swego pana po twarzy. – Nie martw się, pułkowniku. Przetrwaliśmy tyle niemożliwych do przetrzymania gier i życie będzie się toczyć dalej. Przeszliśmy przez piekło, więc muszą nas czekać już tylko same dobre rzeczy.

Potem wsunął Arbuza do plecaka i zszedł z barki.

Huahua wraz z kilkoma generałami z innych państw koordynował ewakuację i powstrzymywał dzieci, którym jeszcze nie udało się dostać na

barki, przed tłoczeniem się z przodu, by pod zbyt dużą ich liczbą nie załamał się lód. Dalej z tyłu dzieci z różnych krajów zbiły się ciasno w gromadę, by w ten sposób chronić się przed zimnem. Nagle Huahua usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił się i zobaczył Wei Minga. Dwaj koledzy z klasy mocno się objęli.

– Ty też przypłynąłeś na Antarktydę? – zapytał z niedowierzaniem Huahua.

– Rok temu, z przednim oddziałem Grupy Armii B. Widziałem ciebie i Okularnika już parę razy z daleka, ale nie chciałem wam przeszkadzać.

– Z naszej klasy poszli do wojska chyba także Wang Ran i Jin Yunhui.

– Tak jest. Oni też przypłynęli na Antarktydę – powiedział Wei Ming z niepewną miną.

– Gdzie są teraz?

– Wang Ran został ewakuowany w ubiegłym miesiącu z pierwszą partią rannych, ale nie wiem, czy udało mu się dotrzeć do domu. Został poważnie ranny w bitwie czołgów. Uszedł z życiem, ale miał złamany kręgosłup i prawdopodobnie już nigdy nie będzie chodził.

– Och… a Jin Yunhui? Zdaje mi się, że był pilotem.

– Tak jest. J-10 w pierwszej dywizji powietrznej. On miał więcej szczęścia. Wpadł na Su-30 podczas walk myśliwców i oba samoloty roztrzaskały się na kawałki. Został pośmiertnie odznaczony Medalem Mgławicy, ale wszyscy wiedzą, że uderzył w samolot wroga przypadkowo.

Aby ukryć smutek, Huahua zadał mu kolejne pytanie:

– A inni z naszej klasy?

– Utrzymywaliśmy ze sobą kontakty przez pierwsze kilka miesięcy, ale wraz z nastaniem wesołego miasteczka większość z nich, tak jak inne dzieci, rzuciła pracę. Nie wiem, gdzie wylądowali.

– Czy pani Zheng nie zostawiła dziecka?

– Tak jest. Najpierw opiekowały się nim Feng Jing i Yao Pingping. Xiaomeng wysłała kogoś, żeby je odszukał, ale ostatnie polecenie pani Zheng brzmiało: „Nie możecie wykorzystywać żadnych znajomości, żeby je specjalnie traktować”, więc dziewczyny nie pozwoliły go odnaleźć. Na początku okresu wesołego miasteczka w żłobku wybuchła epidemia i synek pani Zheng dostał wysokiej gorączki. Przeżył, ale stracił słuch. Żłobek zlikwidowano i kiedy ostatni raz widziałem się z Feng Jing, powiedziała, że przeniesiono go do innego. Nikt nie wie, gdzie teraz jest.

Huahui odebrało mowę. Przeniknął go głęboki smutek i natychmiast ulotniło się odrętwienie, które zaczęło go ogarniać, kiedy znalazł się na szczycie władzy.

– Huahua – powiedział Wei Ming – pamiętasz nasze przyjęcie pożegnalne?

Huahua skinął głową.

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Okularnik mówił wtedy o przyszłości, której nie da się przewidzieć. Mówił, że wszystko się może zdarzyć. Dowodził tego, odwołując się do teorii chaosu.

– Tak. Wspomniał też o zasadzie nieokreśloności…

– Kto by wtedy pomyślał, że wpadniemy na siebie w takim miejscu?

Huahua nie mógł już dłużej powstrzymywać łez. Niemal natychmiast wiatr zdmuchnął je na jego policzki, gdzie zamarzły. Spojrzał na kolegę z klasy. Brwi Wei Minga były białe od szronu, a skóra na twarzy ciemna, szorstka, pokryta bliznami i śladami po odmrożeniach oraz niewidocznymi ranami, które zostawiły życie i wojna. Czas postarzył już jego dziecinną twarz.

– Dorośliśmy, Wei Ming – powiedział Huahua.

– Ale ty dorosłeś szybciej niż my.

– Jest mi ciężko. Okularnikowi i Xiaomeng też.

– Nie pozwól, by ktokolwiek się o tym dowiedział. Jesteście chlubą naszej klasy. Naszą dumą.

– Trzymaj się, Wei Ming – powiedział przejęty Huahua, ściskając dłoń kolegi.

– Ty też.

Wei Ming trzymał przez chwilę jego dłoń, a potem odwrócił się i zniknął w padającym śniegu.

Davey wsiadł na amerykański lotniskowiec *John C. Stennis*. Ten zakotwiczony blisko brzegu superlotniskowiec, zwodowany w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, był w zamieci czarną wyspą. Davey usłyszał strzały dobiegające z końca zasypanego śniegiem pasa startowego, więc zapytał komandora, który go powitał, co się dzieje.

– Chce tu wsiąść mnóstwo dzieci z innych państw. Piechota morska je odpiera.

– Ty kretynie! – ryknął Davey. – Pozwól wejść na pokład wszystkim dzieciom, które mogą się tu dostać, bez względu na to, skąd pochodzą!

– Ale… panie prezydencie, to niemożliwe!

– To rozkaz! Powiedz tym z piechoty morskiej, żeby poszli do diabła!

– Panie prezydencie, odpowiadam za bezpieczeństwo *Johna C. Stennisa*!

Davey walnął komandora w głowę, zrzucając mu czapkę.

– A za życie tych dzieci na lodzie nie jesteś odpowiedzialny? Jesteś przestępcą!

– Przykro mi, panie prezydencie, ale jako kapitan tego okrętu nie mogę wykonać pana rozkazu.

– Przynajmniej na razie jestem naczelnym dowódcą Stanów Zjednoczonych Ameryki. Gdyby była taka potrzeba, mógłbym w tej chwili zepchnąć cię do morza, tak jak twoją czapkę. Mam spróbować?

Komandor się zawahał, a potem rzekł do kapitana piechoty morskiej:

– Każ swoim ludziom się wycofać. Wpuśćcie na pokład wszystkich, którzy chcą wejść.

Na schody, a z nich na pokład popłynął niekończący się strumień dzieci z różnych państw. Wiatr był tam bardziej porywisty i jedyną osłonę przed nim mogły znaleźć po zawietrznej stronie myśliwców. Wiele dzieci wpadło podczas wsiadania do oceanu i teraz ich przemoczone ubrania pokryła błyszcząca warstwa lodu.

– Wpuśćcie je do kabin. Jeśli zostaną tu dłużej, zamarzną na śmierć – powiedział Davey do komandora.

– Nie mogę tego zrobić, panie prezydencie. Kabiny pękają już w szwach od natłoku amerykańskich dzieci, które pierwsze weszły na okręt.

– A hangary? Jest w nich mnóstwo przestrzeni, wystarczy dla kilku tysięcy osób. One też są pełne?

– Pełne samolotów!

– To wyprowadźcie samoloty na pokład.

– To niemożliwe. Na pokładzie startowym jest już za dużo innych myśliwców, które ta straszna pogoda zmusiła do lądowania awaryjnego. Niech pan spojrzy, winda do hangarów jest kompletnie zablokowana!

– Więc zepchnijcie je do morza!

I tak zepchnięto za burtę *Johna C. Stennisa* jeden za drugim myśliwce, z których każdy kosztował dziesięć milionów dolarów, a jego szeroki pokład znowu zapełniły samoloty wywiezione ogromną windą z hangarów. Międzynarodowa grupa dzieci zeszła z pokładu do przepastnych, ciepłych hal, w których pomieściły się ich tysiące. Gdy się trochę rozgrzały

i rozejrzały, zaparło im dech w piersiach na widok ogromu lotniskowca. Ale i tak ponad setka przemoczonych dzieci zamarzła na śmierć na pokładzie startowym.

Ostatni etap ewakuacji zajął trzy dni, a potem potężna, licząca ponad tysiąc pięćset okrętów flota z trzystoma tysiącami dzieci rozdzieliła się na dwie grupy, z których jedna skierowała się do Argentyny, a druga do Nowej Zelandii. Podczas ewakuacji zmarło z powodu wyziębienia ponad trzydzieści tysięcy dzieci. Była to ostatnia grupa ofiar wojny ery supernowej na Antarktydzie.

Morze Amundsena wróciło do swej pierwotnej postaci, wolnej od pokrywających je okrętów. Przestał padać śnieg, ale nadal dął ostry wiatr, przenikając powietrze nad wodą. Gdy niebo się przejaśniło i w chmurach nad horyzontem pojawiła się luka, wschodzące słońce zalało złotym blaskiem Antarktydę, grubą powłokę śniegu, która pokrywała jeszcze niedawno nagie skały i ziemię. Być może w jakiejś odległej przyszłości na tym zamarzniętym lądzie znowu postawi stopy tłum ludzi, którzy będą szukać zasypanych śniegiem ciał pół miliona dzieci, wraków niezliczonych czołgów i dwóch dziesięciokilometrowych kraterów po wybuchach jądrowych. Podczas krótkiej wiosny na tym kontynencie walczyły wśród płomieni i eksplozji trzy miliony dzieci z całego świata. Jednak teraz tragedia wojny ery supernowej wydawała się już tylko złym snem podczas długiej nocy, mirażem, który ukazał się w jasnym świetle zorzy polarnej. W świetle dziennym ten ląd był pustym bezmiarem bieli. Wyglądał tak, jakby nic się na nim nie zdarzyło.

10. Geneza

Nowy prezydent

Davey wpadł w panice do Gabinetu Owalnego, a potem głęboko westchnął. Dotknął odmrożeń na twarzy, śladów widocznych u wszystkich dzieci, które wróciły z Antarktydy. Na prezydenckim fotelu z wysokim oparciem siedziała Benes i spokojnie obcinała paznokcie. Gdy zobaczyła Daveya, przewróciła oczami i powiedziała:

– Panie Hermanie Davey, został pan usunięty z urzędu i nie ma pan prawa wracać do tego gabinetu. Prawdę mówiąc, nie ma pan w ogóle prawa przebywać w Białym Domu.

Davey potarł skronie i odparł:

– Chcę odejść, ale na zewnątrz czeka banda zbirów, która chce mnie zabić!

– Zasługuje pan na to. Spisał się pan najgorzej ze wszystkich amerykańskich prezydentów w historii.

– Nie… nie masz prawa tak się do mnie odzywać! Dlaczego siedzisz w fotelu prezydenta? Myślisz, że możesz ignorować etykietę, kiedy mnie nie ma?

Benes spojrzała na sufit.

– To ty powinieneś przestrzegać etykiety.

Davey miał już wybuchnąć, gdy wszedł Vaughn, który powiedział:

– Prawdopodobnie nie wie pan, że Frances Benes została wybrana na drugiego prezydenta Stanów Zjednoczonych w erze supernowej.

– Co? – krzyknął Davey, gapiąc się na blondynkę przycinającą sobie paznokcie w tym świętym miejscu. Spojrzał znowu na Vaughna

i wybuchnął śmiechem. – Nie żartuj! Ta idiotka nie potrafi nawet liczyć!

Benes walnęła z furią w stół, ale zaraz podniosła rękę do ust, by uśmierzyć ból. Potem wysunęła w stronę Daveya palec i powiedziała ostro:

– Zamknij się, bo zostaniesz oskarżony o znieważenie prezydenta!

– Powinieneś być odpowiedzialny za republikę! – rzekł Davey oskarżycielskim tonem do Vaughna.

– To wybór, którego dokonały wszystkie amerykańskie dzieci. Nowa prezydent została wybrana w uczciwych wyborach.

Davey splunął w stronę Benes.

– Kiedy nam na Antarktydzie śmierć zaglądała w oczy, ty flirtowałaś tu z mediami!

– Zniesławiasz prezydenta! – krzyknęła Benes do Daveya, otwierając szeroko oczy, ale grymas na jej twarzy przeszedł zaraz w zadowolony uśmiech. – Wiesz, dlaczego na mnie głosowali? Bo wyglądam jak Shirley Temple. I tym cię pobiłam. Możesz być przystojny, ale nie przypominasz żadnej gwiazdy filmowej.

– Gdyby całymi dniami nie wyświetlano w telewizji tych starych czarno-białych filmów, kto by pamiętał Shirley Temple?

– Taką strategię przyjęliśmy w kampanii! – powiedziała Benes ze słodkim uśmiechem.

– Demokraci są ślepi.

– Prawdę mówiąc, łatwo to zrozumieć – rzekł Vaughn. – Po grach wojennych ludzie chcieli, by ich wolę wyrażał ktoś bardziej umiarkowany.

Davey skrzywił się z niesmakiem.

– I ta lalka Barbie ma wyrażać wolę Ameryki? Obecnie cały kraj pogrążony jest w żalu po porażce na Antarktydzie i grozi nam powrót brutalnych zabaw. Kryzys, przed którym stoi republika, jest bardziej przerażający niż wojna antarktyczna, bo w każdej chwili możemy upaść.

W tym krytycznym momencie złożyć los amerykańskich dzieci w ręce tej lalki…

– Pan Vaughn znajdzie rozwiązanie – powiedziała Benes, kiwając głową w jego stronę.

Davey przez chwilę był oszołomiony, ale potem skinął w zamyśleniu głową.

– Rozumiem. Pan Vaughn wykorzystuje cię do realizacji swoich celów. Jego sceną jest nasz kraj i cały świat, a każda jednostka marionetką, którą według swojego widzimisię steruje, pociągając za sznurki. Tak, on tak właśnie uważa… – Potem poderwał się zirytowany na nogi i wyciągnął z kieszeni krótkolufowy rewolwer, który wymierzył w Vaughna. – Jesteś zbyt ponury i odrażający. Powinienem rozwalić ci głowę. Robi mi się niedobrze na jej widok.

Benes krzyknęła i sięgnęła do przycisku alarmowego, ale Vaughn powstrzymał ją lekkim machnięciem ręki.

– Nie pociągniesz za spust. Jeśli to zrobisz, nie wyjdziesz stąd żywy. Jesteś wzorcowym Amerykaninem. We wszystkim, co robisz, stosujesz się do żelaznej zasady: to, co dostaniesz, powinno zawsze przewyższać twój wkład. To twoja podstawowa wada!

Davey odłożył rewolwer.

– To oczywiste, że przychód powinien być większy niż wkład!

– Ale tak się nie tworzy historii.

– Ja już nie tworzę historii. Jestem tym zmęczony! – powiedział Davey i skoczył do drzwi, skąd po raz ostatni obrzucił spojrzeniem Gabinet Owalny, gdzie pozostało tyle jego marzeń. Potem wybiegł.

Z kaskiem motocyklowym w ręku opuścił Biały Dom tylnym wyjściem. Był tam zaparkowany lincoln town car. Wsiadł do niego. Włożył kask, a potem znalazł w schowku okulary słoneczne i też je włożył. Uruchomił

silnik i odjechał. Za ogrodzeniem Białego Domu zebrała się setka dzieci, które chciały wyrównać z nim rachunki, ale jego samochód nie przyciągnął ich uwagi, więc pozwoliły mu przejechać.

Obejrzał się na tłum i zobaczył, że dzieci wywiesiły transparent:

HERMAN, SPADAJ, JESTEŚ ZŁY. FRANCES DA NAM NOWE GRY!

Jeździł po stolicy bez celu. W Dystrykcie Kolumbii zostało niewiele ludności, bo większość dzieci przeniosła się w poszukiwaniu pracy do większych ośrodków, gdzie koncentrował się przemysł, więc gdyby nie fakt, że znajdowała się tu siedziba rządu, Waszyngton byłby praktycznie miastem widmem. Było po dziewiątej rano, ale miasto nie wykazywało żadnych oznak przebudzenia. Wokół panowała cisza jak w środku nocy, co tylko potęgowało wrażenie, że jest to grób. Davey myślał z czułością o kipiącym życiem Nowym Jorku. Stamtąd pochodził i tam miał zamiar wrócić.

Lincoln za bardzo rzucał się w oczy. Taki luksusowy wóz już mu nie odpowiadał. Zaparkował go w odludnym miejscu nad Potomakiem i wyjął z bagażnika lekki pistolet maszynowy FN minimi, który dał mu Vaughn. Sprawdził magazynek z przezroczystego plastiku – był niemal do połowy pełny. Podniósł broń do oka i puścił do stojącego kilka metrów dalej lincolna serię, ratatata. Z wylotu lufy buchnęły trzy płomienie, a odrzut sprawił, że Davey padł na tyłek. Siedział przez chwilę, gapiąc się na auto, a gdy nic się nie zdarzyło, podźwignął się, opierając się na kolbie, nastawił przełącznik na najszybszy ogień ciągły i ponownie podniósł kołyszącą się broń do oka. Raz jeszcze pociągnął za spust i znowu upadł na ziemię. Przez rzekę poniósł się terkot szybkich strzałów. Po samochodzie nie było widać żadnej reakcji. Davey wstał z dwoma plamami na tyle dżinsów i zasypał

auto gradem kul, opróżniając magazynek. Lincoln stanął z hukiem w płomieniach. Davey wrzasnął: „Juhuu!” i odbiegł, zabierając ze sobą pistolet.

Benes skończyła przycinać paznokcie i patrząc w małe lusterko, zabrała się do wyskubywania pęsetką brwi. Vaughn wskazał jej dwa przyciski w prezydenckim biurku i powiedział:

– Te przyciski ciekawią mnóstwo ludzi. Media spekulowały nawet, że od nich zależy los narodu i że jeśli prezydent naciśnie jeden z nich, natychmiast połączy się z NATO. Naciśnie drugi i w całym kraju zostanie ogłoszony alarm wojenny, w powietrze poderwą się bombowce, a z silosów wysuną się pociski z głowicami jądrowymi… tego rodzaju rzeczy.

Jednak w rzeczywistości jeden służył do przywołania sekretarki z kawą, a drugi do wezwania sprzątaczki. Już wcześniej w czasie, który spędzała z Vaughnem, Benes odkryła, że chłopak chętnie z nią konwersuje. Okazał się dobrym rozmówcą, chociaż poruszał tylko nieistotne sprawy i z wyćwiczoną wprawą unikał poważnych tematów.

– Znam swoje atuty i nie podzielam błędnego mniemania ludzi z zewnątrz o tych dwóch przyciskach. Wiem, że nie jestem zbyt mądra, ale przynajmniej sprytniejsza niż Davey.

Vaughn kiwnął głową.

– Z pewnością.

– Siedzę na koniu historii, ale nie trzymam cugli. Może sobie truchtać, gdzie chce. Nie postępuję jak Davey, który szarpał cugle i zmuszał go do galopu na skraj przepaści.

Vaughn ponownie kiwnął głową.

– Bardzo mądrze.

Benes odłożyła lusterko i przez chwilę patrzyła na Vaughna.

– Ty jesteś mądry. Możesz tworzyć historię. Ale większą część zasług musisz przypisać mnie.

– Nie ma sprawy – odparł Vaughn. – Nie zależy mi na tym, żeby moje nazwisko znalazło się w podręcznikach historii.

Benes posłała mu wesoły uśmiech.

– Zauważyłam. W przeciwnym razie już byłbyś prezydentem. Ale i tak powinieneś mi coś powiedzieć, kiedy będziesz chciał tworzyć historię, żebym mogła przedstawić to Kongresowi i prasie.

– To właśnie mam zamiar teraz zrobić.

– Słucham – powiedziała Benes z następnym uśmiechem, odkładając pęsetkę i przystępując do malowania paznokci.

– Wejdziemy w okres brutalnej walki o kontrolę nad światem. O ponowny podział ziem i surowców. Nie ma powrotu do modelu świata dorosłych. Świat dzieci będzie działał na zupełnie nowych zasadach, według modelu, którego nikt nie jest w stanie przewidzieć. Ale jedno jest pewne: jeśli Ameryka chce utrzymać pozycję, jaką miała w erze powszechnej, a nawet jeśli chce tylko przetrwać, musi obudzić swą uśpioną moc!

– Tak. Mamy siłę! – powiedziała Benes, potrząsając pięścią.

– A więc, pani prezydent, co jest źródłem siły Ameryki?

– Chcesz powiedzieć, że nie są nim lotniskowce i statki kosmiczne?

– Tak… – Vaughn znacząco pokiwał głową. – To są rzeczy nieistotne. Nasza siła ukształtowała się wcześniej, podczas podboju Zachodu.

– O tak! Ci kowboje byli tacy przystojni!

– Prowadzili dużo mniej romantyczne życie, niż to pokazują filmy. Na Dzikim Zachodzie stale dręczyły ich głód i choroby, a ich życiu ciągle zagrażały pożary, watahy wilków i Indianie. Mieli tylko konia i rewolwer,

ale każdy z nich odjeżdżał z uśmiechem w dal, by w tym okrutnym środowisku wykuwać amerykański cud, pisać amerykański epos, czerpiąc siłę z pragnienia zapanowania nad nowym światem. Ci rycerze Zachodu byli prawdziwymi Amerykanami, ich duch był prawdziwym amerykańskim duchem. Stamtąd bierze się nasza siła. Ale gdzie są teraz ci jeźdźcy? Przed pojawieniem się supernowej nasi ojcowie i matki kryli się w twardej skorupie drapaczy chmur, uważając, że mają w kieszeni cały świat. Od czasu zakupu Alaski i Hawajów ani o cal nie powiększyli naszego terytorium, nie marzyli o nowych podbojach, stali się powolni i leniwi, z sadłem na brzuchach i na karkach. Byli odrętwiali, trzęśli się histerycznie z powodu najmniejszych strat podczas wojny, zawodzili i haniebnie agitowali pod Białym Domem. Później, gdy nowe pokolenie zaczęło postrzegać świat jako kawałek papieru toaletowego, nowym symbolem Ameryki zostali hipisi i punkowcy. Teraz, w nowej erze, dzieci się zagubiły i znieczulają się brutalnymi zabawami na ulicach!

– Ale jak można obudzić moc Ameryki? – zapytała trzeźwo Benes.

– Potrzebujemy nowej gry.

– Jakiej?

W odpowiedzi Vaughn wypowiedział zdanie, którego nigdy wcześniej nie słyszała z jego ust:

– Nie wiem.

– Nie! – krzyknęła prezydent. – Wiesz. Wiesz wszystko! Musisz mi powiedzieć!

– Pomyślę o tym, ale potrzebuję czasu. Na razie jestem pewien tylko jednego: to będzie najbardziej wymyślna i najniebezpieczniejsza gra w historii, więc mam nadzieję, że nie będzie pani zbyt zaskoczona, kiedy usłyszy, na czym ma polegać.

– Nie będę. No, dalej, wymyśl coś szybko!

– Proszę mnie tu zostawić na chwilę i nikogo nie wpuszczać. Włącznie z panią – powiedział Vaughn i odprawił ją machnięciem ręki.

Prezydent cicho wyszła. Skierowała się wprost do piwnicy, gdzie znajdowało się centrum bezpieczeństwa Białego Domu, zapchane monitorami przeróżnych rozmiarów, z których jeden pokazywał Gabinet Owalny. Żaden prezydent nie lubi być pod obserwacją, więc uruchamiano go tylko w szczególnych okolicznościach, za wyraźnym jego pozwoleniem. Sprzęt był stary i od lat nieużywany, więc pełniącym służbę młodym specjalistom zajęło trochę czasu wywołanie obrazu na ekranie. Vaughn stał bez ruchu przed wielką mapą świata, pogrążony w myślach. W zatłoczonym piwnicznym pomieszczeniu, obrzucana zaciekawionymi spojrzeniami innych dzieci, prezydent Benes wpatrywała się w ekran bez mrugnięcia okiem, jak dziecko czekające w wigilię świąt Bożego Narodzenia do późnej nocy na przybycie Świętego Mikołaja z workiem zabawek. Minęła godzina, druga… przez całe popołudnie Vaughn stał jak posąg. Straciwszy w końcu cierpliwość, Benes obróciła się do ochrony i powiedziała, żeby natychmiast ją powiadomiono, jeśli Vaughn wykona jakikolwiek ruch.

– Jest niebezpieczny? – zapytał agent z dużym rewolwerem na tyłku.

– Nie dla Ameryki.

Poprzedniego dnia była zajęta wypełnianiem różnych prezydenckich obowiązków, a w nocy nie zmrużyła oka, więc teraz naszła ją ogromna senność i nie wiedziała nawet, kiedy zasnęła. Przespała całe popołudnie i obudziła się dopiero po zmroku. Chwyciła za telefon i zapytała, co robi Vaughn, ale dzieci czuwające przed monitorem powiedziały, że cały dzień stał bez ruchu pod mapą i w tym czasie wymamrotał tylko sam do siebie: „Boże, gdybym doznał takiego natchnienia jak Wegener!”.

Benes szybko poleciła kilku doradcom, żeby sprawdzili, o co chodziło Vaughnowi. Jeden z nich poinformował ją, że Wegener był niemieckim geologiem w erze powszechnej. Pewnego razu, gdy złożony chorobą, niemiłosiernie znudzony, gapił się na mapę świata, uświadomił sobie nagle, że granice kilku kontynentów pasują do siebie, co nasunęło mu myśl, że kiedyś tworzyły jedną całość. Potem rozerwała ją jakaś nieznana siła, jej różne części oddzieliły się i utworzyły świat w obecnej postaci. Dało to początek epokowej teorii dryfu kontynentów. Benes zrozumiała, że w słowach Vaughna nie kryła się żadna tajemnica; pragnął tylko stworzyć teorię dryfu polityki międzynarodowej. Odesłała więc doradców, położyła się na kanapie i z powrotem zapadła w sen.

Gdy ponownie się obudziła, było po pierwszej. Chwyciła za telefon, zadzwoniła do piwnicy i dowiedziała się, że dziwaczny chłopak w Gabinecie Owalnym nadal stoi nieruchomo.

– Zastanawiamy się, czy przypadkiem nie umarł na stojąco – powiedział jeden z agentów.

Benes kazała im przełączyć obraz do jej pokoju. Przez okno Gabinetu Owalnego snop światła Różanej Mgławicy padał wprost na Vaughna, który na tle niewyraźnej mapy wyglądał jak zjawa. Westchnęła, wyłączyła monitor i znowu się położyła.

Spała, dopóki się nie rozwidniło, a obudził ją dzwonek telefonu.

– Pani prezydent, ten facet z gabinetu chce się z panią widzieć.

Benes wybiegła w piżamie i popędziła do Gabinetu Owalnego, gdzie czekał na nią Vaughn z upiornym spojrzeniem.

– Pani prezydent, mamy nową grę – powiedział uroczystym tonem.

– Tak? Opowiedz mi o niej!

Vaughn wyciągnął dłonie. W każdej trzymał kawałek papieru o dziwnym kształcie. Chwyciła je, by się przyjrzeć, a potem zdezorientowana podniosła

głowę. Były to dwa fragmenty mapy wycięte przez Vaughna; jeden przedstawiał Amerykę, drugi Chiny.

Wizyta

Huahua siedział obok tłumacza w okularach w pierwszym samochodzie małego konwoju zmierzającego do Stołecznego Portu Lotniczego. W następnym aucie był minister spraw zagranicznych, a w trzecim ambasador USA, jedenastoletni chłopiec nazwiskiem George Friedman, który był synem poprzedniego attaché wojskowego. W ciężarówce na końcu konwoju jechała orkiestra wojskowa, której kilku członków stroiło instrumenty, wydobywając z nich słyszalne z daleka zgrzytliwe dźwięki.

Dwa dni wcześniej chińskie dzieci w PWI otrzymały e-mail od amerykańskiej prezydent. Jego treść była krótka:

> Naprawdę chcę odwiedzić wasz kraj. Chciałabym natychmiast przylecieć. Mogę?
>
> Z poważaniem
>
> Frances Benes
>
> prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki

Gdy konwój dotarł na lotnisko, błyszcząca srebrzystobiała plamka już zataczała w górze kręgi. Dzieci z wieży kontrolnej przesłały pozwolenie na lądowanie i plamka szybko się powiększyła. Dziesięć minut później Air Force One dotknął płyty lotniska. Z powodu ograniczonych umiejętności technicznych młodego pilota metalowy kolos podskoczył kilka razy, zanim na dobre wylądował, a potem kołował po niebezpiecznej krzywej w kształcie litery S do końca pasa, gdzie się wreszcie zatrzymał.

Otworzyły się drzwi. Wychyliło się z nich kilka małych głów i patrzyło niecierpliwie na schody ciągnięte z miejsca oddalonego o kilkaset metrów.

Gdy je przystawiono, pierwsza ruszyła do wyjścia ładna blondynka, w której Huahua rozpoznał pokazywaną w wiadomościach telewizyjnych nową prezydent. Tuż za nią szło kilku wyższych urzędników, których nie znał. Przepychali się i potrącili Benes, która omal się nie potknęła. Wyprostowała się, odwróciła do nich i pogroziła im pięścią, wykrzykując kilka słów reprymendy. Zwolnili. Prezydent ponownie ruszyła z gracją w dół, pielęgnując w umyśle wyraźny obraz historii, którą tworzyła. Gdy znalazła się w dwóch trzecich schodów, przez drzwi samolotu przepchnęła się i zbiegła, wymijając urzędników, zgraja reporterów z zawieszonymi na szyjach aparatami fotograficznymi. Najszybszy dotarł na ziemię przed Benes i odwrócił się, by skierować na nią obiektyw. Wybuchła wściekłością, pokonała susami kilka ostatnich stopni, chwyciła reportera za kołnierz i zaczęła ze złością na niego wrzeszczeć. Tłumacz powiedział Huahui:

– Prezydent mówi, że miała zejść pierwsza, by jako pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych w erze supernowej postawić nogę na chińskiej ziemi, a ten reporter jej to ukradł. Reporter tłumaczy się, że zbiegł na dół pierwszy, żeby zrobić jej zdjęcie, ale ona nadal nazywa go durniem i mówi, że na pokładzie powiedziała bardzo jasno, iż nikt nie może wysiąść przed nią. I tak są uprzywilejowani, bo kiedy do Chin przybył Nixon i wymieniał uścisk dłoni z Zhou Enlaiem, wszyscy inni nadal tkwili na pokładzie samolotu. Ten reporter też się wściekł, bo jest starym zawodowcem oddelegowanym do Białego Domu przez Associated Press. Mówi: „Kim, do diabła, pani jest? Za cztery lata pani odejdzie, a ja nadal będę w Białym Domu!”. Teraz prezydent mówi: „Idź do diabła. Za cztery lata wciąż tam będę. I za osiem lat. Zawsze tam będę!”.

Tymczasem ze schodów zeszły już wszystkie dzieci i utarczka słowna przemieniła się w fizyczną.

Prezydent wydobyła się z tego młyna i podeszła do chińskich dzieci, by się z nimi przywitać.

– Niezmiernie się cieszę, że spotykam się z wami tuż przed odrodzeniem się ludzkiej historii. Och, pana twarz pokrywają blizny po odmrożeniach. To medale za odwagę! Wie pan, że w Ameryce jest mnóstwo specjalnych salonów urody, które robią takie blizny za pomocą suchego lodu? To dobry interes! – powiedziała Benes do Huahui przez translator.

– Wolałbym nie mieć tych medali – odparł Huahua. – Niemiłosiernie swędzą i myślę, że będzie się to powtarzało każdej zimy. Nie mam ochoty przeżywać wciąż na nowo pobytu na Antarktydzie. W tych igrzyskach światowych nasze dwa kraje doznały ogromnych strat i przysporzyły sobie kłopotów.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy. Mamy nową grę! – powiedziała Benes z uśmiechem i ukłonem. Potem spojrzała w dal. – Gdzie jest Wielki Mur? – Rozejrzała się wokół. – I pandy?

Najwyraźniej wyobrażała sobie, że zobaczy Wielki Mur, gdy tylko postawi stopę na chińskim terytorium, a pandy są tam tak pospolite jak psy w Stanach Zjednoczonych.

Potem coś przyszło jej do głowy. Ponownie się rozejrzała i zapytała:

– Gdzie jest Vaughn?

Kilkoro dzieci musiało przez chwilę krzyczeć w stronę samolotu, zanim wyłonił się Chester Vaughn. Powoli zszedł po schodach, trzymając pod pachą grubą książkę.

– On zawsze czyta – wyjaśniła Benes Huahui. – Nawet się nie zorientował, że wylądowaliśmy.

Podając mu rękę, Huahua zerknął na książkę. Było to zszyte nićmi chińskie wydanie komentarzy Mao Zedonga do *Dwudziestu czterech historii*[*].

Vaughn miał półprzymknięte oczy, jakby był w transie. Wziął głęboki oddech.

– To zapach, o jakim marzyłem – powiedział.

– Co? – zapytała ze zdumieniem Benes.

– Zapach starożytności – odparł tak cichym głosem, że chyba tylko on sam go usłyszał. Potem stał bez ruchu, chłonąc wszystko wzrokiem.

* Oficjalne chińskie kroniki obejmujące okres od 3000 r. p.n.e. do XVII wieku (przyp. A.J.).

Nowa gra światowa

Dzieci ostrożnie weszły do tchnącej powagą, tajemniczej sali. Ciemnoczerwone dywany, ustawione półkolem śnieżnobiałe fotele, a za nimi haftowane jedwabne parawany i wspaniała emaliowana waza wielkości człowieka… wszystko bez skazy, a powietrze tak nieruchome, że czuły się tak, jakby płynęły przez fantomy historii.

– Och, to chiński Biały Dom? – zapytała cicho Benes.

Dwoje innych amerykańskich dzieci niosło za nią długi na dwa metry zwój papieru. Chińskie dzieci patrzyły z zaciekawieniem, kiedy położyły go na dywanie.

– Tak – powiedziała Xiaomeng. – Dorośli przyjmowali tutaj głowy obcych państw. Wiecie, my też jesteśmy tu po raz pierwszy.

– Po raz pierwszy? Dlaczego nie przyszliście tu wcześniej? Jesteście najwyższymi przywódcami waszego kraju, więc powinno to być wasze miejsce pracy.

– Pracujemy w Państwowej Wieży Informacji. Trochę się baliśmy przyjść tutaj, bo wydawało się nam, że jak tylko wejdziemy, z jakiegoś miejsca zaczną się w nas wpatrywać oczy dorosłych, jakby mówiły: „Dzieci, jesteście głupie!”.

– Za pierwszym razem ja czułam się tak samo w Białym Domu, ale powoli mi to przeszło. Nie lubię, kiedy przyglądają mi się dorośli, zwłaszcza wasi dorośli. Mimo to jestem wdzięczna, że przyprowadziliście nas tutaj, bo historyczne spotkanie powinno się odbyć w wyjątkowym

otoczeniu, żebyśmy nie czuli zakłopotania, kiedy zostanie zapisane w podręcznikach historii.

Usiedli w fotelach.

– Teraz wyjaśnimy wam, na czym polega nowa gra światowa – powiedziała Benes.

Huahua potrząsnął głową.

– Nie możecie ustanawiać gier światowych, jak wam się podoba. Już raz zgodziliśmy się na wasz pomysł, więc pora, żeby posłuchać kogoś innego.

– Naturalnie nie zmusimy nikogo siłą do udziału w naszej grze. Możecie przedstawić wasze zasady i przyjmiemy te, które stwarzają okazję do lepszej zabawy. Macie coś nowego?

Xiaomeng potrząsnęła głową.

– Mamy teraz wiele innych problemów. Koniec igrzysk antarktycznych położył kres marzeniom dzieci o życiu na tamtym kontynencie i całe społeczeństwo ogarnął ponury nastrój. Pojawiają się oznaki odradzania się wesołego miasteczka.

Benes kiwnęła głową.

– Tak samo jest w Stanach Zjednoczonych. Na ulicach nie cichną strzały, bo tylko brutalne gry dają dzieciom dreszczyk emocji. Albo nadają jakikolwiek sens ich życiu. Naprawdę potrzebujemy nowej gry, by dać im jakieś wsparcie duchowe i możliwość uniknięcia obecnych zagrożeń.

– Dobrze – powiedział Huahua. – Porozmawiajmy o tej nowej grze.

Kiedy Xiaomeng i Okularnik kiwnęli głowami na znak zgody, Benes nie mogła już zapanować nad podnieceniem.

– Dziękuję wam! Dziękuję! Zanim przejdziemy do pomysłu tej gry, radziłabym wam, byście się psychicznie przygotowali na wstrząs, bo będzie to dla was coś niewyobrażalnego. Może dzieci mają większą tolerancję na takie rzeczy niż dorośli, a supernowa jeszcze ją zwiększyła, ale to, co

przygotowujemy, będzie mimo wszystko wstrząsem dla naszych chińskich przyjaciół.

– Blefuje pani – powiedział lekceważąco Huahua.

– Zaraz sam się pan przekona.

– No to niech pani przejdzie do rzeczy.

Teraz prezydent się zdenerwowała. Szybko się przeżegnała i z półprzymkniętymi oczami powiedziała tak cicho, że nie usłyszał tego nikt oprócz niej:

– Boże, błogosław Amerykę.

Potem podniosła się żwawo z fotela i zaczęła chodzić tam i z powrotem. W końcu zatrzymała się i przycisnęła ręce do piersi.

– Najpierw mam pewną prośbę. Czy nasi chińscy przyjaciele zechcieliby powiedzieć, z czym kojarzy się im nasz kraj?

Posypały się bezładne skojarzenia:

– Ameryka jest pokryta lśniącymi w słońcu drapaczami chmur.

– W Ameryce od rana do nocy płynie niekończąca się rzeka samochodów.

– W Ameryce jest Disneyland i wiele innych fajnych miejsc.

– Ameryka uwielbia futbol.

– Na amerykańskich farmach używa się wielkich maszyn, więc jedna rodzina może uprawiać dużo ziemi.

– Amerykańskie fabryki to tylko roboty i taśmy montażowe, w parę sekund można zrobić samochód!

– Amerykanie byli na Księżycu i chcą lecieć na Marsa. Co roku wystrzeliwują mnóstwo rakiet.

– Ameryka ma mnóstwo broni jądrowej i ogromne lotniskowce, więc nikt z nią nie zadziera.

Z tych skojarzeń chińskich dzieci wyłonił się zarys Ameryki, który z grubsza pasował do tego, na co liczyła Benes. Wszystko szło zgodnie z planem, więc zdecydowanie zrobiła następny krok.

– Od dawna zdawałam sobie sprawę, że Chiny są wielkim i tajemniczym krajem, ale jako gość, który dopiero tu przybył, wiem o was dużo mniej niż wy o moim kraju. Pozwólcie więc, że zapytam: czy wasz kraj ma coś lepszego niż nasz?

Na pewno było to wyzywające pytanie.

– Nasz kraj jest ogromny. Zajmuje powierzchnię 9,6 miliona kilometrów kwadratowych – odparł Huahua.

– Nasz też jest całkiem duży: 9,36 miliona kilometrów kwadratowych. Ale mamy więcej ziemi rolnej niż wy i więcej lasów. Dla kraju są to ważne rzeczy – powiedziała poważnie Benes.

– Mamy mnóstwo ropy i mnóstwo węgla. I mnóstwo żelaza – zrewanżowała się Xiaomeng.

– My też. Ropę w Zatoce Meksykańskiej, na Alasce i w Kalifornii. I wiele złóż węgla. Bogate złoża są w Pensylwanii, Wirginii Zachodniej, Kentucky, Illinois, Indianie i Ohio. Pod południowo-zachodnią częścią Jeziora Górnego jest mnóstwo żelaza, w Arizonie, Utah, Montanie, Nevadzie i Nowym Meksyku miedzi, a w Missouri ołowiu i cynku. W tej dziedzinie nas nie pobijecie.

– Ale mamy rzekę Jangcy. To najdłuższa i największa rzeka na świecie!

– W najmniejszym stopniu nie odpowiada to prawdzie. Missisipi jest większa. A jeden z jej dopływów, rzeka Ohio, ma w najszerszym miejscu sto kilometrów. Widzieliście kiedy rzekę szeroką na sto kilometrów?

– Czy Missisipi ma trzy przełomy?

– Nie, ale ma je Kolorado. To Wielki Kanion, który jest wspaniały!

– Nauczyła się pani na pamięć podręcznika geografii i przyleciała tutaj, żeby się przed nami przechwalać? – rzekł ze złością Huahua.

Benes ukucnęła przy długim zwoju papieru, rozwiązała zieloną wstążkę, którą był okręcony, i delikatnie go rozwinęła. Była to mapa świata, tak duża, że po rozwinięciu zajęła połowę podłogi, ale dziwna, bo jedynymi narysowanymi na niej krajami były Stany Zjednoczone i Chiny, a reszta przedstawiała wodę, nadając im wygląd dwóch wysp na ogromnym oceanie. Benes wskoczyła w środek Pacyfiku na mapie i wskazała rękoma oba państwa.

– Popatrzcie na nasze kraje. Leżymy naprzeciw siebie po dwóch stronach globu, zajmujemy praktycznie taki sam obszar i mamy mniej więcej podobny kształt. Jesteśmy jak dwa lustrzane obrazy na powierzchni Ziemi. I naprawdę jest między nami wiele podobieństw do lustrzanych odbić. Na przykład jedno jest najstarszym, a drugie najmłodszym państwem na świecie, ludność jednego ma głęboko sięgające korzenie i starożytne dziedzictwo, ludność drugiego składa się prawie w całości z emigrantów, w jednym podkreśla się tradycję, w drugim ceni się innowacje, jedno jest ciche i introwertyczne, drugie otwarte i wylewne. Moi chińscy przyjaciele, to Bóg umieścił takie dwa kraje na Ziemi. Nie sądzicie, że istnieje między nimi pewien mistyczny związek?

Jej słowa urzekły słuchaczy, więc czekali w milczeniu, aż pokaże swoją ostatnią kartę.

Prezydent przeszła po mapie do Stanów Zjednoczonych. Wyjęła z kieszeni błyszczące nożyczki i pełznąc po mapie jak jaszczurka po ścianie, wycięła z niej pod zdumionymi spojrzeniami chińskich dzieci najpierw swój, a potem ich kraj. Mapa była tak duża, że zajęło jej to trochę czasu. Gdy skończyła, podniosła z podłogi wykrój Chin i wręczyła go Huahui.

– To wasze terytorium. Trzymaj to ostrożnie.

Potem wzięła wykrój Stanów Zjednoczonych i wróciła do gospodarzy. Trzymając wycinek mapy przed sobą, powiedziała:

– Patrzcie, to nasze terytorium.

Następnie włożyła go Huahui do ręki, a drugą ręką wzięła wycinankę Chin.

– Zamieniliśmy się nimi – oznajmiła.

Chiński tłumacz patrzył na nią zaszokowany.

– Przepraszam, nie rozumiem.

Benes nie powtórzyła oświadczenia – słów, które miały się znaleźć w podręcznikach historii, nie można było powtórzyć. Poza tym wiedziała, że to proste zdanie zrozumiał nie tylko tłumacz, ale nawet Huahua, który miał za sobą zaledwie dwa semestry nauki angielskiego. Po prostu pokiwała głową do chińskich dzieci, potwierdzając niewiarygodną propozycję, którą właśnie złożyła.

Zamiana

– Co? Zamiana? – zapytali.

– Wszystkie chińskie dzieci przeniosą się na nasze terytorium, a wszystkie amerykańskie na wasze – powiedziała Benes.

– To znaczy, że nasze terytorium będzie należało do was?

– Tak. A nasze stanie się wasze.

– A… co z tym wszystkim, co znajduje się na tym terytorium?

– Zamienimy się wszystkim, co jest w tych dwóch państwach.

– Chce pani powiedzieć, że przybędziecie tu z pustymi rękami, a my stąd wyjedziemy też z pustymi rękami?

– Właśnie! W tej grze chodzi o wymianę terytoriów!

Chińczycy popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

– Ale… to znaczy, że wszystkie wasze… – zaczął Huahua.

– Wszystkie nasze fabryki – powiedziała szybko Benes, wchodząc mu w słowo. – I wszystkie nasze gospodarstwa rolne. Wszystkie nasze delikatesy i rozrywki. Wszystko w Ameryce będzie wasze! Oczywiście znaczy to, że wszystko, co jest w Chinach, będzie nasze.

Chińczycy patrzyli na nią jak na wariatkę. W pewnej chwili minister spraw zagranicznych wybuchnął śmiechem i wkrótce śmiały się już wszystkie chińskie dzieci.

– Posunęła się pani w tych żartach trochę za daleko – zauważyła Xiaomeng.

– Pani zaskoczenie jest zrozumiałe, ale mogę was zapewnić, że jest to poważna propozycja i że jako przywódczyni mojego kraju przebyłam

Pacyfik, żeby osobiście wam ją przedstawić. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że może trudno będzie mi was przekonać, że to nie żart, ale jesteśmy gotowi zrobić wszystko, co z tego wynika – powiedziała szczerze Benes.

– A jak pani planuje to zrobić? – zapytał Huahua.

– To spadnie na pana Vaughna – odparła, zapraszając go gestem.

Stał za tłumem i podziwiał jeden z wiszących na ścianach dużych kobierców. Usłyszawszy, że prezydent wypowiada jego nazwisko, powoli się odwrócił, podszedł do reszty i stanął w pustym miejscu, gdzie wcześniej znajdował się rysunek Stanów Zjednoczonych.

– Udowodnienie, że mamy szczere zamiary, byłoby czymś w rodzaju udowodnienia politycznego odpowiednika mechaniki kwantowej albo teorii względności. Potrzeba do tego niezwykłego umysłu i inteligencji. Jest tu tylko jedna osoba, z którą mogę o tym porozmawiać.

Podczas całej rozmowy Okularnik nie odezwał się ani słowem, ale teraz wstał i podszedł do miejsca na mapie, które wcześniej zajmowały Chiny. Obaj młodzi intelektualiści patrzyli na siebie przez Ocean Spokojny.

– Jedynymi bohaterami na świecie jesteśmy ty i ja – powiedział beznamiętnym tonem Vaughn. – Potężny grzmot*.

– Dobrze znasz chińską kulturę – stwierdził równie beznamiętnie Okularnik.

– Lepiej niż sądzisz – powiedział Vaughn ku zaskoczeniu wszystkich.

Zdumiały ich nie jego słowa, lecz to, że nie wydobyły się one z translatora, a z ust mówiącego po mandaryńsku Vaughna. Ten patrzył ze spokojem na ich zdziwione miny.

– Zawsze chciałem się nauczyć jakiegoś wschodniego języka, ale przez długi czas nie mogłem się zdecydować, czy ma to być japoński, sanskryt czy mandaryński.

– Musimy rozmawiać szczerze – rzekł Okularnik.

Vaughn kiwnął głową.

– Szczerość jest konieczna dla wykazania, że mamy uczciwe zamiary.

– A więc wykaż to.

Vaughn milczał przez kilka sekund, po czym powiedział:

– Po pierwsze, świat jest porzuconym dzieckiem. Nigdy nie dorośnie, czy też, mówiąc być może precyzyjniej, już dorósł i przybrał taki kształt.

Okularnik kiwnął głową.

– Po drugie, wy macie pewne mocne strony, my też. I wy, i my musimy obudzić drzemiące w nas siły. – Przerwał, dając Okularnikowi czas na przemyślenie jego słów.

Po chwili tamten znowu kiwnął głową.

– Decydujące znaczenie ma następny punkt, który zdoła zrozumieć tylko naprawdę tęgi umysł. Różnica między waszymi i naszymi mocnymi stronami polega na tym, że… – Vaughn spojrzał wyzywająco na Okularnika.

– My czerpiemy siłę z naszej odwiecznej ojczystej ziemi, wy z waszych nowych granic – dokończył Okularnik.

Obaj długo patrzyli na siebie twardym wzrokiem.

– Potrzebujesz dalszych dowodów? – zapytał Vaughn.

Tym razem Okularnik pokręcił głową. Potem podszedł do mapy i rzekł do swoich towarzyszy:

– Mówią prawdę.

– Rozmowa z tobą była naprawdę pokrzepiająca – powiedział Vaughn ze swojego kawałka odciętej mapy i lekko się ukłonił.

Okularnik odpowiedział ukłonem.

– Twój pomysł budzi we mnie szczery podziw. Jest tak zuchwały, że zasługuje na to, by nazwać go wspaniałym.

– Sądzimy, że gdy się go upubliczni, zostanie uruchomiony proces, który będzie trudno odwrócić. Jeśli ktoś z obecnych tutaj nie zgadza się na tę zamianę, może nie znieść nacisku pozostałych dzieci w tym kraju, by przystąpić do tej gry.

Huahua dotąd się nie odzywał. Teraz powiedział:

– Być może. Ale co z wami? Mam wątpliwości, czy uda się wam zrealizować ten plan. Jak chcecie przekonać do niego amerykańskie dzieci?

– Mamy rozwiązanie – odparł pewnym siebie tonem Vaughn. – Nowy świat pociąga amerykańskie dzieci tak samo jak chińskie. W końcu w ich żyłach płynie krew pionierów. To najbardziej ciekawskie i zaborcze dzieci na świecie. Dla nich przemieszczenie społeczeństwa i państwa będzie bardzo pożądanym wydarzeniem.

– Jak długo według waszych przewidywań potrwa ta gra? – zapytała Xiaomeng.

Vaughn uśmiechnął się, tym razem wyraźnie.

– Według moich przewidywań przez trzy do pięciu lat będziemy mieli do czynienia z pozbawionym obrony krajem i będziemy mogli łatwo odebrać wszystko, co przehandlowaliśmy.

* Parafraza szokujących słów skierowanych w *Dziejach Trzech Królestw* przez Cao Cao do Liu Bei.

Decyzja

Jeszcze tego samego wieczoru, trzy godziny po pierwszych rozmowach chińsko-amerykańskich, zwołano zebranie w celu omówienia zamiany terytoriów. W świetle Różanej Mgławicy na najwyższym piętrze PWI przywódcy chińskich dzieci zmierzyli się z problemem, o jakim wcześniej nawet nie śnili.

– Spójrzcie na stan, w jakim jest świat – powiedziała Xiaomeng. – Potrzebujemy silnego przemysłu i silnej obrony, by się chronić.

– Ale czy możemy dostać to wszystko tylko dzięki przeprowadzce do Ameryki? – zapytał Okularnik.

Chodząc tam i z powrotem, Huahua powiedział:

– Dlaczego mamy pozwolić Vaughnowi się zastraszyć? Nie możemy wymyślić innego rozwiązania? Czy po przeniesieniu się za Pacyfik nie uda się nam zachować obecnej organizacji państwa i dyscypliny? Nie uda się nam skoncentrować na pracy i nauce? Czy chińskie dzieci nie mogą uruchomić tych wielkich fabryk i produkować stali, samochodów, lotniskowców i statków kosmicznych? Nie możemy uprawiać na tych wielkich farmach pszenicy i kukurydzy? Możemy doprowadzić do większego rozkwitu miast niż w epoce powszechnej. Jeśli będziemy ciężko pracować, szybko staniemy się najpotężniejszym państwem na świecie! Dlaczego nie wierzymy we własne siły? W niedawnej wojnie wykazaliśmy się męstwem i roztropnością. Teraz stoimy w obliczu nowej bitwy. Jeśli włożymy w nią całą naszą energię, nie będzie takiej przeszkody, której byśmy nie pokonali!

Jego słowa spotkały się z ogólnym aplauzem.

Tylko Xiaomeng powiedziała:

– Ale dusze naszych matek i ojców zapytają: „Jak mogliście utracić ziemię, na której żyły pokolenia waszych przodków?”. Co im odpowiemy?

Huahua spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Co masz na myśli, mówiąc o utracie ziemi? O stracie można by mówić, gdyby nasz kraj najechał wróg i poddalibyśmy się bez walki. Wtedy niechby nas pochłonęło piekło! Ale dokonujemy tylko zamiany z drugą stroną, i jest to sprawiedliwa zamiana. Cokolwiek oni zrobią, my możemy zrobić to samo. Gdyby byli tu dorośli, moglibyśmy śmiało spojrzeć im w oczy!

– Tu nie chodzi tylko o handel. Zamieniamy nie tylko nasze terytorium, ale także coś ważniejszego – zauważył Okularnik.

– Czy nasza siła naprawdę bierze się z ziemi naszych przodków?

Okularnik kiwnął w milczeniu głową.

– Myślisz, że będzie to miało poważne konsekwencje?

Ponownie kiwnął głową.

– Co się stanie? – zapytała Xiaomeng.

– Nie mam pojęcia. Uważam, że Vaughn też, a on to głęboko przemyślał. Ameryka ma wielokrotnie więcej dóbr i zasobów niż my, więc moglibyśmy niewiarygodnie długo żyć w bogactwie, nie musząc pracować. To mieniące się tęczowo grzęzawisko, w którym możemy utknąć na zawsze. Możemy, tak jak to było z wesołym miasteczkiem, widzieć, że historia zmierza w pewnym kierunku, ale nie mieć dość siły, by powstrzymać albo odwrócić bieg wydarzeń.

Wspomnienie wesołego miasteczka otrzeźwiło wszystkich. Patrzyli w milczeniu na światła za oknem.

– Nie mamy wyboru – stwierdził Huahua. – Amerykanie na pewno wyjawią, o co chodzi w tej grze, a kiedy to zrobią, nasze dzieci będą chciały wziąć w niej udział. Nie zdołamy ich powstrzymać.

– To diaboliczny pomysł – powiedziała Xiaomeng.

Okularnik kiwnął głową.

– Naprawdę nie mamy wyboru. Muszę przyznać, że Vaughn jest wyjątkowym myślicielem i strategiem.

Następnego dnia powiadomiono amerykańskie dzieci, że mogą wracać do domu i czekać na decyzję Chińczyków. Nie było to niespodziewane posunięcie; tak ważnej sprawy nie mogła rozstrzygnąć garstka osób.

Po powrocie do kraju Amerykanie ujawnili plany zamiany terytoriów. Wywołało to wśród chińskich dzieci ogromne poruszenie – początkowe niedowierzanie zmieniło się w uniesienie, które zastąpiło zniechęcenie powracające z okresu wesołego miasteczka i przygnębienie wywołane antarktycznymi igrzyskami olimpijskimi. Wabił je cudowny świat z ich marzeń. Ogromna ich większość entuzjastycznie popierała zamianę, czemu dawały wyraz w Domenie Cyfrowej. Jak przewidywał Vaughn, trudno było odwrócić ten proces.

Miesiąc później, kiedy amerykańskie dzieci nie mogły już się doczekać wymiany, do Benes zadzwonił Huahua.

Para ciemnych oczu z drugiej strony globu wpatrywała się z ekranu w parę niebieskich oczu tak nieznośnie długo, że aż skrystalizowało się powietrze. W końcu Huahua powiedział:

– Dokonamy tej zamiany.

Następnego dnia do Chin poleciała amerykańska delegacja. Głównym celem jej wizyty było omówienie szczegółów zamiany terytoriów i oficjalne podpisanie umowy. Rozmowy, w których brało udział wielu młodych ekspertów obu stron, znowu prowadzono w starożytnej sali.

Według pierwotnych założeń rozmowy te miały rozstrzygnąć wszystkie ważne szczegóły, ale ponieważ wiązały się z największą transakcją w historii, tworzyły bezkresne morze, więc po trzech dniach dzieci mogły nakreślić plan zamiany tylko w ogólnych zarysach. Pozostałymi szczegółami miały się zająć już w trakcie zamiany. Po tych ustaleniach czwartego dnia rozmowy wkroczyły w nową fazę. Dzieci miały własny sposób rozwiązywania spraw międzynarodowych i potrafiły szybko i łatwo uporać się z pewnymi problemami, od których głowy państw w czasach dorosłych trzymały się z daleka, i to często w takim tempie, że najbardziej doświadczonym dyplomatom z poprzedniej ery odebrałoby to mowę. Załatwione podczas tego tygodnia kwestie i zawarte porozumienia odpowiadały wynikom setki konferencji jałtańskich i poczdamskich. Na koniec dzieci z obu państw podpisały porozumienie o zamianie terytoriów zwane „Porozumieniem w erze supernowej”.

Porozumienie w erze supernowej

1. Chiny i Stany Zjednoczone postanawiają zamienić się całymi swoimi terytoriami.

2. Dzieci każdego z obu państw opuszczą swoje terytorium i zrzekną się prawa do władztwa nad tym terytorium; dzieci każdego z tych dwóch państw osiedlą się na terytorium drugiej strony tego porozumienia i przejmą nad nim władztwo.

3. Opuszczając swoje dotychczasowe terytorium, dzieci każdego z tych dwóch państw mogą zabrać ze sobą, tylko co następuje:

4. Artykuły pierwszej potrzeby niezbędne podczas migracji w ilości nieprzekraczającej 10 kilogramów na osobę.

5. Wszystkie dokumenty rządowe.

6. Zostanie utworzona Wspólna Chińsko-Amerykańska Komisja do spraw Zamiany w celu kierowania przebiegiem rzeczonej zamiany.

7. Obie strony przeprowadzą zamianę na zasadzie przekazywania stanów i prowincji. Podczas zamiany wszyscy obecni mieszkańcy stanu lub prowincji opuszczą dany region w ustalonym czasie. Osoby, które nie będą mogły opuścić

swojego regionu w ustalonym czasie, mogą tymczasowo przenieść się do sąsiedniego stanu lub prowincji, który nie został jeszcze zamieniony, i opuszczą ten rejon razem z jego dotychczasowymi mieszkańcami. Wszystkie stany i prowincje powołają stanowe lub prowincjonalne komisje do spraw przekazania terytoriów i zorganizują ceremonię przekazania, gdy przybędą nowi mieszkańcy. Po tym czasie nowi mieszkańcy obejmą władztwo nad danym stanem lub prowincją.

8. Wszystkie stanowe i prowincjonalne komisje do spraw przekazania terytoriów dostarczą drugiej stronie inwentarz majątku i zgodzą się na jego sprawdzenie przez przedstawiciela komisji do spraw przejęcia terytorium wyznaczonego przez drugą stronę.

9. Zabrania się celowego niszczenia przed zamianą rolnictwa, przemysłu i wyposażenia obrony terytorialnej. Jeśli któraś ze stron odkryje, że druga strona dopuściła się takich aktów, może jednostronnie zakończyć grę, a wszystkie tego konsekwencje poniesie strona, która naruszyła niniejsze porozumienie.

10. Środki transportu dla migrantów dostarczą wspólnie obie umawiające się strony; zaprasza się inne państwa do udzielenia pomocy w tym dziele.

11. Wszystkie problemy, które mogą pojawić się podczas zamiany, będzie rozstrzygać Wspólna Chińsko-Amerykańska Komisja do spraw Zamiany.

12. Wspólna Chińsko-Amerykańska Komisja do spraw Zamiany zastrzega sobie prawo do interpretacji tego porozumienia.

[podpisy przywódców obu państw]

7 listopada 2 r. e.s.

Wielka migracja

Późną nocą Pałac Cesarski skąpany był w niebieskim świetle Różanej Mgławicy. Stado nocnych ptaków, które krążyło wokół Bramy Południkowej, już dawno powróciło do swoich gniazd. Starożytne sale smacznie spały i śniły w bezkresnej ciszy.

Jedynymi osobami w pałacu byli Huahua, Okularnik i Xiaomeng. Szli powoli przez długą salę wystawową. Po obu ich stronach przesuwały się zabytkowe przedmioty, które już do nich nie należały, starożytne brązy i glina, ciepłe i miękkie w świetle mgławicy, i czuli się tak, jakby na ich powierzchni ukazywały się naczynia włosowate, życie i dusze przodków, jakby otaczał ich bezgłośny oddech starożytnych. Niezliczone naczynia z brązu i porcelany wydawały się wypełnione płynem pełnym energii jak krew; długi zwój *Widoku wzdłuż rzeki podczas święta Qingming* w szklanej gablocie był w niebieskim świetle zamglony, ale mimo to dochodziły do nich odgłosy zgiełku; terakotowy wojownik przed nimi otoczony był fosforyzującą niebiesko-białą poświatą i zdawało się, że to nie oni idą ku niemu, lecz on płynie w ich stronę… Kierując się na północny zachód z części najbardziej wysuniętej na południe, gdzie zgromadzone były przedmioty z epoki przednowoczesnej, przechodzili przez kolejne galerie, a czas i historia zostawały z tyłu, dynastia za dynastią osuwały się w odległą przeszłość…

Zaczęła się migracja z dwóch kontynentów.

Z dwóch pierwszych obszarów, które miały zostać wymienione, Shaanxi i Dakoty Południowej, szybko przewożono dzieci transportem lądowym

i powietrznym do różnych portów na wybrzeżach albo jeśli z jakichś powodów umknęła im szansa na wyjazd, przenoszono je do sąsiednich stanów lub prowincji. W celu nadzorowania przebiegu migracji do rejonów kontrahentów przybyły z obu krajów komisje do spraw przekazania terytoriów. Migranci zbierali się w większych portach, skąd zabierała ich stale rosnąca liczba statków, tankowców i okrętów z Chin i Ameryki oraz z innych państw, głównie z Europy i Japonii. Ta gra między dwoma najpotężniejszymi państwami na świecie niezmiernie ekscytowała resztę dzieci, więc robiły, co mogły, by dopomóc w największej w historii migracji międzykontynentalnej. Same nie mogły właściwie wyjaśnić, co skłoniło je do wysłania statków do tych krajów. Po obu stronach Pacyfiku zebrały się ogromne floty transoceaniczne, ale ani w Shaanxi, ani w Dakocie Południowej nie odbyła się jeszcze ceremonia przekazania terytoriów i migranci nie wsiedli jeszcze na statki.

Tymczasem na wystawie zabytków trójka młodych przywódców podążała ku najbardziej wysuniętej na północ części galerii. Huahua lekko westchnął i powiedział do Okularnika i Xiaomeng:

– Po południu znowu rozmawiałem na lotnisku z Amerykanami, ale i tym razem mi odmówili.

Po trzeciej rundzie rozmów obie strony przeprowadziły serię rokowań w sprawie szczegółów, podczas których chińskie dzieci wielokrotnie prosiły, by pozwolono im zabrać ze sobą najcenniejsze artefakty i starożytne księgi. Amerykanie stanowczo odrzucali te prośby. Benes i jej świta byli zręcznymi negocjatorami i zwykle nie wyrażali sprzeciwu wprost, lecz robili różne uniki, ale gdy wypłynęła ta kwestia, złamali tę zasadę. Zaledwie Chińczycy wspomnieli o artefaktach i starożytnych księgach, Amerykanie poderwali się z foteli i trzęsąc głowami, powtarzali: „Nie! Nie!”. Chińczycy początkowo uznali to za zwykłe sknerstwo, bo te

przedmioty były bardzo cenne, jeśli wręcz nie bezcenne, ale wkrótce odkryli, że powód odmowy był inny. Amerykańskie dzieci miałyby takie samo prawo jak chińskie zabrać swoje artefakty, i chociaż Stany Zjednoczone nie posiadały, oprócz wyrobów rdzennych mieszkańców swoich ziem, zbyt wielu naprawdę starych artefaktów, to takie instytucje jak Metropolitan Museum of Art pełne były dzieł sztuki z całego świata, iście królewskich skarbów. Gdy jednak Chińczycy zaproponowali to Amerykanom, ci ponownie odmówili. Podczas przygotowań do przesiedlenia ludności z Shaanxi amerykańscy członkowie Komisji do spraw Zamiany zaproponowali, by zacząć od zbudowanego w latach osiemdziesiątych XX wieku Muzeum Historii Shaanxi i terakotowej armii, którymi interesowali się bardziej niż zakładami produkującymi samoloty i ośrodkami lotów kosmicznych. Mieli zdumiewająco szczegółową wiedzę o wszystkich chińskich muzeach metropolitalnych i przedstawili wydruk inwentarza zabytków kultury. Później strona chińska zaproponowała, by niektóre amerykańskie dzieci posługujące się biegle angielskim i chińskim (w większości Amerykanie chińskiego pochodzenia) pozostały tymczasowo w Stanach Zjednoczonych i nauczyły chińskie dzieci tego pierwszego języka. Benes zgodziła się, ale pod jednym warunkiem, a mianowicie że potem będą one mogły zabrać część chińskich artefaktów ze zbiorów amerykańskich muzeów, zwłaszcza zwoje i freski skradzione z Dunhuang przez dziewiętnastowiecznych poszukiwaczy przygód. Twierdziła, że wynika to z ich podziwu dla chińskiej kultury, ale mówiła z taką przesadą, że Chińczycy z miejsca to odrzucili.

Chociaż te wydarzenia wprawiały chińskie dzieci w zakłopotanie, to, co często się zdarzało podczas przekazywania terenów, było jeszcze bardziej zdumiewające.

Trzech kolegów z klasy Huahui, listonosz Li Zhiping, fryzjer Chang Huidong i kucharz Zhang Xiaole znaleźli się w pierwszej grupie dzieci, która miała opuścić ojczyznę. Cała trójka trzymała się razem od czasów wesołego miasteczka. Ta akurat grupa dzieci ze stolicy miała względne szczęście, ponieważ mogła polecieć samolotami transportowymi Hercules i dzięki temu uniknąć męczącej przeprawy statkiem. Wprawdzie młodzi piloci dopiero niedawno nauczyli się prowadzić te maszyny i latali prawie jak pijani, przez co podróż była bardzo niebezpieczna, ale dla małych dzieci, które nie mogły się doczekać chwili, kiedy przybędą do nowego świata, miało to niewielkie znaczenie. Gdy tylko trzej chłopcy otrzymali powiadomienie, spakowali swoje rzeczy podekscytowani rozkwitającą w ich wyobraźni niczym kwiat tajemniczą przyszłością.

Po drodze do portu lotniczego Li Zhiping wstąpił do domu, żeby zabrać trochę ubrań. Gdy tam wchodził, był nadal w dobrym humorze, ale w chwili kiedy miał już wyjść, nagle się zamyślił. Uczucie to naszło go tak nieoczekiwanie, że nie wiedział, co robić. Jego dom, podobnie jak wiele innych pekińskich domów z wewnętrznymi dziedzińcami, był skromnie umeblowany. W powietrzu nadal unosił się znany mu zapach, na ścianie wciąż wisiał kalendarz z ery powszechnej. Natychmiast napłynęły ciepłe wspomnienia z dzieciństwa, a przed jego oczami pojawiły się wyblakłe obrazy mamy i taty. Miał wrażenie, jakby nigdy nie wydarzył się koszmar związany z ukazaniem się supernowej, jakby było teraz jedno z tych niezliczonych popołudni ery powszechnej, a on właśnie przyszedł do domu i czekał na rodziców, którzy mieli niebawem wrócić z pracy. Było to doznanie tak realne, że wyobraził sobie, iż ten dzień jest tylko snem i wcale nie opuszcza domu na zawsze. Potem zapanował nad tymi uczuciami, otarł łzy z twarzy, zatrzasnął drzwi i pobiegł do autobusu, który miał ich zawieźć na lotnisko. Cały czas dręczyła go myśl, że w domu coś zostało, jakaś

niewidzialna część ubrania, i pragnął tam wrócić i ją wziąć, ale wiedział, że stała się ona nieodłączną częścią domu i nie można jej było zabrać. Bez tego ubrania poczuł nagle przenikający go do szpiku kości chłód, który zniknął, gdy tylko poszukał czegoś, co pomogło mu wyzwolić się spod tego uroku, ale ukradkiem powrócił, kiedy tylko Li Zhiping się zdekoncentrował.

Pierwszemu pokoleniu chińskich dzieci ery supernowej nigdy nie udało się pozbyć tego przenikającego duszę chłodu.

Przez całą drogę na lotnisko trójka chłopców była w ponurym nastroju. Gdy się zbliżyli do celu podróży, ucichły żarty i zapanowała cisza. Wszyscy oddali się rozmyślaniom. Autobus zatrzymał się pod ogromnym czarnym cielskiem herculesa, dalej czekały inne ogromne samoloty. Hercules miał duży zasięg, więc następne tankowanie miało się odbyć na Hawajach. Wziąwszy swój skromny dobytek, Li Zhiping, Chang Huidong i Zhang Xiaole dołączyli do długiej kolejki, która ciągnęła się do tylnego wejścia transportowca i znikała w jego ciemnym wnętrzu. Przy drzwiach stało kilkoro amerykańskich dzieci z Komisji do spraw Zamiany z białymi identyfikatorami zawieszonymi na szyjach i dokładnie sprawdzało, czy to, co wnoszą na pokład chińskie dzieci, zgadza się z postanowieniami porozumienia. Kiedy Li Zhiping był już tylko parę kroków od wejścia, jego uwagę przyciągnęło kilka źdźbeł trawy wyrastających z pęknięcia w betonie. Nie namyślając się ani sekundy, odstawił torbę, podbiegł tam, wyrwał tę kępkę, włożył do kieszeni koszuli i wrócił do kolejki. Nagle stanęły przed nim amerykańskie dzieci i wskazując na jego koszulę, krzyknęły: „Nie! Nie!”, a potem popłynął potok angielskich słów, które przetłumaczył translator. Amerykanie mówili, żeby zostawił trawę, bo nie mieściła się w kategorii artykułów potrzebnych podczas podróży, a więc nie znajdowała się na załączonej do porozumienia liście artykułów, które

można było wywieźć. Li Zhiping i inne chińskie dzieci wybuchły złością. Czy ci durnie byli tak małostkowi, że zabraniali zabrania ze sobą jako pamiątki z kraju rodziców kępki trawy? To było po prostu podłe!

Li Zhiping krzyknął:

– Wezmę tę trawę! Nie powstrzymacie mnie! Zachowujecie się, jakbyście tutaj rządzili. To wciąż jest chińska ziemia!

Przycisnął rękę do kieszeni i nie chciał oddać trawy, ale Amerykanie nie ustępowali. Impas przełamał Zhang Xiaole. Zauważył, że jedno z dzieci, które przed chwilą wsiadło do samolotu, wniosło na pokład konsolę do gier i właśnie na niej grało. Krzyknął do Amerykanów:

– Nie obchodzi was, że ktoś wziął ze sobą grę. Jakie znaczenie ma kępka trawy?

Amerykanie przyjrzeli się grającemu dziecku, wymienili między sobą kilka słów, po czym odwrócili się z powrotem do Li Zhipinga i powiedzieli coś, co zdaniem chińskich dzieci translator na pewno źle przetłumaczył jako:

– Możecie wrócić do swoich domów albo iść gdzie indziej i wziąć konsole, ale ta trawa musi tu zostać!

Li Zhiping nie potrafił zrozumieć, jaki jest ich system wartości, ale nie mógł nic począć, więc odłożył w milczeniu kępkę trawy na miejsce, gdzie ją znalazł.

Przechodząc przez drzwi samolotu, dzieci miały wrażenie, że na ziemi zostało coś nieodłącznego, a kiedy się odwróciły i zobaczyły źdźbła trawy, które kołysały się w lekkim powiewie wiatru, jakby je przyzywały, straciły panowanie nad sobą i po ich twarzach popłynęły łzy. Wnętrze wojskowego samolotu transportowego było przepastne, z długimi rzędami siedzeń, oświetlone tylko słabą żarówką na suficie. Nie było tam okien i dzieci zostały odcięte od ojczystej ziemi. Gdy zajęły miejsca, łzy ciekły już

strumieniami. Niektóre dzieci poderwały się i rzuciły do wyjścia, ale było zamknięte, więc stłoczyły się wokół małego okienka. Minęło trochę czasu, zanim amerykańska załoga skłoniła je do powrotu na miejsca i zapięcia pasów. Pół godziny później ryknęły silniki i samolot zaczął kołować. Ziemia wprawiała go w lekkie drgania i dzieci miały wrażenie, że poklepuje je po plecach matczyna ręka. Potem wibracje ustały i została przerwana ostatnia nić łącząca dzieci z ojczystą ziemią. Niektóre krzyczały: „Mamo!”, inne szlochały. Ktoś pociągnął Li Zhipinga za rękaw. Siedząca obok niego mała dziewczynka wcisnęła mu ukradkiem do ręki parę źdźbeł trawy, które musiała zerwać w panującym przed wejściem chaosie. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały i Li Zhiping znowu się rozpłakał.

Tak oto Li Zhiping opuścił kraj przodków, zabierając ze sobą kępkę trawy. Trzymał ją przy sobie przez całe wędrowne życie w Ameryce Północnej i wiele razy, budząc się w nocy ze snu o ojczyźnie, patrzył na nią, na jej dawno uschnięte źdźbła, pokryte przez światło Różanej Mgławicy powłoką żywej zieleni. W takich chwilach czuł przenikającą całe jego odrętwiałe ciało falę ciepła i pod czułym, uważnym okiem spoglądających na niego z innego świata mamy i taty jego zmęczone serce zaczynało śpiewać piosenki z dzieciństwa…

Podczas pierwszego etapu zamiany terytoriów takie sytuacje zdarzały się nagminnie. Gdy chińskie dzieci próbowały zabrać ze sobą z ojczyzny zupełnie nieistotne i niemające żadnej materialnej wartości przedmioty – trawę, liście, kwiaty, a nawet woreczek ziemi – amerykańskie reagowały zgrozą i wielokrotnie składały prośby o podjęcie rozmów, których celem byłoby powstrzymanie migrantów przed zabieraniem jakichkolwiek pamiątek. Oficjalnie Amerykanie twierdzili, że ma to na celu zapobieganie przenoszeniu chorób, i większość Chińczyków wierzyła w te zapewnienia: tylko nieliczni domyślali się, jaki jest prawdziwy powód.

Z dwóch pierwszych regionów do zamiany wysiedlono ludność 7 lipca, a przed przybyciem imigrantów urządzono ceremonię ich przekazania.

Ceremonia przekazania Shaanxi odbyła się nie w stolicy prowincji, lecz w małej wiosce. Zewsząd otaczały nas lessowe wzgórza i wąwozy, na których skrajach znajdowały się tarasowe pola, dzieła rąk naszych przodków. Wzgórza ciągnęły się po horyzont. Ta żyzna, pielęgnowana przez wieki gleba żywiła niezliczone pokolenia Chińczyków, a teraz przywieziono tu ostatnią grupę dzieci, by się z nią pożegnała.

W ceremonii wzięło udział dziesięcioro dzieci z komisji zamiany, pięcioro Chińczyków i pięcioro Amerykanów. Była to skromna uroczystość. Opuściliśmy naszą flagę, a Amerykanie wciągnęli swoją, a potem obie strony podpisały porozumienie. Wszyscy Amerykanie byli w kowbojskich strojach, co wyraźnie pokazywało, że traktują ten region jako nowy Dziki Zachód.

Ceremonia trwała dziesięć minut. Trzęsącymi się rękami zdjąłem naszą flagę i przycisnąłem ją do piersi. Teraz nasza piątka była cudzoziemcami. Otępiali od wyczerpującej pracy przed migracją nic nie powiedzieliśmy. Rozległa żółta ziemia wyglądała jak pomarszczona twarz mojego ojca i ta ogromna twarz, która sięgała po horyzont, była zwrócona ku niebu. Nie było słychać najlżejszego dźwięku. Wiele rzeczy, które ta ziemia być może chciała nam powiedzieć, zostało na zawsze pogrzebane pod nią, i patrzyła w milczeniu, jak odchodzimy.

Niedaleko stamtąd czekał chiński helikopter, który miał zabrać nas do Gansu, drugiej prowincji przeznaczonej według harmonogramu do wymiany, daleko od ziemi, która nie była już nasza. Pod wpływem nagłego impulsu zapytałem Amerykanów, czy możemy tam pójść piechotą. Mali kowboje byli zdumieni: „To ponad dwieście kilometrów!”. Ale w końcu zgodzili się, wydali nam specjalne przepustki dla podróżnych i życzyli powodzenia.

Wtedy z opuszczonej już wioski wybiegł szczeniak i zaczął się do nas łasić. Pochyliłem się i wziąłem go w ramiona. Helikopter odleciał pusty, w oddali cichł grzmot jego silnika. Nasza piątka, razem ze szczeniakiem urodzonym na tej ziemi, ruszyła w męczącą podróż. Sami nie wiedzieliśmy, dlaczego się na to zdecydowaliśmy. Czy zrobiliśmy to z tęsknoty? A może była to pokuta? Po prostu czuliśmy, że bez względu na to, jak będziemy głodni, spragnieni czy zmęczeni,

dopóki nasze stopy będą kroczyć po tej ziemi, będziemy w niej mieli wsparcie duchowe.

Za: *Kronika wielkiej migracji*, wyd. chińskie, t. 6, nakładem Chińsko-Amerykańskiej Komisji do spraw Zamiany, Nowy Szanghaj, 7 r. e.s.

Ceremonia przekazania w Dakocie Południowej odbyła się pod Mount Rushmore. Ogromne twarze czterech największych prezydentów w historii USA patrzyły w milczeniu, gdy podnoszono czerwoną flagę z pięcioma gwiazdami; później każdy z uczestników tego wydarzenia będzie wspominał, że widział na tych twarzach inne emocje, ale wtedy nie skupialiśmy się na tym.

Inaczej niż po drugiej stronie świata w ceremonii wzięło udział kilkaset dzieci, a orkiestra wojskowa odegrała hymny obu państw. Po podniesieniu przez Chińczyków ich flagi przedstawiciele obu stron podeszli, by podpisać porozumienie. Najpierw złożył podpis przedstawiciel Chin, a potem nadeszła kolej na George'a Stevena, gubernatora Dakoty Południowej. Na oczach setek dzieci podszedł spacerowym krokiem do stołu, ściągnął z ramienia plecak i wyjął z niego pęk długopisów i wiecznych piór, w sumie ponad sto, a potem zaczął się podpisywać, używając każdego pióra wiecznego czy kulkowego tylko dla postawienia jednej czy dwóch kropek. Ciągnęło się to przez piętnaście minut i wyprostował się dopiero wtedy, kiedy coraz głośniejsze stały się dobiegające z tłumu okrzyki zniecierpliwienia. Podpisał się niemal setką piór i najwyraźniej był nieco zirytowany tym, że rodzice nie dali mu dłuższego nazwiska. Potem rozpoczął długą aukcję tych piór, zaczynając licytację od pięciuset dolarów za jedno. Gdy patrzyłem, jak ich ceny szybują w górę, ogarnęła mnie zazdrość i natychmiast błysnęła mi myśl o stole, przy którym podpisywano umowę. Ale byłem zbyt wolny; kilku innych chłopców rzuciło się już, by go rozebrać, i w mgnieniu oka stół zamienił się w drzazgi w rękach dziesiątków chłopców. Zerknąłem na flagę w moich dłoniach, ale nie należała do mnie. Rozejrzałem się za czymś innym i wtedy przyszedł mi do głowy pomysł. Odwróciłem się, pobiegłem do Carvers Café i dopisało mi szczęście, bo w bocznym pomieszczeniu znalazłem to, czego szukałem – piłę. Gdy wróciłem, licytacja doszła już do pięciu tysięcy dolarów za każde z kilku ostatnich piór George'a Stevena! Przede mną wznosiły się dwa maszty; na jednym trzepotała czerwona chińska flaga, więc nie można go było tknąć, ale drugi, na którym wcześniej wisiała flaga Stanów Zjednoczonych, był pusty. Podbiegłem do

niego, uruchomiłem piłę i po paru sekundach przeciąłem. Kiedy upadł, podbiegł do niego tłum dzieci, w nadziei, że wezmą kawałek dla siebie. Starały się go rozłupać, mimo że drewno było zbyt grube, by można je było złamać. Dzięki temu, że miałem piłę, udało mi się odciąć dwa fragmenty mniej więcej metrowej długości, ale byłem zbyt zmęczony, by walczyć o więcej. Ale wystarczyły te dwa! Za kilka tysięcy sprzedałem piłę innemu chłopcu, a ten natychmiast dołączył do grupki dzieci, które kłębiły się wokół masztu, jakby toczyły zawziętą walkę o piłkę podczas meczu futbolowego. Wylicytowałem jeden fragment za czterdzieści pięć tysięcy dolarów, ale drugi zatrzymałem, by sprzedać go później za wyższą cenę. Potem członkowie orkiestry zaczęli sprzedawać swoje instrumenty i na pewien czas zapanowało zamieszanie, jakby sprawy wymknęły się spod kontroli. Część dzieci, które niczego nie zdobyły i z braku pieniędzy nie mogły wziąć udziału w licytacji, zaczęła się gromadzić wokół masztu z chińską flagą i wycofała się z przygnębieniem dopiero wtedy, kiedy żołnierze z chińskiej marynarki wojennej z pistoletami maszynowymi przysięgli, że będą jej bronić nawet za cenę własnego życia. Później wszyscy, którzy wystawili swoje rzeczy na licytację na miejscu, żałowali tego, bo pamiątki z pierwszej ceremonii przekazania terytoriów szybko zyskały dziesięciokrotnie na wartości. Na szczęście zatrzymałem ten jeden kawałek masztu; potem za uzyskane z jego sprzedaży pieniądze otworzyłem w Sinkiangu firmę transportową.

Za: *Kronika wielkiej migracji*, wyd. chińskie, t. 6, nakładem Chińsko-Amerykańskiej Komisji do spraw Zamiany, Nowy Nowy Jork, 7 r. e.s.

Trójka przywódców dotarła do końca wystawy, działu prehistorii, gdzie znajdowały się zabytki z początków chińskiej kultury. W działach, które zwiedzili wcześniej, oglądali z nabożnym podziwem wspaniale wykonane przedmioty z późniejszych epok, ale byli też zmieszani, ponieważ zdawał się ich oddzielać od tych zabytków niewidzialny mur. Odczuwali to najsilniej, gdy weszli do działu przednowoczesnego. Omal zabrakło im odwagi, by iść dalej. Skoro nawet nie tak odległa w czasie dynastia Qing była dla nich nieznanym światem, to czy mogli liczyć na to, że zrozumieją coś z wcześniejszych wieków? Jednak wbrew ich obawom im dalej cofali się w czasie, tym mniejsze stawało się to poczucie obcości, a kiedy dotarli

do przedmiotów z okresu narodzin ich cywilizacji, nagle poczuli się jak w znanej, zapraszającej do siebie rzeczywistości. Zupełnie jakby po długiej wędrówce przez obce, niezrozumiałe lądy, zamieszkane przez mówiących niezrozumiałymi językami i prowadzących zupełnie odmienne życie dorosłych, którzy zdawali się przybyszami z innej planety, dotarli do końca ziemi i odkryli świat dzieci, bliźniaczo podobny do ich świata. Te wspaniałe przednowoczesne artefakty nie należały jednak do dzieci; ludzkość, które je stworzyła, zdążyła już dorosnąć. Jej dzieciństwo mogło być odległe, ale przemawiało do nich. Cała trójka wpatrywała się intensywnie w przedmiot z kultury Yangshao* – glinianą wazę. To prymitywne naczynie przypominało im podobne przedmioty lepione przez nich z błota po ulewnym deszczu. W epoce, w której powstało, Pangu rozdzielił ziemię i niebo, Nüwa załatała je, Jingwei napełniła wodą morza, Kua Fu ścigał słońce. Ludzkość dorosła, ale jej odwaga osłabła i już nigdy nie stworzyła takich wstrząsających mitów.

Huahua odsunął szybę gabloty i ostrożnie wyjął wazę. Była ciepła w dotyku i zdawała się drgać w jego rękach. Wypełniała ją niesamowita energia. Przyłożył ucho do otworu szyjki.

– Słyszę coś! – krzyknął.

Xiaomeng też przycisnęła do niej ucho – i słuchała w skupieniu.

– To szum wiatru! – powiedziała.

Ten wiatr wiał nad pierwotnym pustkowiem. Huahua uniósł wazę w stronę Różanej Mgławicy. W jej niebieskim świetle glina nabrała czerwonawego połysku. Patrzył na pokrywający ją rybi wzór. Ta kombinacja najprostszych linii lekko się wiła, a czarne kółko przedstawiające oko jakby nagle ożyło; po chropowatej powierzchni przesuwały się cienie; były zbyt niewyraźne, by można było rozpoznać ich kształty, ale sprawiały wrażenie nagich postaci zmagających się z czymś

większym od nich. W naczyniu spoczywały pradawne słońce i księżyc i rzucały złote i srebrne światło na te figury. Zdobiące je wzory – ryby i zwierzęta – były jak pary oczu patrzące na nich z otchłani tysiącleci; ten wzrok przodków spotkał się z ich wzrokiem i przekazał im surową energię, pod której wpływem chciało im się krzyczeć, płakać, śmiać, zrzucić ubrania i pobiec w wyjącym wietrze na to pustkowie. W końcu poczuli, że w ich żyłach płynie krew przodków.

Cała trójka ruszyła w świetle Różanej Mgławicy z powrotem przez antyczny pałac, niosąc starożytną wazę, najstarszy zabytek w mieście, pozostawioną im z okresu dzieciństwa chińskiej cywilizacji. Szli wolno i ostrożnie i trzymali ją tak delikatnie, jakby nieśli własne oczy albo życie. Gdy dotarli do mostu nad Złotą Rzeką, zamknęła się za nimi ze szczękiem ostatnia brama pałacu. Wiedzieli, że bez względu na to, dokąd pójdą, ich życie będzie na zawsze związane z tą wazą. Była ich początkiem i kresem oraz źródłem ich siły.

* Neolityczna kultura, która rozwijała się nad Żółtą Rzeką, na terenach obecnych prowincji Henan, Shanxi i Shaanxi, w okresie od 5000 do 3000 r. p.n.e.

Geneza

Dwudniowa wichura w końcu się skończyła, ale fale były nadal wysokie, a nocne niebo zaciągnięte chmurami. W ciemnościach widać było tylko bezkresne, kotłujące się grzywacze.

Pierwsza z flot migracyjnych wypłynęła z portu przed sześćdziesięcioma dniami i był to pierwszy sztorm, jaki napotkała. Wiatr był najsilniejszy poprzedniej nocy i gigantyczne fale pochłonęły dwa najmniejsze statki transportowe. Na pomoc ruszył frachtowiec o wyporności dwudziestu tysięcy ton, ale gdy kapitan wydał nieprzemyślany rozkaz do zwrotu, ustawiając statek bokiem do fal, wywróciły go do góry dnem. Kiedy zniknęły bez śladu dwa helikoptery, które poderwały się z innego okrętu, dowództwo floty musiało przerwać akcję ratunkową i pozwolić, by ponad dwanaście tysięcy dzieci zginęło w mrocznych głębinach Pacyfiku. Pozostałych trzydzieści osiem statków kontynuowało wyczerpujący rejs przez wiatr i fale. Ale dzieci przywykły już do trudów podróży. Najpierw do złych warunków panujących w kajutach i udręki choroby morskiej, potem do niedostatku jedzenia i wydzielania dziennych racji żywnościowych, które składały się na jeden zaledwie pełen posiłek, a i to bez jarzyn. Nawet liczba tabletek witaminowych była ograniczona. Połowa dzieci cierpiała na kurzą ślepotę, a coraz więcej miało zakażenia, ale w tych niekorzystnych warunkach zachowywały dyscyplinę. Były podzielone na małe, średnie i duże grupy, a przywódcy wszystkich grup wykonywali swoje obowiązki bez strachu i z poświęceniem. Wiedzieli, że gdy dotrą do

Ameryki, utrzymanie tej dyscypliny i organizacji będzie dla dzieci trudniejszą próbą niż sztorm czy głód.

Przed dwoma dniami spotkały się z płynącą w przeciwną stronę amerykańską flotą migracyjną. Obie floty podążały w ciszy swoim kursem, żadna nawet nie zasygnalizowała, że widzi drugą. Amerykańskie dzieci chyba nie miały się ani trochę lepiej.

W końcu fale się zmniejszyły. W ciągu dwóch dni flota zboczyła z kursu, by w czasie sztormu płynąć w najbezpieczniejszym ustawieniu, więc teraz starała się zmienić kierunek. O dziób i burty biły fale i statki jeszcze bardziej się kołysały.

Rozproszyły się ciemne chmury i na powierzchnię wody padło rozchodzące się na tysiąc stron światło Różanej Mgławicy, przemieniając Pacyfik w ocean niebieskiego ognia. Dzieci wybiegły na trzęsących się wskutek głodu i choroby morskiej nogach na pokłady i jak w lunatycznym śnie zgromadziły się przy burtach. Ale gdy zobaczyły roztaczający się przed nimi majestatyczny widok, okrzykom radości nie było końca.

Był to ostatni dzień drugiego roku ery supernowej.

Północ.

Kilka niszczycieli wystrzeliło z dział w powietrze, a z innych statków wzniosły się flary i ognie sztuczne. Wybuchy, grzmot fal i podekscytowane okrzyki dzieci zlały się w jedno i poniosły przez ocean.

Na wschodnim horyzoncie ukazały się pierwsze promienie świtu i połączyły się ze światłem Różanej Mgławicy, tworząc najwspanialszy w całym wszechświecie spektakl kolorów.

Nastał 1 stycznia, początek trzeciego roku ery supernowej.

Epilog. Błękitna planeta

Nareszcie koniec! Pora zaczerpnąć tchu niczym nurek wypływający na powierzchnię. Przez te pół roku, które spędziłem pod wodą, żyłem tylko tą książką. Teraz mogę naprawdę powiedzieć, że skończyłem „pisanie”, bo znowu wyłączono prąd – władze twierdzą, że to kolejna awaria baterii słonecznych – więc musiałem wziąć to starożytne pióro. Wczoraj było ciemno i nie mogłem pisać; dzisiaj już nie jest i pocę się z gorąca, a krople potu padają na papier. Klimat zmienia się codziennie, czasami z godziny na godzinę, i bez klimatyzacji nie da się tego znieść.

Za oknem jest pas zielonej trawy z bladożółtymi chatkami wioski emigrantów. Za nimi – Boże, nie patrzmy tam – jest tylko pustynia, czerwona pustka nawiedzana często przez gwałtowne burze piaskowe przesłaniające przyćmioną czerwień nieba i słońce, które daje niewiele ciepła.

Co za wstrętne miejsce! Co za wstrętne miejsce!

– Mówiłeś, że kiedy skończysz książkę, zajmiesz się dziećmi – mówi Verené.

Odpowiadam, że piszę posłowie i że zaraz skończę.

– To wszystko jest tylko marnowaniem energii. Piszesz o sprawach zbyt marginalnych, by można je było uznać za część prawdziwej historii, ale przedstawiasz je zbyt realistycznie, by potraktować to jako fikcję literacką.

Ma rację. To samo powiedzieli agenci. Ale co mogę na to poradzić? To przez obecny stan historiografii znalazłem się między młotem a kowadłem!

Moim nieszczęściem jest to, że jestem superhistorykiem w tej erze. Nieco ponad trzydzieści lat po początku ery supernowej okres ten stał się przedmiotem rozległych badań, które wypchnęły go z dziedziny historiografii w sferę komercyjnej sensacji. Książka za książką, a większość z nich to tylko popisywanie się przed tłumem. Garstka tępych tak zwanych historyków dzieli nawet te trzy dekady na mniejsze okresy, mierzone w dniach i liczniejsze niż dynastie epoki sprzed pojawienia się supernowej, i publikuje wyniki swoich badań, by zarabiać dużą kasę.

Obecnie badaniem ery supernowej zajmują się dwie główne szkoły: historycy alternatywni i psycholodzy.

Ostatnio modne jest podejście alternatywne. Ta szkoła tworzy historyczne hipotezy. Na przykład: co by się stało, gdyby promieniowanie supernowej było trochę silniejsze i zabiło wszystkich powyżej ósmego roku życia? Albo nieco słabsze i pozwoliło przeżyć każdemu, kto nie osiągnął dwudziestki? Jaki miałoby to wpływ na historię ery supernowej? A gdyby wojna w erze supernowej nie przybrała formy gier, ale toczyła się tak jak konwencjonalne bitwy w rozumieniu ludzi z ery powszechnej? I tak dalej, i tak dalej. Na powstanie tej szkoły złożyły się różne powody – wybuch wojny w erze supernowej uświadomił ludziom, że z punktu widzenia kosmosu w biegu historii jest element przypadkowości. Jak stwierdziła znana historyczka alternatywna, doktor Liu Jing: „Historia jest gałązką niesioną strumieniem. Może ona przez chwilę kręcić się w wirze albo wpaść na wystającą spod wody skałę. Istnieje też wiele innych możliwości. Dla historii jako dyscypliny naukowej badanie tylko jednej z nich jest tak samo absurdalne jak gra w karty talią, w której są tylko asy”. Rozwój tych szkół wiąże się z potwierdzeniem w ostatnich latach teorii „włóknistego

kosmosu” w mechanice kwantowej, czego konsekwencje dla wszystkich dziedzin nauki, włącznie z historią, zaczynamy dopiero odczuwać.

Nie przeczę, że kilku poważnych historyków alternatywnych, takich jak Alexander Levenson (*Kierunek cięcia*) czy Matsumoto Taro (*Nieograniczone rozgałęzianie*), w swoich pracach spogląda z odmiennego punktu widzenia na potencjalny inny tor, jakim mogłyby się potoczyć wydarzenia, traktując to jako sposób wyjaśnienia przyrodzonego prawa rzeczywistej historii. Takich badaczy darzę szacunkiem; to, że ich badania zostały zignorowane, uważam za tragedię historiografii. Z drugiej strony szkoła ta stała się wspaniałą sceną dla szukających poklasku tłumów iluzjonistów, których bardziej niż rzeczywiste dzieje interesuje historia alternatywna i dla których bardziej odpowiednią nazwą niż „historyk” jest „twórca powieści o historii alternatywnej”. Ich głównym przedstawicielem jest wspomniana wyżej Liu Jing. W tych dniach bryluje w mediach, reklamując swoją piątą książkę, za którą otrzymała podobno zaliczkę w wysokości 3,5 miliona dolarów marsjańskich. Z jej tytułu, *Wielkie gdybanie*, można dość łatwo odgadnąć treść. W każdym omówieniu dorobku naukowego doktor Liu trzeba wspomnieć o jej ojcu, nie dlatego – zapewniam – że próbuję ją zdeprecjonować przez podkreślanie związku krwi łączącego ją z tym powieściopisarzem, lecz z powodu tego, że wielokrotnie podkreślała, jak wielki wywarł on wpływ na jej podejście naukowe. Uważam, że powinienem go trochę rozumieć. Nie miał łatwego zadania. Przeszukałem materiały z ery powszechnej i przejrzałem wszystkie starożytne bazy danych, do których miałem dostęp, ale nic nie znalazłem. Na szczęście Liu Jing była promotorką pracy magisterskiej Verené, więc poprosiłem ją, by zapytała doktor Liu o to wprost. W rezultacie dowiedziałem się, że ojciec Liu Jing, niejaki Liu Cixin, napisał w erze powszechnej kilkanaście opowiadań fantastycznonaukowych, z których

większość opublikowano w czasopiśmie „Kehuan Shijie” (sprawdziłem – ów miesięcznik, „Świat Fantastyki Naukowej”, był poprzednim wcieleniem Precision Dream Group, która ma monopol na hipermedia w dwóch światach). Verené nawet przyniosła do domu trzy z nich. Przeczytałem pierwsze do połowy i wyrzuciłem do kosza – co za chała! W tym opowiadaniu wielorybom rosną zęby! Nic dziwnego, że pod wpływem takiego ojca Liu Jing ma taki stosunek do nauki i stosuje takie metody.

Dużo poważniejsze podejście ma szkoła psychologiczna. Jej zwolennicy uważają, że fakt, iż w erze supernowej tak bardzo zboczono z drogi, którą podążała wcześniej ludzka historia, był wynikiem dziecięcej psychiki osób, które ją tworzyły. W *Społeczeństwie komórek zarodkowych* Von Svensker systematycznie wyjaśnia szczególne implikacje społeczeństwa bez rodzin na początku tej ery; Zhang Fengyun idzie jeszcze dalej w kontrowersyjnym *Świecie aseksualnym*, dokonując trzeźwej, znakomitej analizy społeczeństwa, w którym zasadniczo nie istnieje seks. Jednak moim zdaniem szkoła psychologiczna opiera się na wątłych podstawach, bo w rzeczywistości stan psychiczny dzieci w erze supernowej był zupełnie inny niż w erze powszechnej. Pod pewnymi względami były one bardziej naiwne, ale pod innymi bardziej dojrzałe, nawet od dorosłych. To, czy tę psychikę stworzyła historia ery supernowej, czy było odwrotnie, jest pytaniem w rodzaju tego, co było pierwsze – jajko czy kura.

Cenny wkład do superhistorii wniosło kilkoro poważnych badaczy nienależących do żadnej szkoły. *Społeczeństwo klas szkolnych* A.G. Hopkinsa jest wszechstronnym studium form rządów w świecie dzieci. To monumentalne dzieło było atakowane z wielu stron, raczej z powodów ideologicznych niż jakichkolwiek zastrzeżeń naukowych, co nie dziwi, jeśli weźmie się pod uwagę jego zakres. *Wychować samego siebie* Yamanaki Keiko i *Świeczka zimną nocą* Lin Mingzhu poświęcone są historii edukacji

w erze supernowej i chociaż są zbyt sentymentalne, mają wartość jako obszerny zbiór obiektywnych dokumentów historycznych. Opus magnum Zeng Yulina, *Znowu zaśpiewać*, jest dokładnym, ale też i poetyckim, systematycznym studium sztuki świata dzieci i jedną z niewielu prac superhistorycznych, które zostały przychylnie przyjęte zarówno przez recenzentów, jak i ogół społeczeństwa. Wprawdzie wyniki tych badań muszą jeszcze przejść próbę czasu, ale same badania były poważne, przynajmniej w porównaniu z materiałem zawartym w *Wielkim gdybaniu*…

– Gdy tylko wspomnisz o mojej promotorce, tracisz spokój – powiedziała Verené, zaglądając mi przez ramię.

Czy mogę zachować spokój? A czy może go zachować Liu Jing? Moja książka jeszcze się nawet nie ukazała, a ona już drwi z niej w mediach, mówiąc, że jest to „niebeletrystyczna beletrystyka, reportaż, który niczego nie przedstawia, ahistoryczna historia. Nie mieści się w żadnej kategorii”. Próba umocnienia swojej pozycji poprzez pomniejszanie dorobku innych nie wpłynie pozytywnie na atmosferę naukową superhistorii, która już jest skażona.

Piszę z desperacji. Warunkiem wstępnym prowadzenia badań historycznych jest odczekanie, aż historia ostygnie, ale czy era supernowej ostygła podczas tych trzydziestu paru lat? Ani trochę. Jesteśmy jej świadkami, a przerażenie, które ogarnęło dzieci w erze supernowej, poczucie osamotnienia z powodu tykającego zegara epoki, letarg, w którym pogrążyły się w czasach wesołego miasteczka, wielka tragedia, jaką była wojna w erze supernowej, odcisnęły piętno na naszych umysłach. Przed przeniesieniem się tutaj mieszkałem przy torach kolejowych i co noc dręczyły mnie koszmary, w których biegłem w ciemnościach przez dzikie pustkowie, otoczony przerażającymi odgłosami powodzi, trzęsień ziemi, wycia sfor gigantycznych bestii, wybuchów bomb jądrowych. Pewnej nocy

obudziłem się nagle z koszmarnego snu i podbiegłem do okna. Nie było widać ani gwiazd, ani księżyca, tylko padające na ziemię światło Różanej Mgławicy i wolno jadący pociąg. Czy w takich warunkach można prowadzić badania na poziomie teoretycznym? Nie, bo brakuje nam bezstronności i dystansu, których wymagają. Trzeba poczekać, aż dostatecznie oddalimy się od początków ery supernowej, więc być może stanie się to zadaniem dla następnego pokolenia. Nasze pokolenie może tylko zostawić potomkom opisy tego okresu przedstawione przez naocznych świadków i historyków. Moim zdaniem to wszystko, co na razie jest w stanie zrobić superhistoria.

Ale nawet to nie jest łatwe. Początkowo miałem zamiar pisać z punktu widzenia zwykłej jednostki, by ta książka sprawiała wrażenie, że jest bardziej powieścią niż pracą naukową, i zająć się zmianami na szczytach władzy w kraju i na świecie, obficie cytując materiały źródłowe, ale jestem historykiem, nie literatem, i nie mam ani odrobiny talentu pisarskiego. Tak więc poszedłem inną drogą, przedstawiając bezpośrednio kierownictwo państwa i włączając w formie cytatów szczegóły z przeżyć zwykłych ludzi. Większość przywódców z tamtego okresu nie piastuje już żadnych stanowisk, dzięki czemu mają mnóstwo czasu i mogłem przeprowadzać z nimi wywiady. W wyniku tych rozmów napisałem coś, co Liu Jing określa jako książkę, która „nie mieści się w żadnej kategorii”.

– Tato, tato, chodź szybko! Na dworze zaraz zrobi się zimno! – krzyczy Jingjing, stukając w okno.

Przyciska twarz do szyby, wykrzywiając nos w jedną stronę. W oddali obce, sterczące samotnie szczyty rzucają długie cienie na czerwony piasek. Zachodzi słońce. Oczywiście, że zrobi się zimno.

Ale w końcu jestem historykiem i nic na to nie poradzę, że wykonuję swoją pracę. Badanie historii ery supernowej koncentruje się obecnie na dyskusji o kilku kluczowych kwestiach, która przesiąkła do mediów, gdzie nadano jej sensacyjny charakter. Jednak opinie o tym przedstawiło o wielu mniej poważnych historyków niż laików, dlatego skorzystam z tej okazji i wyjaśnię moje stanowisko w paru najbardziej kontrowersyjnych sprawach.

1. Datowanie początku ery supernowej. W tej kwestii są dwa krańcowo przeciwstawne poglądy. Zwolennicy jednego twierdzą, że ta era zaczęła się od wybuchu supernowej, argumentując, że uniwersalny symbol jest najbardziej wiarygodnym znakiem jej początku. Oczywiście to stanowisko jest nie do utrzymania, bo chociaż ludzkie kalendarze mogą być powiązane z symbolami kosmicznymi, ery zaznacza się tylko w historii. Zgodnie z drugim podejściem ta era zaczęła się wraz z wielką migracją, czego nie da się dowieść, bo jeszcze przed migracją, a nawet przed wojną ery supernowej, historia odeszła od schematu, jaki miała w erze powszechnej. Moim zdaniem początku należy upatrywać w chwili zatrzymania się zegara epoki. Chociaż wielu krytyków utrzymuje, że wtedy nadal toczyła się według schematu z ery powszechnej, historia ma pewną siłę bezwładu, więc nie można twierdzić, że – powiedzmy – cały świat stał się chrześcijański wraz z narodzinami Jezusa. Zarówno w znaczeniu historycznym, jak i filozoficznym zegar epoki jest bezdyskusyjnie bardzo wymownym symbolem.
2. Czy symulacje przeprowadzane pod koniec ery powszechnej w celu wyboru młodocianych przywódców państw zakończyły się sukcesem

czy porażką, a przede wszystkim czy były to działania zgodne z prawem? Nie chcę się za bardzo skupiać na tej kwestii, ponieważ ci, którzy uważają, że ta metoda była niedopuszczalna, nie przedstawili do dzisiejszego dnia lepszego rozwiązania, a co dopiero mówić o tych, którzy mieli podejmować decyzję w tamtych ponurych czasach, kiedy każde państwo stało na skraju zagłady. W dziedzinie historii jest wiele zadufanych osób, a najlepszym sposobem nakierowania ich na właściwą drogę jest poradzenie im, by przespacerowały się torami tramwajowymi między dwoma wysokimi budynkami.

3. Czy celem światowych gier wojennych była zabawa czy walka o Antarktydę? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, kiedy ma się umysł osoby dorosłej. W wojnach w czasach przed pojawieniem się supernowej splatały się w jedno polityka, gospodarka, nacjonalizm i religia i trudno jest je teraz rozdzielić; tak samo jest z igrzyskami antarktycznymi. W świecie dzieci polityka państwowa i zabawa były nierozłączne jak dwie strony tej samej monety. Łączy się to z kolejną sprawą:
4. Strategie przyjęte w wojnie ery supernowej przez chińskie i amerykańskie dzieci. Twierdzono, że znaczna przewaga militarna Amerykanów oznaczała, że łatwo mogliby zająć Antarktydę w wojnie konwencjonalnej. W takiej wojnie amerykańskie dzieci mogłyby wykorzystać swoją marynarkę wojenną do przerwania morskich połączeń transportowych wrogów, co uniemożliwiłoby wszystkim pozostałym państwom wysłanie na ten kontynent swoich oddziałów. Takie podejście świadczy o całkowitym niezrozumieniu polityki światowej i patrzeniu na erę supernowej z wąskiego geopolitycznego punktu widzenia ery powszechnej. Jego zwolennicy nie są w stanie pojąć podstawowej zasady polityki światowej – równowagi sił. Gdyby

Amerykanie zdecydowali się na wojnę konwencjonalną, pozostałe państwa natychmiast zawarłyby sojusze i każda grupa, w której znalazłyby się Chiny, Rosja, Unia Europejska i Japonia, byłaby wystarczająco silna, by wystąpić przeciwko Stanom Zjednoczonym. Porządek świata, jaki by się ukształtował po tej konfrontacji, niewiele by się różnił od tego, jaki wyłonił się po zakończeniu gier wojennych, tyle że sojusze zastąpiłyby państwa, a polityka byłaby bardziej zbliżona do tej z ery powszechnej.

5. Czy wielka migracja była historyczną koniecznością? To wnikliwe pytanie. Po wymianie terytoriów między Chińczykami i Amerykanami do gry przyłączyły się dzieci z innych krajów – Rosja wymieniła się z państwami południowoamerykańskimi, a Japonia z Bliskim Wschodem – a potem rozprzestrzeniła się ona na całą kulę ziemską i stała się główną siłą napędową powojennej historii świata, w zasadzie przeformatowując geopolitykę. Niestety, ten niezwykle ważny temat nie został jeszcze dogłębnie zbadany; zainteresowanie naukowców skupia się na skutkach migracji. I nic dziwnego – ludzi zawsze bardziej ciekawi to, co niespodziewane, a takie były z pewnością konsekwencje wielkiej migracji. Zanim się pojawiły, dzieci przewidywały różne możliwe scenariusze wydarzeń, z których pewne zrodziły się w umysłach wielkich myślicieli i strategów, takich jak Vaughn i Okularnik, ale większość była dziełem zwykłych ludzi. Jednak czas pokazał, że żaden z nich się nie sprawdził. Rzeczywisty wynik zaskoczył wszystkich i przeszedł najśmielsze wyobrażenia…

– Tato, tato, wyjdź szybko! Przecież obiecałeś, że popatrzysz z nami na błękitną planetę! Zaraz się pokaże!

Odkładam z westchnieniem pióro, uświadamiając sobie, że po raz kolejny wdałem się w jałową dyskusję o teorii. Postanawiam więc, że na tym zakończę. Podnoszę się i wychodzę na trawnik. Słońce jest już niemal za horyzontem i światło Różanej Mgławicy staje się coraz jaśniejsze.

– Boże, niebo jest czyste! – wykrzykuję.

Nieruchome brudne chmury, które było widać za każdym razem, gdy się wyszło z domu, zniknęły i niebo jest czystą bladą czerwienią.

– Dopiero teraz to zauważyłeś? Jest takie już od tygodnia! – mówi Verené, szarpiąc Jingjinga za rękaw.

– Przecież rząd mówił, że nie stać go na oczyszczenie kopuły ochronnej.

– Zrobili to ochotnicy. Ja też. Oczyściłem czterysta metrów kwadratowych! – mówi z dumą Jingjing.

Patrzę na szczyt wysokiej na dwa tysiące metrów kopuły, skąd ludzie, którzy wyglądają na jasnoniebieskim tle mgławicy jak czarne punkty, zeskrobują resztę brudu.

Robi się zimno i zaczyna padać śnieg. Zielona trawa pod stopami, czerwone piaski na zewnątrz bańki, w której jesteśmy, i błyszcząca w przestrzeni kosmicznej Różana Mgławica przedstawiają wspaniały, oszałamiający widok.

– Oni nigdy nie potrafią właściwie ustawić systemu kontroli klimatu – mówi Verené.

– Będzie lepiej. Wszystko będzie lepiej… – odpowiadam z głębi serca.

– Chodź tutaj! Chodź! – krzyczy Jingjing.

Nad wschodni horyzont wznosi się niebieska planeta niczym szafir owinięty bladoczerwonym welonem nieba.

– To stamtąd pochodzimy, tato? – pyta Jingjing.

Kiwam głową.

– Tak.

– I nasi dziadkowie wciąż tam mieszkają?

– Tak. Zawsze tam mieszkali.

– To Ziemia?

Patrzenie na Ziemię jest jak patrzenie w źrenicę mojej matki i w moich oczach wzbierają łzy, gdy mówię zdławionym głosem:

– Tak, mój chłopcze. To Ziemia.

Spis treści

ERA SUPERNOWEJ

Dedykacja

Osoby

Prolog

1. Martwa gwiazda
Koniec
Słońce o północy

2. Selekcja
Świat w dolinie
Państwo

3. Wielkie uczenie
Świat klasą szkolną
Szef sztabu generalnego
Glutaminian sodu i sól

4. Przekazanie świata

Wielki Kwant
Rozruch próbny nowego świata
Zegary epoki
Era supernowej

5. Zaczyna się nowa era
Pierwsza godzina
Zawieszenie

6. Inercja
Inspekcja
Zgromadzenie narodowe
Kraj zabaw
Debata

7. Wesołe miasteczko
Czas marzeń
Czas snu

8. Amerykańskie wesołe miasteczko
Bankiet z lodami
Amerykańskie wesołe miasteczko
Igrzyska światowe

9. Wojna w erze supernowej
Antarktyda
Gry z krwią i żelazem

Tysiąc słońc
Podziemna mina z ery powszechnej
Kontratak
Zamieć

10. Geneza
Nowy prezydent
Wizyta
Nowa gra światowa
Zamiana
Decyzja
Wielka migracja
Geneza

Epilog. Błękitna planeta

Spis treści

Strona redakcyjna

Title: 超新星纪元
Author: 刘慈欣
Copyright © 2003 by 刘慈欣 (Liu Cixin)
Polish translation rights authorized by China Educational Publications Import & Export Corporation Ltd.
All Rights Reserved

Tytuł wydania angielskiego: *The Supernova Era*
(przekład z chińskiego: Joel Martinsen)

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Ilustracja na okładce: Stephan Martiniere

Opracowanie graficzne okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Era supernowej, wyd. I, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8062-698-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl